D

leusz Kubiak · Jerzy
drzejewski · Jarosław
szkiewicz · Witold J.
uściński · Jerzy Pytla-
uski · Julian Przyboś ·
Roger Caillois

twórczość

PAŹDZIERNIK 1958

twórczość

PAŹDZIERNIK 1958 ROK

10

twórczość

ROK XIV PAŹDZIERNIK 1958 NR 10

SPIS TREŚCI

Tadeusz Kubiak
NA GÓRZE RÓŻE Z CIEPŁEGO SERCA
Str. 5

Jerzy Andrzejewski
PODRÓŻ
Str. 8

Peter Lachmann
NOWENNA ŚCIANA . * . (POWIEDZIANO NAM...) DROGA . * . (LUDZIE WYSZLI Z PIWNIC...) . * . (ZNOWU MINĘŁO...) SPÓR ZEGARY PATRZĄ NA NAS
Str. 38

Jarosław Iwaszkiewicz
TATARAK
Str. 43

Arnold Słucki
. * . (CI, KTÓRZY SŁUCHALI...) NOWY PICASSO
Str. 57

Witold Juliusz Kapuściński
REFLEKSJE Z PODRÓŻY DO ARGENTYNY
Str. 58

Maria Pujmanowa
JAŚMINOWA NOC
(przełożył *J. I.*)
Str. 77

Jerzy Pytlakowski
PRZYGODY MACIEJA GOŁĄBA
Str. 78

Julian Przyboś
Z „TEORII POZNANIA" LIRYCZNEGO
Str. 84

Roger Caillois
DEFINICJA FANTASTYKI
(przełożył *Jerzy Lisowski*)
Str. 91

Janusz Maciejewski
KIEDY NASTĄPIŁ PRZEŁOM?
Str. 98

Kazimierz Wyka
TRZY LEGENDY TZW. WITKACEGO
Str. 122

Wśród książek
POETA JAWOROWEJ BAŚNI — *Anna Kamieńska*
Str. 136
W OBRONIE WŁASNEJ SZTUKI — *Henryk Bereza*
Str. 139

FANTAZJA I ŚWIAT WIDZIALNY — *Michał Głowiński*
Str. 141

SZANSA DWORSKIEGO PISARZA — *Henryk Bereza*
Str. 143

EPITAFIUM EUROPIE — *Jan Józef Lipski*
Str. 147

CHARAKTERY DZIWACZNE — *Jan Józef Lipski*
Str. 150

TURECKIE PLANY KRÓLA WŁADYSŁAWA — *Wojciech Natanson*
Str. 153

O DZIWNIE PRZEŁAMANYM ŻYCIU — *Wojciech Natanson*
Str. 155

Na widnokręgu

FRYDERYK JOLIOT-CURIE — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 158

CENA KLASYCYZMU — *Zbigniew Bieńkowski*
Str. 159

NOTATNIK MAURIACA — *Jerzy Lisowski*
Str. 163

CONRADOWSKI NUMER „KWARTALNIKA NEOFILOLOGICZNEGO" — *Zdzisław Najder*
Str. 165

Z CZASOPISM LITERACKICH NRF — *Roman Karst*
Str. 169

„ETUDES COPERNICIENNES" — *Wojciech Natanson*
Str. 171

CZY ISTNIEJE „TEMAT WIEJSKI"? — *Zbigniew Pędziński*
Str. 174

Noty
Str. 177

Korespondencja
Str. 183

Książki nadesłane
Str. 189

REDAKTOR NACZELNY:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 10.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty:

kwartalnej	zł 30.—
półrocznej	zł 60.—
rocznej	zł 120.—

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5404/c z dnia 2.8.58 r.
Nakład 4784 egz. Druk ukończono w październiku 1958 r. A-77

Tadeusz Kubiak

NA GÓRZE RÓŻE

Różo dzika
prababko róż cieplarnianych
Różo dzika
babko róż pnących
Różo dzika
matko róż ogrodowych
róż ciętych nożem
jak toporem kata

Dzika różo na górze
w Kazimierzu nad Wisłą

Różo — oto widzę
początek i koniec
twojej piękności dzikiej
przez Barbary dłonie
w wysokim wazonie
układana w ścianach
poczwórnej muzyki

Muzyki o wschodzie
muzyki w południe
muzyki o zmierzchu
muzyki północą

Co z ciebie zrobili
— różo —
Co ty tu robisz
— różo —

Różo
milczenie miłości
z kwiatów i cierni

Z CIEPŁEGO SERCA

Matka z bólu płakała
gdy ja jeszcze nie żyłem
łza przeczysta spłynęła
z tej łzy się narodziłem

Z jej łzy

Narodziłem się ślepy
jak kamień pod kamieniem
nim przejrzałem na oczy
już puściłem korzenie

W głąb wszerz

Patrzyłem jak się klują
ptaki o różnych nazwach
rozbijają skorupy
trzepoczą ćwierczą w gniazdach

Chór pstry

Patrzyłem jak kiełkuje
ku słońcu ślepe ziarno
rozsadza łuskę twardą
przebija ziemię czarną

Barw sto

Patrzyłem jak się małże
otwierają nad ranem
i perły z nich wychodzą
jak Wenus z białej piany

Z dna mórz

Perły światłem świeciły
kwiaty się rozchylały
ptaki z ziemi do nieba
na skrzydłach odfruwały

O — tam

Łza przeczysta spłynęła
z oczu matki na ziemię
spod jej ciepłego serca
spadłem zimnym kamieniem

O — tu

Tadeusz Kubiak

Jerzy Andrzejewski

PODRÓŻ

Pośpieszny pociąg do Lwowa odchodził z dworca krakowskiego rano, o dziewiątej z minutami. W tym czasie — na początku trzeciego wojennego lata — był to jedyny na tej linii pociąg bezpośredni, dostępny jednak tylko dla Wehrmachtu i dla Niemców. Ale major Staniecki postanowił zaryzykować. Wczesnym rankiem załatwił wszystko, co miał w Krakowie do załatwienia, i nie bardzo wiedział, co zrobić z pozostałymi godzinami aż do południa, kiedy odchodził zwyczajny pociąg na Dębicę. Po mieście wolał się nie kręcić, ostrzeżono go, że od kilku dni trwały uliczne łapanki. Ciasna i zatłoczona część dworca, przeznaczona na poczekalnię dla ludności polskiej, także mu się nie wydawała specjalnie bezpieczna. Wszędzie było pełno niemieckiej żandarmerii, obława mogła i tutaj sięgnąć. Czuł poza tym, że, chociaż w podniszczonym płaszczu i w sportowej czapce, jednak swoją postawą wojskowego i twarzą inteligenta jaskrawo odcina się od szarego tłumu przeważnie chłopów szmuglerów i tajojujących batiarów. Już kilka razy wydało mu się, że przechodzący żandarmi obrzucili go podejrzliwymi spojrzeniami. Wolał zejść im z oczu zawczasu.

Licząc na swoje szczęście kupił od bagażowego za spore pieniądze pozwolenie jazdy oraz bilet i zdecydowawszy, że wszystko musi pójść dobrze, udał się na czwarty peron.

Pociąg lwowski był już podstawiony. Po peronie kręciło się dużo wojskowych i esesmanów, trochę cywilów ze swastykami. Przy końcowych wagonach, dokoła stosu drewnianych kuferków, zebrała się gromadka węgierskich żołnierzy. Do odjazdu pociągu było jeszcze z górą pół godziny, zanosiło się na duży tłok.

Staniecki od razu się zorientował, że jeśli może liczyć na dostanie się do pociągu, to tylko do jednego z wagonów końcowych. Gdy podążył w tamtą stronę, przekonał się, że instynkt go nie omylił. Takich jak on było tutaj sporo: trochę mężczyzn palących nerwowo papierosy, kilka kobiet skupionych dokoła podróżnych tłumoczków. Wszyscy trzymali się w pobliżu węgierskich żołnierzy. Staniecki usłyszał, jak jedna z kobiet, starsza i całkiem siwa, mówiła do swojej towarzyszki, młodziutkiej dziewczyny, widocznie pierwszy raz odbywającej tę podróż:

— Teraz łatwo się dostać do wagonu, ale potem, przed samym odjazdem, będą sprawdzać dokumenty.

— I co? — przestraszyła się dziewczyna.
— Wyrzucą.
— O Boże!
Siwa kobieta łagodnie się uśmiechnęła.
— Przede wszystkim nie wolno się denerwować, moje dziecko. Jeżeli wyrzucą, to jeszcze raz w ostatniej chwili można się dostać. Trzeba próbować, a nuż się uda. Przyjemne to nie jest, ale co robić? Trzeba mieć dobre zdrowie, żeby jechać pociągiem zwyczajnym.
Staniecki oparł się o poręcz schodów i zapalił papierosa. Właśnie nadszedł elegancki, zalotnie kołyszący wąskimi biodrami oficer węgierski i żołnierze, czarni, brudni, od wielu dni nie goleni, zaczęli zbierać swoje kuferki.
— Pani często jeździ? — spytała dziewczyna.
— O tak, przynajmniej dwa razy na tydzień.
— To okropne!
— Są gorsze rzeczy, moje dziecko. We Lwowie straszna teraz drożyzna, a ja jednego syna mam w Oflagu, drugiego w Brygidkach.
— Co to są Brygidki?
— Więzienie.
— Ach tak.
— Muszę jednemu i drugiemu posyłać paczki. Ale to naprawdę, moje dziecko, jeszcze nie najgorsze. Jak się nam uda pojechać tym pociągiem, to na wieczór będziemy we Lwowie.
— O Boże, żeby się tylko udało — westchnęła dziewczyna. — Ja potem mam jeszcze długą drogę.
— Daleko?
— Aż do Kut. Tam mój tatuś jest i muszę go zabrać, bo jest sam i pisze, że głód okropny.
Staniecki, patrząc na tłoczących się do wagonu żołnierzy, machinalnie słuchał całej tej rozmowy i coraz ciężej robiło mu się na sercu. Nagle przy ostatnim wagonie rozległy się ostre krzyki. To krępy konduktor wyrzucał na peron chudego, drobnego mężczyznę w zielonych pumpach i w przykrótkim płaszczu. *„Raus, raus!"* — krzyczał Niemiec. Kopnięty w tyłek, upuścił małą, podniszczoną walizeczkę, ale zaraz pośpiesznie ją porwał, wcisnął pod pachę i świecąc trawiastymi pumpami czmychnął w głąb peronu.
— Już się zaczyna — szepnęła młoda dziewczyna.
— Niech się pani nie denerwuje, moje dziecko — uspokoiła ją siwa kobieta. — Ten pan ma wyjątkowego pecha, w zeszłym tygodniu wyrzucono go aż za Dębicą. Jego już znają wszyscy konduktorzy i dlatego.
W miarę zbliżania się godziny odjazdu na peronie stawało się coraz tłoczniej. Zaroiło się teraz od cywilnych Niemców, za którymi tragarze dźwigali ogromne walizy. Odjeżdżało także dużo kobiet. Przód peronu pełen był wojskowych. Spodziewano się widocznie przybycia jakiejś wyższej szarży, bo w pewnej chwili zjawił się komendant dworca, otyły major o rozlanej i czerwonej twarzy piwosza. Znowu z ostatniego wagonu kogoś wyrzucono. Tym razem była to wątła, ospowata kobiecina. Znalazłszy się na peronie, przysiadła na kuferku i na głos się rozpłakała. Wśród pozostałych Polaków wzrastało zdenerwowanie. Pozbawieni naturalnej osłony, jaką stanowili dotąd węgierscy żołnierze, porozbiegali się w różnych kierunkach. Staniecki nawet się nie

spostrzegł, kiedy i gdzie obie kobiety zniknęły. Dokoła zrobiło się pusto, zdecydował więc, że nie ma sensu świecić dłużej w oczy konduktorom. Korzystając z chwili, gdy jeden z nich, najbliższy, odwrócił się, szybko i zdecydowanie wszedł do pierwszego z brzegu wagonu. Pełen był Węgrów, którzy zdążyli zagospodarować się w przedziałach. Otwierali swoje kuferki, głośno rozmawiali i pili wódkę. Wszędzie było pełno odoru juchtowych butów, pomieszanego z gryzącym zapachem potu i tytoniu.

Dzień zapowiadał się bardzo pogodny i gorący. Skrawek nieba, widoczny spod przęseł hali dworcowej, zwisał nieruchomo nad dachami i wieżami miasta, szary i gęsty od dymów. Był to widok smutny i martwy. Korytarzem przeciskali się w pośpiechu nielegalni podróżni, poszukujący takich przede wszystkim miejsc, z których najłatwiej można by było dostrzec nadchodzącą kontrol, zapewniając sobie równocześnie bezpieczny odwrót. Ogromny głos dudniący pod sklepieniem peronu wołał: *„Achtung, Achtung..."* Na któryś z dalszych peronów wjeżdżał ciężko pociąg.

Nagle Staniecki usłyszał za sobą ściszony głos:

— Ta posuń się pan, tu niedobrze stać.

— Zwariowałeś? — syknął drugi.

Staniecki odwrócił się i zobaczył przed sobą dwóch wyrostków w podniszczonych i wypłowiałych płaszczach, które kiedyś musiały być gimnazjalnymi.

— Suń się pan — powtórzył pierwszy — najlepiej z przodu zwiewać.

Staniecki bez słowa począł się przeciskać pomiędzy żołnierzami ku przedniej platformie. Chłopcy byli podnieceni.

— Dzisiaj, wisz, ten buldog ma służbę — mówił pierwszy — on nam zajedzie za skórę, jej Bohu!

— Ta nie gadaj tyle — mruknął drugi — pchaj się.

Zanim Staniecki dobrnął do końca korytarza, nagle ludzie poczęli uciekać z przedniej platformy. Obaj lwowiacy natychmiast zawrócili. Obok Staniecki przecisnęło się kilku zwiewających w popłochu mężczyzn. Chciał podążyć za nimi, ale już było za późno — w drzwiach stał konduktor, ten sam, który przed chwilą wykopnął był z wagonu jegomościa w trawiastych pumpach. Ogarnąwszy jego czerwoną, o spłaszczonym nosie i na grubym karku osadzoną twarz, Staniecki pomyślał: rzeczywiście podobny do buldoga.

Konduktor od razu zwrócił się do niego:

— *Sind Sie Deutsche?*

Staniecki dobrze znał niemiecki i z pewnością, którą zawsze się kierował w decydujących momentach, zdał sobie sprawę, że jeśli nie uczynił ruchu zdradzającego chęć ucieczki, powinien ryzykować dalej i odpowiedzieć spokojnie: tak. Ale powiedział: nie, i natychmiast po wyrazie twarzy buldoga spostrzegł, że Niemiec nie spodziewał się zaprzeczenia. Dopiero po chwili poczerwieniał i wrzasnął chrapliwie:

— *Hier nur für Deutsche, verstanden?*

Chwycił Stanieckiego za ramię i chciał go pchnąć ku wyjściu, gdy tamten odsunął się i powiedział spokojnie:

— Sam wyjdę.

Wyskoczył z wagonu i nie oglądając się za siebie począł iść w głąb peronu ku wyjściu. W tunelu rozminął się z grupą oficerów towarzyszących staremu, wysokiemu generałowi. U wylotu schodów, zalanych słońcem, stało dwóch

gestapowców. Gdy mijał ich zwolnionym rozmyślnie krokiem, jeden z nich zastąpił mu drogę.

— *Halt!*

Staniecki przystanął. Był na tyle spokojny, iż potrafił swemu spojrzeniu nadać wyraz zdziwienia. Poczuł tylko, że jego lewa dłoń mocniej zacisnęła się na rączce walizki.

— Słucham panów — powiedział po niemiecku.

— Dokumenty.

Obojętnie postawił walizkę na schodach i rozpiąwszy płaszcz wyjął portfel, z niego dowód osobisty, kartę pracy oraz dostarczone mu na drogę pismo niemieckiej firmy budowlanej, poświadczające, że w interesie przedsiębiorstwa jedzie do Lwowa. Gestapowiec uważnie począł przeglądać papiery. Drugi wskazał na walizkę.

— Proszę otworzyć.

Staniecki schylił się i lewą ręką odemknął walizkę pamiętając, aby w razie rewizji osobistej mógł natychmiast prawą sięgnąć po rewolwer, który miał w kieszeni płaszcza. „Cóż za głupstwo wpaść na samym początku" — pomyślał. Był przygotowany na najgorsze i od razu, jednym spojrzeniem ogarnąwszy miejsce, gdzie się znajdował, zdał sobie sprawę, że gdyby do podobnej ostateczności doszło, nie zdołałby ani uciec, ani kompromitujących papierów zniszczyć. Wyżej na peronie kręciło się dużo żołnierzy, o wydostaniu się z dworca nie było mowy. Tymczasem gestapowiec przerzucał obojętnie zawartość walizki. Naraz przeglądający papiery pochylił się ku niemu.

— Zostaw, to nie ten — powiedział — tamten jest młodszy.

„Szukają kogoś" — pomyślał Staniecki, lecz bez spodziewanej ulgi. Rzeczywiście po paru nieważnych pytaniach puszczono go. Po chwili znalazł się przed dworcem.

Dopiero teraz, na świeżym powietrzu, w słońcu, które mimo wczesnej godziny ogarniało piekącym blaskiem plac przed dworcem, poczuł odprężenie. Ale nie czuł ulgi ani zadowolenia. Rozluźnił się w nim tylko spokój, nawet nie gotowość na najgorsze. To było wszystko.

Zapalił papierosa i spojrzał na zegarek: było dwadzieścia po dziewiątej, pociąg lwowski akurat odchodził. Do następnego trzeba było czekać z górą trzy godziny. Nie zastanawiając się, jak ten czas spędzi, ruszył prosto w kierunku Plant. Ulice były wyludnione. Gdy dochodził do Plant, zobaczył nadjeżdżające z głębi ulicy Potockiego wielkie ciężarowe auto. Szybko cofnął się z powrotem. Zza rogu wybiegli jacyś mężczyźni, uciekali w kierunku Radziwiłłowskiej. „Łapią!" — krzyknął jeden z nich mijając Stanieckiego. Ale buda nie zatrzymując się zakręciła u skrzyżowania ulic i wolno pojechała w stronę Barbakanu. Staniecki zdążył zauważyć, że była zapchana ludźmi. Zrezygnował jednak z Plant. Mógł udać się do jednego z przyjaciół, który mieszkał w pobliżu dworca, ale nie chciało mu się rozmawiać, wolał być sam. Więc gdy na wprost dworca, na rogu Radziwiłłowskiej, dostrzegł kawiarnię — wszedł do środka.

Z rozległej sieni drzwi na prawo prowadziły do baru, gdzie paru mężczyzn piło przy bufecie wódkę, na lewo — do pokojów w amfiladzie. Była to typowa knajpa wojenna, na pozór ogołocona z wszelkiego jedzenia, ale gdzie w rzeczywistości za duże pieniądze wszystko można było dostać. Pokoje były nie-

wielkie, zastawione prostymi stolikami, dość mroczne, z zakratowanymi oknami, które z jednej strony wychodziły na cichą Radziwiłłowską, z drugiej na wąskie, ślepym murem zamknięte podwórko. W pierwszej salce kilkoro młodych mężczyzn i kobiet, wyglądających na podmiejskich szmuglerów, siedziało przy obficie zastawionym stole. Pili wódkę i głośno rozmawiali, byli widać tutaj zadomowieni.

Staniecki od razu przeszedł do drugiego pokoju: był mniejszy, z dużym, pękatym piecem i chwilowo pusty. Zajrzał jeszcze do ostatniego, jakiś chłopak w robotniczym kombinezonie i w czapce zsuniętej z opalonego czoła pił mleko, w drugim kącie utleniony podlotek w białym berecie malował sobie usta. Staniecki wrócił do poprzedniej salki i usiadł pod oknem. Ściany pokoju były pomalowane na ordynarny, jaskrawo żółty kolor, na sąsiednim stoliku po zniszczonej ceracie, w nikłym słonecznym promieniu, pełzały muchy. Z lampy zwisał nisko brunatny lep. Z sąsiedniej salki dochodził gwar pijackich głosów i brzęk kieliszków.

Oparł się o ścianę, nogi wyciągnął pod stołem i przez okratowane okno patrzył na ulicę. Po przeciwnej stronie wlókł się właśnie przy samym domu nikły staruszek z ogromnym workiem na zgiętych plecach. W pewnej chwili przystanął i oparłszy worek o ścianę, nie wyprostowując się, począł wycierać czoło wierzchem dłoni. Potem podreptał dalej. Jeszcze potem zjawił się garbus w czarnym palcie, w meloniku i z żółtą teczką. Musiał być krótkowidzem i czegoś szukał, bo najpierw przed jedną bramą przystanął, później przed następną i wspinając się na palce zadzierał głowę w kierunku tabliczek z numerami domów. Nie znalazłszy potrzebnego, poszedł dalej.

Przez dłuższy czas nikt od Stanieckiego nie przyjmował zamówienia. Parę razy przesunął się przez pokój stary kelner powłóczący lewą nogą, ubrany w kitel, który niegdyś musiał być biały. Bez pośpiechu i nie dostrzegając nowego gościa kursował pomiędzy pierwszym pokojem a kuchnią. W pewnej chwili dobiegł stamtąd jego trochę uroczysty głos: „Kiełbasa — raz, kotlet wieprzowy — raz, kartofle smażone...". Dopiero teraz Staniecki uświadomił sobie, że jest głodny. Przywołał wracającego kelnera i zamówił zsiadłe mleko z kartoflami.

— Kwaśne mleko? — powtórzył kelner.

— Kwaśne — zgodził się Staniecki i od razu poczuł swoją nietutejszość.

Kelner, powłócząc nogą, zawrócił do kuchni i wykrzyknął dużo obojętniejszym niż wpierw głosem: „Kwaśne z kartoflami — raz".

Staniecki z powrotem począł wyglądać na ulicę. Środkiem trotuaru szli dwaj żandarmi w hełmach, z karabinami. I nagle, w sposób wprawdzie nieokreślony, lecz bardzo przejmujący, cała podróż, całe przedsięwzięcie, którego się podjął, wydało się Stanieckiemu beznadziejnie daremne. Poczuł się znużony i przegrany. Posiadał jednak dość dyscypliny wewnętrznej i dosyć instynktu samozachowawczego, aby natychmiast przeciwstawić się temu przygnębieniu. Czuł jednak, że potępia je słabo i bez przekonania, silniej w nim działały wieloletnie rygory doświadczonego dwójkarza niż potrzeba obecna. Nawet więcej: odnalazł w sobie chęć całkiem dla siebie nową i niespodziewaną, pokusę dokładniejszego wniknięcia w ten dziwaczny nastrój, potrzebę utrwalenia go i ocenienia, co w sobie krył. Ale równocześnie zawiązał się w nim mglisty lęk przed podobną próbą. I gdy kelner postawił przed nim zsiadłe mleko i kar-

tofle, szybko zabrał się do jedzenia. Na ulicy słońca było coraz więcej, już do połowy jezdni docierał białawy poblask. Na jednym z balkonów żółtego domu naprzeciw czerwieniały w zielonych, schludnych skrzynkach nasturcje.

Wtem Staniecki wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Czujność posiadał w podobnych wypadkach niezawodną i chociaż nie słyszał, aby wszedł ktokolwiek do pokoju, nie miał wątpliwości, że czyjeś spojrzenie zwrócone jest w jego stronę. Nie spiesząc się, odwrócił głowę. I dopiero teraz spostrzegł, że nie jest, jak sądził, sam. Pod oknem wychodzącym na studzienne podwórze siedział mężczyzna. Ponieważ słońce, załamując się o kraty, padało ukośnymi smugami na niebieską ceratę stolika, poblask w tym głębszy cień usuwał twarz siedzącego. Zrazu Staniecki dostrzegł jedynie, że był to brunet o gęstych, niedbale rozwichrzonych włosach, które ciemną plamą odcinały się od żółtej ściany, chyba młody, w jasnym płaszczu sportowym. Dopiero po chwili rozpoznał, że nieznajomy był bardzo młody, nie wyglądał na więcej niż osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Gdy nie przerywając jedzenia począł mu się przyglądać, chłopiec wytrzymał przez chwilę jego spojrzenie, potem obojętnie obrócił się ku oknu. Widział teraz profil chłopca naświetlony od dołu, zarys czoła i nosa bardzo młodzieńczy, mocne osadzenie głowy, które męską linię szczęki łączyło z chłopięcym jeszcze kształtem szyi. Młody uparcie patrzył w okno, lecz widać było, że wyczuwa na sobie spojrzenie obcego człowieka. Stanieckiemu zrobiło się nie wiadomo czemu przykro. Odwrócił się. „Jestem stary" — pomyślał. I znowu ogarnął go przypływ znużenia i zniechęcenia. Odsunął niedojedzone mleko, podparł się pięściami i bezmyślnie, bez wyraźnej potrzeby, począł patrzeć w okno. Drzwi na balkon z nasturcjami były teraz otwarte na roścież, młoda, jasnowłosa kobieta w niebieskawym szlafroku wysuwała ostrożnie z pokoju na dwór dziecinny wózek. Od strony wiaduktu kolejowego, który ponad sąsiednią ulicą przebiegał bardzo niedaleko, doszedł turkot pociągu. „Kotlet wieprzowy — raz, kartofle smażone!" — wołał uroczyście kelner w głębi lokalu. Pijacki gwar w pierwszym pokoju coraz bardziej się nasilał.

O niczym nie myślał, lecz popadał w coraz większy zamęt i niepokój. Spojrzał na zegarek: był zaledwie kwadrans po dziesiątej. Trochę zdziwił się, że tak wcześnie. Był pewien, że siedzi przy stoliku od bardzo dawna. Do odjazdu pociągu lubelskiego ciągle był szmat czasu, wydało mu się niepodobieństwem tkwić tu dłużej. Czuł, że w tej bezczynności, bezmyślnie patrząc w okno i słuchając odgłosów pijatyki obok, rozklei się zupełnie. Nie zdecydował się jednak na przywołanie kelnera, dalej patrzył w okno, ulica jaśniała, słońce wlewało się pomiędzy domy coraz obficiej, na balkonie, poza nasturcjami, podobne do różowych stworzonek, trzepotały się dwie pulchne rączki. Przyglądał się tym nieporadnym ruchom i myślał, że powinien uczuć bodaj nikły odruch ciepłego wzruszenia, ale znajdował w sobie tylko oschłą obojętność. I naraz począł się zastanawiać nad swoim stosunkiem do ludzi. Ci z sąsiedniej sali, oblewający hucznie udany zapewne szmugiel, hałaśliwi i zapamiętani w zabawie, budzili w nim pogardę, byli raczej do zwierząt podobni niż do ludzi. Chłopcu, siedzącemu samotnie w kącie, zazdrościł młodości, pomyślał o nim nieżyczliwie, prawie wrogo, a twarz kelnera, który powłócząc nogą niósł na talerzach ogromne kotlety wieprzowe, wydała mu się twarzą podstarzałego alfonsa, był pewien, że ten zasobny w trunki i jedzenie lokal zmienia się

w swojej dalszej części na zwykły przydworcowy burdel. Przypomnieli mu się naraz dwaj lwowscy sztubacy z pociągu, a także i ów wykopnięty z wagonu jegomość w trawiastych pumpach. Nagle zdjął go wstręt do ludzi, ostra pogarda, a także i poczucie obcości wobec tego rojowiska sprzecznych interesów i namiętności, zżeranego brzydotą i złem. A wówczas natychmiast naszła na niego zmora, która ostatnimi czasami wielokrotnie go dręczyła: zarys lat nadchodzących, najbliższej przyszłości, kiedy wszystka nienawiść, okrucieństwo i zdziczenie, kłębiące się obecnie wśród najciemniejszych ludzkich instynktów, rozleją się po ziemi jeszcze bardziej spodlone, odarte z patosu kłamliwych frazesów i nawet niezdolne płacić ceny śmierci. Mocniej niż kiedykolwiek był przekonany, że z rozlicznych bohaterstw, poświęceń i wielkich nadziei zostanie tylko bezkształtna miazga, tratowana przez zdziczałe ludzkie stada, spragnione oszołomienia oraz niepamięci lat grozy i cierpień. Wszystkie ofiary wydały mu się daremne i nieodwracalnie zagubione wśród ślepych sił kierujących życiem.

Na balkon z nasturcjami znów wyszła jasnowłosa kobieta i pochyliwszy się nad wózkiem poczęła, śmiejąc się, potrząsać grzechotką, która, jak gdyby była szklana, mieniła się i iskrzyła w słonecznym blasku. Różowe rączki dziecka wyciągnęły się ku świecidełku i zatrzepotały nad nasturcjami. Staniecki odwrócił się i głębiej zaszył w róg pokoju. „Jestem stary i przegrany — pomyślał — jestem stary i przegrany."

Do salki wszedł nowy gość. Był to średniego wzrostu mężczyzna, w sztywnym, staroświeckim kołnierzyku, łysy, lecz o twarzy tak zdumiewająco podobnej do smutnego barana, iż jego lśniąca łysina sprawiała wrażenie pokrytej kędzierzawym runem. Ostrożnie uginając nogi w kolanach doszedł do pierwszego z brzegu stolika pod piecem, usiadł, starannie podciągnął zaprasowane spodnie, palcami poprawił kołnierzyk i wydobywszy z kieszeni marynarki „Krakauerkę" pogrążył się w lekturze. Po chwili kelner bez słowa postawił przed nim szklankę mleka, tamten umoczył w nim wskazujący palec, a ponieważ musiało się okazać zbyt gorące — czytał dalej, od czasu do czasu poprawiając kołnierzyk i przekrzywiając przy tym szyję.

Nagle w pierwszym pokoju, wśród systematycznie nasilającego się hałasu, rozległ się trzask rozbitego talerza. Prawie równocześnie stanął w drzwiach młody, barczysty chłopak, w długich, zakurzonych butach, silny i prostaczy, bardzo na twarzy czerwony. Był zupełnie pijany, ale jeszcze trzymał się na nogach, trochę się tylko chwiał, w ręku trzymał butelkę do połowy napełnioną wódką. Przez chwilę rozglądał się pijacko po małej salce, aż naraz, z lekka się zataczając, ruszył ku siedzącemu w kącie chłopcu.

— Napijesz się ze mną? — powiedział przechylając się przez stół.

Staniecki bez zainteresowania i nieżyczliwie przyglądał się tej scenie. Za to właściciel baraniej twarzy bardzo się zaniepokoił i pospiesznie odłożył „Krakauerkę". Tymczasem w drzwiach zjawiło się paru kompanów pijanego: krępy, rudawy mężczyzna i młoda dziewczyna o bardzo wypukłych piersiach i dużych, czerwonych rękach.

— Jasiek! — zakrzyczała — chodź tu, małpo jedna.

Tamten obrócił się ku nim i patrząc spode łba machnął ręką.

— Poszli won, nie znam was.

— Jasiek, ty głupi.

— Żaden dla ciebie Jasiek — burknął i naraz wrzasnął na cały głos — *Raus!* Tutaj będę pić z moim przyjacielem.

Nachylił się ku chłopcu.

— Jesteś moim przyjacielem, nie? Jasiek mi na imię, napijesz się?

Ciężko się zwalił na najbliższe krzesło i huknął pięścią w stół.

— Panie starszy, kieliszki dla mnie i mojego przyjaciela!

Chłopiec zrobił ruch, jakby chciał wstać, lecz Jasiek przytrzymał go za rękę.

— Gdzie lecisz, mamy czas. Kieliszki, panie starszy! — Znowu uderzył w stół. — Myślisz, że nie mam forsy? Popatrz!

Wyciągnął z kieszeni marynarki gruby plik banknotów i rzucił na stół.

— Starczy?

Pan, który czytał „Krakauerkę", rozejrzał się dokoła osłupiałymi oczami i pospiesznie zaczął pić mleko.

— Kelner! — krzyczał coraz bardziej pijany Jasiek.

Kulawy zjawił się wreszcie z dwoma kieliszkami.

— Proszę rachunek — zażądał chłopiec.

Począł szukać po kieszeniach pieniędzy, ale ich widocznie nie znalazł, bo rozpiął płaszcz i sięgnął po portfel. Jednocześnie podniósł się odsuwając nieco na bok stół, aby wziąć małą walizkę, która leżała na okiennym parapecie. Jasiek poderwał się także, ale zatoczył się i oburącz chwycił za blat stołu. Wyraźnie zanosiło się na awanturę. Towarzysze Jaśka ciągle stali w drzwiach i pijacko się podśmiewali. Najbardziej zaniepokojony był pan spod pieca. Dopijał gorące mleko studząc sobie pomiędzy jednym łykiem a drugim poparzone wargi. Natomiast kelner, wsparłszy się o sąsiedni stolik, obojętnie przyglądał się całej hecy.

— Zostań — chwiał się Jasiek — zostań, słyszysz? Mówię do ciebie, jak człowiek do człowieka, no!

Barczysty i szeroki w ramionach, zagradzał chłopcu przejście. Tamten, widząc, że nie wydostanie się bez użycia siły, rozejrzał się po sali i przez moment jego wzrok zatrzymał się na Stanieckim. Ten nie odwrócił wprawdzie oczu, lecz jego obojętne spojrzenie wyraźnie mówiło: radź sobie sam. I chcąc opuścić lokal, już zamierzał przywołać kelnera, gdy naraz Jasiek chwycił usiłującego wydostać się spoza stołu chłopca za rękę. Tamten szarpnął się, chciał pijanego odepchnąć i udało mu się to na tyle, że wydobył się wreszcie spoza stołu.

— Nie daj się, Jasiek! — krzyknęła kobieta we drzwiach.

— W mordę panicza! — dorzucił mężczyzna.

Chłopak zdążył wyjąć portfel.

— Rachunek — zawołał w stronę kelnera.

Jasiek, bardzo czerwony, przyjrzał mu się spode łba.

— To ty taki — mruknął przez zęby nienawistnie. — Ważniak.

I zamierzył się ciężko, na odlew, jak zwykli bić parobczacy. Ale chłopiec zdążył się w porę uchylić. Wtedy Jasiek chwycił go za ramiona i obaj poczęli się ze sobą szamotać. Naraz wśród tej szarpaniny odpięła się chłopcu marynarka i Staniecki ujrzał na jego odsłoniętych piersiach, na tle sportowej, żółtej koszuli, przymocowane do szerokiego pasa dwa rzędy rewolwerów. Momentalnie zerwał się. Lecz i pozostali dostrzegli broń. Kelner drgnął i jego zmięta twarz wydłużyła się, jak u złego psa. Jasiek cofnął się o krok i po-

trząsnął głową, jak gdyby otrzeźwiał. A właściciel baraniej twarzy zerwał się i chwyciwszy kapelusz rzucił się na zgiętych kolanach ku wyjściu. Cisza zapanowała w lokalu.

Ostatni spostrzegł się chłopiec. Stał pośrodku pokoju, w rozpiętym płaszczu i rozsuniętej szeroko po boki marynarce, pochmurny, z pochyloną cokolwiek głową, podobny do osaczonego zwierzęcia. Naraz zbladł i machinalnie zszarpnąwszy na piersi płaszcz cofnął się pod ścianę. Staniecki już był przy nim. Chwycił z okna walizeczkę, z krzesła czapkę i obie wepchnął mu do rąk.

— Prędzej — powiedział spokojnie, lecz rozkazująco.

Pod wpływem tego głosu chłopiec oprzytomniał. Nałożył czapkę. Staniecki rzucił na stolik pięćdziesiąt złotych, które znalazł w kieszeni.

— Za mnie i za tego pana!

I chwyciwszy chłopca pod ramię pchnął go ku wyjściu. Szybko przeszli wśród uciszonej nagle pijatyki. Za chwilę znaleźli się na ulicy. Chłopiec machinalnie chciał skręcić w kierunku Plant, ale Staniecki, ciągle przytrzymując jego ramię, które czuł, że lekko drży, pociągnął go w stronę przeciwną. Minęli dużą kawiarnię, w jej ogródku, w cieniu wysokich lip, pełno było żołnierzy popijających piwo. Staniecki nie oglądał się za siebie. Gdy znaleźli się pod wiaduktem, ujrzał, że na schodach, którymi musieli zejść na dół, stoi patrol żandarmów. Chłopiec drgnął i uczynił ruch, jak gdyby chciał się cofnąć. Staniecki mocno go przytrzymał.

— Wolniej — szepnął.

Po czym puścił jego ramię i schodząc ze schodów sięgnął po papierośnicę. Gdy byli kilka zaledwie kroków od żandarmów, roześmiał się.

— Straszny dziś będzie upał, co?

I nie zatrzymując się podsunął chłopcu papierośnicę. Ten wziął jednego. Przeszli obok żandarmów o krok zaledwie. Staniecki czuł ich wzrok na plecach. Chłopiec przyspieszył kroku.

— Wolniej — powiedział znowu Staniecki.

Na ostatnim stopniu przystanął i wyjąwszy zapalniczkę podał chłopcu ogień, potem sam zapalił. Twarz młodego była ciągle blada, szczęki miał mocno zaciśnięte, górną wargę przygryzał zębami. Staniecki głęboko zaciągał się dymem. Do przystanku podjeżdżał właśnie tramwaj, musieli więc poczekać na skraju chodnika, aż ruszy. Schodami prowadzącymi na górę szło dużo ludzi zdążających na dworzec. Przy trawniku, który mizerną, poszarzałą od upału trawką ciągnął się wzdłuż dworcowego skrzydła, Staniecki zatrzymał się i postawił walizkę na ziemi. W pobliżu wygrzewali się na słońcu trzej tragarze. Ruch przed dworcem był niewielki i rozległy plac, cały w spiekocie, robił wrażenie wyludnionego.

Staniecki spojrzał na chłopca.

— To i po wszystkim!

Tamten stał milczący, z pochyloną głową.

— Na razie oczywiście — dodał Staniecki.

Chłopiec podniósł ciemne oczy, z lekka zmącone drobnym zezem.

— Dziękuję — powiedział.

— Drobiazg. Co pan chce teraz ze sobą zrobić?

Chłopiec się zawahał.

— Jeżeli pan nie chce, może pan nie mówić — powiedział Staniecki.

— Nie, dlaczego? Muszę jechać.
— Zaraz?
— Niedługo.
— Koniecznie z tym bagażem?
— Tak, koniecznie.
Do stojących podszedł mały oberwaniec, pędrak ledwie od ziemi odrosły.
— Papierosy, panie hrabio — zadarł ku mężczyznom lnianowłosą łepetynę w jakiejś starej, o wiele na niego za dużej czapce. — Kluby, Egipskie, „swojaki".
— Nie trzeba — odsunął go niechętnie Staniecki.
Ale mały nie ustępował.
— To niech tak pan hrabia coś da.
Staniecki dał mu złotówkę na odczepnego. Malec obejrzał monetę, chuchnął w nią i elegancko szurgnął nogami ginącymi w ogromnych buciorach.
— Dziękuję panu hrabiemu, proszę pozdrowić panią hrabinę.
Towarzysz Stanieckiego, który przyglądał się małemu z przyjaznym uśmiechem, roześmiał się pogodnie i beztrosko.
Staniecki przyjrzał mu się uważnie.
— Ile pan ma lat, jeśli można wiedzieć?
Chłopak lekko się zarumienił.
— Dwadzieścia dwa.
Staniecki był pewien, że dodał sobie przynajmniej ze trzy albo i więcej lat, udał jednak, że tego nie dostrzegł.
— Niech pan uważa — powiedział — z tym nie ma żartów.
Chłopiec spochmurniał.
— Wiem.
Staniecki spojrzał na zegarek.
— Która godzina? — zaniepokoił się chłopiec.
— Po jedenastej parę minut.
— To na mnie czas.
— Gdzie pan jedzie, daleko?
— Do Lwowa.
— O!
— Pan może też?
— Tak.
— Tym na Dębicę?
— Tak.
Chłopiec chwilę milczał, po czym wyciągnął rękę.
— Dlaczego? — spytał Staniecki.
Odpowiedział po prostu:
— Nie jestem w drodze wygodnym towarzyszem.
Staniecki wzruszył ramionami.
— Niech pan nie przesadza, to nie są takie wielkie rzeczy.
Czuł, że zadrasnął ambicję chłopca, i ta świadomość sprawiła mu drobną przyjemność. Schylił się po walizę.
— W każdym razie nie stójmy tutaj, to nie jest najlepsze miejsce. Ma pan pozwolenie jazdy?
— Jeszcze nie.
— Chodźmy w takim razie na dworzec, trzeba to załatwić.

Chłopiec spojrzał Stanieckiemu wprost w oczy.
— Pan nic o mnie nie wie.
— Starczy to, co wiem.
— Nie, mnie poszukują.
Staniecki natychmiast przypomniał sobie gestapowców na dworcu.
— Znają pańskie nazwisko?
— Znają, ale to nic, papiery mam w porządku.
— A rysopis?
Chłopiec się zawahał.
— Raczej tak.
— Czas na nas — powiedział Staniecki zwyczajnie, jakby chodziło o sprawę od dawna umówioną i załatwioną. — Chodźmy.
Ciepły blask wypełnił ciemne, lekko skoszone oczy chłopca.
— Pan jest wspaniały, słowo daję.
— Chodźmy — powtórzył Staniecki.
— Ale na razie pójdziemy osobno i na dworcu także.
Staniecki zgodził się.
— Niech pan idzie pierwszy w takim razie, bilety ja załatwię.
— Nazywam się Jacek — powiedział chłopiec.
— A mnie nazywają Wiktor. Niech pan idzie.
I gdy tamten poszedł w kierunku głównego wyjścia na dworzec, podążył za nim w odległości kilkunastu kroków. Czuł się lekki, ogarnięty nagłą zgodą na świat i samego siebie. Przez moment pomyślał, że ze względu na sprawy, których się podjął, nie powinien obarczać się w drodze towarzyszem podróży tak niedogodnym, ale szybko tę wątpliwość od siebie odsunął. „Chłopak nic mnie nie obchodzi — pomyślał — ale nigdy nie byłem tchórzem."
Na dworcu wszystko poszło jak należy, nawet taniej niż poprzednim razem kupił od bagażowego pozwolenie jazdy oraz bilet, a ponieważ pociąg lubelski na Dębicę miał być podstawiony na godzinę przed odjazdem, zdecydował, że nie zwlekając należy iść na peron.
W mrocznym i ciasnym skrzydle hali dworcowej panował niewiarygodny ścisk i zaduch. Tylko dwie kasy wydawały pozwolenia jazdy i dokoła nich gęstniał i falował ciemny, kłótliwy tłum. Niemieccy kolejarze zaprowadzali od czasu do czasu wśród tej gromady porządek. Właśnie szczupły, mały bahnschutz rzucił się ku tłoczącym się poza kolejką przy jednej z kas i krzycząc, wściekły i zapieniony, począł gumową pałką tłuc najbliższych. Ludzie zaczęli cofać się w popłochu i uciekać, przed kasami zrobiło się przestronnie. W tym zamęcie Staniecki, pchnięty przez tłum aż pod bagażownię, stracił z oczu Jacka. Dopiero, przepychając się na siłę, potykając o walizy, kosze i tłumoki pozwalane przy ławkach pod ścianą, zdołał się przedostać ku mniej zatłoczonej części poczekalni, gdzie znajdowała się podręczna przechowalnia bagaży, dostępna zresztą, jak i wszystkie inne udogodnienia, tylko dla Niemców. Jacka odnalazł w tym samym miejscu, w którym go, wyruszając po bilety, zostawił, w półmrocznym wgłębieniu przechowalni. Stał tam oparty o ścianę i pochmurnie, z nie ukrywaną wrogością przyglądał się grupie młodych oficerów, oddających walizki do przechowalni. W jego ciemnych oczach było tyle nienawiści, że Staniecki się zaniepokoił.
— Niech pan nie patrzy w taki sposób na tych tam — powiedział.

Chłopiec drgnął i obrócił się ku Stanieckiemu.

— To widać?

— A co pan myślał? Nienawiść jest naga.

Jacek spojrzał ciekawie.

— Sądzi pan, że dobre uczucia łatwiej skryć?

Staniecki wzruszył ramionami.

— Nie wiem, trzeba mieć dobre uczucia, żeby porównywać. Chodźmy, ma pan swoje bilety. I niech się pan przygotuje, że po drodze możemy się natknąć na gestapowców.

— Gdzie?

— Po drodze.

Wyjście na perony dla ludności polskiej znajdowało się przy końcu dworca, poza składami towarowymi, trzeba więc było znów wyjść na dwór. Szli za dwiema bosymi wiejskimi kobietami z tobołami na plecach, wśród milczenia, które nagle i prawie nieprzyjaźnie zaległo pomiędzy nimi.

Wraz ze zbliżaniem się południa upał nasilał się i gęstniał, rozpalony chodnik parzył, powietrze było przesycone dymem i benzyną, a niebo wznosiło się ponad tą spiekotą bardzo wysoko, gładkie i równe w poszarzałej niebieskości.

Przed wejściem na perony Jacek zawahał się.

— Chodźmy — powiedział sucho Staniecki.

Na peronach było jeszcze pusto. Pociąg lubelski odchodził z tego samego peronu, co przedtem lwowski, trzeba więc było przejść połączeniem podziemnym. Staniecki był prawie pewien, że w tunelu natkną się na gestapowców. Wcale się nie zastanawiał, co uczyni w razie krytycznej sytuacji, był przekonany, że wszystko musi pójść dobrze, ostrzegł tylko towarzysza, żeby teraz uważał, i natychmiast swobodnie i beztrosko począł opowiadać o pewnej swojej dawnej przygodzie tatrzańskiej, kiedy wśród wielogodzinnej ulewy szedł z Doliny Wielickiej przez Polski Grzebień do Roztoki. Ledwie zeszli ze schodów, dostrzegł w głębi tunelu wolno w ich stronę idących gestapowców. Był dalekowidzem, więc od razu poznał, że są to ci sami, którzy zatrzymali go z rana. Jacek również ich dojrzał, odruchowo odsunął się od Stanieckiego, lecz ten natychmiast się z nim zrównał i dalej z ożywieniem opowiadał o przeprawie przez wezbrany potok. Gdy zbliżyli się do tamtych na odległość paru kroków, uprzedził zatrzymujący ruch bliższego z nich i z uśmiechem odezwał się po niemiecku:

— Mam nadzieję, że drugi raz nie będę panom potrzebny?

Gestapowiec przyjrzał mu się uważnie i dopiero teraz go poznał.

— Przechodzić — powiedział.

Staniecki skinął głową i zwrócił się ku swemu towarzyszowi, który chciał skręcić ku pierwszym z brzegu schodom.

— To na trzeci peron — powiedział głośno — czwarty jest dalej.

Dopiero kiedy pociąg ruszył, Staniecki opowiedział Jackowi o pierwszym spotkaniu z gestapowcami. Ze względu na ludzi dokoła mówił ogólnikami, ale chłopiec i tak się domyślił.

— Myśli pan, że o mnie chodziło?

— Chyba tak.

— W takim razie, to znaczy...

Staniecki przerwał mu niedbale:

— To znaczy, że jedziemy.

Pociąg już daleko poza sobą zostawił krakowskie przedmieścia i dość szybko, jak na pociąg wojenny, biegł wśród rozległych, falistych pól, pociętych srebrzystymi smugami żyta i zielonawymi pszenicy. Pogoda czerwcowego dnia dopiero teraz ukazała się w całej pełni. Krajobraz dokoła był radosny, cały ogarnięty słońcem i niebieskością nieba. Na łąkach stały już kopice siana. Krągłe, przysadziste wierzby, zanurzone gdzieniegdzie wśród zbóż, znaczyły aż po daleki horyzont kapryśny bieg bocznych, polnych dróg.

Wagon był ponad miarę zatłoczony. Z początku, kiedy pociąg podstawiono, Staniecki z Jackiem wygodnie umieścili się w przedziale, lecz na krótko przed odejściem wszystkich podróżnych wyrzucono, ponieważ jechało dużo wojska. W ostatniej więc chwili, wśród najgorszego ścisku, musieli się przenieść do innego wagonu. Wszystkie były przepełnione. Wreszcie udało im się wcisnąć do jednego z końcowych. Umieścili się wprawdzie na korytarzu, lecz nienajgorzej. Z początku było trochę zamętu, nerwowej krzątaniny i kłótliwych swarów, jednak gdy na dobre zaczęła się podróż — ludzie, zadowoleni, że wreszcie jadą, porozsiadali się na swoich lub cudzych walizach, poczęli zawierać pierwsze znajomości i nastąpił względny spokój. Pociąg był pośpieszny, więc pierwszy najazd nowych podróżnych groził dopiero w Tarnowie.

Staniecki i Jacek mieli ze sobą tylko podręczne, małe walizki, skazani zatem byli na stanie, znaleźli jednak miejsca przy oknie i nie dokuczał im upał. W najbliższym ich sąsiedztwie, zaraz obok Stanieckiego, siedziała na dobrze wysłużonej walizie starsza kobieta, kiedyś z pewnością bardzo piękna, bo jeszcze teraz mimo zniszczenia i zmęczenia jej twarz przykuwała uwagę. Była to twarz wielkiej, podstarzałej aktorki, pokryta bruzdami, tragiczna, o wspaniałych, ciemnych, silnie podsiniałych oczach. Kobieta, dobrze, przedwojennie ubrana, siedziała oparta o ścianę wagonu, obojętna na tłok dokoła. W pewnej chwili — było to już daleko za Krakowem — wyjęła z eleganckiej torby podróżnej papierosa, ordynarnego Junaka, i poczęła go chciwie palić, lecz w taki sposób, w jaki palą więźniowie lub robotnicy, którzy podczas pracy ukradkiem się zaciągają, skrywając papierosa w dłoni. Dopiero po dłuższym czasie, dostrzegłszy wzrok Stanieckiego, musiała uświadomić sobie, w jaki sposób trzyma papierosa. Drgnęła wtedy i szybko ujęła go palcami normalnie. Jednak po chwili znów ukryła Junaka w swojej wąskiej, bardzo pięknej dłoni i tak go dokończyła.

Staniecki odwrócił się i począł patrzeć przez okno, lecz mało co widział z mijanych krajobrazów. Dobry nastrój kruszył się w nim i zanikał. Nie mógł wiedzieć, co ta nieznajoma kobieta, wyruszając w drogę, pozostawiła za sobą: ciężką pracę w fabryce na przymusowych robotach czy miesiące więzienia w krakowskich Montellupich, natomiast wiedział, że musiała wiele przejść i życie mocno musiało ją przygnieść, jeśli zdołało wedrzeć się aż w głąb jej odruchów. Zdawał sobie sprawę, że przydarzają się ludziom nieporównanie większe nieszczęścia, lecz i za tym niepozornym szczegółem stały niczym na ziemi nie okupione bezmiary poniżenia, otwierało się dno niewolnictwa, w jakie spycha ludzi przemoc. Natychmiast wróciło ku niemu wszystko, czym przed kilkoma godzinami dręczył się w kawiarni przy Radziwiłłowskiej, z powrotem ogarnęło go znużenie, poczucie bezsilności i własnego osamotnienia wśród ślepego świata. Czymże jest człowiek? Mówi człowiek: potęgą jest czło-

wiek. Istotnie, żadna z żyjących istot nie zdołała uświetnić swojej egzystencji tyloma pochwałami, co człowiek. Ale ta ożywiona i niewiarygodnie misternie ukształtowana kupa chemicznych związków, pieją o wolności, poddaje się rygorom niewoli z uległością kurwy, sławi rozum, lecz zaprzedaje się najgłupszym głupstwom, bełkocze o prawdzie, a łakomie karmi się kłamstwem, dumą się szczyci, a lubi pełzać na kolanach, za niezależnością tęskniąc znajduje w gromadnie maszerującym stadzie swój naturalny żywioł — obłąkane plemię, miotające się wśród żądz i zbrodni, cierpiące i zadające cierpienia, skazane na wieczny wrzask, ruch bezsensowny, złudne nadzieje i wieczne ciemności...

Tymczasem Jacka całkowicie pochłonęła podróż. Wsparłszy się łokciami o ramę okienną wychylił głowę, a ponieważ zdjął czapkę, wiatr rozwichrzał mu włosy, czuł go na twarzy i na szyi, pełno go miał w gardle, gdy umyślnie, aby zachłysnąć się powietrzem, otwierał usta. Słońce stało wysoko i przypiekało mocno. Czuł się z tym wszystkim bardzo dobrze, beztrosko i lekko.

Pociąg biegł właśnie wysokim nasypem, a w dole zieleniały rozległe łąki, tutaj jeszcze nie skoszone, bujne, tchnące mimo upału świeżą wilgocią. Wkrótce pośród zieleni ukazała się niebieska rzeczka, cała, jak gdyby była z błękitnej blachy, migocąca w słońcu, płasko rozlana pomiędzy kapryśnymi, gdzieniegdzie wikliną porosłymi brzegami. Pociąg krótko zadudnił na mostku i wówczas Jacek w przelocie ujrzał w dole, nad brzegiem, kilka kobiet w czerwonych chustkach na głowach i z podkasanymi powyżej kolan spódnicami. Przerwały pranie i dłońmi osłaniając oczy przed słońcem przyglądały się, roześmiane, przejeżdżającemu pociągowi. Jedna z nich, młoda dziewczyna, kiwała ręką. Ku nasypowi kolejowemu biegł poszczekując łaciaty kundel, a po rzeczce, płytkiej przy brzegu, bo na dnie widać było czysty i spokojny żwir, brodził nagi, na brązowo opalony chłopak i wielkim kijem rozchlapywał wodę.

Poczuł się tak radośnie, iż zdjęła go ochota, aby nieznajomej dziewczynie odpowiedzieć pozdrowieniem. Wychylił się więc głębiej, ale rzeczka z piorącymi kobietami była już za daleko, aby dojrzały jego ruch. Mimo to wyciągnął rękę i machnął nią parę razy.

— Panie! — usłyszał za sobą niezadowolony głos — niechże pan nie zasłania okna, udusić się można.

Gdy odwrócił się, zobaczył przed sobą zażywnego, bardzo czerwonego na twarzy mężczyznę w grubej jesionce. Wyglądał na drobnego ziemianina wracającego po miejskich mordęgach do siebie na wieś, gdzieś w Tarnowskiem albo w Sandomierszczyźnie. Jacek, wciąż pełen wesela, życzliwie się do niego uśmiechnął i usunął się na bok. Wtedy tamten przepchnął się do okna, zasłaniając je natychmiast barczystymi ramionami.

— Jak można w ten sposób, panie — zasapał gniewnie — zasłonić okno, a tu podusić się można...

Jacek, niewyczerpany w życzliwych uczuciach, z kolei Stanieckiego obdarzył miłym uśmiechem.

— Ładnie, prawda?

I nagle poczerwieniał dostrzegłszy w spojrzeniu Stanieckiego chłodną ironię.

— Widzę, że panu wesoło — powiedział Staniecki.

Rumieniec aż po czoło pociemnił smagłą twarz chłopca. Staniecki nie spuszczał z niego oczu.

— Owszem, wesołość dobra rzecz, ale na pana miejscu raczej bym się zajął podsumowaniem pewnego zdarzenia i wyciągnięciem odpowiednich wniosków na przyszłość.

— Nie rozumiem — szepnął chłopiec.

— To szkoda. Wie pan, jak się nazywa nadmiar ufności? Nie wie pan? A to szkoda. Łatwowiernością się nazywa, proszę pana, a w pewnych okolicznościach szczególnych po prostu głupotą, karygodną głupotą, której nie wolno popełniać człowiekowi znajdującemu się w szczególnych okolicznościach. Niech pan sobie wyobrazi, że pewien młody, nawet bardzo młody człowiek, na skutek rzeczywiście dosyć szczególnej sytuacji, nagle, nie wiedząc dobrze, z kim ma do czynienia, obdarza pewnego człowieka pełnym zaufaniem, po prostu oddaje mu się niejako w ręce. Co pan powie o doświadczeniu tego młodego człowieka?

Rumieniec zniknął z twarzy chłopca, był teraz bardzo blady, w spojrzeniu jego ciemnych oczu drgnął niepokój.

— Pan ze mnie drwi? — spytał niepewnie.

— Wcale nie drwię. Chcę tylko panu, jako starszy i bardziej doświadczony, zwrócić uwagę, że jeśli dzisiaj ów młody człowiek na ogół nieźle ulokował swoje zaufanie, to jednak na przyszłość powinien być ostrożniejszy, to wszystko.

— Nie jestem tchórzem — szepnął Jacek.

Staniecki poruszył się niecierpliwie.

— Przecież nie o to chodzi! Że też wy młodzi na każde zawołanie znajdujecie słowa, które nic nie znaczą.

— Nic?

— Absolutnie nic. Ja pewnemu młodemu człowiekowi doradzam rozsądek, a pan o odwadze.

Chociaż rozmawiali ściszonymi głosami, stojąc tuż przy sobie, Jacek jeszcze bliżej przysunął się do Stanieckiego.

— Rozumiem — powiedział mu w same prawie usta. — Pan ma rację, będę pamiętał. Ale czy to, że mi pan uratował życie, to też nic nie znaczy?

„Egzaltowany szczeniak" — pomyślał Staniecki. I czując ciepły oddech chłopca na twarzy odsunął się cokolwiek.

— Nic — powiedział. — Jakie znaczenie może posiadać uratowanie czegoś, co można w każdej chwili stracić?

Pociąg ciągle biegł wśród silnego nasłonecznienia i pomimo pootwieranych okien na korytarzu stawało się coraz goręcej. Psuć się też poczynał dotychczasowy spokój. Prawie bezustannie ktoś z przepełnionych przedziałów albo z dalszej części korytarza przepychał się ku końcowi wagonu, gdzie znajdowała się toaleta. Te wędrówki tam i z powrotem zmuszały siedzących na korytarzu do ciągłego wstawania, stojący musieli usuwać się na bok, a chwilami, kiedy wyruszający w tę żmudną wędrówkę spotykał się z wracającym, wymiętoszonym i czerwonym, lecz przecież uszczęśliwionym — korek stawał się kompletny. Ludzie poczynali denerwować się i złościć.

Najbardziej podminowana atmosfera zapanowała na pomoście, przy toalecie. Jechało tam dużo ludzi, którzy wepchnęli się do wagonu w ostatniej chwili, ścisk więc był okropny, a poza tym dotarcie do ubikacji utrudniały ogromne walizy, zwalone jedna na drugą pod samymi drzwiami. Toteż raz po raz do-

biegały stamtąd podniesione głosy, kłótliwe i zirytowane. Gdy jeden z pasażerów przestawał się pieklić, zaczynał drugi, a najczęściej pieklili się wszyscy i ten jazgot jednych rozdrażniał jeszcze bardziej, innych pobudzał do przekornej i hałaśliwej wesołości. W pewnej chwili owe pośmiechy tak zirytowały jakąś kobietę, której tusza utrudniała przepchanie się wśród ścisku, iż nieszczęśliwa ofiara, purpurowa z wysiłku, spotniała, w przekrzywionym na głowie kapeluszu, rozkrzyczała się naraz z rozpaczliwą gwałtownością. Młodzi mężczyźni, ku którym ta furia była skierowana, odpowiedzieli chóralnym śmiechem. Kobieta zakrzyczała jeszcze głośniej i awantura zaczęła się na dobre. Od słowa do słowa wziął w niej wkrótce udział cały pomost i ten zbiorowy tumult okazał się tak zaraźliwy, iż nawet podróżni z korytarza poczęli zdradzać niepokój oraz ożywienie, wyraźnie świadczące o ich chęci przyłączenia się do kłótni. Ale ponieważ uniemożliwiały to tłok i zbyt znaczna odległość, wybuchnęły niebawem kłótnie drobne i lokalne, każda w swoim skromnym zasięgu wtórująca tamtej wielkiej.

W rejonie Stanieckiego i Jacka, a więc w środkowej mniej więcej części korytarza, inicjatorem okazał się ziemianin w grubej jesionce. Człowiek ten, zaniechawszy orzeźwiającego okna i wciąż na twarzy bardzo czerwony, przyglądał się z wyraźnym niezadowoleniem historiom w głębi. I akurat tak się złożyło, że niespodziewanie przy jego potężnych nogach wychynął mały, czteroletni chłopiec, niebieskooki, o bardzo gęstych i rozwichrzonych ognistych włoskach. Natknąwszy się w swej wędrówce na nogi mężczyzny zdecydował się pokonać tę przeszkodę i po chwili wahania znalazł wyjście najprostsze: wcisnął się pomiędzy nie, jak pomiędzy dwie kolumny.

— Andrzejku, Andrzejku! — poczęła szukać swego synka siedząca nieco dalej na korytarzu młoda kobieta.

Andrzejek przepychał się właśnie przez wąskość szczeliny. Natomiast ziemianin znalazł się w sytuacji kłopotliwej, ponieważ jego gotowość do gniewnego wybuchu paraliżował lęk, że byle poruszeniem może nadepnąć na malca, który akurat głową przeciskał się pomiędzy jego kolanami. Pozbawiony przez moment możliwości swobodnego działania, całą kipiącą w sobie złość skierował ku matce. W obronie tamtej stanął inny mężczyzna i wszystko poszło jak należy. Tymczasem Andrzejek, na rękach najbliższych sąsiadów zawracany drogą powietrzną ku matce, począł gwałtownymi ruchami oraz krzykiem protestować przeciw przemocy.

— Chamy! Chamy! — wrzeszczała w głębi wagonu kobieta w kapeluszu.

A ziemianin krzyczał:

— Na smyczy powinno się trzymać takiego bachora.

— Pana wziąć na smycz! — odpowiedziano z pobliskiego przedziału.

Wtem u końca wagonu ukazał się kontroler biletów. Natychmiast zaległa cisza. Kilku pasażerów jadących na gapę albo bez obowiązującego pozwolenia jazdy pośpiesznie poczęło się przepychać ku przeciwnemu krańcowi wagonu, właśnie tam, gdzie się mieściła toaleta. Ostatecznie aż do Tarnowa podróż upłynęła w spokoju.

Po drodze pociąg kilkakrotnie przystawał w polu.

Tory były pozajmowane przez zdążające na Wschód wojska i te przymusowe postoje bardzo się przeciągały. Za Tarnowem, który zasilił pociąg nowym tłumem podróżnych, działo się jeszcze gorzej. Dobrych kilka kilometrów za

stacją pociąg znowu utknął i tym razem stał blisko godzinę. Ci z podróżnych, których czekała przesiadka w Dębicy, poczęli się niepokoić, że spóźnią się na pociąg lwowski. Ale te obawy okazały się przedwczesne. Chociaż pociąg dobrnął do Dębicy z trzygodzinnym prawie opóźnieniem, lwowski nie tylko nie odjechał, lecz w ogóle jeszcze ze Lwowa nie przybył i nikt na stacji nie wiedział, kiedy to nastąpi: zanosiło się na długie czekanie.

Tłum na stacji zebrał się ogromny. Dopiero gdy odjechał pociąg lubelski i tory opustoszały, okazało się, jaka ciżba czeka na dalszą podróż w kierunku Lwowa. Rozległy, typowy dla prowincjonalnych stacji peron, dosłownie był oblepiony ludzkim mrowiem. Był to tłum szary i znużony. Większość podróżnych skleciła sobie prowizoryczne siedzenia z waliz i tobołów, inni siedzieli na gołej ziemi, powydobywano jedzenie i posilano się. Przy parkanie otaczającym stację, pod kwitnącymi akacjami, kilku młodych chłopaków grało w karty. W innej grupie krążyła z rąk do rąk litrowa butelka wódki.

Miało się tymczasem ku wieczorowi. Wprawdzie słońce jeszcze wysoko stało nad ziemią, lecz jego ukośne promienie już nie grzały tak mocno, upał wyraźnie zelżał i w cieniu nawet chłód poczynał dawać się we znaki. Jak co dzień w tym okresie, zapowiadała się po skwarnym dniu pogodna, lecz zimna noc. Mimo skupienia tylu ludzi, gdy ścichły pierwsze pogwary — cisza zapanowała na stacji nieomal wiejska. Z jednej strony ciągnęły się stacyjne zabudowania, dość porządne, nie uszkodzone najwidoczniej w czasie działań wojennych, duży, białawy budynek w stylu dworków polskich, parkany, składy, jakieś przybudówki. Tam właśnie na tle ogromnych, bardzo bujnych kasztanów kwitły akacje. A po przeciwnej stronie, poza kolejowymi torami, rozpościerał się wiejski pejzaż: rozległe łany żyta, grunty zapewne dworskie, bo nie były, jak chłopskie, pocięte na wąskie zagony różnych zasiewów. Daleko na horyzoncie czerwieniał wśród niebieskiego nieba wysoki komin gorzelni. Nieco dalej wcinał się w horyzont falisty gąszcz parkowych drzew. Okolica była monotonna, lecz ten rozległy krajobraz, cały w delikatnej poświacie zniżającego się słońca, tchnął wielkim spokojem i ciszą. Skowronki głośno ponad polami kuwikały.

Staniecki z Jackiem umieścili się w odleglejszej części peronu, gdzie było stosunkowo najprzestronniej. Staniecki tak jakoś ulokował swoją walizeczkę, że mógł na niej mimo jej małych rozmiarów przysiąść, Jacek znalazł nie opodal kamień.

— Wcześniej niż na rano nie zajedziemy chyba — powiedział Jacek.

Staniecki rzucił na ziemię niedopałek papierosa i sięgnął po nowego.

— Możliwe — mruknął.

Siedział na swojej walizce bokiem do Jacka, duży i ciężki, trochę przygarbiony, w spojrzeniu jego głęboko osadzonych i tak jasnych, że prawie przezroczystych oczu było coś wilczego. „Dlaczego on mnie nie lubi?" — pomyślał Jacek z żalem. I nagle z ciepłym akcentem zwierzenia powiedział:

— Im dłużej jedziemy, tym ten Lwów wydaje mi się dalszy.

Ale Staniecki słowem się nie odezwał. Obcy i w sobie zamknięty, przyglądał się tym swoim wilczym spojrzeniem koczującemu dokoła tłumowi, właśnie mignął mu gdzieś w największym tłoku jegomość w trawiastych pumpach, bardzo niespokojny i zaaferowany. Bez zainteresowania śledził przez chwilę jego wychudzoną, wyskakującą z przykrótkiego płaszcza sylwetkę, ale szybko

go znużyła jej ruchliwość. Potem odnalazł siedzące w cieniu pod parkanem dwie kobiety, których rozmowie przysłuchiwał się był z rana na krakowskim peronie. Musiały się najwidoczniej nie dostać do pociągu pośpiesznego albo je z niego wyrzucono. Obie robiły wrażenie dość żałosne. Starsza, siwa pani, której jeden syn był w niewoli, a drugi w więzieniu, wyglądała na chorą. „Serce" — pomyślał. Towarzyszka jej, młoda, jasnowłosa dziewczyna, jadąca po ojca do Kut, pochylała się ku niej troskliwie i coś do niej mówiła, a tamta, wsparta plecami o parkan, odpowiadała uśmiechem niezmiennie łagodnym, tylko może trochę bardziej smutnym. Na twarzy miała kilka zadrapań i ślady ziemi, musiała się przewrócić. Dziewczyna robiła wrażenie bardzo strapionej i bezradnej. „Głupia dziewczyna — pomyślał — takim bagażem obarczyć się w podróży." Spojrzał nieuważnie na siedzącego obok na kamieniu Jacka i naraz uczuł, że powinien okazać chłopcu trochę życzliwości, tak bardzo wydał mu się w tej chwili zbiedzony i samotny. „Jakiż on młody!" — pomyślał, lecz tym razem bez niechęci. Pochylił się ku niemu.

— I co, Jacku, co pan taki zamyślony?

Chłopiec drgnął i podniósł głowę. „Jacy oni wszyscy są bezbronni — pomyślał Staniecki — wszystko mają wypisane na twarzach." Ale sprawiło mu przyjemność, że właśnie taką młodą twarz miał przed sobą i wystarczał z jego strony jeden serdeczniejszy odruch, aby rozjaśniło ją uczucie wdzięczności.

— Głodny pan pewnie?

— Trochę, ale nie bardzo.

— Ja za to bardzo, zapomnieliśmy w tym zamęcie kupić coś w Krakowie.

Jacek żywo poderwał się z kamienia.

— Pójdę poszukać, coś się chyba znajdzie.

Ale Staniecki przytrzymał go za ramię.

— Niech pan lepiej zostanie, ja pójdę.

— Dlaczego?

— Towar, który pan ma na sprzedaż, jest delikatniejszy od porcelany, lepiej go nie narażać na wstrząsy.

Jacek zaniepokoił się.

— Naprawdę myśli pan, że to na sprzedaż?

Staniecki wesoło się roześmiał.

— Dzieciak z pana, ale muszę przyznać, że dzieciak bardzo sympatyczny.

I widząc na twarzy chłopca rumieniec, tym jednak razem spowodowany radosnym wzruszeniem, pomyślał: „Do tej pory podziwiał mnie z domieszką niepokoju, teraz będzie mnie podziwiać ze szczyptą uwielbienia, zabawni są ci młodzi, potrzebują uznania jak powietrza".

Gdy po dziesięciu minutach zjawił się z powrotem z bochenkiem żytniego chleba i kawałkiem kiełbasy, zastał na peronie sytuację całkiem odmienną. Akurat na horyzoncie ukazał się dym lokomotywy i ludzie jeden przez drugiego pchać się poczęli ku torom. Ale prawie natychmiast, jakby wyrośli spod ziemi, zjawili się żandarmi, z nimi trzech polskich policjantów. Krzycząc i tłukąc gumowymi pałkami spychali napierający tłum z powrotem. Od razu spokojną dotąd stację ogarnął tumult.

Nim Staniecki dotarł do Jacka, już się trochę uspokoiło. Ludzie, zorientowawszy się, że to nie ich pociąg, poczęli wracać na swoje miejsca. Żandarmi także przycichli. Pozostał na placu jeden tylko policjant. Był to ładny chło-

pak, wysoki i zgrabny, w nowym mundurze, całym swym dużym, krzepkim ciałem upojony władzą. Szalał według metod najlepszej szkoły niemieckiej, bił każdego, kto mu się nawinął pod rękę. Akurat dopadł jakiegoś staruszka, strącił mu kapelusz i jedną ręką chwyciwszy za paletko drugą wolno i dokładnie tłukł pałką po głowie. Jego dźwięczny, młody głos wyrzucał polskie słowa na modłę chrapliwego krzyku Niemców.

Gdy Staniecki dobrnął do Jacka, ten stał przy swoim kamieniu, pobladły, wpatrzony w policjanta, który był jego rówieśnikiem. W oczach miał tę samą nienawiść, którą Staniecki dostrzegł był na dworcu krakowskim przy przechowalni bagażów. I tym samym co wówczas ruchem dotknął jego ramienia.

— Mówiłem już panu, że nienawiść jest naga.

Jacek bez słowa usiadł na kamieniu, ale wciąż był blady i usta mu drżały. Staniecki pokazał swoją zdobycz.

— To wszystko, co można dostać.

Wyjął z kieszeni scyzoryk, przekroił chleb i kiełbasę i połowę bochenka oraz część świeżej, jeszcze wilgotnej wędliny podał chłopcu. Ten wziął jedzenie w milczeniu, chwilę się wahał, jakby coś chciał powiedzieć, spojrzał na policjanta, który lekko kołyszącym się krokiem schodził właśnie z peronu, po czym chciwie, jak człowiek bardzo wygłodniały, zabrał się do posiłku.

Staniecki przyglądał mu się chwilę, myślał, że dawniej, gdy był głodny, jadł w taki sam sposób. Myślał: „Wszystko przez niego przepływa razem: nienawiść i radość, samotność i miłość, wszystko razem, jedno obok drugiego, to jest życie, to jest pełnia, to jest to, na co później już nie stać, później wpada się w doły jednej myśli i jednego uczucia, jestem stary, moim dołem jest obojętność i pogarda". Odkroił ze swojej połowy chleba niedużą kromkę, również kawałek kiełbasy, ale jadł bez smaku, myślał dalej: „Mam przed sobą, i nie tylko na jutro i pojutrze, ale na wiele miesięcy, określone cele do spełnienia, włożę w ich wykonanie wszystkie moje umiejętności i całe doświadczenie wielu lat, jestem, jak się to mówi, wzorowym żołnierzem, specem od konspirowania, ale nic, nic, zupełnie nic mnie to wszystko nie obchodzi, nikogo i niczego nie kocham, po prostu wpadłem w głęboki dół, ktoś kiedyś mówił, zdaje się jakiś filozof, że dwie rzeczy są ważne: niebo gwieździste nade mną i sumienie we mnie, ale to tylko słowa, niebo wraz ze wszystkimi gwiazdami jest martwe, a sumienie, czymże jest sumienie? W dołach nie ma złudzeń, jest tylko konieczna obojętność i konieczna pogarda, ten mały, o tak, on wierzy w sumienie, w nim jest wszystko razem...".

Jacek uporał się właśnie z chlebem i z kiełbasą. Otarł usta wierzchem dłoni i potrząsnął głową, aby odrzucić do tyłu włosy, które zsunęły mu się na czoło.

— I co? — spytał Staniecki.

Chłopiec uśmiechnął się.

— Fajne było.

— Lwów wciąż się panu wydaje coraz dalszy?

Chłopiec lekko się zachmurzył.

— Nie, ale tego — wskazał na piersi — wolałbym się już pozbyć.

— Długo pan zostanie we Lwowie?

Uśmiechnął się przekornie.

— Znów mnie pan zruga za gadatliwość?

— Owszem, zrugam, ale za niepotrzebne pytanie. Więc jak ze Lwowem?

— Nie wiem, to zależy. Do Krakowa nie mam po co na razie wracać, jestem spalony i w ogóle.

— Domyślam się.

— Mogłem zwiać gdzie bądź, ale — znów dotknął piersi — tego mi było szkoda. Niech się pan nie śmieje, ale kiedy to mam na sobie i to mi ciąży i uwiera, to przychodzi mi wtedy na myśl, że za każdą taką jedną sztuką stoi jeden z moich kolegów. Wielu już nie żyje.

Chwilę milczeli.

— Tak — odezwał się Staniecki — z takim kolektywem, to rzeczywiście niewygodnie podróżować.

Ale ironiczny akcent nie dotarł tym razem do Jacka.

— Nie — powiedział poważnie — przeciwnie.

Słońce tymczasem coraz niżej staczało się ku horyzontowi, poświata nad polami stawała się coraz delikatniejsza, podobna przezroczystej i od wewnątrz naświetlonej mgle. Pociągu lwowskiego wciąż nie było widać. Jeszcze dwukrotnie fałszywe alarmy podrywały ludzi i za każdym razem powtarzało się to samo, co za pierwszym: tłum na oślep pchał się ku torom, zjawiali się żandarmi, odchodziło bicie, potem wszystko się uspokajało. Młody policjant działał obecnie w innej części peronu.

Coraz większe znużenie ogarniało ludzi. Słońce już prawie nie grzało i letnie ubrania przestawały chronić przed chłodem. Staniecki był wytrzymały na zimno, lecz i nim w pewnej chwili wstrząsnęły dreszcze. Wstał i zapiął płaszcz.

— Chłodno się robi — powiedział. — Zdaje się miał pan rację.

— Z czym?

— Że im dłużej jesteśmy w drodze, tym Lwów jest dalej. Musi pan uważać we Lwowie, to trudne miasto.

— Wiem.

— Ile pan ma naprawdę lat?

Jacek poczerwieniał.

— Chyba jednak mniej, niż się pan przyznał?

— Trochę.

— Dziewiętnaście?

— Prawie.

Chwilę milczeli. I nagle Staniecki powiedział:

— Wie pan, Jacku, zazdroszczę panu.

— Mnie? — zdziwił się. — Czego?

— Dziewiętnastu lat.

— Nie? — Jacek wciąż nie dowierzał. — Chciałby pan mieć dziewiętnaście lat?

— Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że panu zazdroszczę.

— To nie na jedno wychodzi?

— Oczywiście, że nie. Mogę czegoś zazdrościć, wcale tego nie pragnąc. W moim wieku nie powinno się miewać pragnień niemożliwych do zrealizowania. To przywilej młodości.

— Myśli pan? Według pana ja pragnę rzeczy niemożliwych?

Staniecki wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale chyba tak.

— Wcale nie marzę o wielkich rzeczach.

— Nie musi pan. Rzeczy nieosiągalne nie zawsze latają wysoko, częściej chodzą po ziemi. Żeby przeżyć rozczarowanie albo ponieść porażkę, nie musi się być marzycielem.

Jacek zamyślił się.

— To prawda. Ale można się nie zgodzić.

— Z czym?

— Na klęskę można się nie zgodzić.

— A tak, oczywiście, że można się nie zgodzić. Znałem człowieka, który wśród wielu rachub nie brał pod uwagę tylko jednej — że może umrzeć. Mimo to zginął w katastrofie samochodowej.

— To nie to samo — zaprotestował Jacek.

Staniecki miał dość tej rozmowy.

— Tak — powiedział — ma pan rację, to nie to samo.

I zamilkł dostrzegłszy, że dziewczyna towarzysząca starszej siwej pani podniosła się i szybko, lecz w sposób trochę nienaturalnie zdecydowany, poczęła iść wprost ku nim. „Tego brakowało" — pomyślał niechętnie. Gdy podeszła blisko, wydało się, że odwaga nagle ją opuściła.

— Panno Alinko! — zawołała spod parkanu starsza pani.

Dziewczyna natychmiast się opanowała.

— Przepraszam panów, panowie też zdaje się czekają na pociąg lwowski?

Jacek podniósł się z kamienia i ogarnął dziewczynę uważnym spojrzeniem.

— Wszyscy tutaj czekają na pociąg lwowski — powiedział Staniecki opryskliwie.

Dziewczyna, wyraźnie spłoszona, umilkła bezradnie. Jacek przyszedł jej z pomocą.

— Pani do Lwowa?

— Tak.

— Z matką?

— O nie! — szybko zaprzeczyła. — To jest moja znajoma, znajoma z drogi, ale właśnie o nią mi chodzi, dlatego zwróciłam się do panów... ona jest chora, źle się czuje, przepraszam, że się do panów zwracam, nie znam przecież panów, ale obawiam się, że jak przy wsiadaniu będzie tłok, to sama mogę nie dać rady...

— Panie chciały jechać pospiesznym — odezwał się Staniecki.

Dziewczyna znowu się spłoszyła.

— Skąd pan wie?

— Wiem, widziałem panie na dworcu w Krakowie.

— Ach tak! Owszem, pojechałyśmy tym pospiesznym, ale w Dębicy nas wyrzucono. Jeden Niemiec, kolejarz, tak popchnął panią Domańską, że upadła i potłukła się. Ona jest na serce chora.

— Żałuję bardzo — powiedział Staniecki tym samym chłodnym, nieżyczliwym tonem — ale żaden z nas nie jest lekarzem.

Jacek poczerwieniał.

— Przecież ta pani nie zwraca się do nas o pomoc lekarską.

— Tylko o co?

— Po prostu o pomoc.

Staniecki obrócił się ku dziewczynie.

— Czy tak? W takim razie również żałuję, ale moim zdaniem ten najskuteczniej pomaga innym, kto liczy na samego siebie.

Przez chwilę była cisza. Wreszcie odezwała się dziewczyna, głos jej leciutko drżał.

— Dziękuję panu za lekcję, ale nie przypuszczam, aby pan znalazł we mnie pojętną uczennicę.

— Zgadzamy się wobec tego — powiedział Staniecki — ponieważ nie szukam uczniów.

Gdy odeszła, usiadł na swojej walizce i sięgnął po papierosa. Jacek stał obok z pochyloną głową, pobladły. Nagle wybuchnął żalem i oburzeniem:

— Jak pan mógł?

— Co?

— Tak potraktować tę dziewczynę!

— Niby jak?

— Okropnie!

— Doprawdy? Niech pan nie przesadza, Jacku. O ile się nie mylę, zależy panu na dostaniu się do Lwowa?

— Więc co z tego?

— Pyta pan jak dzieciak. Człowiek w pana sytuacji nie bawi się w filantropię, to jest zajęcie dobre dla cywilów.

— A pan?

— Co ja?

— Pan w stosunku do mnie. Dlaczego pan udaje innego niż jest? Przecież pan jest wspaniałym człowiekiem...

— Ciszej Jacku. Jeżeli koniecznie musi pan mówić głupstwa, to niechże pan przynajmniej nie krzyczy.

Bliżej się przysunął o krok.

— To nie są głupstwa, jest pan wspaniałym człowiekiem, mądry, odważny, dobry, a udaje pan, jakby pana nic ludzie nie obchodzili.

— Skąd pan wie, że udaję?

— Wiem.

— W takim razie wie pan więcej ode mnie.

— Nie, pan wie to samo, co i ja.

„On naprawdę uważa mnie za wspaniałego człowieka" — pomyślał. Rzucił papierosa.

— Więc co, zdaniem pana, skłoniło mnie, żebym się zachował wobec tej dziewczyny trochę, powiedzmy, brutalnie?

— Nie wiem, przecież nie chciała nic wielkiego.

— Powiedziałem już, Jacku, że człowiek w pana sytuacji nie może bawić się w filantropię. Pan powinien w ogóle jak najmniej istnieć, tyle tylko, ile trzeba, co jest konieczne. Każda czynność dodatkowa to sto możliwości wpadnięcia. Ta starsza pani, jak słyszeliśmy, upadła, popchnięta przez niemieckiego kolejarza. Gdyby pan wówczas stał obok, kto wie, jakby się to dla pana mogło skończyć.

Jacek zamyślił się.

— To prawda — powiedział po chwili — mimo to ja pomogę tym kobietom.

Staniecki chciał spytać: a co z tymi żyjącymi i zmarłymi towarzyszami, których nosi pan pod płaszczem? Ale od razu zdał sobie sprawę, że ironia w tym

momencie zbyt jaskrawym zgrzytem skłóci się z wyobrażeniem, jakie wyrobił sobie o nim młody chłopak. Wstał więc i przyjaźnie wziąwszy go pod rękę powiedział:

— My wszyscy, Jacku, jeśli nie stale, to na pewno bardzo często kogoś i coś udajemy. Komedianctwo jest nieodłącznym atrybutem niewoli, niewinnych przede wszystkim udajemy. W pana wieku konspirowałem po raz pierwszy i kto wie, czy nie byłem wówczas trochę do pana podobny. Chodźmy do tych pań, Jacku. Wyjaśnimy, co należy, aby rozsądkowi serca stało się zadość.

„Jeśli tak dalej pójdzie — myślał idąc ku siedzącym pod parkanem kobietom — będę ciągnąć za sobą cały dwór dzieci, kobiet i kalek, cnota cholernie drogo kosztuje." Mimo to zrobiło mu się przyjemnie, kiedy, już później, niejako po wszystkim, a przynajmniej po najgorszym początku, skoro wyczekiwany pociąg wreszcie przybył i po krótkim postoju, wypełniony ludzkim mrowiem, ruszył z powrotem w kierunku Lwowa, odnalazł w pewnej chwili wśród tłoku ciepły uśmiech Jacka. Dla pani Domańskiej udało się nawet Stanieckiemu zdobyć miejsce siedzące, wkrótce jednak, już w drodze, okazało się, że nie jest to miejsce dobre. Do zniszczonego i brudnego wagonu starego typu wcisnęło się około czterdziestu osób, więc tym nielicznym, którzy mieli miejsca siedzące, zaczęło niebawem brakować powietrza. Wprawdzie pani Domańska siedziała niedaleko okna, ale chociaż drzwi były lekko uchylone, ponieważ nie podobna ich było domknąć, nawet odrobina świeżego powietrza nie docierała do środka. Starszej pani zrobiło się słabo i tylko dzięki interwencji Stanieckiego jedna z jadących, także starsza kobieta, na pewno z jakiejś zapadłej wsi, zgodziła się zamienić miejscem. Przy oknie pani Domańska od razu poczuła się lepiej. Panna Alinka stała tuż przy niej, przytrzymując ją za ramię. Wciąż się ku niej pochylała i pytała z akcentem niepokoju:

— Jak się pani czuje, nie gorzej?

Pani Domańska łagodnie się uśmiechała.

— Wszystko dobrze, panno Alinko, niech się pani nie martwi, jakoś dojedziemy.

W pewnej chwili napór w kierunku drzwi tak się nasilił, iż Jacek, tracąc nagle z trudem utrzymywaną równowagę, ciężko się przycisnął całym sobą do obróconej plecami Alinki.

— Przepraszam — powiedział.

Chciał się cofnąć cokolwiek, lecz napór wcale nie ustawał. W środkowej części przedziału jakaś kobiecina, drobna i niska, której tylko bladą twarz było widać, poczęła krzyczeć, że ją duszą. Gdzieś dalej zapłakało dziecko. Teraz Alinka naprawdę się przestraszyła, że pani Domańska może wypaść z wagonu. Mocniej przytrzymując ją ramieniem, spojrzała przestraszonymi oczami w głąb przedziału, gdzie stłoczone kłębowisko ludzi zaczęło niepokojąco falować.

— Niech się pani nie boi — powiedział Staniecki.

Zdołał jakoś wyciągnąć z tłoku prawą rękę i wsparłszy się nią o framugę drzwi ponad głową pani Domańskiej, powstrzymywał swoim dużym ciałem najsilniejszy napór. Okazało się, że w tamtej części przedziału walizy i tłumoki, spiętrzone aż po dach, groziły usunięciem się z półki i konieczność nowego ich ułożenia spowodowała ten gwałtowny ścisk. Powoli tłok trochę zelżał.

Natomiast na zewnątrz pociągu zaczęło się dziać źle. Już w Dębicy bahnschutze siłą ściągali tych wszystkich, którzy nie mogąc się dostać do przepełnionych

wagonów czepiali się drzwi i przysiadali na stopniach. Kiedy jednak pociąg ruszył, okazało się, że dużo ludzi zdołało powskakiwać w biegu i pouczepiać się, gdzie tylko kto mógł. Byli to ruscy przeważnie chłopi, wracający z toboła-mi żywności do swoich rodzinnych, wygłodzonych wsi. Już na pierwszym przystanku — była to mała, bardzo cicha wśród pól stacyjka — urządzono na nich obławę. Jechali przecież dalej. Teraz na stopniach ostatniego wagonu pojawił się nagle kolejarz z grubym, rzemiennym pejczem. Ludzie rzucili się do ucieczki, lecz tamtemu udało się dopaść jakiegoś marudera. Był to stary chłop, bosy, w koszuli tylko i w zgrzebnych spodniach, wynędzniały i niedołężny. Ogromny tobół, który dźwigał na plecach, utrudnił mu ucieczkę. Niemiec chwycił go za kark i po krótkim szamotaniu strącił ze stopni. Pociąg szedł pełnym biegiem, krzyk spadającego człowieka zabrzmiał przenikliwie, lecz krótko.

Pani Domańska odruchowo cofnęła się od drzwi.

— Co się stało? — przestraszyła się Alinka widząc jej bladość.

Jadących na stopniach ogarnęła panika. Jedni, czepiając się buforów, usiłowali przedostać się na drugą, jeszcze nie zagrożoną stronę pociągu, inni — i tych było więcej — chcieli na siłę schronić się do przedziałów.

— Ludzie — krzyczał jakiś chłop — wpuśćcie, zlitujcie się, wpuśćcie!

W jego tępej, zniszczonej twarzy tylko wypłowiałe i cierpiące oczy wyrażały obłąkany strach. Obok pani Domańskiej i Alinki stał tuż przy oknie mężczyzna z czarną przepaską na oku i on przytrzymywał drzwi, którymi tamten rozpaczliwie szarpał.

— Zlitujcie się, ludzie — jęczał.

Mężczyzna wychylił się ku niemu przez okno.

— Zrozum, człowieku, nie ma miejsca, jak otworzymy drzwi, to wszyscy powypadamy.

Ale stary walczył o zagrożone życie.

— Wpuśćcie, ludzie — błagał — miejcie Boga w sercu, zlitujcie się, ja do Jarosławia tylko.

Coraz mocniej szarpał drzwiami. Alinka objęła panią Domańską przez plecy, a drugą ręką uchwyciła się kurczowo Jacka.

— O Boże, niech pan trzyma te drzwi — zaczęła prosić nieznajomego mężczyznę — jak się otworzą, to nas stąd wypchną.

Tymczasem kolejarz dopadł nowego człowieka. Tym razem był to silny, ale kulejący wyrostek, z wyglądu wiejski parobczak. Dłużej niż tamten starowina stawiał opór, zaciekle szarpał się z kolejarzem, wreszcie Niemiec oswobodził jedną rękę i pejczem zdzielił chłopaka przez twarz. Uderzony zachwiał się i z rozkrzyżowanymi rękoma runął w dół, staczając się jak kukła z wysokiego nasypu.

Okolica, którą szedł teraz pociąg, była piękna i pełna uroku. Słońce już zaszło i ciepły koloryt letniego wieczoru spowijał pejzaż, świeże łąki, kępy olchowych zagajników, teren falisty, miękko poddający się gęstniejącemu zmierzchowi, już pociemniały u dalekiego horyzontu, gdzie tylko łagodna smuga seledynu rozjaśniała niebo.

Niespodziewanie, ponieważ nic nie zapowiadało bliskości stacji, pociąg począł zwalniać, aż wreszcie stanął. Czerwone światła semaforów zapowiadały postój. To uratowało na pewien czas podróżujących na stopniach, natychmiast

się porozbiegali. W przedziałach rozmawiano półgłosem. Jakaś kobieta głośno płakała.

A wieczór dopiero teraz, kiedy ścichł monotonny turkot pociągu, odsłonił cały swój doskonały spokój i ciszę. Noc, jak to już wieczór zapowiadał, zanosiło się na zimną, lecz bardzo pogodną. Nareszcie można było bez obawy wypadnięcia otworzyć szerzej drzwi i gdy to uczyniono, świeże, wilgocią łąk przesycone powietrze poczęło napływać do przedziału. Z daleka niósł się wysoki i cienki dźwięk fujarki, w rowie poniżej toru rechotały żaby, lekkie, prawie przezroczyste opary mgieł poczęły bieleć wśród niebieskawego zmierzchu. Pod butami spacerującego po nasypie kolejowym Niemca skrzypiał żwir. Było tak cicho, iż każdy z tych ciężkich kroków pojedynczo wpadał w uszy.

— Boże, mój Boże — ktoś westchnął.

Pociąg wkrótce ruszył i znów na stopniach wagonów pojawili się ludzie zdecydowani na wszystko, byle tylko jechać. Na razie pozostawiono ich w spokoju, lecz niebawem, za najbliższą stacją, wszystko się zaczęło na nowo. Niemców było teraz dwóch, jeden z przodu pociągu, drugi z tyłu. Ich gardłowe krzyki chrapliwie rozbrzmiewały wśród gęstniejących ciemności i wreszcie, już za Rzeszowem, gdy noc stała się całkiem nieprzenikniona, wydawało się, że pod osłoną jej mroków zwołują się dzikie zwierzęta.

W wagonach nie było świateł i tylko wówczas, gdy udało się komuś zapalić papierosa, nikły żar rozjaśniał na krótką chwilę ciemności. Pociąg wlókł się wolno, jakby się z trudem przebijał przez mrok. Zaprzestano prawie rozmów. Niektórzy drzemali stojąc. W głębi przedziału wciąż co jakiś czas popłakiwało dziecko. Po stopniach wagonów, na podobieństwo ciemnych, bezszelestnych cieni, przemykali objuczeni tobołami ludzie. Noc była rzeczywiście bardzo piękna, po brzegi nasycona zapachami pól, czarna nad ziemią, za to wysoko ponad nią rozjaśniona ostrą poświatą gwiazd.

Pociąg przystawał na wszystkich stacjach i to było najgorsze. Jeszcze się nie zdążył zatrzymać, a już w biegu wskakiwali na stopnie nowi podróżni. Potem zaczynał się gwałtowny szturm do przepełnionych wagonów. Trzeba było siłą drzwi przytrzymywać, aby nie wpuszczać nowych. Rozpacz tamtych, szczególnie kobiet, była okropna. Były kobiety, które już od dwóch albo i więcej dni siedziały na stacjach, daremnie usiłując wrócić w swoje rodzinne strony. Pieniądze im się pokończyły, były wygłodniałe, o twarzach półobłąkanych i głosach schrypniętych od błagania, aby wpuszczono je do wagonu. Pociąg już ruszył, a one jeszcze się czepiały drzwi, objuczone tobołami biegły potykając się, aż wreszcie dopadał do nich niemiecki kolejarz i bijąc ściągał na peron. Skowyty nieszczęśliwych ścigały daleko w noc odjeżdżający pociąg. I tak co jakiś czas, wśród ciemności słabo rozświetlanych nikłymi światełkami stacji, powtarzały się te same sceny, ta sama rozpacz, te same krzyki i błagania, twarze u drzwi wagonów zjawiały się te same, tak wszystkie były do siebie podobne cierpieniem, udręką i nędzą. Czasem w głębi mroku rozlegały się wystrzały. Mijały godzina za godziną, lecz noc zdawała się nie mieć końca. Za Przeworskiem zaledwie minęła północ.

Do przedziału, w którym jechali Staniecki z Jackiem, zdołał się na jakiejś małej stacyjce wepchnąć wysoki, tęgi chłop, a ponieważ nikt do tej pory nie wysiadał, ścisk stał się taki, iż nikt się nie mógł poruszyć. Pani Domańska czuła się coraz gorzej. Już i bliskość okna mało jej pomagała, męczyły ją dusz-

ności, chwilami robiło się jej słabo. Panna Alinka nic jej nie mogła pomóc. Obejmując ją ramieniem szeptała słowa pocieszenia, ale to było wszystko, co mogła. Sama trzymała się dzielnie i bardzo nad swoim niepokojem panowała. Czasem tylko Jacek czuł, że jej drobne ciało drży. Wówczas wzruszenie i żal, że jest bezradny, ściskały mu krtań. Gdzieś u początku nocy ogarnęło go wielkie znużenie i niczego nie pragnął prócz snu, ale później odeszła go senność i im dłużej trwała podróż, tym się stawał trzeźwiejszy, bardzo na wszystko, co się dokoła działo, wyczulony i wyostrzony.

Wśród takiego właśnie wewnętrznego napięcia zaszło pomiędzy nim i Alinką zdarzenie, którego nikt zresztą poza nimi dwojgiem nie zauważył. Kiedy do przedziału wcisnął się ów nowy pasażer, dziewczyna, chroniąc przed zgnieceniem i siebie, i panią Domańską, tak się jakoś poruszyła, że w pewnej chwili mocniej się przycisnęła do chłopca, a jej ręka znalazła się na jego piersi. Światło stacyjnej latarni rozjaśniało cokolwiek ciemność wagonu i w tej poświacie Jacek zobaczył, że twarz dziewczyny, tak bliska, iż czuł na ustach jej oddech, nagle się zmieniła. Pociąg w tym momencie ruszył i znów się stała ciemność. Milczeli oboje. Alinka wciąż opierała rękę o piersi chłopca, było zbyt ciasno, aby mogła ją cofnąć. Wreszcie szepnęła:

— Rozumiem teraz.

Odpowiedział również szeptem:

— Co?

— Pana towarzysza. Głupio się wtedy zachowałam, z początku.

— Ależ nie, dlaczego? To jest wspaniały człowiek.

Znowu chwilę milczeli.

— Chciałabym.... — szepnęła.

— Co?

— Żebyśmy już byli we Lwowie.

— Ja też. Pani ze Lwowa?

— Nie, spod Krakowa. A pan?

— Ja? Teraz właściwie znikąd.

Staniecki, chociaż stał bardzo blisko i słyszał ich szept, słów uchwycić nie mógł. Odruchowo przechylił ku nim głowę, lecz w tym właśnie momencie umilkli. „Ty stary durniu“ — pomyślał. Wyprostował się i aby oprzeć się ogarniającemu go znużeniu, postanowił przypomnieć sobie i uporządkować obszerny materiał, jaki miał przedstawić dowództwu lwowskiego okręgu Armii Krajowej. Ledwie jednak począł formułować w myśli pierwsze zdania, wydały mu się nudne i jałowe. Znów dobiegł go szept młodych. Zamknął oczy, ale senności nie czuł, tylko rosnące znużenie.

Tymczasem na stacjach oczekiwały na pociąg coraz większe tłumy. Niemcy, znużeni uganianiem się za ludźmi, gdzieś poznikali. Jechano teraz na stopniach swobodnie, jacyś chłopcy śpiewali na głos.

Na jednej ze stacji, niedaleko za Jarosławiem, z tej części przedziału, której okno wychodziło na ciemne perony, rozległy się naraz przeraźliwe gwizdy. Takie same odpowiedziały z zewnątrz. I natychmiast wprost na głowy stojących najbliżej zwaliły się przez okno toboły i walizy, potem tą samą drogą ciemne i ogromne sylwetki pchać się poczęły do środka. Stłoczony tłum, niespodziewanie wytrącony z ospałego bezruchu, zakołysał się, kobiety poczęły krzyczeć, ktoś wołał policję, na zewnątrz, w ciemnościach, wciąż rozlegały się

przeraźliwe gwizdy. Już trzeci dryblas właził przez okno. Jakiś mężczyzna, chcąc przestraszyć przybyłych, rozkrzyczał się nieudolną niemczyzną, tamci odpowiedzieli śmiechem i pchali się dalej. Niebawem okazało się, że są to koledzy kilku chłopaków, którzy jechali z Dębicy. Teraz już żadna siła nie była w stanie usunąć przybyszów z przedziału.

Wśród tego zamętu pani Domańskiej zrobiło się słabo. Staniecki pierwszy zorientował się w jej stanie. Nagle poczuł, że ciało starej kobiety usuwa mu się bezwładnie na piersi, przytrzymał je ramieniem i tuż przy sobie usłyszał ciężki, chrapliwy oddech. Pochylił się, aby dojrzeć jej twarz, ale chociaż pociąg jeszcze stał, w przedziale było tak mroczno, iż raczej wyczuł niż zobaczył zarys ciążącej mu na ramieniu głowy. Oddech chorej zdawał się zanikać, zapadać w głąb ciała. „Śmierć" — pomyślał. Panna Alinka również spostrzegła, że z panią Domańską dzieje się coś niedobrego.

— Pani Anno, pani Anno — zawołała.

Ale dopiero usłyszawszy jej oddech zdała sobie sprawę z grozy sytuacji.

— Spokój, panno Alinko — powiedział Staniecki.

Trzymał panią Domańską za rękę, ale nie mógł się doszukać tętna, tylko bardzo słabe, chwilami zupełnie zanikające pulsowanie wyczuwał pod palcami. Pociąg już ruszył. W przedziale tam i z powrotem kołysał się stłoczony do ostatnich granic możliwości tłum. Chłopcy spod tamtego okna rozpierali się coraz nachalniej. Mężczyzna, który nic nie wskórał niemczyzną, pienił się teraz po polsku.

— Ludzie — krzyknęła Alinka — tu jest kobieta ciężko chora, nie pchajcie się.

Trochę się w przedziale uciszyło.

— Gdzie ta chora? — zainteresował się ktoś w środku. — Co się stało?

Ale zaraz inne głosy się odezwały.

— Wszyscy jesteśmy chorzy.

— Jak chora, to czego się w taką drogę wybiera?

— Ta nie pchaj się pan, do ciężkiej cholery, bo będę kopać! — pisnął zduszony głos kobiecy.

— Te, te, uspokój się panna — warknął na to mężczyzna.

— Cham!

— Ty sama chamka.

— Ludzie! — krzyknęła Alinka.

W głosie jej zabrzmiała taka rozpacz, iż stała się cisza. Mężczyzna z opaską na oku otworzył szerzej drzwi i sam, żeby zrobić chorej więcej miejsca, zsunął się na stopień. Świeże powietrze zaczęło wchodzić do przedziału.

— Lekarstwo, może kto ma jakie lekarstwo? — wołała Alinka. — Coś na serce.

— Bimbra możemy dać — krzyknął od okna jeden z chłopaków.

— Nie wygłupiaj się — zmitygował go drugi.

Staniecki wciąż trzymał panią Domańską za puls.

— Trudno — powiedział — trzeba ją będzie wysadzić na najbliższej stacji, nie ma innej rady.

Alinka uchwyciła się tego projektu, jak jedynego ratunku.

— Ja też wysiądę. Pani Anno, słyszy mnie pani? Zaraz wysiądziemy, na pewno zrobi się pani lepiej.

„Teraz się zacznie licytacja szlachetności" — pomyślał Staniecki.

Istotnie Jacek się zaniepokoił.

— Naprawdę chce pani wysiąść?

— Oczywiście. O Boże, żeby tylko stacja była blisko.

— Puls wciąż niedobry — powiedział Staniecki.

Jacek pochylił się ku Alince.

— Przecież to nonsens. Jakżeż pani da sobie radę w nieznanym miejscu, do tego jeszcze w nocy?

— Trudno. Muszę sobie dać radę. Czy nikt z państwa nie wie, jak daleko do najbliższej stacji?

Akurat pociąg począł zwalniać. Alinka znów spytała:

— To już stacja?

— Garbatka — powiedział mężczyzna stojący na zewnątrz wagonu — widać światła.

— Rzeczy, jeszcze rzeczy — przypomniała sobie Alinka.

Ludzie, dowiedziawszy się, że dwie osoby chcą wysiąść, okazali chętną, prawie przyjazną gotowość pomagania.

— My podamy walizki — ofiarował się jeden z mężczyzn. — Które to?

Alinka nie wiedziała dokładnie, gdzie rzeczy leżą.

— Światło — organizował pomoc ten sam głos. — Może kto ma latarkę?

Elektryczna latarka natychmiast się znalazła i w jej świetle Alinka mogła odnaleźć wśród stosu bagaży własne rzeczy i pani Domańskiej. Leżały na szczęście na wierzchu.

— Pani Anno — znów się pochyliła ku pani Domańskiej — zaraz wysiądziemy, na pewno zrobi się pani lepiej, jeszcze chwileczkę...

Dopiero teraz mogła dojrzeć jej twarz, bardzo zmienioną, poszarzałą, z oczami, które zdawały się zapadać w głąb. Chora była przytomna, ale nie mogła mówić. Poruszyła tylko głową, że się nie zgadza. Alinka poczęła ją głaskać po ręku.

— Pani Anno, kochana moja, złota, musimy wysiąść, zobaczy pani, przyjdzie pani do siebie, odpocznie, rano pojedziemy dalej.

Pociąg szedł coraz wolniej, już błyskały pierwsze światła. Jacek przysunął się nagle do Stanieckiego.

— Dziękuję panu za wszystko — powiedział pośpiesznym szeptem.

Pociąg stanął. Paru mężczyzn pospiesznie poczęło wyrzucać z wagonu walizki obu kobiet. Inni pomagali Alince wynieść panią Domańską. Dokoła był mrok, parę zaledwie słabiutko świecących latarń, chłód ostry i orzeźwiający. Wzdłuż wagonów biegł niemiecki kolejarz i zatrzaskiwał drzwi.

— *Schneller, schneller!*

Jacek począł się przepychać ku wyjściu, ale Staniecki mocnym uchwytem przytrzymał go za rękę.

— Pan zostanie, Jacku.

Ten szarpnął się. Wtedy Staniecki pchnął go ramieniem w głąb przedziału, z półki szybkim ruchem ściągnął swoją walizeczkę i już stojąc w drzwiach wagonu powiedział:

— Do zobaczenia, Jacku.

Ledwie zeskoczył na peron, rozległ się ostry gwizd lokomotywy, wagony drgnęły, mężczyźni, którzy pomagali wysiadającym kobietom, pośpiesznie

wskakiwali na stopnie, ciemne wagony coraz szybciej przesuwały się w żółtawym poblasku stacyjnych latarń. „Głupi szczeniak — pomyślał Staniecki — zginie wcześniej czy później." Przeszedł ostatni wagon i czerwone światła na jego tylnej platformie szybko się oddalały w ciemność.

Były już bardzo daleko, gdy Staniecki odwrócił się. Alinka stała pośrodku małego peronu, przy nieporządnie rzuconych na ziemi walizkach, i przytrzymując ramieniem panią Domańską wpatrywała się w Stanieckiego przerażonymi oczami. Podszedł bliżej.

— Co pan zrobił? — szepnęła.

Uśmiechnął się.

— To, co pani widzi.

— Boże drogi, jak pan mógł, przerwać drogę, zostawić przyjaciela...

— Niech pani nie lamentuje — przerwał jej szorstko. — Muszę się przede wszystkim zorientować, czego się możemy spodziewać po tej Garbatce, nazwa raczej mało zachęcająca.

Poczekalnia dworcowa okazała się zamknięta i zawiadowca stacji, któremu Staniecki zwięźle wyjaśnił, o co chodzi, stanowczo odmówił otworzenia jej. Najbliższy pociąg miał się zatrzymać na stacji dopiero nad ranem i surowe zarządzenia zakazywały na ten czas przebywania w budynku stacyjnym. Staniecki poniżył się do próśb, ale i one nie pomogły. Zawiadowca wyglądał na poczciwca, był jednak służbistą i o niczym nie chciał słyszeć.

— Gdzie tu można znaleźć najbliższego lekarza? — spytał Staniecki.

Zawiadowca robił wrażenie bardzo zaspanego.

— W Złocińcu jest jeden doktor.

— To daleko?

— Trzy kilometry. Ale bez przepustki nie wolno panu wydalać się poza teren stacji.

— A w wypadku wyjątkowym pan może dać takie zaświadczenie?

Zawiadowca ziewnął.

— Nie — powiedział sennie i odszedł.

— I co? — spytała Alinka, gdy Staniecki wrócił.

Opowiedział krótko, jak się rzeczy mają. W oczach Alinki wciąż był przestrach. Chwilę milczała, wreszcie szepnęła bardzo cicho:

— Dziękuję.

W głębi peronu znajdowała się mała, wąska ławka i na niej Staniecki z Alinką ułożyli panią Domańską. Alinka miała wśród swoich rzeczy pled, podścieliła go więc pod leżącą, a drugim końcem okryła jej nogi. Z torby pani Domańskiej, w której była mąka, zrobiono coś w rodzaju poduszki, dzięki której chora mogła leżeć z głową trochę wyżej ułożoną niż reszta ciała. Wciąż była przytomna. Leżała bez ruchu, bardzo drobna, sterana i zniszczona, oczy, ciemne od cierpienia, miała otwarte, a w gardle wciąż ten sam krótki, chrapliwy oddech. Chwilami poruszała wyciągniętymi wzdłuż ciała dłońmi i wychudzonymi palcami niespokojnie szarpała pled. Alinka przyklękła obok i chusteczką ścierała z czoła chorej pot.

Turkot pociągu ścichł już zupełnie i spokój stał się na stacji. Nie opodal bielał w mroku gąszcz jaśminów, ich gęsty, słodki zapach rozchodził się dokoła. Rozległo się jeszcze w pewnym momencie trzaśnięcie drzwi za powracającym do mieszkania zawiadowcą, potem noc się stała nad tym pustkowiem ogromna

i bezgłośna. Smugi gwiazd migotały na niebie. W głębi ciemności płonął, jak czerwona gwiazda, znak semaforu.

Staniecki ujął rękę chorej w przegubie, aby poszukać pulsu. Musiał się przy tym pochylić nad leżącą, ona z natężeniem przez chwilę w niego się wpatrywała, aż naraz łagodny, prawie szczęśliwy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Syneczku — szepnęła.

Staniecki wyprostował się.

— Idę w takim razie — powiedział. — Może uda mi się sprowadzić tego lekarza. Do zobaczenia, panno Alinko.

Z początku, nim odnalazł drogę, trochę błądził, ale potem szedł już szybko i pewnie, skrajem drogi biegła ścieżka, szedł więc tą ścieżką, zaraz przy niej, ponad głębokim rowem, rosły krępe, przysadziste wierzby, długi ich rząd, ciemny i gęsty, znaczył wśród gwiezdnej poświaty prosty kierunek drogi. A dokoła, po obu stronach rozciągać się musiała wolna, rozległa przestrzeń, bo noc tam trwała nieprzenikniona, tylko przy ziemi, niby nieruchomą smugą wody, rozjaśniona połyskiem zbóż, wysoko — nasycona mgłami gwiazd.

Szedł coraz szybciej, lecz wcale nie dlatego, że na pośpiechu mu zależało. Wiedział, że stara kobieta już nie żyje albo umrze w ciągu najbliższych kilkunastu minut. Nic go ta śmierć nie obchodziła, nie odczuwał żadnego wzruszenia, tylko uparty, złośliwy śmiech w nim rósł i właśnie ten śmiech chciał w sobie szybkimi krokami przytłumić. „Właściwie po co?" — pomyślał w pewnym momencie. Zatrzymał się: „Teraz mogę się śmiać". Ale już go ta chęć odeszła. Stał w ciemnościach i nie wiedział, co robić — zawrócić, czy iść dalej. Obie możliwości wydały mu się niedorzeczne. Więc stał i myślał: wszystko jest głupstwem, wszystko jest głupstwem, tylko głupstwem, oszalałym, bezsensownym głupstwem.

Jerzy Andrzejewski

Podróż napisałem w roku 1942, później przez wiele lat uważałem to opowiadanie za zagubione, a gdy się odnalazło — włożyłem je do szuflady i dopiero w roku bieżącym, przeczytane na nowo, wydało mi się warte zabiegów kosmetycznych. Wykonałem je w takim zakresie, w niczym zresztą nie zmieniając zasadniczej fabuły opowiadania, iż dla uniknięcia nieporozumień muszę za datę napisania *Podróży* przyjąć 1942—1958 *(j. a.)*.

Peter Lachmann

NOWENNA

O Mario
bez grzechu poczęta
o Matko Boska
Częstochowska
przyjm na swe sczerniałe od pożaru wargi
wszystek pył promieniotwórczy
znad ziemi

tyś jedyna
dziewica
szczęśliwa

ŚCIANA

Cały hotel śpi

portier zamyka bramę
przez drzwi mojego pokoju
pięćdziesiąt osiem
dochodzi światło z korytarza
wszystkie muchy
wygnałem przed godziną
jestem sam

słyszę
za ścianą młoda dziewczyna
przewraca się na łóżku

chciałem ją wynająć
jak pokój w domu starców
na zawsze

powiedziała
kanalio

* * *

powiedziano nam
tam jest grób masowy
z kilku tysięcy trupów
a myśmy doliczyli
tylko do stu
uważaj bo się zupa przypali
uważaj bo się kataru nabawisz
uważaj bo młodość przeminie
szlag trafi tych smarkaczy
plujemy sobie w brodę
halino do stodoły
trzeba spalić te graty
pocą ci się włosy pod pachą
boska pogoda
tylko sto szkieletów
w tym dwadzieścia
nie naszych

DROGA

po skończonych wyborach
wypełniłaś ankietę
poprawiłaś włosy
i wyszłaś z sali
ja szedłem za tobą
delegat grupy
za delegatką zarządu wydziałowego
gdy odwracałaś głowę
patrzałem za siebie
i tak doszliśmy

do twego domu
nieśmiali
ocaleni
zetempowcy

*
* *

ludzie wyszli z piwnic
trzynaście lat temu
teraz kiełkują tam ziemniaki
na cmentarzach wyrywa się chwasty
ruiny przestają cuchnąć moczem
tylko dzwony wciąż biją
na trwogę

*
* *

znowu minęło
sześć dni
sześć nocy
przeszło obok mnie
szesnaście tysięcy ludzi
nikt mnie nie zatrzymał

SPÓR

Czy krzesło
jako takie
jest krzesłem
czy tylko
lub aż
dodatkiem do stołu

chciałem o coś zapytać

rozłożyli krzesło
na cztery nogi
oparcie siedzenie
zdrapali lakier
powąchali
skosztowali
klej

chciałem o coś zapytać

gorące głowy
wzięły na warsztat
następne krzesło
zdrapali
powąchali
skosztowali
i popukali
po czym odłożyli
krzesło seryjnej
produkcji

chciałem o coś zapytać

trzecią nogę
stodrugiego krzesła
wsadzili do kotła
który pachniał
octem
acetonem

chciałem o coś zapytać

z kwikiem
wyciągnęli za włosy
wielką drobinę
celulozy
i pognali z nią
do lasu

chciałem o coś zapytać

ZEGARY PATRZĄ NA NAS

Oddycham prawidłowo
na suficie wisi lampa
boli trochę trzeci trzonowy
jadłem pralinki
nadziewane
na porcelanowej tarczy zegara rococo
jedenasta szesnaście
na metalowej tarczy zielonego budzika
jedenasta osiemnaście
która godzina
siostra czyta historię
francuskiej wiosny ludów
w pokoju giną ludzie
wyłączam światło
by nie razić ich oczu
siostra woła ty bestio
mięsień serca pracuje normalnie
zapalam żarówkę
w elektrowni pracuje człowiek
nad moim widzeniem
cienia palców na płótnie
pościeli
co on jadł na kolację
przestaje boleć trzeci trzonowy
budda żył przed swoją śmiercią
nogi mam umyte
co mnie obchodzi piec
siostra zamyka książkę
ja lewe oko
widzę zegar rococo
prawe oko
widzę zielony budzik
zamykam oko lewe i prawe
widzę zegary
jak one mnie widzą

Peter Lachmann

Peter Lachmann urodził się w 1935 roku na Śląsku w rodzinie niemieckiej i dopiero szkoła i studia uniwersyteckie zbliżyły go do polskości. Wiersze, polskie wiersze, które publikujemy, nadesłał nam z Mannstein, gdzie obecnie przebywa.

Jarosław Iwaszkiewicz

TATARAK

Andrzejowi Brustmanowi

Tatarskie ziele ma dwa zapachy. Jeżeli się potrze w palcach zieloną jego wstążkę, miejscami przymarszczaną, poczuje się zapach, łagodną woń „wierzbami ocienionej wody", jak mówi Słowacki, trochę tylko zatrącającą wschodnim nardem. Ale kiedy się takie pasmo tataraku rozetrze, kiedy się włoży nos w bruzdę, wyłożoną jak gdyby watą, czuje się obok kadzidlanej woni zapach błotnistego iłu, gnijących rybich łusek, po prostu błota.

Zapach ten na początku mojego życia skojarzył się z obrazem gwałtownej śmierci. W dzieciństwie tatarakiem wykładano podłogi sieni i balkonu, panował on niepodzielnie w dniach wesołych i naprawdę zielonych Świąt. A jednocześnie przypomina mi on zawsze śmierć mojego pierwszego przyjaciela, który nosił dziwaczne imię Gracjan i utopił się mając trzynaście lat.

To było o świtaniu mojego życia, we wczesnym dzieciństwie. Ale i dzisiaj wywołuje ten podwójny zapach niewesołe myśli. Koniec ma jakieś tajemnicze związki z początkiem. Ton, dźwięk, woń jak echo odpowiadają z końca w koniec żywota. Zapach dzieciństwa odnajduje odpowiednik w zapachu starości, młodość odbija się w zielonym lustrze wieku dojrzałego. Taką jest w moim życiu historia tataraku.

Na ogół ludzie się dziwią, że aby uciec od zgiełku miast i podróży, aby oderwać się od nużących i jałowych zajęć, spędzam część lata (raczej później wiosny) w małym miasteczku Z., położonym nad wielką rzeką. Oprócz rzeki i łąk nadrzecznych, oprócz nadbrzeżnej wikliny, oprócz lekkiej konstrukcji mostu, który łączy dwa brzegi — w miasteczku nie ma dosłownie nic. Zakurzony rynek, parę domów i domków — owszem, jest dużo ogrodów i sadów, które są jedyną ozdobą osiedla. Dla mnie największą atrakcją jest to, że mogę tam mieszkać (w przytułku dla starców!) nie podając nikomu mego adresu, nie męczony telefonami i depeszami, otrzymując codziennie listy od żony.

Mam tam też jeszcze jedną atrakcję, której ludzie mniej mnie znający przypisują większe niż ma naprawdę znaczenie: jest nią przyjaźń z doktorową M. Jest to prawdziwa przyjaźń, poparta wielkim argumentem tego, że widujemy się raz na rok dwa lub trzy tygodnie, nie pisujemy do siebie i nie jesteśmy

zupełnie zainteresowani w naszych żywotach. Pomaga to zarówno szczerości naszych wyznań, jak też pewnemu wzajemnemu egzaltowaniu swoich charakterów. Jesteśmy dla siebie zawsze czymś osobliwym, w ciągu całych dwudziestu pięciu lat naszej znajomości.

Doktorowa M. — pani Marta — straciła w czasie okupacji dwóch synów i teraz jest zupełnie samotna. Mąż potwornie zapracowany. Oprócz szpitala ma olbrzymią praktykę wokół miasteczka. Dawniej widywałem go na chłopskich furkach jadącego po 15, 20 kilometrów do chorych. Teraz ma samochód i może odwiedzić w ciągu dnia znaczną ilość pacjentów. Wpływa to dodatnio na poziom codziennego życia doktorostwa. Mimo tego „poziomu", pewnej łatwości życiowej, pani Marta odczuwa bardzo swoje opuszczenie. Parę tygodni mojego pobytu w miasteczku Z. nie może zaradzić jej uczuciu zbędności istnienia. Trzeba zresztą dodać, że pani Marta nigdy nie narzeka, nie daje wyrazu swoim uczuciom. Pilnie zajmuje się domem, przyjmuje telefony, zapisuje pacjentów i stara się, aby zziajany doktor przychodząc do domu zastawał ład, spokój i zewnętrzny wygląd mieszkania doprowadzony do najwyższego porządku.

Dom doktorostwa — to staroświecki dworek, jakich jest wiele w miasteczku. Niewygodny rozkład obszernych pokoi sprawia, że nikt nie może tu mieszkać oprócz doktorostwa. Pokój chłopców zamknięty jest na klucz i nikt tam nie zagląda. A inne pokoje, niskie, ale jasne, zastawione są mnóstwem staroświeckich mebli i doniczek z egzotycznymi roślinami.

Doktorowa przyjmowała mnie zawsze w salonie, gdzie stoi garnitur zimmlerowskich mahoniowych mebli, krytych szafirowym pluszem, gdzie wisi na ścianie parę oleodruków i portret pani Marty, sporządzony przez miejscowego malarza, który powąchał kiedyś paryskiego powietrza. W czarnych żardinierach gęsto zieleniały rośliny, jakby zrobione z jedwabiu i blachy. Ogromny fortepian, przez nikogo od wieków nie tykany, stał tu także. Na podłodze leżał czerwonawy dywan, przedstawiający kobietę niosącą dwa wiadra wody na koromyśle.

Nie był to pokój stworzony do zwierzeń. A jednak tu mi opowiadała pani Marta historię swego życia. Tu też — ostatnio, kiedy skonstatowano u niej objawy chronicznej a nieuleczalnej choroby — opowiedziała mi sprawę, która jest przedmiotem niniejszej relacji. Oczywiście spisałem to wszystko jak literat, uzupełniając, dodając to, co sobie wyobrażałem — i nawet czasami prawem od bardzo dawna uświęconym, a w gruncie rzeczy nie umotywowanym, zaglądając do wnętrza działających osób. Być może potraktowałem całą sprawę zbyt dramatycznie, jak gdyby było tu coś wyjątkowego. A przecież to historia codzienna, jakich tysiące zdarzają się po naszych miastach i miasteczkach.

Pani Marta nigdy nie bywa na „przystani".

Tak się nazywa dość duży drewniany budynek, stojący w pewnym oddaleniu od rzeki. Składa się on z dwóch sal. W jednej z nich stoi bufet, gdzie sprzedają papierosy, piwo i znakomity tutejszy „płynny owoc" — gospodarczą podstawę tego pełnego sadów rejonu — a obok sal istnieje duży taras, a raczej drewniany pomost, na którym odbywają się tańce. Wszystko to stoi jak chatka na kurzej nóżce na wysokim podmurowaniu, które zabezpiecza „przystań" przed porwaniem przez wezbrane wody powodzi.

Ten taras właśnie jest największą atrakcją miasteczka Z. Tu przychodzi wy-

tańczyć się i wyszumieć młodzież znudzona monotonią pracy czy nauki w położonym daleko od wszelkich centrów kulturalnych mieście. Dzieje się to zwykle w soboty i niedziele. Przy czym w soboty obowiązuje chłopców strój bardziej swobodny, kolorowe kraciaste koszule i potargane „egzystencjalistycznie" czupryny. W niedzielę natomiast włosy są pobożnie przygładzone, koszule są białe i marynarki ciemne. W jednym i drugim stroju chłopcy piją „płynny owoc" i wbrew temu, co się mówi o pijaństwie w Polsce, wódki z sobą nie przynoszą. Są na to za ubodzy. Grają także w bridża, po 1/2 grosza punkt. Dziewcząt jest zazwyczaj bardzo mało, tyle tylko, ile do tańca potrzeba.

Gdzież mogła zaprowadzić pani Marta przybyłą ze stolicy przyjaciółkę? Cóż jej miała pokazać w zrujnowanym przez wojnę miasteczku? Oczywiście zaprowadziła ją na „przystań".

Księżyc świecił, rzeka połyskiwała, czasami głośniej klapnęła fala o brzeg. Ale nikt nie patrzył w tamtą stronę. Na drewnianym tarasie tańczyły pary, chociaż megafon chrypiał niemiłosiernie. W środku prawie wszystkie stoliki były zajęte. Młodzieńcy grali w bridża.

Panie zajęły wolny stolik z boku i rozejrzały się po sali. W kącie za „szynkwasem" uprzejma blondyna sprzedawała wodę sodową i ów „płynny owoc", sławę miejscowej przetwórni. Trzeba było sobie samemu przynosić te butelki.

Pani Marta skierowała się do bufetu i wzięła dwie butelki jabłecznego soku. Wracając do swojego stolika mijała grupę grających. Jeden z chłopców, uderzając kartą o stół, wysoko podniósł rękę i trącił butelkę niesioną przez panią Martę. Butelka omal nie wyśliznęła się jej z rąk, a chłopak podniósł na nią oczy i przeprosił uprzejmie.

Pani Marta usiadła obok przyjaciółki i milczała przez chwilę. Potem rozlała do szklanek płyn o pięknej, dojrzałej barwie i znowu się zamyśliła. Spojrzała w stronę, gdzie siedział ów chłopiec, który ją potrącił. Zwrócony do niej bokiem, ukazywał swój profil nieregularny, o zgniecionym nieco, jak u boksera, nosie. Miał obfite włosy, zaczesane do góry. Ręka, w której trzymał karty, palce drugiej ręki, którymi przebierał po damach i waletach wahając się, czym ma zabić lewę, były piękne i smukłe. Znajdowały się one w wyraźnym kontraście ze złamanym nosem, dość dużą, masywną głową i wulgarnie rzeźbioną szyją, wynurzającą się z czerwonej koszuli (była sobota).

Pani Marta szybko spostrzegła, że z ową „przyjaciółką" niewiele mają sobie do powiedzenia. Łączyły je kiedyś wspomnienia młodości, ale pani Marta zauważyła, że od jakiegoś czasu nie znosi wspomnień. Postarzały ją one — i mówiły o wszystkim, co się obróciło w proch. A w pani Marcie żyły jeszcze jakieś niejasne nadzieje na dzień dzisiejszy. Słuchała więc opowiadań przyjaciółki, która miała czworo dzieci rozsianych po wszystkich częściach świata, otrzymywała od nich paczki i listy i uważała za stosowne poinformować panią Martę o tym wszystkim bardzo szczegółowo. Doktorowa słuchała piąte przez dziesiąte, od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie, a nudząc się obserwowała chłopców grających w karty.

W pewnej chwili zobaczyła niezwykle uroczą dziewczynę, jak szybkim krokiem weszła na salę (o ile tak można nazwać niskie i drewniane pomieszczenie „przystani") i zatrzymując się przy tamtym stoliku położyła rękę na ramieniu chłopca, który uderzył w butelkę pani Marty. Chłopiec się odwrócił — i wtedy pani Marta ujrzała jego twarz *en face*. Nie odpowiadała ona zupełnie — jak

to czasem bywa — jego profilowi. Szeroka, o wystających kościach policzkowych, miała ta twarz w oczach jakiś specjalny błysk, który zainteresował panią Martę.

Powiedział parę słów do przybyłej dziewczyny, potem znowu zwrócił się ku kartom. Ona postała chwilkę nad nim, jakby się wahała. Potem powoli odeszła.

Ubrana była w czarny sweter i kolorową spódnicę. Miała nawet włosy upięte w modny „koński ogon" — a jednak było w niej coś opuszczonego i zaniedbanego, jakaś omdlałość ruchów, jakieś zniechęcenie w całej postaci. Obciśnięty sweter ukazywał piękne linie ciała, ruchy miała trochę kocie, skradające się, a obojętne. Mogła bardzo interesować.

Chłopak przerwał grę w karty i ku oburzeniu kolegów wybiegł za dziewczyną. Zastąpił go mały, chudy, przebiegły chłopaczek, który kibicował przez cały czas przy bridżu i widocznie tylko czekał na nadarzającą się okazję, aby wpakować się na opuszczone miejsce przy stoliku.

Pani Marta z przyjaciółką także wkrótce wyszły.

Nazajutrz poszły na daleki spacer wałami ochronnymi, rozciągającymi się wzdłuż rzeki na całe kilometry. Jedyną rzeczą, która miała w miasteczku jakiś charakter, była ta rzeka. Jej piękno mogło okupić kurz, brud i pospolitość małomiasteczkowych uliczek. Kiedy się schodziło nad wodę, zapominało się nie tylko o domach, ale i o ludziach. Szeroka i majestatyczna, płynęła rzeka wielkim łożyskiem, obrzeżona z obu stron zaroślami wiklin. I to nawet, że zaraz z początkiem lata wyłaniały się z szarawej wody obszerne mielizny, niby obłe grzbiety potworów, nie pozbawiało jej owego majestatu. Gdy się stało na brzegu, czuło się siłę i wartkość prądu, który po deszczach wzbierał pianą i szybko pokrywał wyłonione piaski.

Widok rzeki był zbyt potężny i jakby nieludzki. Pani Marta wolała, idąc wałami ochronnymi, położonymi dość daleko od głównego koryta, oglądać zielone łąki wynurzające się spod wiklin jak inna, łagodniejsza woda. Wzdłuż wału ciągnęły się nie zarośla, a gaiki wierzbowe, gdzie odróżniało się już poszczególne osobniki. Od czasu do czasu spośród wierzb strzelał ku górze olbrzymi, stuletni pień białodrzewu. Gdy się przechodziło koło takiego olbrzyma nawet w bezwietrzny pozornie dzień — koronę jego napełniał zawsze swoisty, muzykalny szelest, nie tak suchy, jak szelest starych palm.

Zresztą i tu także znajdowało się okrągłe zarośla wikliny i iwy. To było w tych miejscach, gdzie na łące tworzyły się duże stawki, „oka" porośnięte rzęsą i trzcinami, pełne wodnych lilii i grążeli.

Pani Marta specjalnie lubiła zatrzymywać się przy tych wodnych zbiornikach, ciemnych i niezmiernie głębokich. Czasami na dnie takiego jeziorka biło podwodne źródło, zaznaczając się na powierzchni bąblami i kręgami na wodzie. Zwłaszcza pociągały je te „oka", które, otoczone gęstą gmatwaniną wiklin, na brzegach zarosłe tatarakiem, ukryte jak gdyby przed człowiekiem, pociągały go tajemniczością i tym, że na ich brzegu osiągało się zupełną samotność. Zdawało się nad takim jeziorkiem, że się jest zupełnie poza życiem.

Kiedy pani Marta ze swoją przyjaciółką wyszły na wał, było olśniewające majowe popołudnie. Niebo było bezchmurne, a wierzby stały nieruchomo. Tylko białodrzewy szeleściły.

Przyjaciółki szły w słońcu po miękko wygiętej linii wału. Po lewej stronie ku łąkom spadało zbocze niebieskie od niezapominajek, po prawej w kwitnących sadach stały domki ogrodników i błyszczały okna inspektów. Pani Marta znowu obojętnie słuchała słów swej dawnej koleżanki.

W pewnym momencie ujrzała siedzącą na skraju wału parę. Byli to owi znajomi z przystani. Dziewczyna miała na sobie jasną sukienkę, chłopiec koszulę koloru khaki, byli codzienni, powszedni. Dziewczyna mówiła coś przekonywająco, chłopiec gryzł trawkę i odwracał się w stronę rzeki, która w tym miejscu przebijała niebiesko przez zarośla wikliny.

Pani Marta ujrzała ich z daleka i zwróciła uwagę na styl ich rozmowy. Kiedy dwie kobiety zrównały się z siedzącymi, młodzi zamilkli. Gdy panie wracały ze spaceru — już ich na brzegu wału nie było. Pani Marta wiedziała, w jakim miejscu siedzieli, i ujrzała tam zgniecione koniczynki i niezapominajki.

Po paru dniach przyjaciółka wyjechała. Któreś z jej dzieci miało przyjechać z Ameryki, musiała być w Warszawie. Pani Marta znowu została sama.

I któregoś popołudnia wybrała się na przechadzkę wałem. Zdawało jej się, że znowu spotka tę parę, która ją fascynowała swoją urodą i młodością. I rzeczywiście, prawie w tym samym miejscu co wtedy, siedział ów młodzieniec, ale bez dziewczyny. Pani Marta już wiedziała, jak się nazywa i co robi: był to Bogusław K. i pracował od dość dawna, choć miał może dwadzieścia pięć lat zaledwie, w zarządzie wodnym. Boguś był bardzo popularny w mieście i znał go każdy. Pani Marta też była wszystkim znana. Toteż, kiedy uważnie popatrzyła na chłopca, ten zarumienił się i pozdrowił ją. Pani Marta zatrzymała się przy nim.

— I cóż to dzisiaj pan sam?

Boguś zarumienił się jeszcze bardziej i chciał wstać.

— Niech pan siedzi, niech pan siedzi — powiedziała pani Marta — ja też usiądę. To jest prześliczne miejsce.

Usiadła na trawie i popatrzyła. Przed nimi stał wysoki, rozłożysty białodrzew. Wiatr ukazywał jasną podszewkę jego liści.

— Sam pan? — powtórzyła swe pytanie pani Marta.

— Halinka wyjechała — niechętnie bąknął Boguś.

Pani Marta z przyjemnością skonstatowała, że głos ma niski i bardzo uroczy.

Było bardzo gorąco i Boguś miał na sobie tylko sportową koszulkę. Miał piękna ramiona — ale twarz z załamanym nosem z bliska zdawała się bardzo brzydka, a nawet dzika. Pani Marta przyglądała się uważnie Bogusiowi.

— Kto to jest Halinka? — spytała.

— To nieważne — powiedział Boguś tym uroczym głosem, uśmiechając się.

Mimo różnicy wieku pani Marta, siedząc obok Bogusia, poczęła myśleć o swoim ciele. Czy on by mógł znaleźć jaką przyjemność w jej rozkwitłej — i przekwitłej — urodzie? Odczuła nagle, a tak dawno o tym nie myślała, swoje biodra, uda; pomyślała o swoich piersiach. „On nawet nie wie, jak ja wyglądam." I przypomniała sobie, że nałogowa po prostu mania gimnastykowania się pozwoliła jej zachować do dojrzałego wieku prężność muskułów i elastyczność skóry. Piersi miała zawsze nieduże, stąpała szybko i równo. Czy to by się jeszcze podobało?

Zawstydziła się swoich myśli, panowało między nimi chwilowe milczenie.

— Ona jest studentką — powiedział nagle Boguś nie patrząc na Martę — i strasznie się mądrzy. A ja przecie jestem prosty chłopak...

W głosie jego brzmiał wyraźny żal. Marta nie miała ochoty wysłuchiwać jego zwierzeń.

— Czy pan ma rodziców? — spytała.

— Nie mam — odpowiedział — zginęli w powstaniu. Babcia mnie wychowała.

— Wychowała chłopca na schwał — powiedziała z przekonaniem pani Marta i zaraz się połapała. „Skąd mi do głowy przychodzą takie głupie rzeczy?"

— Gdzie się pan uczył? — spytała rzeczowo, dla zatarcia tamtego niemądrego zdania.

Boguś popatrzył na nią z niechęcią. Wyglądał, jakby myślał: „Przecież nie jestem na egzaminie".

— W Elblągu — powiedział — na wodniaka.

— A nie chciałby pan czego innego?

— Zaczyna pani — dość niecierpliwie powiedział Bogusław — jak Halina. Nic ze mnie innego nie będzie, rozumie pani? Nic. Jestem urodzony na wodniaka — mierniczy wodny i już.

— A ona czego chce od pana? — spytała Marta, ucieszona ostrym tonem chłopca, nie zauważył nawet tamtego idiotyzmu.

— No, chce, żebym czytał książki i chodził z nią nad rzekę przy księżycu.

— A pan woli bridża?

— Pewnie.

— Widziałam pana wówczas na „przystani".

— No, właśnie.

Dołem, u stóp wału pędzili krowy. Objedzone, z pozielenionymi wysoką trawą wymionami szły pomału i nie poddawały się woli poganiaczy, wołających co chwila: „a nu!". Jedna z nich trzymała w pysku pęk niezapominajek — i nie połykała go.

Pani Marta położyła swą dłoń na ręce Bogusia.

— Ja bym też chciała, żeby pan się uczył, żeby pan czytał książki.

Boguś nie zabrał swej ręki, komar gryzł go w ramię, pani Marta zabiła go, kropla krwi ukazała się na pięknej okrągłości muskułu.

— Ja czasem czytam — głębokim basem powiedział Bogusław — ale nie mam skąd brać. Kupować nie mogę. Jeszcze babce muszę posyłać forsę — dodał jak gdyby dla wyjaśnienia.

— Niech pan bierze książki ode mnie — powiedziała niespodziewanie dla samej siebie Marta. — My mamy trochę książek. Mój mąż sprowadza i kupuje w „Domu Książki", a sam nie ma czasu na czytanie. Leżą najczęściej nie rozcięte.

— Dziękuję — zmieszał się Boguś, który bynajmniej do książki się nie palił.

— Kiedy pan przyjdzie? — spytała Marta.

Nic jej nie powiedział. Siedział nachmurzony i gryzł trawkę. Dotknęła jego przedramienia. Nie zauważył tego, myślał o swoim. Nagle wybuchnął:

— Bo jej się zdaje Bóg wie co. Ona będzie profesorem uniwersytetu i powiada, że jej wstyd takiego nieuka. Niech sobie będzie nieuk. Mnie tam żadnej filozofii nie trzeba. Mnie jest dobrze, jak jest. Chce iść za mnie za mąż, to dobrze, a nie chce, to drugie dobrze.

Marta zdziwiła się:

— Pan jeszcze za młody na małżeństwo.

Boguś spojrzał na nią z pewną irytacją.

— Za młody, za młody — powtórzył — ona tak samo mówi. Ja inny nie będę.

— Niech pan przyjdzie jutro — powiedziała na to dość natarczywie Marta i wstała. Boguś też się zerwał. — Pan wie, gdzie my mieszkamy? Za Krakowską Bramą.

Podała mu rękę. Widziała w wycięciu koszulki, jak mu drgała skóra na piersi.

— Pan pływa? — spytała.

— Pływam, oczywiście — odpowiedział i pocałował ją w rękę.

— To może spotkamy się kiedy nad rzeką? — spytała.

Boguś nic nie odpowiedział. Był trochę zdziwiony, ale nie zmieszany.

Pani Marta była w niezłym humorze przy kolacji. Doktor był bardzo zmęczony, ale się rozchmurzył. Mówili o bieżących sprawach, ale z pewnym ożywieniem, którego już dawno nie było przy ich smutnym stole.

Wspólne ich pożycie od dawna już nie miało sensu. Pani Marta spełniała wszystkie obowiązki dobrej gospodyni, ale w kuchni panowała stara Zosia, która wychowywała chłopców — i teraz jakby z litości została przy rodzicach. Układanie kwiatów w wazonach i przyjmowanie telefonów, to nie była zbyt absorbująca praca. Pani Marta odczuwała tę pustkę, ale nie umiała jej zaradzić. Od czasu do czasu sprowadzała jakąś dawną koleżankę ze stolicy, ale najczęściej taka osoba uciekała z domu doktorostwa po kilku dniach. Jedna z nich puściła taką gadkę po Warszawie: „Nie mogę wytrzymać w takim ibsenowskim nastroju". I określeniem atmosfery domu pani Marty odpędziła chętne jeszcze do tej wizyty przyjaciółki. A doktor nie miał wielkich wymagań: lubił dobrze zjeść, a niedzielami czytał gazety i pisma medyczne. Z żoną nie rozmawiał na żadne tematy, zresztą był tak ogłupiony nadmierną pracą i zbijaniem pieniędzy, że po prostu nie miał dość sił wieczorami, aby usta otworzyć.

Tego dnia jednak coś się między nimi odmieniło. To chwilowe ożywienie obojgu sprawiło niespodziankę — i siedząc naprzeciwko siebie jak gdyby ujrzeli siebie na nowo. Doktora to bardzo zainteresowało. Ujrzał, jak Marta podnosi obie ręce do głowy i poprawia sobie włosy z tyłu. Był to dawny, zapomniany gest młodości.

Doktor westchnął, odwrócił oczy i znowu patrzył w talerz. Jedzenie dzisiaj wieczór było bardzo dobre: potrawka z raków i krem przypalany. I nagle po kolacji pani Marta wstała i wyjęła klucz z szuflady małego stolika, stojącego przy fortepianie. Mąż popatrzył na nią zdziwiony. Ale ona krokiem, który usiłowała uczynić obojętnym (pomyślała, że Boguś chodzi tak rytmicznie, jakby tańczył), podeszła do drzwi pokoju chłopców, otworzyła je kluczem i weszła do środka. Zapaliła światło. Pokój był martwy i pusty i mało w nim zostało z dawnej atmosfery. Pani Marta usiadła przy stole, który chłopcom służył do nauki. Parę lat temu spędzała przy tym stole po parę godzin dziennie, teraz nie przychodziła tu bardzo dawno.

Doktor nie ruszył się od stołu i popijał na pozór spokojnie herbatę. Drzwi

do pokoju chłopców miał przed sobą i widział przy stole sylwetkę żony. Po chwili ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak z łokciami wspartymi na stole. Gdy wypił herbatę, wstał ciężko i podszedł do Marty.

— Chodź — powiedział kładąc jej rękę na ramieniu — nie siedź tutaj.

Marta drgnęła. Odwróciła do niego twarz.

— Czy ty nie masz uczucia wstydu — powiedziała do męża — czy ty nie wstydzisz się, że żyjesz?

Doktor wzruszył ramionami.

— Bo mnie jest wstyd mojego życia wobec wszystkich zmarłych — powiedziała Marta i wstała z miejsca. Zaczęła chodzić po obszernym i pustawym pokoju. — Mnie jest wstyd wobec wszystkich zmarłych, a cóż dopiero wobec naszych...

Doktor bezradnie stał pośrodku pracowni chłopców. Ręce jak kamienne opadły mu ku dołowi.

— I pomyśl sobie, taka masa jest młodych — mówiła Marta — a naszych nie ma.

— Nie byliby już tacy młodzi — westchnął stary lekarz.

— Jak myślisz? Byliby już żonaci? — spytała.

— No, na pewno. Mielibyśmy prócz nich młode kobiety w domu.

— Och, to okropne — wzdrygnęła się. — Nie cierpię młodych kobiet — dodała — to takie pretensjonalne.

Doktor znowu podszedł do niej. Wziął ją pod rękę.

— No, chodź stąd — powiedział — niepotrzebnie się denerwujesz.

Marta poddała się jego namowom.

— Mnie zawsze ogarnia taki straszny wstyd, kiedy widzę jakieś młode życie. Bo młodość jest bezwstydna. Prawda? — powiedziała idąc z mężem do sypialni.

Ale doktor zaprzeczył głową.

— Zapominasz o jednej rzeczy — powiedział — że życie tak łatwo może się stać śmiercią.

Nazajutrz przyszedł Boguś. Pani Marta nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że fakt ten bardzo ją ucieszył. Po chwili dopiero zrozumiała, czego chciał od niej: oczywiście wziął na serio to wszystko, co mu wczoraj mówiła o książkach. Chciał pożyczyć coś do czytania. Nie umiał tylko powiedzieć co. Powiedział tak dziwacznie: coś z polonistyki. Pani Marta domyślała się, że chodziło o takie książki, jakimi interesowała się Halina.

Okazało się jednak, że nic nie czytał, a jeżeli czytał, to nawet nie pamiętał tytułów przeczytanych książek. Można mu było wetknąć byle co w rękę, ale pani Marta chciała wreszcie wydobyć z niego jakieś wyznanie literackie. Pytała go, co lubi czytać, i nie bardzo chciała się zorientować, że on nic nigdy nie czytał i że nie umie po prostu wyrazić swego życzenia.

Siedzieli jakiś czas w tym saloniku z szafirowymi meblami, znowu było pięknie i znowu był zachód słońca. Przed oknami mieszkania od strony ulicy rosły olbrzymie jaśminy, prawdziwe jaśminowe drzewa — jak mawiała pani Marta. Były teraz w pełnym kwiecie i zakrywały światło zachodzącego słońca biało-zielonymi, na wpół przejrzystymi bukietami.

— Widział pan nasze jaśminy? — spytała pani Marta. — Prawdziwe jaśminowe drzewa.

Było to jedno z jej ulubionych powiedzeń, powiedzenie jej młodości. Wtedy jaśminy nie były takie wielkie, chociaż nie bardzo urosły przez tych lat dwadzieścia. Ale i wtedy nazywano je jaśminowymi drzewami.

Boguś nie wiedział, zdaje się, o jakich krzakach czy drzewach mowa. Miał właściwość niektórych prawdziwych mężczyzn, że nie umiał zapamiętywać nazw kwiatów i drzew. Nie wiedział dokładnie, co to są jaśminy. Wiedział tylko, co to jest bez — i to z powodu głupiej a ordynarnej elbląskiej anegdotki.

— Rzeczywiście — powiedział i patrzył na panią Martę nie rozumiejącymi oczami.

— Pan jest strasznie młody — powiedziała Marta niespodziewanie dla samej siebie — ile pan ma lat?

— Już pani mówiłem: dwadzieścia pięć.

Pani Marta pomyślała, że sprawia jej specjalną przyjemność, jeżeli ktoś w jej obecności powiada, że ma dwadzieścia pięć lat. Sama ta liczba przyprawia ją o radość. To, że jest ktoś na świecie, kto ma taką dziwną i taką piękną liczbę lat.

Przez chwilę chciała powiedzieć o tym Bogusiowi, ale wiedziała, że on nic z tego nie zrozumie. Więc zaniechała tego zamiaru.

Ale tematu do rozmowy nie brakowało. Znowu wrócili do kwestii pływania i do powodzi, która niedawno nawiedziła miasteczko Z. Jakoś im szło dzisiaj gładziej z rozmową aniżeli zeszłym razem na wale. Jednak wspomnieli i wał.

— Czy pan często tam chodzi? — spytała pani Marta.

— Nie mam z kim — powiedział Boguś i zaczerwienił się.

— Jak to? — zdziwiła się Marta.

Boguś nabrał oddechu i wypalił:

— Chyba żeby pani chciała ze mną iść na spacer.

Pani Marta zdziwiła się.

— Ależ bardzo chętnie — powiedziała, a potem dodała: — Cóż to, Halinka wyjechała?

— Wyjechała do ciotki i wcale się ze mną nie pożegnała — powiedział Boguś tonem dziecka. Był to u niego zupełnie nowy ton i pani Marta popatrzyła na niego życzliwie.

— No, chyba — powiedziała. — A więc dobrze. Jutro o dwunastej w dzień ma pan czas? To spotkamy się na plaży nad rzeką, pod samym mostem. Spróbujemy razem popływać.

Boguś zgodził się skwapliwie. Zaraz potem poszedł sobie. I ostatecznie nie pożyczył żadnej książki do czytania.

Nazajutrz pani Marta otrzymała list. Był to kawałek papieru bez koperty, przyniósł go jakiś chłopaczek z zarządu wodnego.

Szanowna Pani,

Wczoraj byłem taki speszony, że umówiłem się z Panią na południe, ale ja przecież pracuję. Wolny będę dopiero koło czwartej. Czy pani może być o tej godzinie na plaży w umówionym miejscu?

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku
Bogusław R.

List był napisany (przepisany?) starannym i dziecinnym pismem i sformułowany bez zarzutu. „Czy to Halinka pisała?" — pomyślała pani Marta.

Około czwartej poszła więc na plażę pod mostem. Plaża była nieduża i o tej porze zupełnie pusta. Bogusia nie było. Pani Marta rozebrała się w krzaczkach — jak wszyscy to robili bez względu na wiek i sytuację społeczną — i w kostiumie weszła do rzeki. Siła wody była tak potężna, że o płynięciu pod prąd nie mogło być mowy. Trzeba było płynąć jakiś czas z prądem, potem wychodziło się na brzeg i szło się z powrotem łąką i piaskiem. Doktorowa zrobiła parę takich przechadzek. Nie chciała się przyznać przed sobą, że nieobecność Bogusia była dla niej dużą przykrością.

Za trzecim razem popłynęła trochę dalej, za most, i wracając piechotą zauważyła na moście, od przeciwnej strony niż leżała plaża, znajomą sylwetkę i taneczny krok. Boguś szedł mostem razem z Halinką — widać Halinka do cioci jeszcze nie wyjechała. Szli w stronę stacji rozmawiając wesoło.

Pani Marta wróciła do miejsca, gdzie zostawiła swoje ubranie, pod dużym krzakiem jeżyn, obok zarośli wiklinowych. Usiadła zmiażdżona i nie mogła oprzytomnieć. Zdała sobie sprawę z charakteru swoich uczuć do Bogusia i skonstatowanie tego faktu spowodowało uderzenie jak obuchem w łeb. Trzęsła się jak w febrze.

Tyle lat spokój i smutek panowały w jej sercu. I teraz, kiedy czuła w sobie zarodek śmiertelnej choroby, postać (bo co innego?) młodego chłopca, który był młodszy od jej dzieci, sprowadziła taki zamęt w jej duszy. Gotowa była przeklinać Bogusia. Chociaż z drugiej strony powtarzała sobie: a co on winien?

Siedziała tak długo. Przez plażę przechodziły różne osoby, żołnierze kąpiący się w gaciach, dzieci. Chłopcy nieśli pęki tataraku, stamtąd, z łąk, gdzie leżały małe relikty wodne, resztki chronicznych powodzi. Jutro miały być Zielone Święta, tatarak niesiono do umajenia domów.

Siedziała długo. „I po tym trzeba będzie jeszcze żyć? — myślała. — To straszne, lepiej umrzeć od razu."

Nagle usłyszała jakiś głos nad sobą:

— Proszę pani, proszę pani.

Spojrzała w górę, na moście stał uśmiechnięty Boguś.

— Przepraszam, że się spóźniłem — wołał do niej przechylając się przez kratę — ja zaraz zejdę. Narwiemy tataraku.

Pani Marta skinęła ku niemu ręką. Podniosła zielone pasmo wodnej rośliny, którą upuściło przechodzące dziecko. Powąchała wonny liść. Przepadała za tym zapachem.

Potem podniosła się i poszła w stronę, skąd miał przyjść Boguś. Czekała chwilkę, aż wyłonił się spomiędzy wiklin. Zdołał się już rozebrać i szedł ku niej swoim tanecznym krokiem, zupełnie nagi, w malutkich slipach cytrynowego koloru. Nie był opalony i ciało jego było białe i miękkie jak jedwab. Mimo to spostrzegła, że jest niebywale pięknie zbudowany. Harmonia linii opisującej jego piersi i uda była tak doskonała, że pani Marcie odebrało mowę. W milczeniu podała Bogusiowi rękę, której ten nie ucałował. Patrzył jej prosto w oczy. Jego brzydka twarz, osadzona na tak pięknym ciele, nabierała innego wyrazu. „Byle tylko nic nie mówił" — pomyślała Marta.

Ale Boguś mówił.

— Przepraszam, że się spóźniłem. Ale musiałem odprowadzić Halinkę na dworzec.

— Więc ona nie wyjechała?

— Nie miała pieniędzy na bilet. Musiałem jej oddać wszystko, co miałem, i zostałem bez grosza.

Uśmiechnął się tak promiennym uśmiechem, że twarz mu się odmieniła. Uśmiech opromienił całe ciało.

— Dam ci pieniędzy — powiedziała Marta.

— Naprawdę? — ucieszył się Boguś.

To było okropne.

Marta chciała jak najprędziej zamazać tę pospolitą, straszną rozmowę. Chciała jego i siebie odosobnić od całego świata. Chciała go okryć zielonym namiotem liści. I żeby milczał. Nagle plaża, most, wołające przeciągle dzieci, kąpiący się żołnierze stali się nie do zniesienia. Nie chciała spojrzeć na widoczne stąd domy miasteczka.

Gdzieś w dole rzeki wołała wilga. Na białodrzewie, niedaleko mostu, migała złota jej łuska. Pani Marta trzymała Bogusia za rękę.

— Chodźmy, narwiemy na jutro tataraku — powiedziała i pociągnęła go w stronę łąk. Wzdłuż rzeki, między brzegami porośniętymi wikliną a szerokimi połaciami trawy, pokrytymi w tej chwili gęstą siecią stokroci — ciągnęły się owe większe i mniejsze „oczka" stojącej wody. Były to resztki jakichś dopływów, których ujścia nie zamuliły, lub dziury, które wypełniały wezbrane fale powodzi. Wśród tych „oczek" niektóre tworzyły prawdziwe jeziorka, malownicze, zarośnięte tatarakiem i okryte wachlarzami płaskich liści lilii wodnych. Odbijały się w ich zielonawej wodzie jak w lustrze wysokie, przystrzyżone wierzby, zarośla wiklinowe i białe obłoki — w wodzie zabarwiały się one zielonkawo — spokojnie sunące po wysokim niebie. Mijali je w milczeniu.

Nad jednym z tych jeziorek, położonym daleko od drogi i oddalonym nieco od innych, stał wielki białodrzew. Kiedy przechodziło się koło niego, nawet w bezwietrzny dzień, liście drzewa szeleściły bezustannie.

Była to osobliwa muzyka, którą nade wszystko lubiła pani Marta.

Tam się więc skierowała teraz z Bogusiem. W jednym końcu długiego, ciemnego i zapewne bardzo głębokiego jeziorka na brzegu było nieco białego piasku — taka mała plaża. Tam rzucili zabrane ze sobą ubrania i zostali w kostiumach. Dzień był gorący, ale świeży. Była już jakaś piąta po południu.

Boguś miał na sobie tylko wąskie slipy cytrynowego koloru. Pani Marta wciąż była wstrząśnięta doskonałością jego kształtów, do których tak nie pasowała twarz pergamońskiego barbarzyńcy z małym, wzniesionym w górę nosem. Boguś leżał płasko na piasku, patrząc na rzadkie obłoki, wypływające nad jeziorko. Żaby skrzeczały gwałtownie, ale w innych jeziorkach, trochę dalej. W wiklinach nad rzeką bez żadnej przerwy kwiliły z przesadnym patosem słowiki. Milczeli.

— O czym myślisz? — spytała pani Marta.

— O niczym — z nieprzyjemnym pośpiechem powiedział Boguś.

— O Halinie? — powiedziała ona.

— O Halinie — potwierdził chłopak i usiadł.

— Masz całe plecy w piasku — oburzyła się Marta. — Daj, oczyszczę cię. — I zaczęła otrzepywać skórę Bogusia.

— Przecież zaraz się o p ł u k ę — zniecierpliwił się Boguś.

Marta nie słuchała i starannie gładziła plecy chłopca. Potem mocno przytuliła do nich policzek.

— Co pani robi? — zaniepokoił się Bogusław. Szybko się odwrócił. Marta cofnęła głowę i odchyliła się w tył. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie Boguś przyciągnął głowę Marty do siebie i pocałował w usta. Pocałunek trwał długo.

Kiedy oderwali wargi od warg, z kolei pani Marta powiedziała:

— Co ty robisz, Boguś?

Boguś uśmiechnął się i powiedział leciutko:

— Pani jest taka dobra.

Marta zapłonęła rumieńcem. Zirytowało ją to powiedzenie.

— Mężczyzna nigdy nie powinien mówić kobiecie, że jest dobra...

— A co ma mówić? — naiwnie, ale z pewnym zniecierpliwieniem powiedział Boguś.

— Nic — przez zęby syknęła pani Marta i odwróciła się.

Siedzieli przez chwilkę naprzeciwko siebie w milczeniu.

Wreszcie Boguś westchnął.

— Trzeba nabrać tego zielska — zdecydował.

Zerwał się i wskoczył do jeziorka. Z miejsca była tutaj głębina. Nurkował, wypłynął na środek i po chwili znajdował się już w drugim końcu, gdzie rosły zielone pędy wonnej rośliny.

Pani Marta została sama na brzegu. Serce jej ścisnęło się rozpaczą. Właściwie, tak przynajmniej myślała, nie zostało jej nic innego, jak popełnić samobójstwo. Wszystko przepadło. Kiedy Bogusław przepłynął jeziorko z powrotem i zjawił się przed nią z pękiem tataraku, spojrzała na niego jak na jakąś obcą, nieznaną istotę.

„Jedno z nas musi umrzeć" — pomyślała. I wyobraziła sobie, jak nieskończoną ulgę uczułaby, gdyby tego chłopca nie było. Nie byłoby wtedy człowieka na ziemi, który by znał jej tajemnicę. Piekąca męka i piekący wstyd ustąpiłyby, nie istniałyby po prostu.

— Niech pani trzyma — zawołał Boguś wesoło i bynajmniej nie zmieszany tym, co zaszło. — Ja jeszcze przyniosę.

I rzucił do stóp Marty cały pęk zielonych pędów.

— Przyzwyczajony do takich rzeczy — z goryczą pomyślała Marta i nie chciała spojrzeć na Bogusława. Patrzyła na snop zielonej rośliny leżący na piasku.

— Chyba będzie dosyć — powiedziała.

— Nie, za mało. Potem pani będzie narzekać, że jestem leniwy — zaśmiał się Boguś i nagle objął ją za szyję i lekko musnął wargami jej wargi. Marta chciała go zatrzymać.

— Zaraz, zaraz — powiedział porozumiewawczo — tylko przyniosę jeszcze tego świństwa.

Oderwał się od niej i z rozbiegu skoczył do ciemnej wody. Znikł pod nią i długo się nie wynurzał. Wreszcie Marta ujrzała jego głowę w samym środku wodnego oka. Posuwał się naprzód powoli i jak gdyby z trudem.

— Co mu jest? — powiedziała do siebie Marta.

Ale Boguś dopłynął spokojnie do końca. Jego ramiona klasycznie wynurza-

ły się z wody i dłonie elegancko klepały powierzchnię. Drobne bryzgi wylatywały spod jego palców. Marta widziała, jak osiągnął dno, stanął przy tatarakach i wyrywał długie pasma. Oczywiście z zielonym snopem trudno mu było płynąć z powrotem. Mógł wiosłować tylko jedną ręką. Toteż posuwał się powoli.

— Co mu jest? — powtórzyła Marta.

Nagle w środku jeziorka poszedł pod wodę.

— Po co on nurkuje? — zaniepokoiła się doktorowa.

Głowa Bogusia wynurzyła się na chwilę z topieli. Było to dość daleko, ale Marta spostrzegła w jego oczach coś jakby przestrach. Zerwała się na równe nogi.

Boguś znowu się schował. A kiedy się wynurzył, uczynił ręką w stronę Marty gest przerażający. Tonął.

Marta wskoczyła do wody i płynęła w jego kierunku. Nic nie widać było nad wodą. Na samym środku jeziorka Marta zanurzyła się w głęboką, zimną wodę. Otworzyła oczy i ujrzała owo zielonawe, mętne światło, jakie zazwyczaj widzi się nurkując. Rękami falowała tu i ówdzie starając się natknąć na ciało topielca. Ale nic nie znajdowała.

Poszła jeszcze głębiej. Nie mogła wytrzymać bez oddechu i już szła ku górze zamknąwszy powieki, kiedy o ciało jej musnęły bezwiednie i bezsensownie przebierające ręce. Podążyła za nimi i chwyciła jakieś ciało. W tej chwili dwa mocne ramiona otoczyły jej szyję. Chciała wraz z nimi wypłynąć na powierzchnię. Ale ramiona ciążyły, cisnęły i ciągnęły ją w dół, na dno. Traciła oddech i za chwilę mogła się napić wody.

Wówczas jednym uchyłem głowy w dół wyciągnęła szyję z dławiących ramion i podbiwszy się lekko w górę wypłynęła. Była pod samym brzegiem. Nie pamiętała, jak wyskoczyła na piasek. Obejrzała się na jeziorko: pośrodku czerniejącej wody bulgotało coś przez chwilę i pojawiły się pęcherze. Zakryła oczy rękami. Gdy je odjęła, woda była gładka.

Wskoczyła na wał nadbrzeżny i biegła nim krzycząc:

— Ratujcie, ratujcie!

Zza wierzb wyleciało dwóch chłopaków, którzy tam kosili łąkę. Krzyknęła do nich, wskazując na jeziorko.

— Tam, pod wysokim drzewem! Boguś się utopił! — wołała.

Chłopcy biegli prędzej od niej i kiedy doleciała do jeziorka, już się rozebrali i skakali do wody. Zaczęli nurkować, systematycznie obszukując dno. Wynurzając się pohukiwali na siebie.

— Po samym środku, po samym środku — wołała Marta.

Chłopcy przemierzyli całe „oko" wodne do końca i potem ruszyli z powrotem. Nagle jeden z nich, Stasiek, zakrzyknął wynurzając się:

— Jest, jest!

— Ciąg za włosy, ciąg! — wołał drugi.

Obaj zanurzali się i wynurzali w jednym miejscu, aż potem razem płynęli ku Marcie ciągnąc pod wodą jakiś ciężar. Dobili do brzegu i wylazłszy na wierzch wyciągnęli Bogusia. Przewalili go przez cembrowinę i wyciągnęli ze strasznym trudem na piasek. Trwało to wszystko z pół godziny.

Zaczęli mu robić sztuczne oddychanie.

Woda wylewała się z ust topielca, ale nie dawał znaku życia.

— Czekaj — powiedział Stasiek — poletę po chłopaków, trzeba go pobujać.

— Ja z tobą — krzyknął drugi, niepewnie zerkając na ciało. Widział chyba, że daremne ich trudy. Boguś był zresztą świetnym pływakiem. Musiało go chwycić serce. A wtedy wszelkie „bujanie" było zbędnym trudem.

— Pani tu popilnuje — powiedział Stasiek.

Wrzucili na mokre ciała bieliznę i pognali. Słychać było jeszcze przez chwilę ich pokrzykiwania. Bose ich stopy dudniły po ubitej powierzchni ochronnego wału.

I oto nad jeziorkiem zapanowała śmiertelna cisza, której nie mąciły okrzyki oddalających się chłopców. Ciało Bogusia leżało na piasku obok pęków tataraku, tak jak je porzucili ratownicy. Ramiona miał odrzucone na krzyż i na włosach pod pachami błyszczały okrągłe, zielonawe krople. Otwarte oczy nie patrzyły i były matowe jak u starożytnych posągów. Z rozdziawionych ust wyciekał wąski strumień wody czy śluzu.

Pani Marta siedząc w kucki w pobliżu ciała przypatrywała mu się z napięciem, jakby na wieki chciała zawrzeć w oczach zarysy nieprawdopodobnej piękności. Cała postać topielca powlekała się jakby celofanem obcości i sztywności, ciało to z minuty na minutę przestawało być człowiekiem.

W jasnym słońcu czerwcowego dnia błyszczały ostrym kolorem żółte, szczelnie obciśnięte kąpielówki, których barwę tylko nieco przełamywał zielony nalot zgniłej wody.

„Dlaczego nie utopiłam się z nim razem? — myślała pochylając się nad ciałem. — Czy chciałam żyć? Żyć dalej — po co?"

I bez przerwy powracała w jej pamięci chwila, gdy jednym gwałtownym ugięciem wyśliznęła szyję z jego dławiących uścisków.

— Żyć? — powtarzała. — Żyć?

Zrazu ostrożnie dotknęła jego piersi. Skóra topielca szybko wysychała, choć słońce zniżyło się już ku zachodowi. Poczuła pod palcami coś zimnego, jak gdyby marmur. Ściągnięte mięśnie wypinały skórę. Każda linia przeprowadzona po tych wypukłościach była skończenie piękna. Pani Marta przyłożyła usta w miejscu, gdzie na przełęczy pomiędzy dwoma wzgórkami porastał delikatny puszek. Już i on wysechł.

Kobieta stopniowo przeniosła swoje wargi poniżej piersi, gdzie przebiegały najpiękniejsze mięśnie gorsetu, a potem nagłym poruszeniem zaczęła całować piersi, przeponę, brzuch, pępek i w gwałtowności pocałunków, którymi obsypywała zmarłego, schodziła coraz niżej. Całe to zimne i kształtne jak rzeźba ciało pachniało tatarakiem.

Ale kiedy pani Marta poczuła pod wargami rąbek żółtych slipów, do nozdrzy jej doleciał zapach błotnistego iłu, gnijących rybich łusek i woń błota — aromat śmierci, która miała się stać niebawem również jej udziałem.

Jarosław Iwaszkiewicz

Arnold Słucki

*
* *

Przyjaciołom „Dąbrowszczakom"

Ci, którzy słuchali, jak po raz ostatni
bije im serce przykute do ziemi —
o nich czarne trawy Hiszpanii
śpiewają.

Niebo generalski wypina brzuch
służbiście
i słucha, jak donosy na siebie piszą liście
na strzaskanej nodze oliwki.

Koń tam biegnie z otwartymi szeroko ślepiami
i ziemi nie wącha — — — — —

NOWY PICASSO

Ikar ciemności spada w morza głąb
i piętę jak końską głowę obnaża,
nogi rozgwiazdy w czarnych bandażach
mu drżą —
i nie słyszy, jak trąbi plaża
na Ostateczny Sąd.

Arnold Słucki

Witold Juliusz Kapuściński

REFLEKSJE Z PODRÓŻY DO ARGENTYNY

Motto: *Aujourd'hui on ne voyage plus pour admirer les paysages, mais pour voir la doublure des choses...*

Każda podróż jest pewną formą realizowanej względnej wolności. Uwolnienie od codziennych zajęć i od konieczności aktywnego stosunku do otaczających zjawisk zmienia natychmiast sposób reagowania. Człowiek, znalazłszy się nagle w środowisku, wobec którego nie jest zaangażowany, może je obserwować bardziej bezstronnie niż swoje własne. Lecz z drugiej strony, patrząc na obce życie z zewnątrz, jakby przez szybę akwarium, w opiniach swoich ulega nieraz pozorom. Dla niezaangażowanego podróżnika świat staje się widowiskiem. Dlatego też reportaże z podróży przypominają często recenzje teatralne pisane przez dyletantów, którzy nie odczuwają wewnętrznego nurtu dramatu. Tak więc wolność uzyskana w podróży może służyć złym celom, rozluźnienie dyscypliny obowiązującej w życiu codziennym może prowadzić do efektownych wniosków, wrażeń bardzo zewnętrznych i uogólnień symplifikujących każde zagadnienie. Trzeba sobie zdać sprawę, że w podróży jest się kimś innym, niż się było w domu. Obcy świat powinien obejmować pełną osobowość człowieka, a nie tylko zaspokajać w nim ciekawość turysty i widza.

Opuszczając Polskę opuszczam kraj, którego historia od tylu lat zmusza jego mieszkańców do niesłychanie silnych reakcji uczuciowych. Poczucie narodowe, kształtując i warunkując silniej niż gdzie indziej naszą psychikę, wprawia nas w stan stałego uczulenia, w którym trudno o obiektywizm. Podróż jest lekarstwem na uczulenie. Uświadamiamy sobie, że z perspektywy intelektualnej świata Polska nie jest jego centrum. Z tej perspektywy także Polska może stać się przedmiotem obserwacji i wrażeń pozbawionych uczuciowej naiwności.

W przeciwieństwie do lat ubiegłych — w tym roku (1957) wyjeżdżałem wreszcie nie obciążony kompleksami politycznymi. Wyjeżdżałem z kraju polskiego Października, wyjeżdżałem jako normalny, wolny człowiek, specjalista w pewnej dziedzinie wiedzy, którą miałem reprezentować na drugiej półkuli. Nie chciałem wcale zajmować się sprawami polskimi, a jednak, wbrew moim intencjom, podróż do Argentyny stała się *„voyage au bout de la Pologne"*.

Jesteśmy na dworcu, w oczekiwaniu pociągu pośpiesznego do Warszawy. *Exodus* „narodu wybranego" niedawno na najokrutniejszą śmierć, a dziś na ofiarę ponurych reliktów endeckiego fanatyzmu, na szczęście — wbrew opinii — bardzo nielicznych. Z wagonów przelewa się żywa, kipiąca masa ludzka: dzieci żegnające rodziców, rodzice — dzieci, przyjaciele — przyjaciół, pożegnanie jakby na zawsze, z uśmiechem smutku, niekiedy z przejmującym płaczem. Widzę ich z bliska w korytarzu wagonu sypialnego. Ludzie przeważnie starannie ubrani, o ostrych profilach i wrodzonej inteligencji spojrzenia, o charakterystycznym układzie ust i często szybkiej, południowej gestykulacji. Ogromna troska o bagaże. Przedziały zapełnione są walizami. Dwaj panowie stojący przy oknie prowadzą ożywioną rozmowę świetną polszczyzną. Dobiegają mnie słowa: Jaffa, Tel-Aviv, Izrael. Obok młoda pani siedzi na krzesełku w korytarzu, gdyż przedział jej zawalony jest bagażami. Odsłania wypukłe, piękne oczy, powiększone o łzy, i znów zakrywa twarz rękami, roztrzęsiona płaczem. Będzie tak jechała całą noc.

Masowa psychoza, lęk polityczny czy tęsknota do własnej ojczyzny? Skąd ta ucieczka z ziemi, która — choć nigdy nie była obiecana — dała im język, kulturę, przynależność do Europy? Co im da nowa ziemia, także przecież nie obiecana, tak malutka, niby swoja, a przecież na pewno obca? Tragedia uciekających — lecz czy również nie tragedia Polski, dla której powstaje nowe „zagadnienie" żydowskie, tym razem *à rebours*? Przed wojną nadmiar ludzi Południa w kraju Północy stwarzał trudne zagadnienie współżycia różnych temperamentów, kultur i religii. Dzisiaj brak tych ludzi Południa, jakże często świetnych Polaków i Europejczyków, stwarza nowe zagadnienie — braku katalizatora, do którego naród od stuleci przywykł. Brak elementu pracowitego, inteligentnego, brak fermentu intelektualnego, który Żydzi wnosili w nasze cięższe, mniej wyrafinowane życie. Lecz również brak szewców, sklepikarzy, stolarzy, lekarzy, muzyków, poetów i brak tylu przyjaciół. Żadna reemigracja nie wypełni tej pustki, w którą pogrążają się miasteczka dolnośląskie, pustki środowisk, których istnienie uwarunkowane jest namiętnym starciem różnych ideologii.

Chciałoby się im wszystkim krzyknąć: wysiadajcie, zostańcie, nie pozbawiajcie nas waszych zdolności i talentów, nie pozbawiajcie siebie — czego? Europy, której u nas jest za mało, „polskości", której jest za dużo, romantyzmu, który was i nas tyle razy gubił. Cóż możemy wam gwarantować? Każde namawianie do wyboru ojczyzny jest jednak nietaktem. Milczę więc i, choć jadę do Argentyny, myślę w tej chwili o Izraelu. Smutno mi. Rozpoczynam przecież podróż rzeczywiście w nieznane. Zostawiam żonę, dzieci, matkę, pełen świadomości, że na pewno przez parę tygodni będę pozbawiony od nich wieści. Człowiek bowiem podróżuje dziś znacznie szybciej od listów.

Pociąg rusza. Wolne przesuwanie się peronu pełne jest w takich chwilach patosu, smutku rzeczy, które mijają, smutku jednakże nie pozbawionego ciekawości i innych nadziei. Odsuwają się sylwetki żony, córki, syna, giną światła dworcowe. Rozpoczęła się podróż. Rozmowy na korytarzu nie cichną. Wchodzę do przedziału. Rytm pociągu działa jak odległa muzyka. Sleeping jest wynalazkiem bardzo humanistycznym — pozwala wygodnie myśleć. Minęły czasy

dzieciństwa, gdy jazda pociągiem w nocy była ekstatycznym przeżyciem. Jazdy zdewaluowały się służbowo. Dziś rytm pociągu nabrał nowego znaczenia. Zanurzonego w chłodnej pościeli, wśród boazerii i niklów kolejowej elegancji, poniosło mnie poprzez nocne równiny Polski w przelot nad oceanem, w pampasy argentyńskie, w Kordyliery z Aconcaguą, który zalśnił śnieżnym wierzchołkiem w chwili, gdy konduktor wołał „Ostrów Wielkopolski", a z głośników wdzierało się do przedziałów natrętne upomnienie: „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!".

Rzeczywistość miała rozwiać wszystkie marzenia turystyczne i konwistadorskie. Tej nocy jednakże proszek nasenny pozwolił mi obudzić się dopiero w Warszawie.

WARSZAWA

Po koszmarnej ohydzie Dworca Głównego i jego urbanistycznego otoczenia *(il n'y a que le provisoire qui dure, dure, dure, d-u-r-e, r e)* nowy koszmar: formalności paszportowo-dewizowe. W wydziałach zagranicznych różnych ministerstw olimpijczycy i olimpijczyce — uprzejmi jak bogowie i boginie, rozdawcy łask zagranicznych biednym, spokorniałym naukowcom, a sami na uwięzi, nie mogący zaznać rozkoszy, której są sprawcami. Tak psychologicznie można sobie tłumaczyć niesłychaną ważność spełnianych przez nich czynności; stąd czyściec oczekiwania i piekło niepewności dla tych, którzy chcą udać się do raju. Tylko niezmiernie żywa wyobraźnia, ukazująca dalekie perspektywy podróży, wstrzymuje mnie od rezygnacji. Okazuje się w przeddzień wyjazdu, że nie ma nic: paszportu, wizy, pieniędzy, miejsca w samolocie — a potem nagle z łaski bogów olimpijskich w ostatniej godzinie coś się zaczyna realizować. Nauczony przez Gombrowicza, padam na kolana, czołgam się z wdzięcznością u stóp najpotężniejszych, chwytam zębami paszport i dewizy i potulnie kieruję się ku drzwiom. Okazuje się jednak, że tym razem Argentyna, która przecież mnie zaprosiła, nie chce mi dać wizy, obawiając się czerwonej zarazy. Mały poseł, szybko biegający po pokoju, rozkłada bezradnie ręce. Wreszcie po wysłaniu błyskawicznego kablogramu do Buenos Aires i natychmiastowej odpowiedzi poseł dał mi wizę i filiżankę czarnej kawy na pocieszenie — inaczej bym nie pojechał. Nie trzeba było padać na kolana.

Warszawa zewnętrznie i pozornie nie różni się jeszcze od przedpaździernikowej, chyba tym, że część ciuchów przeniosła się do niesłychanie obskurnych sklepików na Chmielnej, a nowy fioletowy neon na Cedecie pogłębia jeszcze ciemności Alei Jerozolimskich. Różnicę widzi się dopiero w teatrze. Nie tak dawno nie do pomyślenia było wystawienie świetnej francuskiej farsy Aymégo *Ich głowy* ani egzystencjalistycznej sztuki brazylijskiego autora, P. Blocha, pt. *Ręce Eurydyki* w teatrze „300 Krzeseł". Ten nagły wybuch egzystencjalizmu jest niezmiernie charakterystyczny dla naszych czasów. Gombrowicz w pamiętnikach ubolewa, że myśl polska w kraju nie przeszła przez egzystencjalizm. Nie zna widać młodzieżowych teatrów eksperymentalnych. Być może, nie rozumie się u nas egzystencjalizmu, ale się go przeżywa. U naszej młodzieży nie jest to żadnym systemem filozoficznym, lecz prądem życia, który zmiótł wszelkie dogmatyzmy i stanął wobec braku ideologii. Intelektualnie niedorozwinięty, artystycznie naiwny, moralnie chaotyczny — egzystencjalizm młodzieży polskiej

jest raczej sceptyczną negacją dotychczasowych wartości i sensu życia, a nie poszukiwaniem nowych. Ta młodzież, nazywająca się egzystencjalistyczną, często sceptyczna a nawet cyniczna, po raz pierwszy od wielu, wielu lat zadaje sobie pytanie, jaka jest rzeczywista odpowiedzialność jednostki. Czyż nie jest ona w swej rozterce bardziej moralna od tej, co kroczyła w „zwartych szeregach", i czy można ją potępiać za to, że nie zna Kierkegaarda, Heideggera czy Sartre'a?

W Warszawie co prawda nie można zjeść nigdzie dobrego obiadu, lecz można prowadzić bardzo ożywcze i inteligentne rozmowy. W Warszawie jest Krakowskie Przedmieście. W Warszawie odczyt prof. Michałowskiego o kulturze Egiptu zgromadził w Muzeum Narodowym kilka tysięcy osób — i właśnie w Warszawie można było zobaczyć podobno najlepiej wystawionego i zagranego *Godota*. Może Warszawa jest jednak stolicą?

Lotnisko na Okęciu jest dostatecznie znane i dostatecznie brzydkie, ażeby wymagało jeszcze opisu. Urzędnicy celni są w tym roku grzeczniejsi. Człowiek wyjeżdżający nie czuje się złoczyńcą.

Żegnaj, kraju, o którym nie chcę myśleć, od którego w tej podróży chciałbym odpocząć.

PARYŻ I

„L'unique ville du monde où on peut se passer de bonheur..." Czyli że szczęściem jest sam Paryż — miasto lekkie i ogromne, przesłonięte liliową mgiełką, do którego spływa się na le Bourget wśród miliona światełek zapalających się o zmierzchu. Samotnego przechodnia, stojącego na wysepce pośrodku Champs Elysées, mijają dwie rzeki aut, za nim — obelisk z Concorde, Tuilleries i Louvre, przed nim — uniesiony i rozedrgany Arc de Triomphe, jak posąg minionych, niepowrotnych, jakże często niepotrzebnych zwycięstw.

I na sadzawce w Tuilleriach okręciki puszczane na wodę małymi rączkami, okręciki, o których pisał Rilke. I kolumnada rue de Rivoli, ulicy łączącej królewski Louvre z placem Bastylii. O chwało i melancholio historii Francji, która kształtowała naszą osobowość prawie w równej mierze, jak nasza własna! I babuleńki w Luksemburgu wyciągające muszelkę dłoni. I zapach metra. Szum automatycznego *portillon*, inteligentna ruchliwość tłumu, który w Paryżu nigdy nie jest tłumem, lecz wielką liczbą śpieszących się ludzi, wyrażających każdym gestem swoje racjonalne, osobiste istnienie. Zdecydowany i wdzięczny chód młodych dziewcząt, dających swe usta chłopcom ze skromnością i swobodą, na ulicy, w metro, w parku, w kinie — jedyne miasto na świecie, gdzie pocałunek realizuje się wtedy, gdy staje się wzajemną koniecznością, niezależnie od miejsca i konwenansów. Swoboda myśli i słowa, której oazą jest każdy kiosk, gdzie *L'Humanité* ma równe prawa z *Le Figaro* czy z *Le Monde*, a *Nouvelle Revue Française* z *L'Esprit* i *Paris-Match*, gdzie królowa angielska z *Marie-Claire* patrzy z miłym uśmiechem na nagą, filuterną dziewczynę z *La Vie Parisienne*.

I żółtym słońcem Prowancji pałające szaleństwo van Gogha, i w zaułkach Montmartre'u, w bramach, w knajpach malarskie wystawy młodych, eksperymenty, orgie barw, sensu i nonsensu, akty i picassoidalne deformacje, i Jansem — zobaczcie Jansema, stawiam na Jansema — genialna francuska sym-

bioza (dawniej powiedzielibyśmy skrzyżowanie) Makowskiego z Kulisiewiczem.

I Nike — ta z Samothrake, porywająca, ziemska i nieziemska, etiuda rewolucyjna, tak grecka, a tak ogromnie polska — może właśnie dlatego, że bez głowy. Na pewno cokół był pusty, gdy przelatywała ponad Olszynką Grochowską, gdy wiodła na śmierć straceńców z 63 roku, gdy opuszczała się z chmur nad płonące gruzy Warszawy, a szare, śmiertelnie zmęczone oczy chłopców z Powstania patrzały na nią z przerażeniem i zachwytem. Na pewno stała spokojnie na cokole w Louvre w Październiku i tylko skrzydła jej lekko drgały, gdy Gomułka mówił narodowi prawdę, całą prawdę.

„...*Où on peut se passer de bonheur.*" O ile nie jest szczęściem przysiąść na kamiennej balustradzie nad rzeką, z łupem uniesionym od bukinistów, i przerzucać chciwie na przykład wybór esejów od Montaigne'a do La Rochefoucauld albo pamiętniki Ramuza, albo wiersze Ponge'a, albo nowe wydanie Guillaume Apollinaire'a. Potem chłód zaczyna iść od Sekwany, zbliża się wieczór, spotkanie z przyjacielem Francuzem w restauracyjce na Boul'Mich, przeskakiwanie z myśli na myśl, szybkie analizy, ostre syntezy, spacer bulwarami pod łuną świateł przed wejściem do huczącej tuby metra. Zaspany portier otwiera bramę hoteliku i wreszcie po szamotaniu się z pościelą, zawsze złośliwie zawiniętą pod materac, można pogrążyć się znowu w przerwanej lekturze noweli Camusa.

Poza tym w Paryżu jest jeszcze Allan Kosko. Jest to rzeczywiste imię i nazwisko należące do mego przyjaciela.

ROGI MYŚLIWSKIE

Opowieść nasza jest tragiczna
I jak tyrana maska wzniosła,
Żaden zaś dramat gdzieś magiczny,
Ni żadna w życiu mdła błahostka
Nie czyni miłość patetyczną.
A Thomas de Quincey gdy pił
Opium — truciznę słodką, czystą,
O swojej biednej Annie śnił.
Mijamy, przecie mija wszystko —
Ja nieraz się odwrócę w tył.
Wspomnienia to rogi myśliwskie,
Których dźwięk wiatr obraca w pył.

(Guillaume Apollinaire)

To jest wiersz tłumaczony przez Allana Kosko. Trzeba być poetą, aby tak tłumaczyć. Kosko jest poetą, cóż z tego, że znanym tylko niewielkiej liczbie wybranych. Allan Kosko jest zjawiskiem samym w sobie. Jest nieznośny i urzekający. Jego dwujęzyczna i dwumyślowa inteligencja potrafi uderzać w problematy z maniacką persewerację, rozbijać je na cząsteczki, ale potrafi też znaleźć dla wielu spraw lekką syntezę, więcej niż *ésprit d'escalier*. Jest

cząstką Paryża. Chodzi po nim wysoki, z lekka siwiejący, niedbały, lecz staranny, spóźniający się, lecz punktualny, czasem zasępiony, lecz zawsze pełen humoru, ekspansywny, lecz powściągliwy, polski i francuski, istniejący i nie istniejący — gdyby rzeczywiście nie istniał, należałoby go stworzyć.

To Allan Kosko wita mnie na Gare des Invalides, obładowanego strasznym bagażem: siwą chłopką w chustce na głowie z Lubelskiego, która, wyrwana skrzydłami samolotu z epoki kamienia gładzonego, tonąc w oceanie stolicy świata, chwyciła się mnie jak koła ratunkowego. W Le Bourget musiałem umieścić ją w autobusie, wykupić jej bilet, wytłumaczyć krzyczącej i zrozpaczonej — przy dyskretnych uśmieszkach Francuzów — że jej rzeczy nie zostały ukradzione, lecz znajdują się bezpiecznie na dachu. *„Pauvres réfugiés Polonais"* — szepnęła moja przystojna sąsiadka, co miało chyba oznaczać, że Sabena i Air France wywożą z lotniska na Okęciu biednych uciekinierów polskich spod krwawego terroru Gomułki. Kobieta o pomarszczonej, spłaszczonej twarzy usadowiła się w fotelu i nie spojrzawszy ani razu na Paryż zwracała się ciągle do mnie z pytaniami w rodzaju: Kiedy odjeżdża pociąg do Reims? Czy znajdzie tam brata? itp. Z radością i ulgą dostrzegłem Allana Kosko, który bardzo rzeczowo przyjął mój ciężar. Sytuację i nasz wieczór uratowała pełna wdzięku panienka, urzędniczka Air France, która widząc dziwaczną, gestykulującą grupę, wyraźnie zakłopotaną, przystąpiła do nas i w lot zrozumiała, o co chodzi. Usłyszeliśmy z ulgą, że zaopiekuje się kobietą, umożliwi jej spędzenie nocy w poczekalni, a o 6-tej rano zawiezie ją metrem na Gare de l'Est i umieści w pociągu do Reims.

Na St. Germain jest kawiarnia „Deux Magots". Wieczorem (a wieczór paryski zaczyna się o 22-ej, przedtem jest *après-midi)* spotkać w niej zawsze można Jana Kotta, nawet gdy jest w Warszawie. Jest to kawiarnia egzystencjalistów, już uformowanych, burżuazyjnych, skończonych. Jeśli nie bywają, to powinni tam bywać Sartre, Simone de Beauvoir, Camus i inni mandaryni. Tymczasem o 50 kroków niżej, na małym placyku koło rue Guillaume Apollinaire, jest „Café Bonaparte" — oaza egzystencjalistów *in statu nascendi*, doświadczających swą młodość jak istotną tragedię życia. Gołowąsi, z brodami, w struksowych marynarkach i czarnych swetrach, Saganki z końskim ogonem i też w czarnych swetrach, dziewczyny i chłopcy skopiowani z krakowskich, warszawskich, wrocławskich teatrów i kawiarń studenckich. Dziwnym się wydawało, że mówią po francusku. Brak im tylko uroczystej pseudo-powagi swych polskich wzorów. Pozostała w nich jeszcze młodzieńcza naiwność, z trudem hamująca śmiech lub beztroską gadaninę. Ich doświadczenie jest jednak mniejsze od naszego — o Niemcach już zapomnieli, a te wstrząsy, które były naszym udziałem, przechodzili raczej teoretycznie, w artykułach *L'Humanité*, co na pewno było mniej przykre.

Widziałem w Comédie Française, w salach Luksemburga, *Zwiastowanie* Claudela. W starym, trzeszczącym teatrze, wśród prymitywnych, prawie niepotrzebnych dekoracji, rozgrywał się wstrząsający prostotą dramat miłości i wierności. Sankcja metafizyczna tych pojęć płynie jak nurt podskórny w tej cudownej sztuce, nie osłabiając w niczym jej ludzkiego realizmu. Czy może człowiek przeżyć pełnię miłości bez transcendencji własnej osobowości ku jakiejś idei, choćby stworzonej przez samego siebie? Czyż w braku tych właśnie idei nie tkwi niedosyt egzystencjalizmu, jego zamknięte koło, jego piekło we-

wnętrzne, od którego optymiści uciekają do marksizmu, a pesymiści do ponurej rezygnacji z sensu istnienia? To pytanie narzucało mi się, gdy porównywałem *L'annonce faite à Marie z Les chaises* Ionesco, świetną, beznadziejną sztuką, o której już tyle pisano, że nie dorzucę nic więcej z mego pesymistycznego entuzjazmu. Niestety, nie miałem z kim dyskutować o tych sztukach. Towarzystwo Francuzów, z którymi chodziłem do teatru, było raczej antyintelektualne. *„Ah, Claudel, comme c'est beau!"* — mówiła *madame la mère*, siedząca obok mnie. W czasie przerwy, gdy zostałem z nią sam, zaczęła opowiadać różne plotki familijne, które mnie wprawiały w zakłopotanie, choć nic a nic nie obchodziły. On sam, inteligenty i jeszcze młody, unikał wyraźnie rozmów tak zwanych pryncypialnych. O egzystencjalizmie wyrażał się jak o modzie interesującej cudzoziemców, a *Krzesła* Jonesco były dla niego *„une bizarrerie peu supportable"*.

Widzieliśmy jeszcze słynną *La chatte sur un toit brûlant*, sztukę amerykańską, drapieżnie prymitywną. Nie wiem, dlaczego okrzyczaną jako niemoralna. *Streep-tease* na scenie już nikogo nie gorszy, a tu miał właśnie służyć zachowaniu wierności małżeńskiej i rodzinnej idylii. Cechą tej sztuki (tak jak współczesnej amerykańskiej literautry) jest niezmierna intensywność „dziania się", intensywność brutalna, w której nie ma szczeliny dla refleksji, ironii, dystansu.

Brakowało mi w ciągu tych paru dni francuskiego intelektualisty. Ci, z którymi rozmawiałem, to koledzy w mojej specjalności. Mili, uprzejmi, rzeczowi, może powściągliwi.

Zawsze mało czasu, chętnie rozmawiają na tematy fachowe. Ich orientacja polityczna z naszego punktu widzenia jest trochę naiwna: obawa wojny, dużo sentymentu dla Polski, wielkie uznanie dla Gomułki. Abstrakcyjne rozmowy prowadziłem z malarką Czeszką i poetą Rosjaninem oraz z Polakami.

Kończy się Paryż. Jeszcze raz Louvre, choć na pół godziny. Galeria rzeźby greckiej i rzymskiej. Grecja: wieku V, IV i III, wdzięk, harmonia, ludzkość i kobieta. Jej piękno pełne samowiedzy, spokoju i godności. Grecja: namiętność i ból. Cena wolności i tragedia niewoli. Rzym: popiersia Cezarów, spokojne, zimne, rzeczowe. Władza nad światem jako zadanie, które trzeba wypełnić nie zważając na środki. Obowiązek potęgi i woli. Nie *libido dominandi*, lecz *necessitas dominandi*. Jednak sztuka rzymska jest małą, trochę barbarzyńską prowincją tego wiecznego państwa światła, którym do dziś pozostała sztuka grecka. Wychodzę z Luwru na Concorde. Za godzinę odchodzi autobus na lotnisko. Już jestem w niewoli czasu. Patrzę na Paryż już nierzeczywisty, jak przez mgłę oddalenia. Idę po bruku, który tyle razy przemierzały zwycięskie lub zdobywcze armie, w mieście, które, choć niekiedy traciło nawet wiarę w sens istnienia, pozostało jednak do dziś najpełniejszym wyrazem ducha europejskiego, jego wiecznego dążenia do wolności, do poszanowania człowieka, do prymatu rozsądku nad namiętnościami i do bezinteresownego piękna w sztuce.

Już dochodzę do Gare des Invalides. Wypada żegnać się z Europą.

SAMOLOT I OCEAN

Dzisiaj każda podróż, a zwłaszcza podróż w celach naukowych, choć jest uwolnieniem się z więzów codzienności, to równocześnie oddanie się w niewolę

czasu, który zagęszcza się i staje wymiarem prawie materialnym, rodzajem skomprymowanego powietrza, od którego nie ma ucieczki. Na pociąg można się spóźnić, straci się w najgorszym razie miejsce w wagonie sypialnym. Samochodem można dowolnie rozciągać podróż w przestrzeni i w czasie — margines wolności jest największy. W podróży samolotem karta czasu musi być zapisana bez marginesu, gdyż spóźnienie się przekreśla jej cel i sens. Gdybym w drodze do Gare des Invalides został lekko potrącony przez samochód, gdyby trzeba było założyć mi opatrunek, gdybym zemdlał z bólu lub nagle zasłabł — nie zobaczyłbym Ameryki Południowej.

Na dworcu lotniczym po przejściu przez formalności paszportowo-celne człowiek staje się jeńcem politycznym. Nie ma odwrotu, gdy postawiono stempel na paszporcie. Jest tylko jedna droga bez wyboru — na pokład samolotu. Jeszcze silniej odczuwam niewolę, gdy po 2 godzinach lądujemy w Madrycie. Francja była przez godzinę zieloną, pokratkowaną plamą pod chmurami, srebrzystym brzegiem Zatoki Biskajskiej, ciemną smugą Pirenejów, zatartą, wypukłą mapą, obserwowaną przez rozedrgane śmigłem i słońcem powietrze. Hiszpania — to żółte góry, niekiedy o śnieżnych wierzchołkach, żółta wyżyna Kastylii, krajobraz smutny, bezludny. Przelatujemy nad Madrytem, którego nie widać, i lądujemy na wielkiej, spalonej płaszczyźnie, otoczonej płasko uciętymi wzgórzami. Dworzec lotniczy Madrytu — to więzienie tranzytowe, gdzie dają kiepską kawę z petit-beurrami. Ostatecznie jestem czy nie jestem w Hiszpanii? Jestem turystą czy więźniem? Jakież to żelazne prawa nie pozwolą mi zobaczyć ojczyzny Cervantesa, Murilla, El Greca, Goyi? Dlaczego jakieś wrogie potęgi zorganizowały wszystko tak, ażebym będąc w Madrycie nie mógł ujrzeć Madrytu ani Prado, ani Escurialu? Pięćdziesiąt kroków do samolotu i od samolotu — to granica mej wolności w Hiszpanii. Jeden z paradoksów współczesności. Błyskawiczność i rzeczowa docelowość podróży niweczy jej istotę: przeżywanie przez chłonącego wrażenia człowieka ciągłej zmienności krajobrazów i cywilizacji, krajów, których historia jest cząstką jego historii, a kultura jego kultury. I to wszystko zredukowane do ponurej kawiarni i dworca lotniczego, gdzie kelner w brudnym smokingu i brzydka, ciemna kobieta, sprzedająca wyroby miejscowej Cepelii, reprezentują rodaków Don Kichota, generała Franco i Blasco Ibaneza. W więzieniu łatwo nawiązuje się znajomości. Zabawia mnie rozmową turecki Armeńczyk, młody człowiek z jakiegoś egzotycznego świata. Okazuje się, że nie lubi Turcji, jest katolikiem (zdziwiłem się). Jedzie do brata księdza (zupełnie po polsku) do Rio de Janeiro i chce założyć sklep jubilerski (szczęść Boże prywatnej inicjatywie). Wymiana usług polegała na wzajemnym sfotografowaniu się. Już właściwie mamy siebie dość. A przecież rozmowa ta, tak drobnomieszczańska i banalna, toczyła się bądź co bądź pod niebem Madrytu. Życie indywidualne, nawet pozbawione błysków inteligencji i talentu, ma swoją wartość i w żadnym wypadku nie powinno być przedmiotem drwin. Złudzeniem jednakże byłoby nadawanie mu większego znaczenia dlatego tylko, że toczy się na szerokich horyzontach, między Armenią a Rio de Janeiro. Te nazwy nie określają przecież intensywności życia. Są tylko przypadkową jego scenerią. A przez cały czas Madryt był obok mnie. Był, a właściwie nie był. Równie daleko jak Moskwa i Tokio i równie niedostępny. Absurd polegał na bezpośrednim zbliżeniu aż do jakiejś nieprzebytej zapory, uniemożliwiającej doznanie rzeczywistości ulic i życia tego

miasta, tej kultury, może ponurej, lecz głęboko, choć peryferyjnie europejskiej.

Trzeba się pogodzić z tym, że się jest w pędzącym pocisku, że się jest mieszkańcem planety, od której nie wolno się oderwać. Jedyny sposób uzyskania spokoju — to uciszenie wyobraźni i rzeczowe zajęcie się samą podróżą samolotem. I tymi jej szczegółami, które mogą dać (choć tyle razy przeżywane w opisach) zadowolenie i przyjemność.

Działa tu cywilizacyjne prawo dążenia do zamknięcia się w małej przestrzeni, określonej, znanej i bezpiecznej, choć jednak zawieszonej w nieznanym. Może śmieszna, a jednak ważna codzienność, drażniąca wypustkami, jakieś przestrzenie zawsze nieludzkie, zawsze grożące śmiercią. Chęć zamknięcia się jak w skorupce ślimaka jest atawistycznym dążeniem człowieka. Uwidocznia się w zabawach dziecięcych — w dom, pociąg, samochód.

Czytałem kiedyś francuski esej, który tłumaczył nieprzemijającą popularność powieści Verne'a, nawet u dorosłych. Mimo swej naiwności zaspokajają tęsknotę człowieka do zamkniętej przestrzeni, a równocześnie pragnienie podróży, zetknięcia się ze światem i kosmosem, jednak zawsze z jakiegoś przytulnego wnętrza, dającego poczucie bezpieczeństwa i ludzkiej solidności. Czy to będzie Yacht Duncan, czy wóz ciągnięty przez woły poprzez pustynie Australii, czy pocisk armatni na księżyc, czy „Nautilus", dla którego głębia oceanu była rodzajem akwarium, czy mieszkanie w granitowej grocie na tajemniczej wyspie — wszędzie ten sam warunek jest spełniony: muskanie tajemnic życia i śmierci z pozycji jak najbardziej bezpiecznej. Eksploracja kosmosu przez szybkę eleganckiego międzyplanetarnego sleepingu, filisterskie niezaangażowanie się całkowite w życie społeczne czy w przygodę, brak odwagi, aby spojrzeć w twarz „Boga żywego" — oto co można powiedzieć o tej zabawie dzieci i dorosłych z punktu widzenia społecznego lub religijnego. Z drugiej strony jest to dążność ludzi zmęczonych narzucającą się im historią do spokoju, stabilizacji, do życia w kręgu zbanalizowanego, choć tak koniecznego ogniska domowego, chociażby to ognisko miało się poruszać razem z nami w rakiecie planetarnej.

Wyznawcy doktryn politycznych i religijnych, nie szydźcie z człowieka zmęczonego, nie żądajcie od niego ciągłego heroizmu, zauważcie, że każda chwila czynnego życia jest zawsze jakimś zaangażowaniem się, nawet jeśli nie świeci nad nią w materialnych lub duchowych przestrzeniach płomień waszych ideologii.

Tymczasem to pudełeczko, szczyt techniki i precyzji, unosi się nad niewidocznym lądem Afryki. Jest ono obdarzone wszelkimi atrybutami zabawy dla dorosłych. A więc komfort, czyli urządzenie życia wykraczające poza normalną ludzką wygodę. Nadmiar ułatwień, stający się sam w sobie zabawą, jakże często tragiczną, wywołującą całe kompleksy niedosytu u tych, którzy — wiedząc o jej istnieniu — są jej pozbawieni, i powodujący prawie natychmiastowe zobojętnienie lub przesyt u ludzi, którzy mogą się w nią bawić. U nich zresztą zobojętnienie nigdy nie idzie w parze z gotowością wyrzeczenia się. Gdyby ich tego komfortu pozbawiono — choć nie odczuwają już przyjemności, jakich dostarcza, po prostu nie bawi ich on więcej — daliby ujście najdrapieżniejszym instynktom posiadania, władzy i egoizmu. A przecież chodzi tu często o guziczki, po naciśnięciu których fotel zmienia się w łóżko, wyskakują zapalniczka i popielniczka, stoliczek z masy plastycznej przesuwa się pod piszącą ręką,

air conditionning reguluje temperaturę, dwa gatunki wody kolońskiej spryskują twarz. Zabawa dla dorosłych się nie kończy. Jest i niezbędny *sex appeal:* eleganckie stewardesski, których uśmiech na liniach francuskich ma jakąś ludzką życzliwość, gdy na innych liniach jest tylko lalkowatą, utrwaloną pozą. Uśmiech-standard, uśmiech-reklama mydła, uśmiech-forma zarabiania, uśmiech-obowiązek włączony do wysokiego honorarium, płaconego przez linie lotnicze wytresowanym pannom. I znów kultura francuska i na tym odcinku triumfuje. Tylko Francuzki roznoszące karmelki i gazety potrafią do każdego zwrócić się nieco inaczej, zauważyć różnicę między młodzieńcem a staruszką.

Oto jeszcze jeden element zabawy dla dorosłych w samolocie: *menu.* Sama karta to cenna reprodukcja dzieła sztuki. „Maxim" — jedna z najdroższych restauracji Paryża obsługuje Air France. Liturgię obiadu celebruje się przez godzinę, uzupełniając ją szampanem, czarną kawą i likierami. Wypełnia ona nasz czas, nasz pusty czas na wysokości 5000 metrów nad brzegami afrykańskimi, pod opuszczającymi nas zwolna konstelacjami północy.

Myśl jest raczej pusta. Trudno czytać. Ani książka naukowa, ani powieść kryminalna nie przenikają do świadomości. Bardzo szybko następuje adaptacja do tego superelitarnego luksusu i jego prawie kosmicznego przeznaczenia. Przychodzi rozczarowanie. Więc to tylko tyle? Nie mogę czytać, lecz mogę pisać długie, szczegółowe listy, pierwsze listy z podróży.

O 11-ej wieczorem lądujemy w Dakarze. Po paru godzinach zupełnej ciemności widać znów przez okienko rzędy kolorowych światełek, znaczących nocną trasę lądowania. Lekki wstrząs i toczymy się już przed dworzec lotniczy, taki sam, jak w każdym dużym mieście Europy. 5 kwietnia — temperatura ciepłej nocy lipcowej w Polsce — więcej zapachów w powietrzu.

Pierwszy raz w życiu staję na ziemi afrykańskiej. Wmawiam w siebie, że mnie to specjalnie wzrusza. Wyobraźnia zastępuje rzeczywistość. Wyobraźnia: puszcze centralnej Afryki, wielkie rzeki, Niger, Kongo, toczące wolno swe wody przez pierwotne, tropikalne kraje, magiczna kultura szczepów murzyńskich, dźwięki tajemniczych bębnów, prymitywna sygnalizacja, lecz również ekstatyczna rytmika, rytmika wykraczająca poza utylitaryzm, transcendencja niedostępna europejskiemu racjonalizmowi. Rzeczywistość: asfalt lotniska, oświetlona restauracja, niskie palmy w ogrodzie, zamglone gwiazdy nocnego nieba. Wyobraźnia: jądro ciemności, kość słoniowa, handlarze niewolników, ostatnie słowa Kurtza — „Ohyda, ohyda"... Rzeczywistość: dancing-bar, Murzyni kelnerzy, Murzyni kramikarze, sprzedający tandetne wyroby krajowe. Wyobraźnia: francuskie imperium kolonialne, jeden z ośrodków leżących na przecięciu wielkich linii lotniczych i politycznych świata, ważna baza amerykańska w drugiej wojnie światowej. Rzeczywistość: stolik w restauracji, niklowe meble, koszmarne bohomazy na ścianach i rozmowa z belgijskim inżynierem, oczywiście o Polsce.

Z pewnym zażenowaniem słucham słów tego Belga, a polska rzeczywistość oddala znów wyimaginowaną w wyobraźni Afrykę. Przecież i ta Afryka w rzeczywistości dla mnie nie istnieje. Jest salka restauracyjna z lichą murzyńską dekoracją i w niej znów Polska, od której nie można uciec. Mówię Belgowi, że powoli zaczynamy już być normalni. *Exemplum* ja sam. Można jechać do

Argentyny. Poza tym w Polsce nie tylko robi się powstania. Pracuje się również — może w gorszych warunkach, ale niemniej intensywnie.

Pijemy sok pomarańczowy i powoli wracamy do samolotu w ciepłym, pachnącym powierzu Dakaru. Taka była rzeczywistość jednej godziny afrykańskiej.

...Północ. Samolot rusza z lotniska wśród szpaleru rożnokolorowych światełek. Już pod nami światła Dakaru. Błysk latarni morskiej wyznacza granicę lądu. I zaraz, zaraz zupełna ciemność, kwintensencja czerni. W górze nikłe lśnienie konstelacji — na skrzydle samolotu małe, drgające światełko sygnalizacyjne, które nie rozprasza ciemności. Tylko niekiedy ogień tryska w noc z rur wydechowych, czerwona smuga, co się rozżarza i gaśnie w liliowym oparze dymu. I to wszystko. Zaczyna się rozkładanie foteli, poduszek, koców. Wnętrze samolotu zamienia się w długi przedział sleepingu. Przyciszone rozmowy, dyskretne przebieranie się w pidżamy, światło przygaszone. Można zapalić maleńką lampkę, rzucającą krążek światła wystarczający do czytania. Wreszcie wszystko gaśnie. Można spać. Cisza. Szum motorów, jak rytmiczny stukot kół pociągu, jak szum strumienia w nocy górskiej — staje się elementem nocnej ciszy, ciszy nad Atlantykiem.

Czy można spać? Świadomość jest zbyt rozbudzona, zbyt analityczna. Poczucie istnienia wzmożone aż do rozkoszy i bólu, poczucie samotności, siły i niemocy. Pod nami 6000 metrów powierza i 6000 metrów wody, pod nami planeta pogrążona w nocy, a nad nami to wszystko, co jest jeszcze większą niewiadomą. I świadomość wiedzy, że tak właśnie jest. Odejście wszystkich codziennych trosk i problematów. Wyłączenie wszelkiej gry uczuć, barwy ziemskiego życia: miłości, nienawiści, żalu, tęsknoty, ambicji spełnionych i niewyżytych, czynów dobrych i złych, przeszłości i przyszłości. Pozostaje świadomość istnienia.

Czy można spać? Czy sen nie byłby nietaktem wobec tej nocy, wobec samego siebie? Jak nietaktem byłby w pierwszych godzinach pierwszej nocy miłosnej. Bo jest jakaś analogia między tymi nocami. I także między nocą bólu po klęsce, gdy nie można usnąć z lęku, żeby nie przyśniło się nie istniejące zwycięstwo — i nocą bólu po śmierci kogoś najbliższego, ażeby się nie przyśnił żywy, ku tym większemu cierpieniu w momencie obudzenia. A jednak w tych wszystkich nocach na końcu się usypia. Prawo fizjologiczne, świadomość ujarzmiona procesami tkanki mózgowej, jeszcze jedno oblicze zwyciężającego determinizmu. Sen jednakże jest nietrwały — wędrówka między półjawą a półsnem, walka między świadomością, wyobraźnią i zmęczeniem przy ciągle zmieniających się przymierzach. Raz świadomość i zmęczenie walczą rzeczowo z wyobraźnią, to znowu wyobraźnia i świadomość chcą przezwyciężyć zmęczenie. Na koniec jednak wyobraźnia, usypiana zmęczeniem, bierze górę nad świadomością. W półjawie błyszczą niebieskie lampki z sufitu, czasem zbliży się jednostajna melodia silników. Ręka odsłania firanki okienka, przeciera zapotniałą szybę. Ta sama noc, te same konstelacje, światełko sygnalizacyjne na skrzydle promieniuje tą samą niebieskawą poświatą. I znów świadomość, że ja, że Atlantyk, że noc, że kosmos. I znów wyobraźnia błądząca po innych nocach, jakimś prawem kontrastu wędrująca po białym lodowcu Aconcagui czy wyławiająca z pamięci rzeczywiste wędrówki po Mer de Glace spod Mont Blanc, wejście

na Ortlera — wspólne ekstatyczne szczęście pustyni, lodu i światła, co przyszło po wspólnym szczęściu zimnej, tnącej wszystkimi gwiazdami alpejskiej nocy.

Budzę się, poprawiam poduszkę i koc i ogarnia mnie znów półsen, półjawa, poczucie bezmiaru samotności, nasyconej pełni istnienia, gdzie już nie ma pragnień — jest tylko trwanie przepływające w falach czasu. Jest tylko to, co jest. Jak w nocach wypełnienia, gdy aż do bólu odczuwa się własne istnienie.

Noc trwa. Przetarta szybka okienka raz jeszcze nie ujawnia żadnych nowych tajemnic. Czasem szum motorów dochodzi nagle do świadomości, czasem blask światełka sufitowego dociera pod powieki i wydłuża się w linie, kręgi i spirale.

AMERYKA

„Prenez-vous le petit dejeuner, monsieur? — Oh, excusez, je vous ai éveillé. Widzę miłe, uśmiechające się oczy i zaczynam rozumieć, dlaczego mam dostać śniadanie do łóżka, chociaż zawsze schodzę na dół do restauracji hotelowej. *„Je descendrai tout à l'heure"* — mówię. — *Vous avez rêvé, monsieur, il ne serait pas trop commode de descendre.*" Niebieskie niebo, niebieskie powietrze, przetykane liliowymi puchami obłoków, niebieskie morze rozedrgane lśnieniem słońca i materializujące się srebrną kryzą piany u brzegu małych wysepek, wybiegających jak zwiastuny dalekiej, ciemnej linii lądu. Ameryka. Wybrzeża Brazylii. Skąd oni biorą te świetnie croissanty z dżemem pomarańczowym i ananasowym? A przedtem oczywiście *ham and eggs* i dymiąca kawa ze śmietanką. Przez niklowy regulator wpada ciepłe powietrze. Wnętrze samolotu rozruszało się. Pasażerowie wstają, chodzą, ubierają się, panie wykańczają *maguillage*, nikt się specjalnie nie krępuje. Roznoszą gazety. Przez moment dziwię się, że nie ma *Le Monde, Le Figaro* z datą dzisiejszą. Powinny były nadejść razem z rogalikami. Po śniadaniu roznoszą czekoladki, papierosy, owoce. Noc minęła. Cywilizacyjny system zorganizowanego komfortu zaczyna znów swą sprawną grę. Ostatecznie jest to środek lokomocji funkcjonujący na prawach handlowych. Lot między Wrocławiem a Warszawą jest też lotem nad planetą, a nie daje przecież żadnych wzruszeń. Dlaczego dzikie brzegi Południowej Ameryki mają być bardziej wzruszające od starego, pełnego kultury i grozy lądu Europy. Czuję napływającą falę rzeczowości, zmywającą nocną ekstazę. Pod nami Atlantyk, Ameryka. Dobrze. Przecież to jest codzienna trasa kupców, lekarzy, komiwojażerów lecących na przykład z Recif do St. Paolo. Jak prędko przychodzi przyzwyczajenie, a z nim zobojętnienie! Jak prędko przychodzi starość — po 24 godzinach lotu! Niedawna noc minęła jak romantyczny poryw młodości, jak miłosna ekstaza. A teraz jak zawsze pozostał jedynie trud, obowiązek, zadanie do spełnienia, gorzka satysfakcja „męska" lat dojrzałych, jaką daje zwycięskie pokonywanie oporu, materii czy idei. I cóż stąd, że lecimy szlakami Pizara, Vasco de Gama, Magellana? Byli, przeszli — notatka w historycznej pamięci, lecz po co wzruszenie? Pamiętam z czasów pierwszej wojny światowej podróż do Kołobrzegu. Jako mały chłopiec — w korytarzu pociągu odczuwałem patriotyczną dumę, że jadę zwycięską drogą Bolesława Krzywoustego. Dziwne skojarzenie emocji, historii i dziecinnej egzaltacji. Jakby to dzisiaj brzmiało patetycznie: podniebnym szlakiem konkwistadorów!

Słowa mają swe uroki. Zamieńmy słowo „konkwistador" na jego prozaiczne synonimy: „zdobywca, awanturnik", a czar pryśnie natychmiast. Wyobraźnia może jeszcze wędrować do najbardziej dzikich puszcz naszej ziemi, w dorzecze Amazonki, do plemion żyjących jeszcze dziś w większym prymitywie niż europejski człowiek jaskiniowy, do tego przyrodniczego pandemonium, wybujałego orgiastycznie pod wpływem tropikalnego słońca i gleby nasiąkniętej wodą, do tych miejsc na ziemi, których nie dotknęła myśl ani ręka. Cóż, kiedy w ślad za wyobraźnią przedzierającą się w te puszcze posuwa się nasz poznański podróżnik, Arkady Fiedler. Ryby co prawda śpiewają w Ukajali, lecz trudno wymagać od najbardziej nawet mistycznego umysłu, ażeby wpadał w kosmiczny zachwyt na widok (oczywiście w wyobraźni) Fiedlera z wędką, rybą i papugą.

Utrwalam się więc w tej nowej rzeczowości, siedząc wygodnie w fotelu i zabierając się do przeglądania materiałów naukowych i pracy, którą mam referować w Argentynie jako delegat naukowego towarzystwa. A samolot sobie leci. Od czasu do czasu spoglądam przez okno. I widzę na przemian to błękit oceanu, to monotonię bezludnej brazylijskiej dżungli. Przelatujemy nad najgorętszymi okolicami ziemi. Z samolotu widzimy realność zmieniających się szerokości geograficznych. W okolicy podrównikowej koło Natalu widać było jedynie pustynie żółte, bezwodne i bezdrzewne. Po godzinie — 600 km na południe — ciągnęły się nieprzerwanie ciemnozielone przestrzenie, lasy tropikalne pokrywające niewielkie góry i doliny. Przez parę godzin lotu nie zauważyłem ani jednej drogi bitej lub żelaznej, ani jednego osiedla. Atlantyk i puszcza, rozdzielone srebrną linią brzegów. Można wrócić do pracy.

Rio de Janeiro w drodze z Paryża do Buenos Aires to krótki postój. Góry ukryte w chmurach, gęsty deszcz, miasto w dole spienione chmurami, szarym oceanem i bielą domów. Przy tym pierwszym lądowaniu w Rio nie zdążyłem zauważyć jego niesamowitego piękna. Po 12 godzinach nieprzerwanego lotu z Dakaru znów zeszliśmy na ziemię. Temperatura łaźni parowej. Ciepły, prawie gorący tusz deszczu. Wbiegam do hali dworca lotniczego, zrzucam marynarkę, krawat, rozpinam koszulę — mimo to momentalnie jestem cały mokry od potu. Wkrótce deszcz ustaje. Można wyjść na ulicę, do parku. Widać od razu, że jest to kraj, który nie przeszedł wojny. Znów po raz pierwszy w życiu staję na jeszcze jednym obcym kontynencie i znów los daje mi za towarzysza człowieka, z którym nie mogę nie mówić o Polsce. Starszy, niski pan, przemysłowiec z Izraela. Rozmawiamy po niemiecku. Jest jednak coś przykrego w fakcie, że właśnie ten język umożliwia porozumienie Polaka z Żydem, Węgrem lub Czechem. Tak pewnie czuli się Germanowie, Frankowie, Gallowie, z czasów Cezara, gdy chcąc rozumieć się wzajemnie, musieli mówić po łacinie. Niestety, mój towarzysz nie mówi po francusku ani po angielsku i bardzo słabo rozumie po polsku. Ja natomiast mówię po niemiecku słabo, złym akcentem i często brak mi słów.

— Przypuszcza pan, że ta podróż ujdzie panu bezkarnie? Wszystko będzie zanotowane i w swoim czasie obrócone przeciw panu.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Bardzo przepraszam, ale rzeczywiście nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Niech pan nie udaje naiwnego. O każdym pańskim kroku będą wiedzieli w waszym UB. I przy pierwszej okazji zlikwidują pana, jako tego, co za dużo widział, za dużo wie i za dużo mówi. Ja te rzeczy dobrze znam.

Uśmiechnąłem się.

— Przecież panu mówiłem, że jadę z Polski. Czy się pan zupełnie nie orientuje, jak się dziś u nas żyje?

— Wiem doskonale. To wszystko, co się u was działo, to jest taktyka, ażeby wyłapać właśnie takich naiwnych, jak pan. Ja dużo jeżdżę po świecie i mogę panu oświadczyć i nawet założyć się, że w ciągu trzech lat musi dojść do trzeciej wojny. Ma pan świetną okazję uniknąć wszystkich przykrości i pozostać w Argentynie. Głos mu się uniósł i zaczął prawie krzyczeć: — *Sie darfen nie zurückkehren. Eine Arbeit werden Sie immer finden.*

Gorąco. Za gorąco na dyskusje. Powietrze przesycone gorącą wilgocią. Czas wracać do samolotu. Pozostawiam za sobą Rio, chmury i deszcz i posępne proroctwa starego Żyda, który pewnie dość nacierpiał się w życiu i już niczemu nie wierzy. Lecimy dalej. Pod nami kraj gęsto zaludniony, uprawne pola, koleje, autostrady. Po trzech kwadransach kołujemy nad olbrzymim miastem, ponad wąskimi, przepaścistymi graniami sky scraperów. Sao Paolo — największe miasto w Brazylii, jedno z najżywotniejszych, najnowocześniejszych miast świata. Wiem o tym i oglądam je z góry jak z paryskiego cinérama, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że rozbijemy się zaraz o zbocze wyrastającego nagle kamiennego olbrzyma. Pół godziny postoju. Dworzec lotniczy, drugi na świecie po Nowym Jorku. Jego wspaniałości zatarły się już w mojej pamięci. Olbrzymie halle, palmy, labirynty z marmuru, niklu i plastyku. W powietrzu gęsto od samolotów. Co 3 minuty samolot. Z tarasu widać potężny łańcuch górski drapaczy chmur. Lecimy dalej. Jeszcze 2 tysiące kilometrów. Cztery godziny lotu. Dalej niż z Warszawy do Moskwy lub Paryża. A wydaje się, że jestem już u celu podróży. W pociągu zaczynałoby się powoli zbierać rzeczy przygotowując się do wyjścia. Nie mogę niczym się zająć, odczuwam niepokój końca podróży. Bardzo rzeczowy niepokój. Czy będzie po mnie samochód? Gdzie zanocuję? Jak porozumiem się z Argentyńczykami, nie umiejąc po hiszpańsku? Pod nami znów dżungla. Bezludny ocean ciemnej zieleni — kopiaste, brudne góry, wyglądające z wysokości jak kopce termitów. Spacerujemy w środkowym przejściu samolotu jak w pulmanowskim korytarzu. Odwiedzamy się wzajemnie. Niepokój powoli mija, ulatnia się pod wpływem szampana, likieru i poobiedniej senności. Czuje się jednak pewne rozprężenie — lunch nie jest tak starannie podany, jak wczorajszy obiad. Jedna ze stewardess zdjęła — o zgrozo — służbowe kepi i odgarnia znad czoła kosmyki czarnych włosów. W przedziale gospodarczym robi się jakieś porządki. Naczelny steward pisze coś na dużych arkuszach, likwidacja gospodarstwa — powietrzny remanent. Jeszcze jedna stacja. Montevideo. Wygrzebuję z pamięci i mapy, że to Urugwaj. Maleńkie państewko między Brazylią a Argentyną. Płaski, uprawny kraj, przypomina się wojna o Gan Chaco, ale to nie to. To nie Paragwaj, nie Boliwia, lecz właśnie Urugwaj. Wiem jeszcze, że Montevideo jest miastem bardzo nowoczesnym, lecz *nihil video*, małe lotnisko, pół godziny postoju i Urugwaj przestał dla mnie istnieć.

Godzina 5 po południu (po regulacji czasu). Lecimy już nad La Plata. Rzeka srebra. Morze srebra, szerokości 150 km. Brzegów nie widać, jak nad Atlantykiem, tylko woda brudnoszara. Po 15 minutach przelatujemy nad miastem nadbrzeżnym La Plata, za nim szara równina, lekkie mgły i już zarysy największego po Nowym Jorku miasta Ameryki, 6-milionowego Buenos Aires.

Czuję przyspieszenie tętna. Miasto przed zmierzchem. Zachodzące słońce oświetla nieznane krajobrazy nie kończących się ulic, miasto drgające w poziomych słupach światła, rozległe jak morze. Równina. Białe wstęgi betonu, lekki wstrząs, szybki pęd po ziemi z nagłym warkotem śmigieł i — spokój. Walizka, płaszcz, aparat, pożegnanie ze stewardessami i chłodne powietrze lotniska.

Teraz dopiero zaczyna się podróż.

BUENOS AIRES

To znaczy, że skończyła się zorganizowana, tak wygodna niewola samolotu, a rozpoczęła względna wolność poruszania się, wyboru drogi i miejsca. Czas jest znów do mej dyspozycji, ograniczony jedynie terminem paszportu i ilością dewiz. Z tą wolnością jest zresztą dość niewygodnie. Obładowany walizkami, płaszczem, parasolem, żałując, że nie jestem Małcurzyńskim, jak tego chciał koniecznie urzędnik odprawy celnej, wychodzę na plac przed lotniskiem i stwierdzam, że nikt po mnie nie przyjechał. 6 wieczór. Do miasta 40 kilometrów. Zabiera mnie autobus Air France. Skąd to uczucie zagubienia i smutku? Wrażenie bezsensu znalezienia się wśród tych obcych ludzi, których mowy nie rozumiem, z którymi nic mnie nie może wiązać prócz zdawkowej kurtuazji. A miasto już podchodzi pod autostradę domkami przedmieść, wiaduktami i nie kończącą się rzeką samochodów. Potem autostrada wpływa w szeroką avenidę, wzdłuż której ciągną się olbrzymie parki — wśród nich, jak wyspy, drapacze chmur. Smutek i niepokój przesłaniają mi ten pierwszy widok odkrywanego miasta Ameryki Południowej, tak upragnionej i nagle tak obcej. Ściemniło się już prawie zupełnie, gdy po półtoragodzinnej jeździe autobus wtoczył się w wąską uliczkę i stanął przed bardzo skromnym biurem Air France. Wchodzę z walizkami do małego sklepu raczej niż biura światowej linii lotniczej. I znów Francja przychodzi z pomocą. — Pan nie zna tu nikogo? — pyta z życzliwym uśmiechem urzędniczka Air France (zostałem jako jedyny pasażer w biurze, które się już zamyka). Proszę ją o zatelefonowanie do jakiegokolwiek hotelu i o taksówkę. Lecz nigdzie nie ma miesca, a jeżeli jest — cena pokoju przewyższa kilkakrotnie moją dietę hotelową. Poselstwo Polskie nie odpowiada. Cóż mi zostaje? Wyszukuję różne polskie adresy i uprzejma panienka, gdyż ja nie umiem telefonować po hiszpańsku, dzwoni do obcych mi zupełnie ludzi. Uczucie zagubienia i jakiegoś upokorzenia staje się nieznośne. Nagle, po piątej próbie, udało się. Przy aparacie jest. p. Nowiński, mówi po polsku, tylko że nie może zrozumieć, że przyleciałem przed godziną z Polski. — Ależ naprawdę z Polski i mam nawet dla pana list z Biura Łączności z Emigracją, Bracka 5. Proszę tylko o ułatwienie mi znalezienia na jedną noc hotelu. Jutro Poselstwo jest obowiązane zająć się moją osobą, gdyż jestem oficjalnym delegatem Towarzystwa Naukowego i Ministerstwa Zdrowia. — Mówiąc to przez telefon ciągle miałem wrażenie, że sam siebie bronię przed mistyfikają, że chcę kogoś przekonać o prawdzie moich słów, a w rzeczywistości jestem bezdomnym włóczęgą, naciągaczem bez grosza, hochsztaplerem odgrywającym nieprawdopodobną rolę profesora z Polski. A jednak uwierzył. I już za 5 minut witał się ze mną jak z dobrym znajomym starszy, siwawy pan. Cóż za ulga! Minęło uczucie zawstydzenia wobec francuskiej urzędniczki, której podziękowałem

uprzejmie. Wydzierając sobie wzajemnie z p. Nowińskim walizki weszliśmy do jego samochodu. Duży dom na wąskiej, eleganckiej ulicy. Marmur, nikiel, lustra, podziemny garaż, wielka hala, błyszcząca i czysta. Samochód zostawia się w środku, zajmą się nim. Klucz zostaje w samochodzie na wypadek pożaru. Z garażu windy do mieszkań. Znów boazerie, nikle, lustra, idealna, wymuskana czystość. W mieszkaniu miękki, ściszony wykwint, lecz również i Polska: obrazy polskie, duża polska biblioteka, pisma polskie na stole. Pani domu z serdecznością i uśmiechem podaje cocktaile przed kolacją. Oczywiście nie ma mowy o hotelu. Gościnny pokój z łazienką już przygotowany. Któż dziś u nas tak mieszka? W całej Polsce nie ma ani jednej kamienicy, która by choć w części dorównywała tej najzwyklejszej, jednej z tysięcy kamienic czynszowych w Buenos Aires. Nawet wejście i hall w hotelu „Bristol" w Warszawie są raczej obskurne w porównaniu z przeciętną argentyńską „czynszówką". Państwo Nowińscy są przedwojennymi emigrantami i utrzymują kontakt z krajem. Córkę kształcą na uniwersytecie w Warszawie. Ale dla mnie to znów Polska. Pytania i pytania. Więcej pytań niż możliwości odpowiedzi. Gdzieś zginęły Hiszpania, Afryka, Dakar, noc nad Atlantykiem, świt nad Brazylią — parę dni temu Warszawa, dziś wieczór polski prawie jak w Polsce, tylko nieco bogatszy. Prawdziwa gościnność polega na stworzeniu gościowi atmosfery własnego domu, nieskrępowania, braku przymusu rozmowy, zaproszeniu do wyzbycia się sztywności, wtajemniczeniu w drobne kłopoty domowe, przy równoczesnym zachowaniu wszystkich form towarzyskich, gestu i słowa, z dystansem, z dyskrecją, które wcale nie są równoznaczne z chłodem. To wszystko stało się w ciągu pół godziny w domu pp. Nowińskich. Chciałbym jednak być również w Ameryce Południowej w ten pierwszy wieczór na obcym kontynencie. Spełnia się i to życzenie. Po kolacji wyjeżdżamy autem — wysepką Polski płynącą w ciemnościach olbrzymiego, obcego miasta. Bo miasto jest ciemne. Na niektórych ulicach nawet latarnie zgaszone. Wjeżdżamy w szerokie avenidy, oświetlone tylko białymi, czerwonymi, nie kończącymi się światełkami samochodów. Przypomina się wojna, zaciemnienia, *black outy* miast starej Europy. Jaśniej jest w dzielnicy portowej, na bulwarach nad brzegiem La Platy. P. Nowiński tłumaczy mi, że są trudności gospodarcze, brak węgla, który trzeba sprowadzać ze Stanów za dewizy, że elektrownia często wyłącza prąd dzielnicami na parę godzin. (Znowu przypomina się Polska.) Tylko w określone dni od 10-ej do 12-ej w nocy można zapalać neony. Jedziemy dalej. Pp. Nowińscy pokazują mi pomniki, muzea, teatry — wielkie, ponure gmachy, wyłaniające się z mroku ulic. Rośnie we mnie chaotyczny obraz miasta-giganta, gdzie ulice nie mają kresu, gdzie ogrody kładą się kilometrami ciemnej zieleni, jak wyspy wśród kamiennego morza, a na avenidach rzeki aut płyną rwącymi strumieniami, zatrzymując się na skrzyżowaniach. Ludzi mało. Ciemne sklepy nie kuszą wystawami. Wracamy do centrum. Ulice węższe, ruch dużo mniejszy. I nagle w tej ciemności widać płomienie i słupy dymu, wznoszące się z chodników przy bramach domów. Na wszystkich prawie ulicach rzędy płonących kopców, małe pożary oświetlające domy do I piętra, gdy górne toną w mroku lub drgają blaskami szyb. Te paleniska ciągną się przez kilometry wąskich ulic. P. Nowiński tłumaczy: strajk pracowników oczyszczania miasta, a śmieci trzeba przecież spalić. To trwa już od tygodnia.

Brak węgla, ulice oświetlone płonącymi stosami śmieci, a równocześnie nie-

słychany luksus kamienic — cóż za materiał dla socjologa, ekonomisty, polityka! Lecz dzisiaj nie chcę polityki. Jeszcze czuję się podróżnikiem, jeszcze nie wygasła we mnie noc przelotu nad Atlantykiem, jeszcze chcę być widzem. Fascynuje mnie ta czerń ulic, dym ognisk — taka swojska jazda samochodem przez ogromne przestrzenie obcego miasta. To jest Buenos Aires. Nie fantazja, nie egzotyka, lecz kuturalnie, gospodarczo, politycznie określona rzeczywistość. Konkret absolutny. I drugi konkret — nasz samochód. Polacy, dla których ciemne Buenos Aires jest codziennością życia, a Polska — dalekim mitem, na pół rzeczywistym. I Polak, jeszcze ciepły od Polski prawdziwej, dla którego to ciemne Buenos Aires jest fantasmagorią, przygodą, fragmentem podróży, czymś, co w niczym nie zobowiązuje. Dla nich strajk, brak węgla, niewygoda, trudności w ruchu ulicznym, przeszkoda w pracy, dla mnie — feeria nocnego miasta, płonące kopce jak ogniska przed wigwamami indiańskich plemion, których wymierające resztki znaleźć można jeszcze w dorzeczu Iguasu lub na wschodnich zboczach Kordylierów.

Potem znów przytulny *home*, miękkie fotele, kawa, owoce i nie kończąca się w rozmowie Polska. Wychodzimy na balkon. Gwiazdy nie przygaszone łuną miasta. — Widzi pan, tam na prawo to jest Krzyż Południa. — Blada konstelacja, obcy znak obcego zodiaku nic mi nie mówi, niczego nie przepowiada, niczego nie determinuje. Zamykam oczy i jakby w powidoku widzę błyszczącą siedmioma gwiazdami Wielką Niedźwiedzicę, a w przedłużeniu jej tylnych łap — może okrutną, może krwawą, lecz tak bliską naszym losom — Gwiazdę Północy.

BUENOS AIRES II

Nie jestem reporterem ani turystą, ani nawet podróżującym literatem. Mam do spełnienia określone zadanie, związane z moją specjalnością. Od rana rozpoczyna się moja praca w tzw. terenie. „Teren" jest to określenie uniemożliwiające wszelki zachwyt, niszczące bezinteresowność doznań, a jedynie angażujące zawodowo. W wycieczce górskiej turyści mogą przeżywać uczucia zachwytu, lęku, grozy; mogą bezinteresownie wyzywać śmierć przy wspinaczce na grani, czuć przyjemną chropawość skał, chłód śniegu, ostrość słońca, czystą satysfakcję szczytu. Te same góry dla sekcji ratowniczej PTTK będą przede wszystkim elementem ich pracy, pracy w terenie.

Telefonuję do mego znajomego z Paryża, dr J. Malbrana, czołowego przedstawiciela okulistyki argentyńskiej. Przyjeżdża po mnie natychmiast samochodem. Widzę, że ten fakt ucieszył niezmiernie moich gospodarzy. I sam również nabrałem lepszego samopoczucia. Już nie jestem nieznanym gościem, nieznanym „rodakiem", któremu należy się pomoc i opieka — jestem „Kimś", po kogo przyjeżdża sam wielki Malbran. Obserwuję nieuchwytną zmianę w słowach i gestach pp. Nowińskich, którzy przecież i tak byli mili i serdeczni. Stałem się kimś nieco innym, niż byłem wczoraj. Nie tylko dla nich, lecz dla samego siebie, może trochę bardziej „ważnym". W tym nie ma niesprawiedliwości. To nie jest narzucona na kogoś z zewnątrz dekoracja. Osobowość bowiem nie jest czymś stałym i niezmiennym. Warstwy jej narastają nie tylko wskutek biologicznego istnienia, lecz dużo bardziej dzięki elementom własnej pracy, rozszerzającej jej granice i możliwości, a nawet jej istotę. Świadomie zużyłem

pewien określony czas na wykonanie pewnych prac, czyli na przezwyciężenie oporu materii, a nawet oporu jakiejś idei. W rezultacie rozszerzona w ten sposób cząstka osobowości natrafiła na osobowość p. Malbrana w Argentynie. Przed paru laty zbiegły się na określonym zagadnieniu naukowym nasze zainteresowania. Osobowość moja stała się bogatsza o jakąś malbranowską cząsteczkę. Bez tej rzeczywistości własnej, tej „zasługi", byłbym jednak pozbawiony tak przyjemnej w skutkach legitymacji sensu mego przyjazdu do Buenos Aires.

Samochód Malbrana — to maleńki „Volkswagen", wobec którego moja „Warszawa" jest wielkim, luksusowym samochodem. Malbran jedzie bardzo pewnie mimo dużego ruchu, zupełnie nie uregulowanego. Brak sygnalizacji świetlnej, brak policji, samochody nie mają kierunkowskazów, zastępuje je machnięcie ręką. Jeździ się bardzo szybko, lecz wypadków nie widziałem. Obserwuję narastający ruch, chwilami gęsty i szalony jak w Paryżu, lecz bez paryskiej harmonii i dyscypliny — i malejący na bocznych, źle wybrukowanych ulicach, przypominających trochę przedmieścia Łodzi i Warszawy. Rzeczowa rozmowa z Malbranem odrywa mnie od oglądania miasta. Przed wspólnym wyjazdem na kongres do Mar del Plata chce mi zorganizować 2 dni pobytu w Buenos Aires. Pokazać kliniki, w których pracuje, operacje, prace naukowe. Chociaż ma tytuł profesora, nie ma katedry. Od czasu uwolnienia — mówi — nie przyjął katedry, bo nie chce mieć kłopotu z dwoma tysiącami studentów. Woli mieć praktykę prywatną i pracować naukowo.

— O jakim to uwolnieniu pan mówi, profesorze? — zapytuję, gdyż nie przypominam sobie, żeby Argentyna kiedykolwiek była w jakiejś niewoli.

— Ależ od Perrona — wykrzykuje prawie namiętnie, mimo poprzedniego, zupełnie angielskiego chłodu. — Przecież to było gorsze od hitleryzmu.

— O! — Ugryzłem się w język. Cóż on może o tym wiedzieć.

W szpitalu przedstawił mi swego syna, który oczywiście dziedziczy wraz z nazwiskiem zawód po ojcu. Obaj niezmiernie uprzejmie oprowadzają mnie po szpitalu, zaznajamiając z metodami badania, operacji i organizacji pracy lekarskiej. O tych rzeczach nie będę pisał, interesują one tylko specjalistów. Wspomnę tylko, że ich kliniki i szpitale oczne nie są wiele lepsze od naszych. Mają jedynie bogatsze wyposażenie i nie muszą tak jak my walczyć o zdobycie każdego instrumentu, niezbędnego dla współczesnego lecznictwa. Gdy po zwiedzeniu jeszcze jednej kliniki usiedliśmy z Malbranem w gabinecie przy czarnej kawie, omawiając pasjonujące nas obu zagadnienie naukowe, nie zauważyliśmy nawet, że minął czas, w którym mieliśmy się spotkać z panią Malbran w restauracji. Spojrzałem na zegarek i zerwałem się przerażony naszym nietaktem.

— Niech się pan nie martwi, poczeka. Kobieta ma czas.

Było to pierwsze zetknięcie z niezrozumiałym dla mnie, rozciągliwym czasem argentyńskim, który, zwłaszcza w Buenos Aires, przestaje niekiedy zupełnie obowiązywać. I przyjechaliśmy z godzinnym opóźnieniem do restauracji. Okazało się, że pani Malbran jeszcze nie ma. Dopiero po pół godzinie stanęła przed nami bardzo elegancka pani, w czarnej, długiej sukni, i lekko przepraszała po francusku, że pewnie czekamy, że pewnie jesteśmy głodni, powiedziała, że należy wybrać dobry stolik, ale przedtem dla utrwalenia znajomości wypić cocktail. Pani Malbran okazała się jednak internacjonalnie nudna. Coś tam w Paryżu, ktoś tam w Londynie, Polonia-martyr, Chopin. Nie

lubię takich rozmów o Polsce. Stwierdziwszy chłodno, że już nie żadna „martyr", zacząłem opowiadać o wspólnych znajomych, o p. Berersie z Nowego Jorku, o p. Duke Elder z Londynu, o warszawskich koncertach i o teatrach paryskich. Tak można w nieskończoność. To nie zobowiązuje. Malbran umilkł. Nic go to nie obchodziło. Spokojnie jadł obiad, spoglądając dyskretnie na zegarek. Nie włączył się do naszej pseudo-intelektualnej rozmowy. Rozmowa sama w sobie, jako sztuka czy sport, dla ludzi tkwiących w studni swego zawodu staje się tak uciążliwa, jak jazda na nartach dla początkującego. Dlatego naukowcy bywają tak strasznie nudni w towarzystwie.

Ten dzień spędzony z Argentyńczykami nie ukazał mi Argentyny, odsunął Buenos Aires, lecz za to wprowadził *in medias res* codzienności, prawie nie różniącej się od naszej. Czułem zmęczenie i zadowolenie jak po dobrze wykonanej pracy. To był dzień fachowych, koleżeńskich rozmów, porozumienia ludzi tak dalekich sobie geografią, a tak bliskich wspólnotą fachu. Przy tym przyjemnie mi było, że porozumienie nasze zawdzięczamy językowi francuskiemu, który połączył dwa tak odległe światy.

W polskim domu pp. Nowińskich odnalazłem wieczorem znowu cząstkę Argentyny. Tam znów stałem się podróżnikiem. Tam indiańska służąca podawała argentyńską polędwicę i argentyńskie owoce, cierpkawe, niesmaczne, których nazwy nie pamiętam. Tam p. Nowiński przedstawił mi ciężką sytuację gospodarczą Argentyny, próby uwolnienia się od wpływów USA, niską stopę życiową robotników. Później słuchaliśmy radia, a pani pokazywała albumy z fotografiami pampasów, Ziemi Ognistej, Andów i dzikich puszcz prowincji Missiones. Potem znów wyjechaliśmy na wieczorny spacer, aby zwiedzać inne dzielnice i zabytki. Buenos Aires rozciągało się w ten ciepły wieczór jesienny kilometrami ulic, placów, avenid, płonęło stosami spalanych śmieci, a wilgotne powietrze nad La Plata drgało blaskiem przygaszonego miasta, miasta obcego, tajemniczego, prawie nierzeczywistego.

Witold Juliusz Kapuściński *

* Pseudonim literacki autora: Zygmunt Psarski.

Maria Pujmanowa

JAŚMINOWA NOC

Nocy, co niespokojnym zlewasz
Z wilgotnych dzbanów sen i spokój,
Którym krzew kwitnie i gwiazda się jaśni.
Odganiasz dymy, które sen im mącą,
Czoła zmęczone jaśminem trącam,
Jam noc miłości, nie kaźni.

Przeciągam nad ojczystą ziemią
Znaczoną tyloma śladami
Tych, co minęli już nas,
Wicher, co glinę na kość skował,
Dusze nam w ciele modelował.
Ja ziemia jestem, ja jej głos.

Trzeba mniej słów, ja wiem, ja wiem,
Chodź ze mną przez majową ciszę,
Ziemia i ja to jedno.
Trochę kochania, ach, to znam,
Jaśminem spoglądam ku gwiazdom
I wierzę: będziemy jedno.

Przełożył
J. I.

Jerzy Pytlakowski

PRZYGODY MACIEJA GOŁĄBA

PUDEŁKO Z ZAPAŁKAMI

— A więc dezerterujecie z pierwszej linii?! — huknął ambasador tak głośno, że Maciek instynktownie się skulił.

Siedzieli w bogato urządzonym salonie ambasady polskiej w Paryżu.

— Po pięciu latach otrzymałem wreszcie mieszkanie — tłumaczył się Maciek. — Żona pisze, że muszę je odebrać osobiście. Trzeba tam coś podpisać. Mam zastrzeżone w umowie, że co pół roku będę wzywany do kraju celem omówienia w redakcji mojej pracy. Tymczasem już od ośmiu miesięcy nie byłem w kraju.

— Tak! Bo frontowy żołnierz nie otrzymuje urlopów ani nigdzie nie bywa wzywany, często aż do śmierci. A my tu jesteśmy jak na froncie!

Ambasador, zdenerwowany do najwyższego stopnia, zagłębił się w miękkim fotelu i zapalił amerykańskiego papierosa.

— Zaraz wrócę. Tylko podpiszę, odbiorę mieszkanie i wrócę, towarzyszu ambasadorze...

— „Towarzyszu"... Uciekacie z pierwszej linii i mówicie mi „towarzyszu". Czy wiecie, że Wścieklińska „wybrała wolność"?

— Niemożliwe! Właśnie Wścieklińska?

— A co? Blisko żyliście z nią? Ostrzegałem was, żebyście unikali niepotrzebnych kontaktów. Kontaktowaliście się z Wścieklińską, a teraz uciekacie z pierwszej linii.

— Ja specjalnie się z nią nie kontaktowałem. Tylko ona ma podobną figurę do mojej żony.

Ambasador wybuchnął gromkim śmiechem.

— Wzruszająca miłość do żony! — wykrzyknął. — A więc wy szukacie kobiet o figurach podobnych do figury waszej żony?

— Kiedy wcale nie o to chodzi, o czym pan zapewne myśli, panie ambasadorze...

— „Panie"... Mówicie mi „panie"... Oderwaliście się od mas. Uciekacie z pierwszej linii.

— Ja chciałem żonie kupić futro. Prosiłem Wścieklińską o pomoc, bo ma podobną figurę do mojej żony. Czy teraz nie wolno mi przyjąć od niej także tej drobnej przysługi?

— Nie wolno. Żadnych kontaktów. Więc rejterujecie? To wasze nieodwołalne postanowienie?

— Bardzo mi przykro, panie ambasadorze. Wrócę za tydzień albo najpóźniej za dwa tygodnie. Muszę podpisać i odebrać mieszkanie. Żona nie ma gdzie mieszkać.

— Żebyście tylko nie żałowali...

Ambasador ozięble podał rękę Maćkowi, który kłaniając się nisko wyszedł z ambasady.

„Co robić? — myślał posępnie Maciek. — Wścieklińska odpadła. Innej kobiety o podobnej figurze nie znam."

Obiecał żonie futro, odłożył na ten cel pieniądze. Danusi należało się od niego futro. Nie miała futra. Stare, które otrzymała czy też raczej okazyjnie kupiła od jednego ze swych przyjaciół, gdy Maciek przebywał w Niemczech na robotach, już się podarło. Maciek nie chciał się okazać gorszy od przyjaciela Danusi, no i przeżył tyle miłych chwil w Paryżu, że doprawdy Danusi należało się od niego futro.

Poszedł do Piotra i opowiedział mu o swym zmartwieniu.

— Dolary. Kup dolary — rzekł Piotr. — Za dolary i w Polsce kupisz futro. Ja ci załatwię kupno dolarów.

— Przecież to będzie dewizowe przestępstwo — bronił się Maciek bez wielkiego przekonania.

— Jak dobrze schowasz, żadnego przestępstwa nie będzie.

Po dwóch dniach Maciek znalazł się w przedziale sypialnego wagonu pociągu jadącego do Warszawy. Na wszelki wypadek wiózł prawie wszystkie swoje rzeczy, gdyż wobec tego, iż ambasador tak usilnie odwodził go od wyjazdu do kraju, przygotowany był, że już tam pozostanie. Jedynie radioaparat, miednicę i garnki oddał Dyziowi na przechowanie. Dyzio zresztą przywłaszczył sobie radio, to drobne zdarzenie jednak nie należy do niniejszej opowieści...

W kieszeniach ubrania i palta Maciek ukrył chyba dziesięć pudełek z zapałkami. Lecz tylko jedno z nich, naznaczone cienką kreską ołówka, było pudełkiem o przemyślnie skonstruowanym podwojnym dnie, między którego dwiema płaszczyznami, pokryty szczelnie zapałkami, leżał złożony w czworo banknot pięćdziesięciodolarowy. Maciek wciąż przekładał pudełka, a to naznaczone kreską ołówka oglądał i chował, znów oglądał i chował.

Pierwsza odprawa celna na granicy między Francją i francuską strefą okupacyjną Niemiec minęła niepostrzeżenie. Przed położeniem się spać Maciek wypełnił ankiety celne i w nocy, podczas przejazdu przez granicę, nikt go nie obudził. Przed granicą czeską Niemcy rozbebeszyli jego walizki. Nie zamknął ich, i dobrze, gdyż celnicy czescy, gdy pociąg jechał przez Czechosłowację, okazywali żywe zainteresowanie walizkami Maćka. Polscy celnicy nie pozostali dłużni swym czeskim kolegom i przejrzeli szczegółowo również cały przedział, nie tylko walizki. Jednak w Polsce Maciek wypoczywał, gdyż nie musiał już wypełniać ankiet wjazdowych i wyjazdowych, dokąd jedzie i skąd, w jakim celu, gdzie mieszkał i gdzie będzie mieszkał w Paryżu i w Warszawie, jak się nazywali jego dziadkowie, rodzice, żona, dzieci...

Nikt natomiast nie interesował się pudełkami zapałek i sprawę można było uważać za definitywnie załatwioną. Zresztą pudełek ubywało. Pierwsze pudełko, rzecz prosta, bez kreski, opróżnione z zapałek, Maciek wyrzucił przez okno

jeszcze w Niemczech. W Czechosłowacji poszło następne, a w Polsce trzecie. Do Warszawy Maciek zajechał z siedmioma pudełkami zapałek.

Na dworcu w Warszawie od razu wpadł w istne zgromadzenie rodzinne. Witała go matka, żona i siostra.

Noc przespał jeszcze w pokoju na Mokotowskiej z Danusią. Starał się nie bez efektu zadokumentować jej, iż znajduje się przy niej, co przyjmowała z nieukrywanym zadowoleniem.

Nazajutrz był piękny, majowy dzień. Maciek złożył na odpowiednim formularzu swój podpis, którym zaświadczył przejęcie mieszkania. Mieszkanie było pełne słońca, zapachu farby i świeżego tynku.

— Niech sobie schnie — powiedział Maciek i poszedł do redakcji, a potem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W ciągu tygodnia, gdy ilość pudełek z zapałkami stopniała do pięciu, wyjaśniło się, że Maciek jest już niepotrzebny w Paryżu.

Na próżno powtarzał swą ostatnią rozmowę z ambasadorem. Wszyscy uśmiechali się, nie patrząc Maćkowi w oczy, i bezradnie rozkładali ręce.

— Trudno — powiedział Maciek do Danusi. — Widocznie ambasador miał rację i istotnie zdezerterowałem.

— To futra już mi nie przywieziesz? — spytała żałośnie Danusia.

— Widzisz — rzekł Maciek — Wścieklińska „wybrała wolność"...

— O, Wścieklińska... Nie znam żadnej Wścieklińskiej.

— Miała figurę podobną do ciebie. Ale to nieważne. Pojedziemy teraz do Świeradowa. Muszę wypocząć po tym ciosie, jakim okazała się dla mnie moja dezercja. Tam wszystko ci wyjaśnię.

Maciek ucałował serdecznie dwuletnią córeczkę, Wiesię, która po przeprowadzce została w nowym mieszkaniu pod opieką niani, i w towarzystwie Danusi, obarczony wielką, lśniącą, aluminiową walizą, w swym francuskim, rzucającym się w oczy garniturze, w zagranicznych butach i palcie, powiózł pięć pudełek zapałek ku granicy południowo-zachodniej.

Po wyjściu na peron w Świeradowie okazało się, że Danusia zapomniała o pisemnym zezwoleniu na pobyt w strefie przygranicznej. Maciek nic nie wiedział o nowym zarządzeniu, bo wówczas, gdy ono wyszło, przebywał w Paryżu.

Zmęczonych podróżnych ustawiono w kolejce. Trzej strażnicy powoli, z wielką dokładnością, a nawet z namaszczeniem, sprawdzali dokumenty oraz zezwolenia.

Maciek znajdował się jeszcze daleko od strażników, a już czuł na sobie ich wzrok, który przyciągało zagraniczne odzienie i lśniąca, wielka, aluminiowa waliza.

— Jak mogłaś zapomnieć — mówił do Danusi.

— Ty zapomniałeś kupić mi futra, to ja mogłam zapomnieć o zezwoleniach — odcięła się Danusia.

— Nie zapomniałem — jęknął Maciek i w tej chwili właśnie wpadł w objęcia strażnika.

— Nie macie zaświadczeń? — rzekł z nieukrywanym zadowoleniem strażnik. — Nie ruszajcie się z miejsca.

— Chciałem odpocząć po ciosie, jakim się okazała moja dezercja z Paryża — zwierzał się Maciek Danusi — a tu patrz, trzymają nas po całonocnej podróży. Nie wolno nam się ruszyć z miejsca...

Oczekiwanie nie trwało długo. Strażnik machnął ręką na Maćka i Danusię. Szczęśliwie udało im się ulokować walizę na ręcznym wózku miejscowego przewoźnika i tak zaszli i zajechali do strażnicy WOP-u, gdzie ich wepchnięto do pustego pokoju, po czym zamknięto drzwi na klucz. Przez okno mogli dowoli patrzeć na lśniącą walizę na wózku, obok którego stał przewoźnik.

— Ładnie się urlop zaczyna, nie ma co — mruknął Maciek.

Bał się, że mu zabiorą pudełka z zapałkami.

Danusia wpadła w złość. Biła i kopała drzwi.

— Otwierać! — krzyczała. — Ja wam pokażę, co to znaczy zamykać na klucz socjalistycznych wczasowiczów!

— Daj spokój — mitygował ją Maciek. — Tylko pogorszysz sprawę.

Jego obawy okazały się jednak nieuzasadnione. Alarm Danusi sprawił, że drzwi otwarto i do pokoju wszedł młody porucznik.

— Co to za hałasy? — spytał surowo.

Danusia przemówiła do niego tak „serdecznie i gorąco", że zaniemówił. W milczeniu obejrzał legitymacje Maćka i Danusi.

— To pańska żona? — zwrócił się do Maćka oddając dokumenty.

— Tak — skinął głową Maciek.

— Energiczna kobieta. Macie szczęście. Mogłem was pogonić pieszo do Lwówka z tą waszą walizą. Ale wolę z panią nie zadzierać.

— Ocaliłaś mi życie — powiedział Maciek do Danusi całując ją, gdy się znaleźli w pokoju pensjonatu, do którego mieli skierowanie. — Po ciosie, jakim się okazała moja dezercja z Paryża, umarłbym na pewno, gdybym musiał dźwigać moją walizę dwadzieścia cztery kilometry.

— Widzisz — westchnęła Danusia. — A ty nawet nie kupiłeś mi futra.

— Na zimę będziesz miała futro — rzekł dumnie Maciek.

— Naprawdę? — zdziwiła się Danusia. — W jaki sposób, jeżeli nie wracasz do Paryża?

— Później ci powiem. Ale już teraz możesz mi wierzyć, że będziesz miała futro.

Przez całe dwa tygodnie trwała piękna, słoneczna pogoda i urlop udałby się znakomicie, gdyby nie to, że Świeradów jest miejscowością kuracyjną, z wodami do picia, kąpielami mineralnymi, borowiną, fizykoterapią i tak dalej. Sanatoryjny lekarz początkowo nie chciał zapisać Maćkowi i Danusi kuracji, gdyż mieli przebywać w Świeradowie tylko dwa tygodnie, najkrótsza zaś kuracja jego zdaniem musiała trwać trzy tygodnie. Podczas gorącej wymiany zdań ów lekarz jeszcze bardziej przypominał wariata niż Maciek. Natomiast bez ociągania się zapisał zabiegi prywatny lekarz, za co wziął dwieście złotych. Danusia zaziębiła się w borowinie i dostała silnej newralgii głowy, a Maciek zepsuł sobie z kretesem żołądek mineralnymi wodami.

Jednak w pociągu wiozącym ich do Warszawy od razu poczuli się lepiej, a w Warszawie, po paru dniach, zupełnie dobrze.

W niedzielę wieczorem, gdy Wiesia i niania już spały, Maciek poprosił Danusię do swego pokoju.

— Teraz załatwimy sprawę twojego futra — rzekł tajemniczo.

Danusia usiadła w fotelu i milczała oczekując na dalsze wyjaśnienia.

Maciek wyjął z kieszeni pierwsze pudełko zapałek. Obejrzał je uważnie przy świetle lampy stojącej na biurku. Nie miało kreski ołówka. Tak samo drugie,

trzecie, czwarte i piąte. Zaczął gorączkowo przeszukiwać kieszenie wszystkich ubrań i palt. Wyciągnął wszystkie pudełka z zapałkami, jakie znalazł, i uważnie je oglądał. Żadne nie nosiło śladu ołówka. Biegał po mieszkaniu szukając dalszych francuskich pudełek po zapałkach i z zapałkami, ale były tylko polskie. Następnie powtórnie przeszukał wszystkie ubrania, walizki, szuflady. Lecz francuskich pudełek z zapałkami ani bez zapałek więcej nie znalazł.

— Co ty właściwie wyprawiasz? — spytała Danusia mocno zdziwiona.

Maciek nic jej nie odpowiedział. Właśnie podskakiwał komicznie usiłując dogrzebać się we wnętrzu kieszeni ubrania, które miał na sobie, pudełka z zapałkami, naznaczonego kreską ołówka.

— Przecież widziałem je jeszcze... — Nie pamiętał, kiedy widział je po raz ostatni. — Przecież je miałem, wiem na pewno, że miałem.

— Po co ci aż tyle zapałek? — spytała poważnie Danusia. — I co wspólnego z moim futrem mogą mieć zapałki?

Maciek wysypywał teraz zapałki z pudełek i rozrywał denka. Były tylko pojedyncze. Gdy skończył z francuskimi pudełkami, przyniósł z kuchni wszystkie polskie i robił z nimi to samo. Na biurku i podłodze leżał stos zapałek i połamanych pudełek. Był to smutny widok. Ale ponieważ polskie zapałki i pogruchotane pudełka mieszały się z francuskimi, więc przy odrobinie dobrej woli i fantazji w widoku tym można się było dopatrzeć pewnego rodzaju symbolu przyjaźni polsko-francuskiej. Rzecz prosta, zdenerwowany do najwyższego stopnia Maciek nie zauważył tego.

— Nie ma i nie ma! — powtarzał rozpaczliwie jak maniak. — Nie ma i nie ma...

— Czego nie ma? — spytała rzeczowo Danusia, przejmując inicjatywę.

Maciek usiadł na krześle i zasłoniwszy dłońmi oczy opowiedział historię dolarów przeznaczonych na kupno futra, ukrytych w pudełku z zapałkami.

— Kreskę zrobiłeś ołówkiem czy piórem? — przystąpiła do śledztwa Danusia.

— Ołówkiem.

— Kto takie kreski robi ołówkiem! Oczywiście kreska się starła i najspokojniej w świecie wyrzuciłeś pudełko z dolarami.

— Przecież widziałem je jeszcze...

Ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy widział pudełko z kreską po raz ostatni.

— Zawsze uważałam, że jesteś wyjątkowym durniem — oświadczyła Danusia. — A ty mówiłeś, że nie. Teraz już chyba nie masz wątpliwości, że ja mam rację?

Maciek był tak przybity, że Danusi zrobiło się go żal.

— Nie martw się — powiedziała. — Ostatecznie obejdę się bez futra. Szkoda tylko, że tyle pieniędzy po prostu wyrzuciłeś za okno. Chociaż może te dolary znalazł ktoś, kto bardziej ich potrzebował niż my? Nie na futro, a na życie?

Nazajutrz niania sprzątając pokój Maćka nie mogła się nadziwić.

— Co to się też porobiło z tymi zapałkami — gderała. — Może to jakaś zagraniczna zabawa? Jeśli zawsze tak będzie, to ja odchodzę.

Danusia uspokoiła ją, że Maciek nie będzie w dalszym ciągu tak „się bawił".

Maciek jeszcze przez długi czas dostawał nerwowej drżączki na widok każdego pudełka z zapałkami. Znosił je do swojego pokoju, wysypywał zapałki, rozrywał denka, oczywiście zawsze z identycznym skutkiem. Ale już sam sprzątał po sobie zapałczane pobojowisko.

Jerzy Pytlakowski

Julian Przyboś

Z „TEORII POZNANIA“ LIRYCZNEGO

Nie ten jest poetą, kto najsilniej czuje, lecz ten, kto nalepiej wypowiada to, co czuje; z dobrych uczuć powstają złe wiersze; wiersze robi się ze słów, a nie z myśli itd. aż po zdanie Peipera, że źródłem poezji jest miłość słowa... Wszystkie takie twierdzenia wywracają na nice naiwnie romantyczną wiarę w „czucie” i natchnienie. Powiedziałem: romantyczną, a przecież to wiara prastara, najdawniejsza. Od czasów ustnej ankiety, jaką przeprowadził Sokrates wśród ateńskich artystów, jak to relacjonuje Platon, mało kto wątpił, że poezja to jakieś święte szaleństwo, rzadki dar Muz, a poeta to protegowany Apollina.

Muza poruszała piersiami pieśniarza, bóg przemawiał jego ustami i to, co poeta mówił, nie było wyrazem ludzkiego stanu jego duszy, lecz jego entuzjazmu, czyli przebóstwienia. Na krańcu więc mitycznego pojmowania swojej roli starodawny poeta spotyka się z takim poetą współczesnym, który z rozważań o poezji wyklucza poprzedzające poemat uczucia i myśli. Tak jak natchniony poeta dionizyjski nie chciał zastanawiać się nad swoimi uczuciami, bo przypisywał je nie sobie, lecz bóstwu, dzisiejszy wróg mitu natchnienia nie chce mówić o stanach swej duszy jako o przyczynie poezji. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że, jak mówi Peiper, tyle na temat uczuć w poezji nagadano i nablagowano, że odróżnieniem w mowie prawdziwego uczucia od udanego — mogłoby być jedynie zamilknięcie... „Wstydliwość uczuć”, to jest powściągliwość, dyskrecja i pośredniość w ich słownym przekazywaniu, staje się więc sprawą godności i rzetelności poety. Godności, bo człowiek pozbawiony hamulców, „żywiołowiec”, bliższy jest naturze niż kulturze (a człowiek zaczyna się od panowania nad naturą zewnątrz i wewnątrz siebie) — rzetelności, bo skoro tak nadużyto słów dla bezpośredniego pokazania uczuć, że już się im nie wierzy — tylko powściągliwość w ich wyrażaniu może przywrócić wiarę w ich istnienie. Peiper jednak, jak to trafnie przedstawił Janusz Sławiński *(Poetyka i poezja T. Peipera, Twórczość* z czerwca br.), poszedł dalej. Wykluczył ze swojej teorii poezji uczucia życiowe jako przyczynę sprawczą liryki. Nie afekty i stany uczuciowe, takie jak miłość i gniew, radość i smutek, żal i rozpacz, budzą w poecie dyspozycję liryczną, nie „przepełniona” i „wezbrana” pierś intonuje pieśń poetycką. „Silne uczucia rodzą słabe wiersze.” „Tylko partacz sądzi, że artyście wolno czuć.” Jeśli to prawda, to uczucia są przeszkodą w tworzeniu dobrych wierszy. I to nie tylko wtedy, kiedy liryk je przeżywa,

co można łatwo zrozumieć, ale i potem, gdy je wspomina. Czyżby więc należało wyłączyć z genezy liryki, tej *ex definitione* „mocy uczuć" — uczucie? Tak — powiada Peiper — uczucie „życiowe" może być tylko pobudką pośrednią, poruszającą stałą dyspozycję uczuciową poety, a mianowicie: zamiłowanie do robienia ze słów poezji. Jest to uczucie swoiście poetyckie, uczucie natury estetyczno-wytwórczej: miłość słowa. Jest to więc uczucie zawodowe. Popęd do kształtowania mowy, dążenie do wydobycia ze słów i zdań możliwości wyrazu dotychczas nie osiągniętych. Sama więc obróbka słowa, jak dla szlifierza wytoczenie brylantu z diamentu, stać się ma bezpośrednią pobudką i celem pracy poetyckiej. Uczuciu „życiowemu" przeciwstawił Peiper uczucia specyficznie poetyckie. Owocem trwałym wszelkiej pracy poetyckiej bywają — powiada — powiedzenia i zwroty tak trafne, że stają się przysłowiami. Poeci są więc twórcami i ustawicznymi odnowicielami języka. — Są krwią odżywiającą organizm naszej mowy codziennej. Bez ich ożywczej działalności język by zesztywniał i skostniał, przestałby żyć życiem epoki. (Przykłady takiego odumarcia przez język czasu, który się dzieje, znaleźć łatwo nie tylko w językach martwych.)

Z tej miłości do słowa i do tego, co z nim można zrobić, płynie niechęć Peipera do kojarzenia go z obrazem. Obraz w poezji jest wprowadzeniem obcego, malarskiego pierwiastka do literatury. Świadczy więc o braku zaufania do słowa, jako do przede wszystkim pojęciowego znaku i do tego, co jest specyficznie poetyckie. Dążąc do absolutnej czystości poetyckiej, Peiper opowiedział się za „słowiarstwem", za literackością, a przeciw plastyce w poezji. Jego metafora jest nieobrazowa.

W żadnej kieszeni nie rozbiję namiotu
i nie dam zakuć w łańcuch mego łóżka.

Zdania te oparte są nie na widzeniu czy zroście widzeń obrazowych, ale na grze pojęć. Pamiętam, gdy o tym mówiłem z Witkacym, powiedział, że owszem: można sobie przecież wyobrazić olbrzyma o kieszeniach tak wielkich, iż można by w nich ustawiać namioty... Zupełnie więc nie rozumiał intencji Peipera. Nie chodzi o to, żeby sobie wyobrazić namiot rozbity w kieszeni, lecz dostrzec w tym powiedzeniu wyrafinowaną metonimię pospolitego stwierdzenia: nie dam się nikomu i niczemu kupić, nie będę żył dla pieniędzy itp. — i nigdy się nie ożenię. Gdy pierwsze z tych zdań błyska pewną wieloznacznością i dlatego wydaje mi się wysoce usprawiedliwione poetycko, drugie jest tylko peryfrazą i wydwarzaniem.

Mój spór z Peiperem zaczął się od niezgody na wykluczenie z poezji obrazu. Moja fantazja nie mieściła się w schemacie gry półpojęć i błyskotliwych peryfraz. Nie wystarczała mi praca nad słowem jako cel. Czułem, czy tylko się łudziłem, że to, co jest poezją w moich wierszach, przelatując przez słowa, nie utożsamia się z nimi. Poezja była, tak mi się zdawało, obszerniejsza niż słowa i zdania. Była — nazwałem to skromnie, żeby nie narazić się na metafizykowanie — „międzysłowiem". Dziwiłem się, jak niedorównany, nieadekwatny był stosunek przeżycia do jego wyrazu w poezji Peipera. Nie trzeba bowiem sądzić, że liryka Peipera to owoc tylko „mózgowej" spekulacji, o co go oskarżali naiwni słowoleje. W ankiecie *Okolicy poetów* na temat genezy

wiersza można znaleźć zdumiewającą odpowiedź Peipera. Opowiada w niej, jak pod wpływem zgaśnięcia świateł w całym mieście wskutek defektu w elektrowni powstał w nim — nieświadomie i niemal automatycznie — wiersz *Chorał robotników*. Wiersz ten nic nie ma wspólnego ze swoją genezą. Być może miłość do słowa tak się rozkrzewiła w instynkcie pisarskim autora *Nowych ust*, że nie chciała wyrażać niczego innego prócz siebie. Tak więc nadmierna miłość słowa zawiodła do zaprzeczenia samej istoty słowa: służebności słowa wobec czującego podmiotu. Zatracił się w niej tak zwany „bohater liryczny".

Janusz Sławiński zdaje we wspomnianym szkicu sprawę z tego paradoksu poetyki Peipera w sposób jasny, świadczący o zrozumieniu i przemyśleniu zagadnienia. Pierwszy to taki głos w naszej krytyce. O Peiperze i jego aż skrajnie oryginalnej, bo paradoksalnej teorii poezji — najbardziej literackiej teorii, jaką pomyślano na świecie — pisano dotychczas bez zrozumienia. Nawet Irzykowski nie trafił w sedno peiperyzmu. Idea ta nie wyszła poza granice Polski, a znalazłaby tam — myślę o krajach romańskich — łatwe zrozumienie. Pewne jej składniki zawierała — jeśli nie teoria — to praktyka poetycka hiszpańskiego „ultraizmu" z V. Huidobro na czele. Tam też, w wielkiej poezji hiszpańskiej, w wiecznie żywym gongoryzmie, bije źródło tej poetyki. Barok bowiem, według Peipera, zbliżył się najbardziej do istoty poezji.

Rozbrat przeżycia z jego wyrazem w poezji, nie wyrażanie uczuć, lecz zastępowanie ich w mowie przez „ekwiwalenty" (a więc peryfrazowanie i metonimiczne przezwanie uczucia), ten rozbrat wynikł z przesłanki pozornie słusznej. Zwalczając romantyczne (a raczej pseudoromantyczne) przeciwstawianie uczucia — myśli, popadł Peiper niepostrzeżenie w niewolę tej przesadnej antynomii. Mówi wprawdzie: „Podwójnie czuję, gdy wiem i myślę o tym, że czuję" (cytuję z pamięci), i sądzi, że w ten sposób niweczy tę antynomię. W praktyce jednak poetyckiej tylko rozważa i opisuje. Sławetne „ekwiwalenty słowne" wcale nie sugerują niczego innego prócz zewnętrznych cech opisywanego przedmiotu. Sądzę, że powód takiego stylu tkwi w samym sposobie reagowania psychicznego na treść emocjonalną „przeżycia". Nie można być równocześnie podmiotem i przedmiotem badania. Badając, co czuję, fałszuję naturę uczucia. Wprawdzie pisze się o tym, co się czuje, nie wtedy, kiedy się czuło — jeśli jednak mechanizm introspekcji działa nieustannie, zmienia bieg i charakter uczucia i pozostawia w pamięci tylko myśl o tym, że się czuło, a nie jedyną dla każdego wzruszenia wibrację i ton. Wtedy uwaga przenosi się na przedmiot uczucia, tj. na to, do czego się uczucie odnosi, a nie na jego siłę i charakter. Tu, w tym nieuniknionym wtedy osłabieniu żywiołowości afektu i ustawicznej samokontroli tkwi geneza Peiperowskiej liryki, jej opisowość, a nie ekspresyjność. Wszystkie wynalazki techniczne Peipera, jak „układ rozkwitania", „natrętność" wyobrażeń, „rozbijanie tworzydeł", nie służą lirycznej, a więc nagłej wypowiedzi, lecz ozdobnemu, powolnemu opisowi. Stąd rozwijająca się w poezji Peipera skłonność do wierszy fabularnych.

Doszedłszy do tego wniosku, zatrzymajmy się, cofnijmy do pytania zasadniczego w teorii liryki: Czy afekty i stany uczuciowe są w ogóle w języku wyrażalne? Czy można przekazać w słowach coś, co jest za każdym razem inne i jedyne? Język chwyta tylko to, co powtarzalne, co daje się porównać i zamknąć w pojęciu ogólnym. Nie ma słów przystających do konkretnych rzeczy

i jedynych, chwilowych procesów. Zaimek „ten, ta, to" też jest tylko znakiem — ogólnym. W siatkę języka chwyta się stosunki między przedstawieniami, a więc tworami umysłu już uogólnionymi, a fala wzruszeń przepływa przez tę sieć słów niepochwytna. A więc: czy liryka jest w ogóle możliwa?

Z tym pytaniem wiąże się sprawa „naturalności" uczucia. We wstępie do *Krytyki poznania lirycznego* należałoby odpowiedzieć na pytanie: Czy „czysty" afekt jest w ogóle możliwy? Czy człowiek kultury doświadcza wzruszeń w niepohamowanym ich, naturalnym przebiegu — bez powściągu zmieniającej ich naturę refleksji? Peiper na to pytanie odpowiedział zaprzecznie. I z tej negacji wyciągnął dla swojej liryki najdalsze konsekwencje.

Zdumiewające, że jego teorii nie dotknęła w niczym, nawet nie musnęła — myśl Freuda, odkrywająca w człowieku cywilizowanym żywioł pierwotnej natury. Człowiek Peipera żyje życiem uczuciowym osiemnastowiecznego dworzanina-racjonalisty.

A jednak jest okres w życiu każdego człowieka, kiedy bezpośrednio wyraża swoje wzruszenia. Nie wyraża ich jednak słowem, lecz płaczem, śmiechem, krzykiem, ruchami całego ciała: dzieciństwo. Freud odkrył, że dorosły jest w sferze instynktów i uczuć „podszyty dzieckiem". A przed nim wiedzieli o tym ci niezliczeni poeci i artyści, którzy w swoim dzieciństwie widzieli niewyczerpany zasób poetyckiej fantazji i tzw. skarbów serca. Czyżby więc sztuka liryczna, sztuka wyrażania uczuć zakładała infantylizm, czyżby lirykiem był pisarz, który zachował w swojej psychice dzieciństwo? I który by szukał tej świeżości i bezpośredniości doznań wśród słów, na jakie — zamiast łez i śmiechu, zamiast westchnień i okrzyków — został jako dorosły skazany? Czyżby liryzm polegał na zdolności zapominania o konwencjach, jakimi ujęto to, co w człowieku jest żywiołem, i na wyzwoleniu tego żywiołu przy pomocy słów? Czy jednak można zapomnieć o umowności samego słowa? Jeśli nie, to może trzeba je tak przeistoczyć, ażeby nie przypominało siebie samego, jako znaku i nazwy, lecz żeby się utożsamiło ze stanem psychicznym, który pragniemy wyrazić bezpośrednio, jak w dzieciństwie wyrażaliśmy go krzykiem i płaczem, ruchami całego ciała? Ależ liryzm, jako zjawisko z dziedziny psychologii twórczości, nie jest czymś absolutnie nowym i pierwszym, liryzm, czyli to, co formuje wiersz liryczny, jest uwarunkowany przez formy liryki, wykształcony w ciągu wieków kultury literackiej. Czyż więc nie jest jedynie słusznym stanowisko takie, jakie zajmuje Peiper: zgodzić się na nieuchronną literackość i dążyć jedynie, ażeby nie przypominała ogranych już i zużytych konwencji. Na tle starych form — rozwijać propozycję form względnie nowych, a nowych tylko przez porównanie z formami bezpośrednio je poprzedzającymi. Albo, jak Eliot i liryka chińska, sprowadzić sztukę poetycką do umiejętności ustawicznego cytatu i do aluzji do konwencji już dawniej, w ciągu wielowiekowego rozwoju użytych?

Przypomina mi się rozmowa z wybitnym malarzem-abstrakcjonistą, Mortensenem. O genezie swoich obrazów, z których wykluczył przedmioty, obrazów najdalszych od wszelkiej „literatury", mówił tak, jak nowelista i liryk zarazem. Nie maluje niczego prócz przestrzeni — a każdej swojej kompozycji nadaje nazwę miejscowości, gdzie powstała. Nie tylko powstała, ale w sposób abstrakcyjny opisała czy wyraziła to, co widział i czuł ten malarz. Sublimacja tych doznań niezwykle intensywnych była jak one potężna: nie wyraziła się

na płótnie w niczym, co by przypominało pejzaż lub ludzi widzianych w nazwanej miejscowości; wyraziła się jedynie w stosunkach przestrzennych uwidocznionych kolorowymi płaszczyznami. A jednak malarz miał głębokie przekonanie, ba, pewność, że te jego abstrakcje malarskie wypowiedziały, co widział i czuł w danej miejscowości. Dla niego były one pejzażami krajobrazu i pejzażami duszy, rodzajem pamiętnika z podróży. Mówiąc z Mortensenem o teorii powidoków Strzemińskiego i widzeniu unistycznym, powołałem się na pierwsze przedstawienia wzrokowe, jakie mamy tuż po przebudzeniu, i użyłem wyrażenia *„l'oeil-vierge"*. W tej pierwszej chwili po przebudzeniu przyjmujemy świat okiem, w którym nie ma jeszcze ustawicznej pogoni widoków i powidoków, okiem dziewiczym, reagującym na bodźce świetlne „naturalnie", bez ingerencji pamięci form już widzianych. Są to chwile krótkie — i trzeba wyjątkowej dyscypliny, żeby tak oczyścić oko w ciągu dnia i widzieć „dziewiczo". Mortensen kwestionował osiągnięcie takiego stanu wzroku. Wzrok człowieka dorosłego, a cóż dopiero malarza, jest już na stałe tak zasiany splątanym lasem form dawniej widzianych i zatrzymanych w pamięci, że każda nowa ujrzana forma natychmiast kojarzy się z poprzednio widzianymi. Wzrok nowoczesnego malarza i widza wzbogacił się dzięki muzeum i sztuce kolorowych reprodukcji o to wszystko, co już zostało zobaczone i namalowane. *„Musée imaginaire"* wiecznie obecne w naszej pamięci i wyobraźni wzrokowej kształtuje także to, co aktualnie widzimy. Nie ma oka dziewiczego.

Ale to mówił malarz, który, choć znakomity, nie odkrył nowego widzenia rzeczywistości. Dokonuje on tylko częściowych wynalazków formy w ramach konwencji już odkrytej przez Malewicza i Mondriana. Twórcy suprematyzmu, neoplastycyzmu, podobnie jak twórca widzenia unistycznego — oni mieli to oko dziewicze. Umieli w pewnym stadium swoich doświadczeń plastycznych wyplątać się ze wszystkich ustalonych konwencji i ujrzeć rzeczywistość tak, jak jej jeszcze żadne oko nie widziało.

Tak samo, sądzę, dzieje się, gdy rodzi się nowa poezja. Twórcy kierunków i prawodawcy stylu w poezji nie mieszczą się w zastanych konwencjach. Wyplątawszy się z nich, sięgają po to, co nieznane jeszcze i niedoświadczone. Dokąd? Do wiecznie żywej w każdej żywej liryce dziewiczej puszczy dzieciństwa i wczesnej młodości (która — przed Freudem stary poeta to powiedział — jest rzeźbiarką, co wykuwa itd.).

Tam, w tym mateczniku obrazów i skrytych głęboko pragnień, żyje baśniowy jednorożec dla każdego artysty inaczej przeznaczony. Tam go łowią i przenoszą do wciąż na nowo zakładanego raju wyobraźni i serca. Ma on plan wytyczony przez strukturę wyobraźni i uczuciowości, widocznych bez maski w dzieciństwie. Ażeby powstała nowa liryka, musi się wedrzeć w skomplikowane muzeum form bezforemna pierwotność po to, aby w tym świecie zastanych konwencji przemienić porządek i zaproponować nową jego zasadę. Poezja bowiem jest przeciwieństwem umowności, jest buntem przeciw literackości, jest nieustającym kryzysem piśmiennictwa. Można by zaryzykować paradoks, że poezja rodzi się z zaprzeczenia poezji, tj. poezji ułożonej już i utrwalonej w wierszu.

Choćbyśmy odrzucili przesadne i przesądne uroszczenia „psychologii głębi" — żaden artysta nie zaprzeczy, że świat jego fantazji począł się i uformował w dzieciństwie i wczesnej młodości. O kształcie tej fantazji rzadko

wtedy decyduje świadomość społeczna przyszłego artysty. Klasowa struktura społeczeństwa załamuje się w psychice poprzez tysiączne pryzmaty zdarzeń codziennych i zapada w jej głębie niepostrzeżenie. Kto stworzy nową psychoanalizę, która by „kompleksy" przełożyła na formy wyobcowania człowieka w społeczeństwie klasowym? Zdaje się, że to Henri Vallon korzysta ze zdobyczy Freuda i wyjaśnia je po marksistowsku.

Dla ostrości obrazu rozważam tu stanowiska krańcowe. Wiek XX znamionuje bowiem krańcowość, dążenie do ostatecznych konsekwencji wyłonionej idei artystycznej. Artystę XX wieku znamionuje „nienasycenie formą". Co dla produkującego według uznanych wzorów jest już formą, to dla nowoczesnego artysty niekształtnym jeszcze surogatem. Tak np. na rozpowszechniony przed wojną typ wiersza Staffowskiego patrzyliśmy jak na surowiec, a nie lirykę. Wiersz, dla którego napisania wystarczy jedna „myśl", nastrój czy gra słów — skupiona w końcowym zdaniu — puencie — to zaledwie byłby materiał, notatka. Być może udałoby się z takiej notatki wyrobić jedno zdanie, a może tylko zestawienie dwóch słów dla wiersza „integralnego". „Celem dążeń artysty stało się nie jedno dzieło sztuki, lecz osiągnięcie koncepcji artystycznej, dającej największą kondensację formy, ekonomię i jednolitość budowy" — mówi twórca unizmu. Nie chodzi o dobre obrazy i poematy — chodzi o znalezienie zasady najwyższego skupienia energii, o koncepcję, której zastosowanie da gęstość mowy i potęgę formy dotychczas nieosiągniętą. Słowem, chodzi — o obalenie starej i stworzenie nowej sztuki. Tym tylko — po raz pierwszy tak jasno uświadomionym — dążeniem tłumaczy się nie kończąca się pogoń kierunków artystycznych XX wieku. Nie chodzi już o stopniowe podwyższanie poziomu dzieł, chodzi o absolut dzieła.

Czy wobec tak rozpętanej woli formy, iż rozbija każdą formę, możliwa jest poezja i sztuka? To zapewne tę dialektycznie sprzeczną istotę ruchu w poezji miał na myśli Zbigniew Bieńkowski w poemacie *Nieskończoność* mówiąc: „Z k a ż d ą c h w i l ą c o r a z r o z l e g l e j s z a, c o r a z b a r d z i e j n i e d o p o k o n a n i a, n i e d o o s i ą g n i ę c i a i n i e d o z g ł ę b i e n i a... w p a d a j ą c a w e w s z y s t k i e m o ż l i w e o s t a t e c z n o ś c i". Dialektykę tych przemian wytłumaczyć można inaczej, nie nurzając kwestii w metafizycznej nieskończoności.

Natychmiastowe porzucanie osiągniętego kształtu wytłumaczyć można samą istotą liryzmu, o czym mówiłem przed chwilą. Żadna forma słowna nie przystaje do stanów nie nazywanych nigdy bezpośrednio przez słowa. A więc? Trzeba się jąć podstępu i drogami i ścieżkami okólnymi zdążać do celu? Nie opisywać, nie opowiadać... a więc „pseudonimować"? Byłoby to zrezygnowanie z osągnięcia liryzmu, wybranie drogi dookolnej, okrążającej przedmiot coraz odleglejszymi kręgami. Byłoby to wyrażanie zgody na literaturę w poezji. Byłaby to rezygnacja.

Co innego uczucie, które liryk chce przekazać słuchaczowi, a co innego uczucie, jakie wywołuje wiersz jako wiersz. Jeśli jednak rozdział między nimi jest tak wielki, iż wzruszenie odbiorcy nie koresponduje z owym przekazywanym uczuciem — nazwijmy je — życiowym (w przeciwstawieniu do estetycznego), wiersz oddala się od liryzmu. Przykład szczytowych osiągnięć w liryce świadczy o doskonałym zjednoczeniu tego, co estetyczne, z tym, co życiowe. Liryki lozańskie składają się ze słów tak przeistoczonych, że słyszy się

płacz poety, a nie słowa o nim mówiące. Słowo, jak w Biblii, staje się ciałem. Ciałem żalu i uczucia przemijania. Słowo się s t a j e. Co to znaczy?

Jak się to dzieje i jak sprawić, żeby się działo — nie ma na to teorii ni wskazania. Wiersze-westchnienia, wiersze-żale, wiersze-uśmiechy, liryki ze słów wcielonych w uczucia są najrzadsze — i nie zdarzają się zawodowym lirykom piszącym bez przerwy. S ą w ł a ś n i e p r z e r w ą, z e r w a n i e m z z a w o d o w o ś c i ą, z p i s a n i e m d l a w y r a ż e n i a c z e g o ś. Są owocem nie pracy nad nimi i doświadczenia literackiego, ale takiej pełni i siły życia, że można już milczeć i słowo staje się niepotrzebne. Na szczytach sztuki — sztuka, służąca duchowi, znika, stając się samym duchem. I wtedy właśnie s t a j e s i ę, przestaje być znakiem, bo żyje życiem całej duszy poety. Życiem? Co to znaczy? Wszystko i nic? Znaczy to właśnie to, czego świadectwem w literaturze jest zupełna, czysta, integralna — i jak tam jeszcze ją nazwać — prawdziwa poezja. W tym *circulus vitiosus* na razie pozostańmy. Pod każdym słowem widzi się i czuje głębię niewypowiedzianą, lecz obecną.

Julian Przyboś

Roger Caillois

DEFINICJA FANTASTYKI

Gdyby nie Chiny i Japonia, zaryzykowałbym twierdzenie, że fantastyka przerażenia jest absolutnym i stosunkowo nawet późnym wynalazkiem literatury uczonej. Zresztą, także w Chinach i Japonii, owe krew mrożące w żyłach opowieści, podawane za ludowe i tradycyjne, tylekroć były przerabiane i przepisywane przez bardzo świadomych swej sztuki autorów, że niewiele w nich pewno zostało z ich prymitywnej naiwności i dawnej atmosfery. Poza tym występują w nich duchy i wampiry, a nie wielkoludy i wróżki. Widzę w tym zasadniczą różnicę, tak zasadniczą, że aż się zastanawiam, czy nie ona właśnie wyznacza granice fantastyki. Bo przecież dziwnym się może na pozór wydawać, że duchy odczuwamy jako przynależące do świata fantastyki, podczas gdy wielkoludy czy krasnoludki, stwory nie mniej nadprzyrodzone, zaliczamy po prostu do bajki.

FANTASTYKA I BAŚNIOWOŚĆ

Należy przede wszystkim rozgraniczyć od razu te dwa zbieżne i tak często mylone pojęcia. Baśniowość to świat cudowności, który przeciwstawia się światu rzeczywistemu, nie naruszając w niczym jego wewnętrznego ładu; fantastyka natomiast jest skandalicznym, nieznośnym wręcz wdzieraniem się niezwykłości do życia codziennego. Innymi słowy świat baśni i świat rzeczywisty „koegzystują" ze sobą bez żadnych trudności czy konfliktów. Są to dwa różne ś r o d o w i s k a, posłuszne różnym prawom i zamieszkałe przez różne istoty, które nie przeszkadzając sobie w niczym żyją zupełnie naturalnie w warunkach dwóch nie zazębiających się światów. Inaczej z fantastyką. To nie środowisko — lecz agresja. Świat feeryczny zaludniony jest przez smoki, królewny i wróżki; cuda i metamorfozy są w nim rzeczą naturalną; czarodziejska różdżka stale w użyciu; talizmany, duszki, krasnoludki i wdzięczne zwierzęta spotyka się na każdym kroku; dobre wróżki natychmiast wypełniają każde życzenie zasługujących na ich względy bohaterek. Ten zaczarowany świat jest harmonijny, nie zna przeciwności, pełen jest jednak przygód, bo i jemu nieobca jest walka dobra ze złem: istnieją zarówno czarownice, jak i dobre wróżki. Ale skoro raz się przyjmie dziwne założenia tego nadprzyrodzonego świata, wszystko się w nim odbywa naturalnie i zgodnie z przewidywaniami.

Trzeba przede wszystkim zrozumieć, że w świecie cudowności nie ma miejsca na fantastykę. Jest ona z niego wyrugowana, jest w nim nie do pojęcia. W świecie cudów nie ma rzeczy nadzwyczajnych. Wydarzenia nadzwyczajne przerażać nas mogą bowiem tylko wtedy, gdy przerywają i obalają jakiś niewzruszony porządek rzeczy, który wydaje się nie do obalenia, tak zgodny jest z naszym poczuciem rzeczywistości i z naszym rozumem. Jeden przykład udowodni to niezbicie. Opowiadanie W. W. Jacobsa *Małpia łapka** może się zrazu wydawać tragicznym wariantem bajki o *Trzech życzeniach*, rozpowszechnionej w całej Europie i znanej we Francji w klasycznej wersji Perraulta. Gdy się jednak przyjrzeć im bliżej, zobaczymy, że różni te opowiadania coś więcej niż przeciwstawienie: zabawne — okrutne. Uwarunkowania jednej i drugiej przygody są bowiem zasadniczo przeciwstawne. Trzy cudowne wydarzenia wtórują rozczarowaniu chłopów w bajce ludowej. W opowiadaniu Jacobsa wpływ talizmanu czytelny jest jedynie w nieuniknionym — przynajmniej w naszym odczuciu — łańcuchu przyczynowo-skutkowym, złożonym z przyczyn co najmniej dwuznacznych i skutków też bardzo wątpliwych. Trzy życzenia spełnione są bez przerwania naturalnego porządku rzeczy, bo nic im nie staje na przeszkodzie. Wypadek w fabryce, wypłata odszkodowania, stukanie w nocy do drzwi domostwa — to wszystko tłumaczy się oczywiście złowrogą mocą małpiej łapki. Ale kto by nie wiedział o tajemnicy, kto by chciał pominąć działanie fatalnego talizmanu, dostrzegłby w tych trzech zdarzeniach jedynie zbieg okoliczności i autosugestię. W niewzruszonych prawach życia codziennego dokonano wyłomu, powstała w nich malutka, niedostrzegalna, wątpliwa szczelina, wystarczająca jednak, aby mogło się przez nią wedrzeć przerażenie.

Fantastyka zakłada niewzruszoność praw świata rzeczywistego, aby tym łatwiej je obalić. W odpowiedniej chwili, wbrew najoczywistszemu prawdopodobieństwu, na najniewinniejszej w świecie ścianie, jak ongiś królowi Babilonu, ukazuje się jej fosforyczny znak. Wtedy chwieją się najbardziej niezachwiane pewniki i wkracza Przerażenie. Główną zasadą fantastyki jest Zjawisko: to, co nie może się zdarzyć, a jednak się zdarza, w konkretnym miejscu i w konkretnej chwili, w najpowszechniejszym, najbardziej znanym ze światów, w którym, zdawałoby się, nie ma miejsca na żadną tajemniczość. Wszystko pozostaje takie, jak wczoraj jeszcze było, jak zawsze: spokojne, banalne, zwyczajne, i oto w ten świat spokojny wkrada się powoli i powstaje nagle w całej swojej grozie Niemożliwe.

Baśń jest opowieścią umiejscowioną od razu w fikcyjnym świecie czarodziejów i smoków. Pierwsze słowa pierwszego zdania już o tym mówią: „B y ł s o b i e r a z...". Dlatego też nikogo nie niepokoją wróżki ani wielkoludy. Wyobraźnia umiejscowia ich raz na zawsze w dalekim, płynnym, nieprzeniknionym świecie cudów, który w żaden sposób nie kontaktuje z rzeczywistością dnia codziennego i kontaktować z nią nie może. Zakłada się bowiem z góry, że to są wymysły służące do bawienia albo do straszenia dzieci. Wszystko jest jasne, żadnego nieporozumienia. Chcę przez to powiedzieć, że *ex definitione* żaden rozsądny dorosły człowiek nie wierzy we wróżki czy krasnoludki.

Różnica jest zasadnicza, gdy chodzi o duchy czy wampiry. Wprawdzie są to

* Opowiadanie to czytelnik polski zna ze zbioru opowiadań fantastycznych, wydanych przez „Iskry" dwa czy trzy lata temu pt. *Opowieści z dreszczykiem* (przyp. tłum.).

też twory wyobraźni, ale tym razem wyobraźnia nie umiejscowia ich z góry w nierzeczywistym świecie baśni; przeciwnie, zakłada, że przenikają one do świata rzeczywistego. Nie wyobraża ich sobie w zaklętym kręgu kniei Broceliande czy Walpurgi, ale przenikających ściany mieszkań, najnormalniej w świecie u notariusza wynajętych, i przeglądających się w lustrach kupionych w sklepie z antykami. Przezroczyste ręce unoszą do niewidzialnych ust szklankę wody pozostawioną u wezgłowia chorego. Schody uginają się pod ciężkim, kamiennym krokiem pomników. Jakiś wycinek przestrzeni nagle znika i rano podróżny nie może odnaleźć pokoju, w którym spędził noc: widzi tylko pełną ścianę bez jednej rysy. Nie ma w tym miejscu żadnego pokoju, nigdy tu żadnego pokoju nie było. Czas się rozdwaja, rozdrabnia albo też nieruchomieje. Trzeba przeżywać dwukrotnie, dziesięciokrotnie ten sam koszmar, dzień po dniu. Gazety, periodyki, stemple pocztowe powtarzają tę samą nielitościwą datę.

Tak więc zjawiska fantastyczne zawsze z tej samej wypływają zasady. Tym są straszniejsze, im bardziej tło ich jest banalne, im bardziej niepostrzeżenie czy też nagle się objawią, im więcej zawierają w sobie jakiejś fatalnej nieuchronności, która zdaje się wypływać z logicznego łańcucha przyczyn i skutków.

PRZERAŻENIE I CUD

Nęci w tej sytuacji postawienie tezy, że jedynie kultury, które stać było na wykształcenie koncepcji stałego, niewzruszonego i obiektywnego porządku rzeczy, zrodzić mogły, jakby prawem kontrastu, tę specyficzną formę wyobraźni, zaprzeczającą zdecydowanie nużącej monotonii życia: przerażenie wtargnięciem sił nadprzyrodzonych. W legendzie wszystko jest cudem albo zapowiedzią cudu. Nie ma tam miejsca na przerażenie, wynikające z pogwałcenia praw naturalnych. Bo nie ma jeszcze praw naturalnych tak ściśle określonych czy zafiksowanych, aby najmniejsze zaprzeczające im zjawisko wywoływało od razu coś w rodzaju paniki umysłowej. Fantastyka jest następstwem obrazu świata bez cudów, świata poddanego ścisłej przyczynowości.

W Europie fantastyka współczesna jest romantyzmowi. A w każdym razie pojawia się najwcześniej pod koniec osiemnastego wieku, jakby w kompensacie za nadmiar racjonalizmu. Średniowiecze, spowite jeszcze w szatę cudowności, nie potrafi nadać swoim zaklęciom i czarcim zabawom należytego napięcia, wysokiego stopnia przerażenia, niezbędnego dla przyszłych dreszczyków. Merlin i Meluzyna, Szatan i Belzebub to odpowiedniki Kirke i Iblisa. Nie zapowiadają ani Hoffmana, ani Edgara Poe. Zamieszkują bowiem jeszcze świat nadprzyrodzony. Nie mają jeszcze do czynienia ze światem, w którym wszelka Dziwność jest wzbroniona. Ale już w 1704 roku Saint-Simon, opowiadając historię o woskowych maskach, daje nam przedsmak prawdziwej fantastyki. Oto krótki wyjątek z jego *Pamiętników*, który podług mnie jest słupem milowym współczesnej fantastyki, tak jak *Zadig* Voltaire'a znaczy początek powieści kryminalnej.

Bouligneux, głównodowodzący, i Wartigny, marszałek polny, polegli pod Verue; dwaj ludzie wielkich zasług, ale trochę dziwaczni. Poprzedniej zimy przygotowano

maski woskowe co znaczniejszych dworzan, tak podrobione, że jako żywe, co je dworzanie wkładali pod inne maski, tak że jak zdjął maskę, to wszyscy brali drugą maskę za twarz, bo była zupełnie jak prawdziwa pod spodem; bardzo dobra była zabawa. Tej zimy chciano się jeszcze raz w podobny sposób zabawić. Jakoż mocno zdziwili się wszyscy, gdy znaleziono wszystkie naturalne maski świeże i nie zniszczone, w tym stanie, w jakim je po Karnawale zapakowano, poza maskami Bouligneux i Wartigny, które, zachowując doskonałe podobieństwo, odznaczały się bladością i ściągnięciem rysów osób, które właśnie pomarły. Wyniesiono je jednak na bal, ale były tak przerażające, że usiłowano podmalować je różem, który bladł na nich w jednej chwili i nie można było ściągniętych rysów poprawić. Zdarzenie to wydało mi się tak nadzwyczajnym, że postanowiłem je zapisać, chociaż nie zrobiłbym tego, gdyby cały dwór nie był wraz ze mną jego świadkiem i nie dziwował się wielekroć tej wyjątkowej historii. W końcu obydwie maski wyrzucono.

Saint-Simon upewnia nas tylko o autentyczności faktów. Nie podaje żadnej próby ich wytłumaczenia. Zbieg okoliczności czy znak z tamtego świata — nie rozstrzyga. Wiele pokoleń pisarzy spekulować będzie na tej dwuznaczności, pozostawiając czytelnikowi wybór i odpowiedzialność opowiedzenia się za czy przeciw światu nadprzyrodzonemu. Claude Farrère napisał na tle historii opowiedzianej przez Saint-Simona opowiadanie fantastyczne, uczciwie zresztą dedykowane wielkiemu kronikarzowi. Ale jego rozwodniona wersja właściwie osłabia tylko wymowę suchej notatki, sporządzonej przez Saint-Simona.

CUDOWNOŚĆ I ZABOBON

Wiek Oświecenia pod koniec swego panowania jest świadkiem wspaniałej rehabilitacji irracjonalizmu. Wszystkie zabobony odżywają i to z tym większym powodzeniem, że przystrajają się często w pozór naukowości. Poza tym modne są wschodnie opowieści bajeczne. Wystarczy zacytować, jeśli idzie o Francję, *Zakochanego diabła* Cazotte'a oraz *Rodryga i zaczarowaną wieżę* Markiza de Sade. W Niemczech Goethe pisze szereg nowych alegorii, w których najmniejszy drobiazg zdeterminowany jest przez nielitościwy i bezwzględny symbolizm masoński czy też różokrzyżowy. Opowieść prawdziwie fantastyczna powoli i z trudem oczyszcza się z tego nadmiaru cudów i przypowieści. Przyznać jednak trzeba, że rzadko w dziejach literatury spotyka się taki synchronizm w powodzeniu jakiegoś ściśle określonego gatunku literackiego. Hoffman urodził się w 1776 roku, w 1809 — Poe i Gogol. Pomiędzy jedną a drugą datą przyszli kolejno na świat William Austin (1778), Achim von Arnim (1781), Charles Robert Maturin (1782), Washington Irving (1783), Balzac (1799), Hawthorne (1804) i Mérimée (1803), innymi słowy najwięksi mistrzowie tego rodzaju literackiego. Dickens (1812), Sheridan le Fanu (1814) i Aleksiej Tołstoj (1817) depczą im po piętach. Od Ukrainy po Pensylwanię, w Irlandii i w Anglii, w Niemczech i we Francji, to znaczy na całym obszarze kultury zachodniej, wyjąwszy basen Morza Śródziemnego, po obu brzegach Atlantyku w przeciągu zaledwie trzydziestu lat, bo od 1820 do 1850, ten nowy rodzaj literacki przynosi swoje najświetniejsze dzieła.

Jak się często zdarza, pierwsza próba w tej dziedzinie była najbardziej ol-

śniewająca: myślę o *Rękopisie znalezionym w Saragossie* — napisanym po francusku przez hrabiego Potockiego — którego pierwsza część ukazała się w Petersburgu w 1804 roku w małej ilości egzemplarzy. Mimo ogłoszenia w 1813 roku w Paryżu następnej części dzieła i reedycji, w rok później, wydania petersburskiego, dzieło to pozostało po dziś dzień prawie nie znane*. Do tego stopnia, iż nikt się nie spostrzegł, że jedno z najsłynniejszych opowiadań Washington Irvinga, *The Grand Prior of Malta*, nie jest niczym innym, jak dosłownym przekładem fragmentu *Rękopisu*. Wielu innych pisarzy znało to źródło i czerpało zeń chętnie. Żaden jednak nie odważył się, jak się wydaje, wykorzystać tego, co stanowi zasadniczą oryginalność Potockiego: opowiadania składające się na ten fantastyczny dekameron powtarzają z niewielkimi zmianami tę samą dziwną i nieubłaganą przygodę, tak że do niepokoju, jaki budzi każde z nich z osobna, dołącza się jeszcze tajemniczy dreszcz przerażenia, wypływający z niezmiennie powtarzającego się scenariusza, który ściga bohatera przez wiele pokoleń.

TAJEMNICA I PRZERAŻENIE

Opowieści fantastyczne, jak mity, często pod inną fabułą wracają do tych samych tematów. Nie myślę, aby było to działanie czystego przypadku. Przeciwnie, sądzę, że tematów tych istnieje ściśle ograniczona ilość i że wobec tego nie byłoby rzeczą ponad siły wybitnej inteligencji czy też ścisłej jakiejś metody aprioryczne skatalogowanie ich wszystkich: zarówno tych, które były już wykorzystane, jak i tych, które pozostają do wykorzystania. Umysł systematyczny bez wielkiego, sądzę, trudu wyprowadziłby wszystkie możliwe rubryki tej abstrakcyjnej typologii tajemnicy i przerażenia.

Wiadomo przecież, że niemożliwe do spełnienia życzenia, które wypełnia bajka, jak i cuda, którymi operuje, nie są bynajmniej niewyczerpane i to z tych samych powodów. Proste życzenia, jakie człowiek może wypowiedzieć w świecie baśni, nie są znowu tak liczne. Że wymienię tylko najpospolitsze: zdolność przebywania w paru miejscach na raz, przenoszenie się błyskawiczne z miejsca na miejsce, czapka-niewidka, praca bez zmęczenia, służebne zwierzęta, umiejętność przemieniania się w inne postaci, posiadanie przedmiotów magicznych, posłuszeństwo żywiołów.

Zasadnicze prawa rządzące życiem i materią też nie zakładają nieskończonej ilości ewidentnych i absolutnych niemożliwości. A przecież tylko te najbardziej ewidentne domagają się interwencji sił nadprzyrodzonych i w konsekwencji określają tematy owego gatunku literackiego. Wariantów w każdej kategorii może być niezliczona ilość, ale kategorii głównych jest stosunkowo niewiele. Oto kilka przykładów:

a) p a k t z c z a r t e m: tu modelem jest Faust, ale wariantów mnóstwo;

b) p o k u t u j ą c a d u s z a, k t ó r a, d l a o s i ą g n i ę c i a w i e c z n e g o s p o k o j u, d o m a g a s i ę d o k o n a n i a p e w n e j c z y n n o ś c i: ofiara powracająca na ziemię, aby dręczyć swojego zabójcę;

---

* Czytelnikowi zachodniemu oczywiście. Roger Caillois dopiero w roku bieżącym wydał u Gallimarda te dwie części i przygotowuje przy współpracy „Czytelnika" wydanie zupełne *Rękopisu* w języku francuskim (przyp. tłum.).

kara niebios skazująca potępieńca na wieczne przebywanie w miejscu zbrodni (starożytność grecka zna już tego rodzaju duchy);

c) potępiona dusza skazana na wieczną gonitwę bez celu: to średniowieczna legenda o dzikim strzelcu, którą w XIX wieku odnowił wspaniale William Austin w opowiadaniu *Zaginiony Peter Rugg;*

d) śmierć ukazująca się pod ludzką postacią pośród żywych: czasem dzieje się to na hucznym balu, gdzie wskazuje ona palcem swoich wybranków, czasem czeka na tego, kto przed nią ucieka, właśnie tam, gdzie się przed nią skrył;

e) owa „rzecz", nieokreślona i niewidoczna, która ciąży, jest obecna, zabija albo szkodzi;

f) wampiry, czyli trupy zapewniające sobie wieczną młodość dzięki wysysaniu krwi żyjących;

g) pomnik, manekin, zbroja czy automat, które nagle ożywają i stają się niezależne;

h) czyjeś przekleństwo, wywołujące złowrogą i nieuleczalną chorobę;

i) kobieta-duch, rodem z zaświatów, śmiertelna i uwodzicielska;

j) wzajemne przenikanie snu i rzeczywistości: nagle, jak przewracający się lodowiec, rzeczywistość zanika, rozpływa się, tonie, a sen nabiera przerażającej konsystencji materii;

k) pokój, mieszkanie, piętro, dom, ulica wykreślone nagle z przestrzeni;

l) wstrzymanie czasu albo jego bezustanne powtarzanie się, jak zepsutej płyty na adapterze. W parę minut czy w parę wieków później te same wydarzenia powtarzają się w tym samym porządku. Jakaś stara kronika opisuje z najmniejszymi szczegółami dziejące się współcześnie wydarzenie.

INWENCJA I RZECZYWISTOŚĆ

Na tym przerywam ten katalog, który można by ciągnąć dalej. Chciałem tylko uzmysłowić czytelnikowi niezwykłą stałość i permanentność mitologii, zrodzonej z pragnienia strachu i dreszczu. Czas przejść do wniosków końcowych. Przerażenie właściwe opowiadaniom fantastycznym szerzyć się może tylko w społeczeństwach niewierzących, w których prawa przyrody uważane są za niewzruszone i niezmienne. Pojawia się ono jako wyraz nostalgii za światem dostępnym mocom nadprzyrodzonym i emisariuszom z zaświatów. Czas rozdwaja się albo zatrzymuje. Przestrzeń miewa dziwaczne luki, terytoria zakazane i innowymiarowe, niemożliwe do umiejscowienia „kieszenie". Wreszcie przyczynowość podlega dziwnym zaburzeniom.

Często cytowane powiedzonko pani du Deffand znakomicie odzwierciedla sytuację: „Czy wierzy pani w duchy? — Nie, ale się ich boję". Strach jest rozkoszą, przyjemną zabawą, igraszką z diabłem, w której diabeł — ponad wszelką wątpliwość nie istniejący — nie przyjdzie się domagać swojej wy-

granej. Pozostaje jednak zawsze pewien margines niepewności, skrzętnie utrzymywany i poszerzany jeszcze przez talent pisarza. Udaje mu się to przy pomocy logiki, precyzji, gruntujących prawdopodobieństwo szczegółów. Pisarz musi być dokładny, skrupulatny, realistyczny. Dlatego też wśród największych mistrzów tego rodzaju spotyka się tak wielu pisarzy rozmiłowanych w szczegółowym i płaskim opisie najbanalniejszej rzeczywistości: Balzaka i Dickensa, Gogola i Maupassanta. Bo trzeba najpierw zgromadzić dla nieprawdopodobnego opowiadania wszystkie możliwe dowody prawdopodobieństwa. Na tym niezbędnym tle dopiero wtargnąć może wydarzenie niepojęte, które napawa wszystkich, a zwłaszcza bohatera, najgłębszym przerażeniem. Jego upokorzony sceptycyzm musi się ugiąć przed niewątpliwą manifestacją sił nadprzyrodzonych. Tak więc fantastyka jest jednocześnie słabością i karą niedowiarków... Szczęśliwa to słabość i rozkoszna kara *.

Przełożył
Jerzy Lisowski

* *Definicja fantastyki* to przedmowa do nie wydanej jeszcze *Światowej antologii fantastyki*, przygotowanej przez Club Français du Livre, w której z polskich autorów Roger Caillois zamieścił Potockiego i Grabińskiego. Autor udostępnił nam swój esej w rękopisie.

Janusz Maciejewski

KIEDY NASTĄPIŁ PRZEŁOM?

O tym, że literatura sprzed powstania styczniowego i z okresu jego trwania jest stosunkowo najmniej znana na tle systematycznie na ogół opracowanej historii literatury wieku XIX, zadecydowały dwa względy. Pierwszy z nich to stosunek do problemu powstania samych pisarzy uczestniczących w literackich i politycznych wydarzeniach 1863 r. Przeszedłszy później, niemal bez wyjątku, na pozycje pozytywistyczne lub zbliżone do nich, „wstydzili się swej młodości, świadomie przemilczali ten okres lub, co też odgrywało ważną rolę, zmuszani byli do milczenia przez cenzurę zaborcy. Oni też oraz ich młodsi o kilka lat koledzy stworzyli mit „pozytywistycznego przełomu" (jeden bodajże Sienkiewicz odnosił się doń sceptycznie), przełomu, który całkowicie zaćmił i przesłonił „nieroztropną", „zgubną w skutkach" literaturę początku lat 60-tych. Od przemilczeń do nieporozumień i zafałszowań droga niedaleka. Nic też dziwnego, że następne już pokolenie badaczy miało zupełnie wypaczony pogląd na ten okres. *

Nie mniej ważną przyczyną była jednak pewna trwalsza atmosfera, jaka się wokół 1863 r. wytworzyła (ostatnio walczy z nią w swej świetnej publicystyce historycznej Paweł Jasienica). Mam na myśli owo głębokie przekonanie, że powstanie styczniowe, aczkolwiek dokonane przez ludzi szlachetnych, aczkolwiek jest świętością narodową, wskutek klęski wywarło jednak na wszystkie dziedziny życia narodowego wpływ jednoznacznie szkodliwy. W zastosowaniu do literatury odpowiada temu przekonanie, że ferment literacki okresu powstania nie miał dla literatury żadnego znaczenia, w przeciwieństwie do „walki młodych ze starymi" z początku lat 70-tych.

Tymczasem fakty mówią co innego. Bujny okres rozwoju naszego piśmiennictwa, jaki nastąpił w drugiej połowie XIX w., dzieli od wielkiej literatury romantycznej dziesięcioletni okres regresu i stagnacji po klęsce Wiosny Ludów. Rozwój ten nie rozpoczyna się jednak od bojów starej i nowej prasy ani

* Symptomatyczna dla tego wypaczenia jest książka Kazimierza Wóycickiego — wybitnego przecież badacza — *Walka na Parnasie i o Parnas*, która, przemilczając całkowicie przełom roku 1860, ówczesne polemiki literackie i ostatnią ofensywę romantyzmu, traktowała wybrane, odizolowane wypowiedzi z lat 1850—1870 jako jednolity ciąg faktów poprzedzających i zapowiadających pozytywizm. Książka Wóycickiego stała się podstawowym kompendium dla późniejszych badaczy — aż do najnowszych prac dotyczących tego okresu włącznie — którzy powtarzali zawarte w niej błędne uogólnienia.

od roku 1864 (po klęsce powstania nie wystąpiły objawy regresu w piśmiennictwie). Daty 1870 czy 1864 nie oznaczały lat przełomu w literaturze. Przełom taki dostrzegamy natomiast około roku 1860. Nie tylko dlatego, że wówczas właśnie zaczyna się nieprzerwanie odtąd trwający okres rozkwitu czasopiśmiennictwa, że powstają lub przechodzą gruntowne przeobrażenia gazety, które odegrały ważną rolę w drugiej połowie XIX wieku *(Tygodnik Ilustrowany, Gazeta Polska)*. Nie tylko dlatego, że debiutują wtedy liczni wybitni pisarze okresu pozytywizmu (Jeż, Bliziński, Bałucki, Szujski, Lam). Chodzi o to, że atmosfera ówczesna, która kształtowała młodość wszystkich pisarzy pokolenia pozytywistycznego (nawet tych, którzy debiutowali po 1870 r.), zaważyła na ich całej późniejszej twórczości, w pewnym sensie zdeterminowała ją (nawet jeśli się od swej przeszłości odwracali).

Ferment literacki początku lat 60-tych współuczestniczył i częściowo torował drogę ogólnonarodowemu rozbudzeniu moralnemu i politycznemu, stanowił cząstkę wielkiego społecznego ruchu, który był polską rewolucją burżuazyjno-demokratyczną — rewolucją tym razem, mimo militarnej klęski, zwycięską. Obfitował też w liczne starcia i polemiki literacko-polityczne. Dyskusjom tym, na jednym, choć nie najmniej ważnym, lwowskim odcinku, chciałbym poświęcić poniższe uwagi.

*

Literaturę dziesięciolecia następującego bezpośrednio po klęsce Wiosny Ludów cechowało ogólne obniżenie ideału moralnego, wyraźny odwrót od tych wzorów moralno-politycznych, jakie przez poprzednie trzy dziesięciolecia stawiała wielka literatura romantyczna. Zamilkła poezja liryczna, a rozwój gatunków epickich szedł prawie wyłącznie w kierunku organicznikowskiej powieści tendencyjnej oraz gawędy. Zwłaszcza ten ostatni gatunek (i to zarówno w postaci wierszowanej, jak i prozaicznej) rozwielmożnił się i zadomowił w naszej literaturze lat 50-tych. Uprawiali go niemal wszyscy pisarze, naśladując mistrzów w tej dziedzinie: Rzewuskiego, Kaczkowskiego i Pola. Gawędziarstwu, a co za tym idzie, związanemu z nim ściśle minimalistycznemu ideałowi moralnemu, wynoszącemu na pierwsze miejsce „cnoty domowe", hołdowali także pisarze reprezentujący poglądy demokratyczne, jak Syrokomla.

Drugim obok gawędy charakterystycznym dla epoki gatunkiem stała się powieść tendencyjna, propagująca umiarkowany postęp, pracę organiczną, podnoszenie gospodarcze kraju, odrzucenie przestarzałych metod ekonomicznych i anachronicznych przesądów społecznych a jednocześnie programowo odcinająca się od idei powstań i rewolucji, od wszelkiego światoburstwa. Ten typ powieści reprezentowali przede wszystkim Józef Korzeniowski i Jan Zachariasiewicz.

W zakresie poetyki literatura ta, zarówno konserwatywna, jak postępowa, nie zgłosiła nowych propozycji. Żyjąc resztkami dorobku romantycznego była jednocześnie antyromantyczna. Antyromantyczna zarówno w sensie przeciwstawienia się ideałowi moralnemu wielkiej literatury romantycznej (zwalczano kult poezji, artystów, ludzi wyjątkowych, skłóconych ze społeczeństwem, przeciwstawiając im kult praktyczności, ludzi przeciętnych, łatwo godzących się z życiem, nie wyrastających ponad codzienność), jak i odrzucenia pewnych,

charakterystycznych dla tej literatury, konwencji i chwytów formalnych. Zerwano np. z romantyczną fantastyką, przeciwstawiając jej weryzm (niekonsekwentnie co prawda, dopuszczając prawowierną katolicko cudowność). Literaturę w dalszym ciągu traktowano jako narzędzie oddziaływania, pomagające w przemianie świata, tylko niesłychanie upraszczając i spłycając sprawę sprowadzono ją do moralizowania, do udzielania społeczeństwu nauk.

Utarł się pogląd, że w życiu literackim lat 50-tych panowali wszechwładnie konserwatyści i ultramontanie. Pogląd niesłuszny. Wprawdzie ci ostatni ożywili się znacznie i wzmocnili swe pozycje, organy ich: *Przegląd Poznański, Czas, Dziennik Warszawski,* stały się poważnymi, liczącymi się w piśmiennictwie krajowym periodykami, nie zdobyli oni jednak wyłącznego panowania. Istnieli w dalszym ciągu wcale liczni demokraci. Rzecz w tym tylko, że ówczesny obóz demokratyczny też przeszedł swoistą ewolucję. Poza poszczególnymi, osamotnionymi jednostkami, wyrzekł się on wszelkich tendencji rewolucyjnych. Zapanował w nim wszechwładnie duch, który określano w pracach ostatnich lat terminem liberalizmu, a który osobiście wolałbym nazywać mianem organicznikostwa. Jan Dobrzański, ideolog o cechach kameleona, a jednocześnie czułego sejsmografu, odnotowywującego nastroje społeczeństwa, tak określał w 1858 r. jakość przemian, jakie zaszły w łonie ówczesnego obozu demokratycznego:

Bez porozumienia się nawet wzajemnego odbywało się to przeobrażenie na rozmaitych punktach, we wszystkich prawie ogniskach literatury polskiej. Tylko czasami odezwał się jeszcze jakiś maruder obozowy, co np. z historii naszej chciał dla swych systematów socjalnych wydobyć podwalinę, tylko czasami przewrotność rzuciła jeszcze paszkwilem na całą klasę narodu, mszcząc się, iż albo ją stamtąd wyrzucono, albo iż od pojedynczych indywiduów doznała zawodu. W ogóle zaś we wszystkich pisarzach tej nowej epoki spostrzegamy religijne usposobienie, głębokie uszanowanie dla przeszłości. Idea dawniejsza postępu, więcej kosmopolityczna, przeobraża się w narodową, stąd, przy uznaniu historycznego porządku, dążność do dalszego rozwoju, do reform, co z prawdziwych potrzeb narodu płyną.

Nowa ofensywa literacka, jaka nastąpiła około 1860 r., rozegrała się przede wszystkim w łonie szeroko pojętego obozu demokratycznego między organicznikami a rewolucjonistami. (Walka z obozem konserwatywno-ultramontańskim, który zresztą przeżywa na początku lat 60-tych poważną depresję, zeszła na drugi plan.) Był to wielki spór polityczny, ale spór nie tyle o zasady, ile o taktykę, spór w pewnym sensie pokoleniowy. Poza bowiem kilku starszymi pisarzami w szeregach „stronnictwa ruchu" stanęła ławą młodzież literacka tych roczników, które zaczęły dochodzić do głosu około 1860 r.

W walce przeciw literaturze lat 50-tych odwołali się pisarze pokolenia powstania styczniowego przede wszystkim do tradycji literatury lat 20-tych i 40-tych. Powrót do wzorów moralnych i estetycznych wielkiej literatury romantycznej był otwarcie i programowo manifestowany. Literaturze lat 60-tych patronowali, jeśli chodzi o najbliższą przeszłość, pisarze i dzieła, reprezentujące w poprzednim okresie wierność tradycjom romantycznym: poezje Ujejskiego, *Alkhadar* Chojeckiego, częściowo Kraszewski. Mistrzem jej został Juliusz Słowacki. Lata 60-te stały się też ostatnim w naszej literaturze okre-

sem odrodzenia romantyzmu, odrodzenia, które jednak otwierało jednocześnie perspektywy na jego przezwyciężenie, na przejście do realizmu.

Ożywienie polityczne i literackie przełomu lat 50-tych i 60-tych nastąpiło wraz z nową falą ruchów rewolucyjnych i narodowo-wyzwoleńczych, jakie ogarnęły w tym czasie szereg krajów europejskich. Wojna włoska i powstanie zjednoczonego państwa w Italii, dyplom październikowy i zapoczątkowanie burżuazyjno-liberalnej przebudowy Austrii, ruchy chłopskie w Rosji i na Ukrainie, wreszcie powstanie styczniowe w Polsce — to poszczególne ogniwa i rezultaty tej fali rewolucyjnej. Klęska Austrii we Włoszech i klęska Rosji w wojnie krymskiej przyniosły już pod koniec lat 50-tych pewne rozluźnienie krępujących dotąd więzów i ogólny kurs na liberalizm w tych krajach. Owa „odwilż" (*„odtiepiel"* — tak wówczas nazywano w Rosji liberalny kurs, zapoczątkowany przez nowego cara) pozwalała ujawnić się ukrytym dotąd głęboko — niezadowoleniu, sprzeciwom, namiętnościom. Ożywienie, jakie nastąpiło wówczas w życiu społecznym i kulturalnym Rosji, zaczęło docierać do Polski, najwcześniej na „ziemie zabrane", na Ukrainę, gdzie już w połowie lat 50-tych, w okresie wojny krymskiej, zaczął się kształtować nowy ośrodek literacki o wyraźnym nastawieniu antyorganicznikowskim. Ośrodek ten, aczkolwiek dostarczył konspiracji warszawskiej całego szeregu przywódców, nie odegrał w literaturze większej roli. Skrępowany mimo „odwilży" cenzurą, pozbawiony własnego periodyku, rozbity przy tym terytorialnie (częściowo Kijów, częściowo Żytomierz pretendowały do roli stolicy kulturalnej prowincji „ruskiej", ale wielu pisarzy, jak Leonard Sowiński oraz przez wiele lat Apollo Korzeniowski, mieszkało na wsi), nie mógł rozwinąć wszystkich swych sił. Zresztą od 1859 r. najwybitniejsi jego przedstawiciele zaczęli kolejno emigrować do Warszawy, gdzie stawali się zaczynem fermentu rewolucyjnego.

Takim ośrodkiem, z którego zaczęły promieniować ożywiające literaturę prądy, stał się na przełomie lat 50-tych i 60-tych Lwów, a życie literackie skupiło się wokół dwóch pism, zakresem swym i oddziaływaniem znacznie przekraczających prowincję galicyjską: *Dziennika Literackiego* i *Czytelni dla Młodzieży*.

Dziennik Literacki założony został przez Karola Szajnochę jeszcze w 1852 r. i przechodził przez najbliższe dziesięciolecie różne koleje. Szajnocha redagował go tylko przez pierwszy rok. W 1853 i 1854 r. redaktorem był Felicjan Łobeski. Od listopada 1854 z powodu kłopotów finansowych i odpływu prenumeratorów (przyczyniała się do tego zarówno wojna krymska, jak i konkurencja wydawanych od początku 1854 r. przez Kallenbacha *Nowin)* wydawca, Wojciech Maniecki, przerwał redagowanie *Dziennika Literackiego*. Od maja 1856 r. *Dziennik Literacki* na nowo zaczął wychodzić — tym razem trzy razy na tydzień (w latach 1852—54 ukazywał się jako tygodnik) i w zmienionym składzie redakcyjnym. Wojciech Maniecki powierzył prowadzenie pisma zespołowi redagującemu do tej pory *Nowiny* (które od maja 1856 r. przestały wychodzić): Dobrzańskiemu, Zachariasiewiczowi i innym. Od 1857 r. właściwym redaktorem pisma staje się Dobrzański (oficjalnie figurował jako redaktor odpowiedzialny Maniecki, Dobrzański zaś jako „główny współpracownik").

Mniej więcej od 1858 roku zaczyna *Dziennik Literacki* przechodzić ewolucję, która sprawiła, że w 1860 r. stał się on ośrodkiem i organem „stronnictwa ruchu". Stopniowo odchodzą zdecydowani organicznicy, na ich miejsce wchodzą w skład współpracowników „nieprzejednani", stojący do tej pory na uboczu życia literackiego, jak Ujejski czy przebywający na emigracji, ale ściśle z *Dziennikiem* związany, T. T. Jeż; wreszcie dochodzą do głosu młodzi: Walery Łoziński, Mieczysław Romanowski, Bruno Bieławski, Karol Cieszewski, Julian Starkel oraz pisarze krakowscy z „pracowni Filippiego". Ku stanowisku swych nowych współpracowników ewoluuje sam Dobrzański, który jeszcze w 1858 r. nie różnił się zasadniczo od innych demokratów-organiczników galicyjskich.

Pewną rolę w tej polaryzacji stanowisk, poza względami politycznymi, pełniły osobiste cechy redaktora Dobrzańskiego. Ambitny, despotyczny, kłótliwy, poróżnił się z wszystkimi czołowymi literatami lwowskimi, doprowadził do zerwania ich z *Dziennikiem,* skazał się tym samym na „młodych", nastawionych rewolucyjnie, do których sam doszlusował, zachowując zresztą przez cały okres kampanii literackich 1860 r. i 1861 r. dużo większe umiarkowanie (może była to taktyka wobec cenzury) niż jego niektórzy współpracownicy (Ujejski, T. T. Jeż, Bałucki). Umiarkowanie to przejawiało się zarówno w bezpośrednich wypowiedziach redaktora, jak i w swoistym eklektyzmie, który sprawiał, że obok tekstu zbyt radykalnego zamieszczał tekst w miarę zachowawczy. Chodziło mu zresztą nie tylko o cenzurę, ale i o prenumeratora szlacheckiego, od którego w dużym stopniu zależał byt materialny *Dziennika.* Te względy chyba sprawiły, że w 1860 r. zamieścił Dobrzański *Portrety Nie-van-Dyka* Szujskiego, odcinające się swym tonem od większości drukowanych w tym samym piśmie utworów.

Mimo częściowego eklektyzmu *Dziennika,* nigdzie na ziemiach polskich nie ujawniał się tak wyraźnie, jak w owym czasie we Lwowie, podział na nurt organicznikowski i radykalno-rewolucyjny w literaturze. Decydującym chyba wydarzeniem dla tej polaryzacji stanowisk było pojawienie się nowego pisma, wokół którego skupiali się rozproszeni dotąd i słabnący, ale jeszcze bardzo silni organicznicy. Pismem tym było *Kółko Rodzinne.*

Pierwsza myśl założenia tego pisma narodziła się jeszcze około roku 1857, gdy despotyczny Dobrzański zaczął usuwać z *Dziennika* swych dotychczasowych współpracowników. Jeśli wierzyć złośliwym notkom *Dziennika,* pomysł wyszedł od Karola Widmana. Wykluczony w 1857 r. z redakcji przez Dobrzańskiego, zaczął układać plan wydawania nowego pisma, *Nowin Literackich,* i pozyskał dla tej myśli Jana Zachariasiewicza oraz część pisarzy z dawnego (z lat 1852—54) *Dziennika Literackiego.* Pismo to było zapowiadane już w 1858 roku. Realizacja zapowiedzi przeciągnęła się jednak dwa lata i dopiero 1 marca 1860 r. ukazał się pierwszy numer nowego pisma pod nazwą *Kółko Rodzinne.*

Skład osobowy redakcji był imponujący. Znalazły się tu wszystkie prawie głośne nazwiska galicyjskie. Redaktorami byli: Jan Zachariasiewicz i Aleksander Szedler. Stałymi współpracownikami: August Bielowski, Zygmunt Kaczkowski, Antoni Małecki, Stanisław Pilat, Wincenty Pol, Karol Szajno-

cha, Józef Supiński, Jan Wagilewicz, Karol Widman i inni. Skromnie wobec tych nazwisk reprezentował się *Dziennik Literacki*. Obok Kornela Ujejskiego mógł Dobrzański przeciwstawić samych debiutantów lub mniej znanych wówczas pisarzy: T. T. Jeża, Walerego Łozińskiego, Mieczysława Romanowskiego, Władysława Zawadzkiego, Henryka Schmitta, Juliusza Starkla, Józefa Szujskiego, Michała Bałuckiego. Najzdolniejszego z nich, Łozińskiego, musiał w dodatku dzielić z *Kółkiem*. Wprawdzie artykułów w *Kółku* Łoziński nie zamieszczał (dopiero w październiku 1860 r., gdy z powodu osobistego zatargu z Dobrzańskim, zakończonego pojedynkiem, odszedł z *Dziennika*, wydrukował w tym piśmie szkic historyczny: *Starsza siostra Zygmunta Augusta*), ale pozwolił wydać przy *Kółku* „powieść z życia ludu górskiego" — *Czarnego Matwija*, w duchu swym i tendencji nie odbiegającą zresztą od utworów drukowanych równocześnie w *Dzienniku Literackim*. Udział Łozińskiego w *Kółku Rodzinnym* był natury przypadkowej, wywołany względami grzecznościowymi wobec Szajnochy, znajdującego się w kolegium redakcyjnym, a będącego krewnym, opiekunem i mistrzem Łozińskiego przy pierwszych jego krokach literackich. Zresztą i inny współpracownik *Dziennika*, Zawadzki, zamieścił w *Kółku* dwie prace, wyłamując się tym z solidarności, obejmującej innych współpracowników *Dziennika* (też osobisty przyjaciel Szajnochy; warto zaznaczyć, że Szajnocha, jedyny spośród współpracowników *Kółka Rodzinnego*, z powodu ogólnej sympatii i czci, jaką się cieszył, był pomijany i oszczędzany w dość bezwzględnej walce polemicznej, jaką toczył z *Kółkiem Rodzinnym* Dobrzański; ten ostatni poświęcił mu nawet osobny pochwalny artykuł w swych *Zapiskach literackich*).

Mimo tej pozornej słabości atuty *Dziennika Literackiego* od początku były wyższe od atutów *Kółka Rodzinnego*. Rozbudzenie patriotyzmu, pierwsze manifestacje narodowe, cała ogarniająca wówczas Polskę atmosfera sprzyjała Dobrzańskiemu, odbierała szanse organicznikom.

Samo wyjście *Kółka* poprzedziła zresztą na długo legenda, która mogła nastawić doń niechętnie nie tylko środowisko *Dziennika*, ale i ogół patriotycznych czytelników, ceniących popularne pismo, solidaryzujących się ze zwrotem, jakiego ono dokonywało. To nastawienie ogółu czytelników charakteryzują słowa Józefa Szujskiego, skądinąd bynajmniej nie radykała, z listu jego do Jana Dobrzańskiego:

> Co do *Kółka Rodzinnego*, nie widziałem nędzniejszego pisma. Pismo, które polega na systematycznej abstynencji od zasad drugiego pisma — aby to drugie pismo podkopać — liże łapy znakomitym ludziom i publiczności — nie może mieć nic za sobą. Były tu przykłady, że najzawziętsi nieprzyjaciele *Dziennika*, którzy *Kółko* natychmiast zaprenumerowali i propagowali, po 2 pierwszych numerach zwiesili nosy i oburzyli się na debit pocztowy w Rossyi (...)
>
> Co do mnie, możecie być pewni, że *Dziennika* nie opuszczę. Cieszy mnie, że p. Łoziński go nie odstąpił — choć to nazwisko przykro mnie uderzyło na szyldzie *Kółka Rodzinnego*.

Jakie były zasady *Kółka Rodzinnego*? Idealizacja rodziny jako podstawowej komórki społecznej. Propaganda zamknięcia się w „kółku rodzinnym" i „pracy organicznej", „u podstaw" (chciałoby się użyć tych późniejszych sfor-

mułowań pozytywistów), w zakresie najbliższego otoczenia: rodziny, gminy. Koneksje z pozytywizmem są uderzające nie tylko w narzucaniu się stworzonych przez nich terminów czy haseł, ale i w szeregu innych dziedzin, nie wyłączywszy powiązań personalnych. Czołowym ideologiem i teoretykiem *Kółka Rodzinnego* był Józef Supiński, autor uznanej za biblię polskiego pozytywizmu *Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego,* którą pisał właśnie w okresie współpracy z *Kółkiem.* Ten minimalistyczny program głoszony był głównie, w szeregu artykułów i tendencyjnych utworów beletrystycznych, przez Supińskiego, Widmana i Zachariasiewicza. Wyłożony on został w sposób rozbudowany, wykończony i dobrze uzasadniony teoretycznie. Dlatego, wbrew stronniczemu osądowi Szujskiego, nie można uznać *Kółka Rodzinnego* za „nędzne" pismo. Było ono dobrze redagowane, reprezentowało najbardziej wykrystalizowaną, najdojrzalszą i w pewnym sensie, jeśli chodzi o tendencje prokapitalistyczne, najbardziej postępową, choć spóźnioną, falę polskiego organicznikostwa okresu między Wiosną Ludów a powstaniem styczniowym. Nie trafiło jednak na porę sprzyjającą. W starciu z *Dziennikiem Literackim* musiało też ponieść klęskę. Poważnie przyczyniły się do tego same władze austriackie, które bojąc się zbyt dużej liczby pism politycznych nie pozwoliły, udzielając koncesji pismu, wypowiadać się na tematy polityczne, przez co ograniczały zakres poruszanych tematów, krępowały swobodę wypowiedzi. Podstawową przyczyną upadku pisma był jednak brak prenumeratorów, była niechętna atmosfera, jaka się wokół pisma wytworzyła w świadomości ogółu czytających. Redaktor Zachariasiewicz żalił się w jednym z listów do współpracownika *Kółka Rodzinnego,* ks. Sadoka Barącza:

Mówiliśmy o tym i zgodzono się na to, aby ten projekt do niejakiego czasu odłożyć z powodu obecnych stosunków politycznych. I tak krzyczą na nas ludzie niby gorętsi, że o sobie tylko pamiętamy. Projekt podobny, poruszony teraz przez nas, mógłby ten krzyk tem głośniejszym uczynić, że zamiast mówić dzisiaj o poświęcaniu się etc. — mówimy o sobie, o naszych kółkach rodzinnych.

Wiesz Pan, jakie cele i powody kierowały naszemi krokami. A przecież źli i zawistni ludzie obrzucali nas błotem, a masa, która po wierzchu pływa — uwierzyła im. Pismo nasze nie mogło się utrzymać — nie mając skądkolwiek pomocy. Pochowaliśmy je — nawet bez muzyki.

W pewnym sensie kontynuacją *Kółka Rodzinnego* był *Głos* Kaczkowskiego, cykl politycznych powieści Zachariasiewicza *(Św. Jur,* a zwłaszcza *W przededniu),* wreszcie wspomniane dzieło ekonomiczne Supińskiego, ukazujące się drukiem od 1862 r. Były to zresztą wystąpienia wówczas odosobnione, które później dopiero zyskały pewien odgłos. Na razie na placu pozostał zwycięski Dobrzański.

*

Jeśli poświęciłem wyżej nieco uwagi *Kółku Rodzinnemu,* to tylko dla stworzenia tła do pierwszych wystąpień literackich *Dziennika.* Można by je podzielić na dwie grupy. Pierwsza to wystąpienia publicystyczne: Dobrzańskiego, T. T. Jeża, Ujejskiego. Druga — powieści Łozińskiego, poemat Bałuckiego czy drobne wiersze Romanowskiego.

Atak na dotychczasową literaturę rozpoczął Dobrzański w zamieszczanych od października 1859 r., kontynuowanych w 1860 r. *Zapiskach literackich. Zapiski*, wbrew nazwie, nie były poświęcone wyłącznie literaturze, ale całokształtowi życia kulturalnego Polski. Wiele więc uwagi poświęca Dobrzański dziennikarstwu, szkolnictwu, stanowi i zadaniom oświaty i nauki, czytelnictwu, teatrom, językowi, stosunkowi do tradycji itp. Nas w tej chwili interesować będą jednak tylko te partie, w których mówi o literaturze *sensu stricto*. W tej dziedzinie najwięcej miejsca i energii poświęca powieściopisarstwu. Zaczyna od ataku na aktualny stan tej gałęzi piśmiennictwa, ataku tak gwałtownego, że niektórzy polemiści posądzali go o negatywny w całości stosunek do tego gatunku. Posądzenie o tyle niesłuszne, że atak zrodził się właśnie z troski o powieść, z dostrzeżenia perspektyw rozwojowych, jakie ma przed sobą.

Dobrzański uderzył przede wszystkim w zawężenie tematyczne, w ciasnotę horyzontów współczesnego mu „powieściarstwa" (jak je wówczas nazywano).

Jeden w swych powieściach — pisze w pierwszym *Zapisku* — opisywał ubogie dziewczęta kochające się w bogatych paniczach, drugi ubogich literatów, artystów itp. kochających się w hrabiankach, trzeci wreszcie jednej ziemi szlachtę wprowadzał itd.

Przyczynę tego stanu rzeczy widzi Dobrzański w ubóstwie obserwacji, na jakiej mogą opierać się polscy pisarze, w ich świadomym ograniczeniu się do partykularza, w braku odwagi do poruszania tematów ważnych, ogólnonarodowych, niebezpiecznych. To wszystko sprawia, że powieść współczesna stoi daleko od właściwych zainteresowań narodu, nie oddaje istoty polskiego życia, nie ukazuje, jak żyły najlepsze jednostki i co je nurtowało:

Na małym smugu ziem polskich — pisze Dobrzański — każdy z powieściarzy czynił swe studia społeczne, więc choć najróżnorodniejsze znalazł tam żywioły, wprowadzając je w jednej powieści po drugiej, musiał się w końcu wyczerpać i powtarzać.

Do tego w ścieśnionych naszych stosunkach narodowych nie wolno mu było wszystkiego dotknąć, co na szczupłej grzędzie swojej znalazł. A często na tej grzędzie, skutkiem długiej niewoli, poruszały się tylko drobiazgowe, słabe, chwiejne charaktery bez energii w duszy, podczas gdy wszystko, co było silniejszego, poszło w świat, rozbiegło się od bieguna do bieguna. Reprezentanci moralnej siły narodu jedni jęczeli w podziemiach więziennych lub kopalniach albo ziębli śród lodowatych puszcz, drudzy tułali się po stepach amerykańskich, po piaszczystych pustyniach Afryki lub od głodu ginęli w mansardach, albo z tęsknoty za krajem, aby ujść obłąkania, w szalone rzucali się przedsięwzięcia: a nasi powieściarze roztkliwiali się wtedy miłością Anusi do Adama lub poczciwością pana Antoniego, który za swą wioskę dziedziczną nie sięgnął dalej myślą. A podczas gdy wielu z narażeniem życia szło między lud litewski, do dworków polskich, w szałasze ukraińskie lub w chaty mazowieckie, aby tam słowem pociechy i nadziei pokrzepić ducha zwątpiałych, powieściarze, którym wszystkie ziemie polskie stały otworem, lenili się przejechać bezpiecznie po kraju, aby obeznać się z naturą i ludźmi, z ich uczuciami i nadziejami, z ich wadami i cnotami, lecz każdy żył tem w powieści, co okiem własnem, z okna swego domu zajrzeć mógł.

W cytacie tym tkwi już próba uzasadnienia teoretycznego tego typu powieści, który wkrótce zostanie nazwany „powieścią polityczną". Nic też dziwnego, że wśród współczesnych mu autorów najwyżej oceni Dobrzański pisarzy, którzy są prekursorami powieści politycznej: na pierwszym miejscu wśród „młodych" stawia „autora powieści *Wasyl Hołub*", „za nim idzie Walery Łoziński".

Poza ogólną oceną powieści współczesnej analizował i krytykował Dobrzański szczegółowe konwencje tematyczne. Ostro np. zaatakował tych powieściopisarzy (a także komediopisarzy) obyczajowych, którzy, wychodząc z pozornie demokratycznych założeń, piszą o konfliktach wynikłych z nierówności społecznej kochanków, a rozwiązują konflikt w ten sposób, że każą się pannie zubożyć lub konkurentowi niespodziewanie wzbogacić i tak likwidują przyczyny konfliktu: zamiast zwalczać przesądy społeczne, sami im ulegają. Warto zaznaczyć, że powieść Łozińskiego — pisarza, którego obok Jeża najwyżej Dobrzański cenił — *Czarny Matwij* była w pewnym sensie realizacją tych wskazań redaktora *Dziennika Literackiego:* przeciwstawiła się w sposób aż nieco prowokacyjny panującym konwenansom, każąc pannie ze dworu wyjść za mąż za ubogiego lekarza, syna swego byłego poddanego.

Poza powieściopisarstwem współczesnym uderzy autor *Zapisków* w tradycje gawędziarstwa, w ówczesną poezję epicką, historyczną, idealizującą przeszłość, operującą naiwnie cudownościami, „Turkami, Tatarami, Jaćwieżą" i tym podobnymi nie umotywowanymi logicznie i artystycznie momentami modyfikującymi tok akcji. Atak przypuszcza przy tym personalnie nie tylko do przedstawicieli konserwatywnego nurtu tego swoistego historyzmu (Rzewuskiego, Chodźki, Grabowskiego), ale także „do najwięcej renomowanej fabryki pod firmą: Władysław Syrokomla". Poddaje analizie i druzgocącej krytyce poemat *Marcin Studzieński,* opiewający w rozwlekły sposób historię bohatera tytułowego, żołnierza-kaleki (akcja rozgrywała się w XVI w.), który ozdrowiawszy cudownie przy trumnie świątobliwego biskupa wileńskiego, Tabora, mógł się połączyć z ukochaną. Atakuje patriotyzm partykularny („sos patriotyczny"), w jakim wszystkie tego rodzaju poematy są z reguły skąpane. Cały nurt literatury zwróconej w przeszłość, ze wstrętem odwracającej się od współczesności, osądza Dobrzański bardzo surowo:

Kto żyje w dzisiejszej epoce — pisze — ten ma obowiązki względem dzisiejszego społeczeństwa. Powinien on we wszystkich usiłowaniach dzisiejszych, we wszystkich pracach obecnych brać udział szczery. Powinności nawet względem społeczeństwa dzisiejszego są nierównie większe od obowiązków względem przeszłości.

Ściszonej, przyziemnej, ostrożnej poezji lat 50-tych przeciwstawia Dobrzański dawniejszą, łącząc jej pochwałę z domaganiem się całkowitej swobody literatury, nie krępowanej względami na cenzurę lub gust najbliższego odbiorcy:

To, co się zrodzi w duszy poety, to on wypowiedzieć ma całkowicie. Nie uważać on powinien, kto go słucha lub jak mu tam ktoś śpiewać każe. Wobec natchnienia prawdziwego umilkają wszelkie względy (...) Tak swobodnie wyśpiewywali poeci te wszystkie pieśni i poemata, które obudziły naród do życia. Z młodzieńczej, żadnymi względami nie krępowanej piersi wypłynęły pieśni Filaretów. Z pełnej swobodnej

piersi wyśpiewywał Pol swe *Pieśni Janusza*, Mickiewicz *Odę do młodości*, *Pana Tadeusza* i *Dziady*, Słowacki wszystkie prawie swe pieśni i poemata, Kornel Ujejski *Skargi Jeremiego*, Krasiński *Psalmy* i *Przedświt*.

W każdym z wymienionych utworów poeta, uniesiony natchnieniem, był prawdziwym kapłanem narodowym (...) Nie myślał żaden z tych poetów, gdy natchnienie go owładnęło, o tem, czy będą i czy mogą być jego utwory drukowane w Warszawie, Wilnie lub Petersburgu, co powie cenzura tamtejsza, co powie pan sprawnik lub gubernator wojenny, gdy się przypadkiem dowie, kto to pisał, a tymczasem pieśń natchniona szła z rąk do rąk, odpisywana w tysiącznych egzemplarzach; uczono się jej na pamięć, a naród rósł w uczuciu swem i podnosił się do wysokości natchnienia poety.

Ten nowy manifest romantyzmu łączył się jednak z kampanią odrywającą się w pewnej mierze od tradycji literatury lat 20-tych. Była to kampania przeciw przewadze poezji w życiu i w literaturze („Precz z rymopisami, weźcie się do prozy"). Oddawał Dobrzański cześć wielkiej poezji przeszłości, nie negował jej dużej roli we współczesności, ale negatywnie oceniał manię wierszopiską w społeczeństwie oraz słabość do poezji wszystkich początkujących literatów. Łączyło się to zresztą z jego poglądami na powieść czy — szerzej — na gatunki prozatorskie, przed którymi widział przyszłość, które bardziej mu leżały na sercu (wielokrotnie podkreślane nowatorstwo *Wasyla Hołuba* T. T. Jeża).

Cykl artykułów T. T. Jeża, zatytułowany *Do Autora „Zapisków literackich"*, drukowany był w czterech partiach w różnych okresach 1860 r. Nie mają one charakteru ściśle literackiego, ale dotyczą spraw ogólno-ideologicznych, żywo literaturę obchodzących.

Jako pretekst do wystąpienia posłużył Jeżowi jeden z *Zapisków literackich* (1860, nr 11), w którym przedrukował Dobrzański artykuł z *Gazety Codziennej* Kraszewskiego, adresowany do pisarzy, pod znamiennym tytułem *Zło narzuca się samo, szukajmy dobrego*. Miłkowski przeciwstawiał się tezie artykułu. Nie widzi on potrzeby literatury w naciągany sposób optymistycznej, pochwalnej, gdyż nie dostrzega w rzeczywistości współczesnej nic wartego pochwały. „Cichej cnotliwości", „miernoty" i „zwyczajności", które się dziś wszędzie plenią, a których dewizą: „robić, co można, stosować się do okoliczności", nie uważa za godne aprobaty. Nosiciele tych „cnót" niewarci są według Jeża „jednego palca jednego któregokolwiek z szeregowców spod Grochowa". To, co oni reprezentują, jest może „nie złe", ale nie jest „dobre". „Pomiędzy sobą — konkluduje — na próżno szukalibyśmy dodatniego, czynnego dobra. Było niegdyś, ale się postarzało. Prawdziwym dobrem, najwyższą cnotą jest to, co reprezentują Lelewel, Podchorążowie. Ale tego na próżno szukać w dzisiejszym społeczeństwie."

Ta pierwsza po wielu latach i tylko nieznacznie zawiłym stylem zamaskowana pochwała walki narodowo-wyzwoleńczej, połączona z walką o prawo literatury do ukazywania i piętnowania zła, wywołała ogromne wrażenie. I nie tylko wrażenie, ale także sprzeciwy. Gorzka surowość diagnozy, wiejąca z artykułu, oburzyła wielu. Stały współpracownik *Dziennika*, Józef Szujski,

który zresztą sam w swoich *Portretach Nie-van-Dyka* nie szczędził społeczeństwu chłosty, pisał w liście do Dobrzańskiego:

A propos pesymizmu, pogniewałem się na list p. T. T. J. *Do Autora Zapisków*. Po co taki pesymizm? Jeżeli tak źle jest, to wynieśmy się do Ameryki. Nie trzeba się nigdy bawić w Katona Utyceńskiego i udawać ostatniego. Jeżeli w powieści p. T. T. J. będą podobne namiętno-pesymistyczne ustępy — radzę opuścić, bo jest to prawda nad prawdami, że jątrzeniem niczego się nie zrobi.

Oprócz listu Szujskiego wywołał artykuł Miłkowskiego i inny oddźwięk. Było nim pisemko, jakie otrzymał redaktor odpowiedzialny *Dziennika Literackiego*, Wojciech Maniecki, „od c. k. dyrekcji policji k. miasta stołecznego Lwowa". Ponieważ *Dziennik* w swej działalności przedpowstaniowej niejednokrotnie podobne „ostrzeżenia" odbierał, warto będzie przytoczyć je w całości. Brzmi ono w urzędowej, niewolniczo z niemieckiego tłumaczonej polszczyźnie:

Wysokie c. k. Prezydium Namiestnictwa dekretem z dnia 13 marca 1860, L 1425/pr, zarządziło co następuje:

Pismo czasowe: *Dziennik Literacki*, od obszernego czasu w rozmaitych artykułach wytrwale rozwija dążności, które w sprzeczności są z podstawami istniejącego państwa i usiłują widocznie nadać umysłom kierunek, zbaczający od obecnego porządku rzeczy.

Wydane w dniu 6 i 9 bm. numery 19 i 20 są szczególnym tego dowodem. W numerze 19 adaptuje autor artykułu *O zadaniu pisma periodycznego dla ludu* nadzieję cytowanego przez niego poety co do przyszłego pobojowiska, na którym losy polskiego narodu się rozstrzygną. W dalszym biegu swej rozprawy podnosi on tak często od nieprzyjaciół prawnego porządku czyniony sofistyczny zarzut, iż w Galicji i w dawniejszych polskich ziemiach niezgodę między ludem a szlachtą podsycano jedynie z zewnątrz i ryzykowano na zgubę narodu.

W tym samym numerze przyjęła redakcja *Dziennika* pod napisem *Czytelnia akademicka* jakoby nadesłane wezwanie do młodzieży akademickiej do założenia czytelni. Jako jeden z kardynalnych celów tej czytelni wskazano rozbudzenie narodowego życia, podczas gdy z zestawienia innych tak w tej rozprawie, jak i w innych artykułach *Dziennika* rozrzuconych napomknień wyraźnie się okazuje, że pod tym rozumieć się ma nie narodowe życie w monarchii, lecz przeciwstawione temuż separatystyczne życie polskiego narodu, w którego ideach ma być młodzież wychowywana. Redakcja ofiaruje się zamierzonej czytelni ku temu celowi dwa exemplarze swego pisma poświęcić.

Jeśli w tem samym wezwaniu wspomniano potrzebę zmężnienia młodzieży do czynów, to z wstępnego artykułu w następnym numerze 20-tym pod napisem: *Do autora „Zapisków literackich"* wnosić można, jakiego rodzaju czyny temu pismu przed oczyma się unoszą, które swoim czytelnikom w ogóle, a modzieży w szczególności jako naśladowania godne przedstawione mieć chce.

Powstanie szkoły podchorążych w Warszawie 29 listopada 1831 (sic!) przeciwko prawowitej władzy uważa za wzór dodatniej strony życia, jako ideał cnoty i wydaje mu się nie tak prędko coś tak wzniosłego, jak zasługa owych, którzy wzięli udział w wojnie, co po tym buncie nastąpiła. Autor wspomnianego artykułu posuwa się

jeszcze tak daleko, iż stwierdzi, że prawdziwej cnoty, prawdziwej zasługi zaprzeć się, a nawet ignorować ją wprost należy, jeśli się nie ma utracić konsensu na czasopismo. Tem pozwala sobie wobec rządu zarzutu, który tylko wytłumaczyć można jego politycznym i moralnym sposobem myślenia, nie mającym żadnej podstawy.

Ale podobny kierunek *Dziennika* niezgodnym jest zupełnie z utrzymaniem publicznego spokoju i porządku. Przysposabia niebezpieczną demoralizację umysłów, przedstawiając im wzory działania, które w ostatnim następstwie rozprzężenia teraźniejszego porządku rzeczy w sobie ukrywają.

W wykonaniu powyższego wysokiego dekretu udziela się Panu na zasadzie § 22 ustawy drukowej z 27 maja 1852 za powyższe wykroczenie pierwsze pisemne ostrzeżenie, z tym dodatkiem, że dalsze trwanie na tej drodze cierpianem nie będzie i daleko dotkliwsze skutki za sobą pociągnie.

Ostrzeżenie to zamieszczone być ma w myśl § 21 ustawy drukowej w najbliższym numerze *Dziennika Literackiego.*

Lwów, 19 marca 1860.

*

Najgłośniejszym echem pośród wystąpień publicystycznych *Dziennika Literackiego* w 1860 r. odbiły się *Listy spod Lwowa* Kornela Ujejskiego. Pisane z ogromną pasją i zacięciem polemicznym, uderzają one w podobny jak w artykułach Jeża czy Dobrzańskiego ton. Atak swój koncentruje jednak Ujejski głównie na dwóch rzeczach: na serwilizmie literatury lat 50-tych i na jej konserwatyzmie, antyludowości, kulcie szlachetczyzny. Tym sprawom poświęca dwie zasadnicze rozprawy: *O albumie wileńskim* (gdzie atakuje Chodźkę, Malinowskiego, Odyńca i Kirkora, autorów wydanego z okazji przyjazdu do Wilna Aleksandra II „albumu", zawierającego serwilistyczne, schlebiające carowi utwory) oraz cykl listów *O Januszu i o panu Wincentym Polu* — przynoszący gruntowną analizę dotychczasowego dorobku Pola, jego drogi od *Pieśni Janusza* do ostatnich utworów, które potępia za odejście od pierwotnego demokratyzmu, za ugodowość wobec zaborców. Analizę przeprowadza przeciwstawiając Polowi obecnemu dawnego Pola, piewcę prostych żołnierzy powstania listopadowego — Janusza.

Nie będę tu omawiał szczegółowych zarzutów ani ocen i analiz poszczególnych utworów autora *Przygód Benedykta Winnickiego.* Warto w każdym razie podkreślić, że z zarzutów tych i analiz wyłania się wyraźnie obraz Ujejskiego — pisarza walczącego, i literatury, jaką propaguje. Jest to literatura światoburcza, o wyraźnej tendencji demokratycznej, przeciwstawna w każdym calu temu ideałowi moralnemu, który panował w literaturze lat 50-tych — ideałowi pokory:

Pokora, pokora... — wołał w jednym z listów — zaleca ją każdy kapłan z kazalnicy, zaleca ją każda władza despotyczna. Toż i pokora może być najwyższą cnotą, ale jest często najniższą podłością. Pokora zrobiła z całej ludzkości jedną trzodę owiec. Pokora każe nam tu wylegiwać się bezczynnie na Jobowym gnoju i oczekiwać śmierci jakby zbawienia. „Królestwo moje nie jest z tego świata" — powiedział Chrystus, a mówił to o sobie; ale nie mówił przeto, abyśmy nie starali się o Królestwo Boże na ziemi.

Wielkim *novum* wystąpienia Ujejskiego była sama jego treść i sposób, w jaki została potraktowana. Bezpośredni, personalny atak na uznany, powszechnie szanowany autorytet nie był dotąd praktykowany. Praktykę tę uzasadnił zresztą Ujejski teoretycznie, pisząc:

Są ludzie, prywatni i publiczni; do ostatnich należą wszyscy o głośnych i znakomitych w kraju imionach. I jeżeli nie tykamy spraw i mów prywatnego człowieka, to nie dlatego, aby nam to nie wolnem było, bo wszystkie rządy i sądy, jako streszczenia ciał społecznych, nie tylko mają prawo, lecz nawet obowiązek czuwania nad postępkami i głosami swych obywateli — ale przez wzgląd, że czyny i głosy takie, jako idące od ludzi, nie mających potrzebnej powagi, nie mogą wpływać szkodliwie na cały naród: w ciasne więc takie granice nie sięga dozorujące oko krytyka. Inna rzecz, gdy czyny i głosy, choćby tylko prywatnie wymówione, lecz tyczące się spraw narodowych, idą od człowieka znanej już w kraju powagi; natenczas obowiązkiem jest każdego obywatela śledzić je, wykrywać, ważyć na szali wartości narodowej i w razie uznanej ich szkodliwości dawać publicznie potrzebne dla innych ostrzeżenie. Życie nasze, tak długo martwe pod względem politycznym, oddaliło nas od tych pojęć wolniejszych od nas narodów. W Anglii nie ma ludzi p r y w a t n y c h; tysiącooczne, tysiącogębne jej dziennikarstwo szpera za wszystkiem, wie o wszystkiem i głosi wszystko. I tak być powinno.

To nowe stanowisko wobec ludzi i spraw „publicznych", śmiałe dotykanie najbardziej „nietykalnych" tematów, zerwanie z dotychczas panującymi konwencjami, obowiązującymi pisarzy do wzajemnych grzeczności i duserów, spotkało się z natychmiastowym sprzeciwem ze strony konserwatywnej i organicznikowskiej prasy.

O nadużyciu krytyki — taki tytuł nosił felieton Siemieńskiego, drukowany w *Czasie*, który stał się początkiem dyskusji, w jakiej główny ciężar polemiki z *Dziennikiem Literackim* wzięło na siebie *Kółko Rodzinne* i dlatego została ona nazwana przez Dobrzańskiego „sporem z *Kółkiem*". Był to, mimo przewijających się elementów zadrażnień osobistych, przede wszystkim spór o sprawy ideowe, spór, w którym sprecyzowały się różne poglądy na społeczeństwo i na taktykę polityczną organiczników („umiarkowanych") i radykałów.

Oto krótki przebieg chronologiczny tej utarczki literackiej. Na pierwsze nieprzychylne oceny *Listów spod Lwowa* w *Czasie* i *Kółku Rodzinnym* odpowiedział Ujejski w specjalnym artykule (zamieszczonym jako dwa kolejne *Listy spod Lwowa* w numerach 52 i 53 *Dziennika Literackiego*), zatytułowanym *Nad jedną z krótkich ewangelii felietonisty „Czasu" obszerniejsze uwagi* (sporo miejsca poświęcił tu analizie ideologii *Kółka Rodzinnego*). Odpowiedziało mu *Kółko* w nr 20 swego pisma.* Teraz włączyli się do polemiki Dobrzański i Jeż. Dobrzański w krótkich notkach umieszczanych w stałej rubryce *Przewodnik* (w numerach 55 i 56), Jeż (nie atakując imiennie *Kółka*) — w artykule *Bez-*

* Czytamy tu między innymi: „W dzisiejszym położeniu naszem i wobec tego, co się wkoło nas dzieje, zadaniem literatury jest: pojednać i połączyć w jeden zastęp wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, zwołać wszystkie siły pracujące dla wspólnego dzieła, z rozrzuconych posterunków i obozów zrobić jedno wojsko — jeden naród... Jeżeli naród nie ma bytu politycznego, to zbrodnią jest rozdzierać go na stronnictwa w chwili, gdy on potrzebuje jedności i skupienia".

stronność — choroba mózgowa, zamieszczonym pod nagłówkiem *Do Autora „Zapisków literackich"* w nr 57 *Dziennika* (*Kółko* odpowiadało w artykule redakcyjnym w nr 22). Jeden z *Zapisków literackich* (*Spór z „Kółkiem", Dziennik Literacki*, nr 63), utrzymany zresztą w tonie osobistym, poświęcił Dobrzański całkowicie tej polemice. Wreszcie swego rodzaju podsumowanie stanowił ostatni list T. T. Jeża *Do Autora „Zapisków literackich" — Nieco o umiarkowaniu literackim* (nr 64).

O co chodziło w tej polemice? Cały spór skupił się wokół dwóch zagadnień: pierwsze — gdyby przełożyć je na język pojęć dzisiejszych — brzmiałoby: solidaryzm czy walka klas. Drugie: czy należy o wszystkich bolączkach i zadrażnieniach narodowych mówić śmiało i otwarcie, czy łagodzić, przemilczać, postępować umiarkowanie. Jakie było w tych sprawach stanowisko *Dziennika*?

Całym ostatecznym argumentem *Kółka* i p. Siemieńskiego przeciw Ujejskiemu — pisał w jednej z notek Dobrzański — jest, iż burzy jedność, zgodę, spokój, zjednoczenie, skupienie i przez to nieprzyjaciołom służy. Nikt więcej nie pragnie spokoju, zgody, jedności, zjednoczenia, skupienia jak ludzie grzeszni, bojący się, aby im kto wad nie wytknął, lub ludzie nijacy. Są to frazesy niedołęgów, frazesy bezmyślne. Płazy wyłażą wtedy z wody, gdy jest spokój, jedność, zgoda w naturze. Sęp, gdy porwie zdobycz, potrzebuje ciszy, spokoju, jedności, aby mógł wygodnie pożreć swą ofiarę. Gdzie jest życie, ruch, tam muszą być i opinie. Absolutna jedność jest absolutną śmiercią.

Uzupełniając wywody Dobrzańskiego, w następnym numerze *Dziennika Literackiego* zamieścił Jeż artykuł, w którym wykazuje, że bezstronność (na którą lubiło się powoływać *Kółko Rodzinne*) nie istnieje, że jest tylko formą „stronności", że używanie tego terminu jest bezsensowne.

Literatura jest zwierciadłem narodu — pisze. — Naród w niej się odbija i przegląda. W niej skrystalizowana myśl narodowa staje widomie i daje się ująć i ze wszech stron opatrzeć (...) A zasady pisarza nie mogą być czemś innem, jeno zasadami porządku społecznego, które tkwią w łonie narodu, bądź jako fakt dokonany, bądź w postaci dążności, i są rozmaite, jak i rozmaitemi są potrzeby i pożądania różnych klas i warstw społeczeństwa, jak rozmaitym jest sposób zapatrywania się na te potrzeby i pożądania, jak na koniec rozmaitymi są organizacje rozumów człowieczych, okraszonych namiętnościami, które tak pod względem rodzajów swoich, jak pod względem stopnia natężenia w każdym z osobna rodzaju, rozmaitemi są do nieskończoności. Możnaż chcieć, aby zlały się one w jedno...

Swobodne ścieranie się opinii, walka przekonań jest więc sytuacją naturalną, sprzyjającą rozwojowi społeczeństwa, bo pozwala w wolnej dyskusji zwyciężyć poglądom słusznym, zgodnym z postępem. Z tym łączyło się inne zagadnienie, które poruszył Jeż w swym ostatnim artykule-liście. Ostrożne, programowo umiarkowane *Kółko* prowokowało do rozważenia właśnie sprawy „umiarkowania". Problem ten Miłkowski postawił. O ile „bezstronności" po prostu zaprzeczył, to „umiarkowanie" uznał za istniejącą i często spotykaną postawę moralną, równoznaczną z godzeniem się na zło, z oportunizmem i obo-

jętnością, z zafałszowaniem. Przeciwstawiając umiarkowaniu „otwartość" pisał:

Potrzeby, których wykazanie jest zadaniem literatury, są moralne, odnoszące się (nie wyłącznie, ale przeważnie) do narodowego ducha. Uwiecznić narodowy duch, podnieść go, usamoistnić: takiem jest powołanie literatury.

A dla spełnienia godziwie powołania tego potrzeba, aby ona była otwartą: otwartą jak surowa cnota, jak katonizm, nie bawiąca się ani w jałową grzeczność, ani w występne pobłażanie: potrzeba bowiem dodatnią cnotę postawić dodatnio, wyraźnie, aby ją zrozumieli wszyscy i aby wszyscy umieli ją od niecnoty odróżnić, od niecnoty — szczególnie — udającej cnoty, najniebezpieczniejszej, bo kursującej w społeczeństwie na wzór sfałszowanej monety, która, zanim się na niej poznają, tysiące ludzi na mimowolne i mimowiedne naraża złodziejstwo.

Jest zwyczaj, datujący od niepamiętnych czasów, od czasów, jak społeczność ludzka, zorganizowawszy się, myśleć o sprawach swoich poczęła — jest zwyczaj, że tego rodzaju niecnotę osłaniają wyrazem: u m i a r k o w a n i e, o szał, o głupotę, o szerzenie niezgody, nawet o zdradę pomawiając tych, którzy ją odsłaniają. Zwyczaj to stary, zużyta, nadużyta i tysiąckrotnie odgrzewana taktyka takich stronnictw, których podstawa jest albo fałszywa, albo występna. Wygodna to taktyka: bo umiarkowaniu granic naznaczyć nie można, więc poza niem i niecnoty dopatrzeć nie można, która stopniowo, od niewinnych poczynając pozorów, od pół-sofizmatów, zachodzi aż tam, gdzie noga polska postać nie powinna.

*

Nie tylko wystąpienia publicystyczne czy krytyczno-literackie były znamionami zwrotu, jaki *Dziennik Literacki* zainicjował w literaturze. Do nich należały i fakty *sensu stricto* literackie. Już w 1858 r. zaczął *Dziennik* drukować powieść T. T. Jeża *Wasyl Hołub*. Powieść to z wielu względów przełomowa. Ukazuje ona życie obyczajowe i społeczne ludu ukraińskiego w ścisłym zespoleniu z wydarzeniami politycznymi. Ma za temat walkę narodowo-wyzwoleńczą, wieje atmosferą zupełnie różną od panującej dotąd w piśmiennictwie krajowym. Wprawdzie już następna, znacznie zresztą słabsza powieść Jeża, *Handzia Zahornicka* (1859), wkracza na tradycyjny obszar „powieści ludowej", jednak w tym samym 1859 r. ukazuje się w *Dzienniku Literackim* powieść Łozińskiego *Zaklęty dwór*, podejmująca w pewnym sensie inicjatywę Jeża.

Ta świetna powieść, jedna z najpoczytniejszych, jakie napisano w naszej literaturze, to typowa powieść kryptopolityczna. Porusza ona o wiele bliższe dla galicyjskiego czytelnika sprawy: akcja jej rozgrywa się w zaborze austriackim w 1848 r., bohater główny jest emisariuszem TDP, przygotowującym powstanie. Aby móc ogłosić utwór o tej tematyce, nie mógł jej autor poruszać wprost. Stąd próby zamaskowania. Posłużyła do tego konwencja powieści sensacyjnej w stylu Suego i Dumasa-ojca.

Zaklęty dwór był pierwszą powieścią na większą skalę zakrojonego cyklu, którego tematem miały być wydarzenia galicyjskie 1845/46, a nicią wiążącą wspólny bohater — emisariusz demokratycznych konspiracji. Następna powieść *Dwie nocy* zaczęła ukazywać się odcinkami w *Dzienniku Literackim* w 1860 r. (w nr 1—24). Tym razem jednak cenzura, mając za sobą doświadcze-

nia *Zaklętego dworu*, była bardziej przenikliwa. Cięła niemiłosiernie. Łoziński musiał przerabiać, skracać, opuszczać całe wątki (jak skarżył się czytelnikom w Zakończeniu: „*Dwie nocy* nie zawierają ani dziesiątej części tego, com chciał, a ani połowę tego, com napisał"). Powieść bardzo na tym ucierpiała. Niestety nie posiadamy rękopisu pierwotnej wersji; dysponujemy tylko tym, co było wynikiem „współpracy" autora z cenzorem.

Mimo tak częstej ingerencji władz powieść i tak mówiła dużo, zbyt wiele jak na cierpliwość zaborcy. Gdy więc w Zakończeniu Łoziński tłumaczył się z braków książki, sugerując przyczyny okastrowań, wykorzystano to do wytoczenia „postępowania karnego" przeciwko autorowi i wydawcy *Dziennika Literackiego*.

Cyklu swego o demokratycznym emisariuszu sprzed 1846 r. Łoziński nie skończył. Przerwał go na okrojonych *Dwóch nocach*. (Pewne cechy powieści kryptopolitycznej nosi jeszcze drukowany przy *Kółku Rodzinnym* — *Czarny Matwij*.) W następnym roku zginął w pojedynku, mając zaledwie 24 lata. W ten sposób przerwana została w zalążku twórczość najlepiej zapowiadającego się pisarza pokolenia debiutującego około 1860 roku.

Poza powieściami *Dziennik Literacki* drukuje w tych latach szereg wierszy patriotycznych (Lenartowicza, Starkla, Romanowskiego i innych). Najgłośniejszym z wystąpień poetyckich 1860 r. i w pewnym sensie programowym, noszącym charakter manifestu politycznego młodego pokolenia stał się poemat Michała Bałuckiego, 23-letniego wówczas poety krakowskiego — *Bez chaty*.

*

Wśród przedpowstaniowych pism Bałuckiego poemat ten odgrywa niewątpliwie najważniejszą rolę. Był on trzecim utworem pisarza, drukowanym na łamach *Dziennika Literackiego*. Poprzedzały go: utrzymany jeszcze w konwencjach poprzedniej epoki poemat *Cicha miłość* oraz fragmenty poematu historycznego w stylu Mickiewiczowskiej *Grażyny* — *Ziemowit Mazowiecki*. Utwór ostatni przez swe nawiązanie do tradycji wczesnego romantyzmu znamionował już nową epokę.

Bez chaty to poemat dialogowy z narracyjnymi wstawkami. Nie był on pozbawiony pewnych walorów dramatycznych. Rozgłos i posmak skandalu, jaki zdobył, zawdzięcza swej treści i jej podwójnemu sensowi. Bo oprócz bezpośredniego zawarty był w nim i sens pośredni, alegoryczny.

Jest to obrazek z życia górali tatrzańskich — jeden z pierwszych poruszający temat, wprowadzony do naszej literatury przez Goszczyńskiego. Wiele mówi o nędzy ludu podhalańskiego, którego nie jest w stanie wyżywić uboga ziemia górska, który musi schodzić za zarobkiem daleko w doliny. Samo ukazanie życia ludu nie wywołałoby jeszcze skandalu. Spowodowało go zakończenie utworu. Fabułę tworzą bowiem dzieje młodego górala, który, wypędzony wraz z siostrą z rodzinnej chaty przez ojczyma, wiele miesięcy spędza na wędrówkach z dala od ziemi ojczystej, na modlitwach i rozpamiętywaniu doznanej krzywdy. W końcu jednak, przekonany o bezpłodności i bezcelowości swego dotychczasowego postępowania, wraca do rodzinnej wsi, zabija ciemiężyciela-ojczyma, uwalnia matkę i odzyskuje ojcowiznę. Czyn ten Bałucki całkowicie aprobuje.

Takie rozwiązanie konfliktu nie mogło nie wywołać sprzeciwów. Uderzało w panującą moralność, apoteozowało postępowanie pozostające w niezgodzie z oficjalnymi kodeksami prawnymi i przepisami kościelnymi. Ale bezpośrednia wymowa nie wyczerpywała całego sensu poematu. Posiadał on bowiem i wykładnik alegoryczny. A ten budził także wśród dużego odłamu społeczeństwa poważne sprzeciwy.

Alegoryzacja to chwyt znany, wielokrotnie przed Bałuckim praktykowany w literaturze krajowej, zwłaszcza literaturze lat 40-tych. W ówczesnej poezji były nawet pewne stałe alegorie, powtarzające się we wszystkich prawie utworach, jak matka (lub kochanka) — Polska, rodzinna chata lub dom — kraj itp. I Bałucki stosuje ten zabieg. Matka — w poemacie jego znaczy: Polska, ojczym — zaborca, młody góral Stach i jego siostra — Polacy, chata — kraj ojczysty. Tak utwór czytali współcześni, nie zwracając większej uwagi na jego realia góralskie. W takim rozumieniu nabierał utwór nowego znaczenia, stawał się poetyckim głosem w ogólnonarodowej dyskusji, jaką wywołały pierwsze wydarzenia warszawskie, jaką wywołała patriotyczna fala ogarniająca wówczas cały kraj, a która wyrażała się w manifestacjach religijnych, stroju narodowym itp. Bałucki wypowiada się tu przeciw bierności, przeciw cierpiętnictwu i ograniczeniu się do obrzędów religijnych, przeciw mesjanizmowi (tu po raz pierwszy zaatakuje tę ideologię, wielokrotnie później zwalczaną na kartach jego powieści politycznych). Opowiada się za czynem, za metodami rewolucyjnymi.

Taki sens utworu wypływa nie tylko z alegorycznego odczytania treści poematu. Zaopatrzył bowiem Bałucki swój utwór w inwokację i obszerną dygresję na początku pieśni VI, gdzie zwraca się bezpośrednio do czytelników i bez uciekania się do maski alegorii wykłada tendencje utworu.

W inwokacji, stylizując się wyraźnie na autora *Grobu Agamemnona*, uderzy w tony patosu:

Lecz czyliż cała wielkość nasza w grobie?
Czyż wiecznie będziem w przeszłości ozdobie,
Rozanielonej na praojców trumnie,
Przy pieśni szumnie stać jak na kolumnie,
Upozowani i piękni w żałości,
I mówić światu: „ot, my kość z ich kości"?
Czyliż pokoleń nowych pierś rozdarta
Oprócz rozpaczy, tęsknot i boleści
Za starą sławą, nic więcej nie mieści?
Myśl nasza myśli dawnych lat niewarta?
Po przecierpianych bolach daj mi Panie
Skrzydła nadziei, bym w zmierzchłe zaranie
Świecił jak lampa nad duszą narodu.
Chcę gwiazdą wisieć u przyszłości wschodu,
A choćby zblednąć, wschodu nie doczekać,
Wolę, niż siadłszy na grobach narzekać.

Gdy Stach podejmuje decyzję powrotu do domu i rozprawienia się z ojczymem, autor po raz drugi wtrąca się w tok akcji, zwracając się bezpośrednio do czytelnika:

Kto woli burzę — niż spokój zgniły,
Niż w księżycową noc miękkie łoże,
Kto wierzy ze mną, że sklep mogiły
Tylko piorunny miecz przeciąć może —
Niechaj do końca słucha mej pieśni,
Przecierpi życie, ale nie prześni.
I ja choć płaczę, z nadzieją płaczę,
I pieśnią mściwą.
Gdzie są słuchacze?
Jedni od huku piorunów zbledli
I klną pieśniarza, co im sen mąci,
Inni w kościołach krzyżem upadli,
Czekają cudu, a gdy ich trąci
W zmęczone piersi piosnka ze stali —
To krzyczą „Nie czas! nie czas!" zwątpiali.
Ale wy młodzi z ostrymi pióry,
Z myślą co pragnie, z duszą co płonie?
Dla was pieśń moja na Tatrów tronie,
W wieńcu piorunów i w czarne chmury
Ubrana. — Dusza bólem wzruszona,
Nie zna spokoju Spirydiona,
I znać go nie chce — i walki chciwa,
Rzuca modlitwy — topór porywa.
Bóg mnie piorunem nie przeklnie za to —

Pod względem poetyki i treści *Bez chaty* to utwór całkowicie nowy, jaskrawo odcinający się od literatury lat 50-tych nie tylko nawiązaniem do formy i frazeologii Słowackiego, nie tylko wyraźnymi polemicznymi wtrętami w stosunku do Pola („Przecierpi życie, ale nie prześni" — Pol pisał: „Tyle szczęścia, co człek prześni! Tyle życia, co jest w pieśni"), ale przede wszystkim zawartością ideową. Entuzjazm, z jakim spotkał się w środowisku młodzieży, był podobno ogromny. Już też w 1861 r. starał się Bałucki wydać poemat osobno drukiem. Starania jednak, jakie czynił u księgarza lwowskiego, Karola Wilda (posiadamy w tej sprawie list Turowskiego do Szajnochy), nie dały, z nieznanych nam przyczyn, rezultatu. W osobnym wydaniu ukazał się utwór dopiero w czasie powstania, w r. 1863, i spowodował aresztowanie Bałuckiego.

*

W fermencie ideowym, którego wyrazem była kampania prowadzona przez *Dziennik Literacki*, ważną rolę odegrało także inne pismo — wspomniana już *Czytelnia dla Młodzieży*. Wychodziła ona trzy razy w miesiącu, od marca 1860 r. Redaktorem był jeden z dotychczasowych współpracowników *Dziennika*, młody powieściopisarz i publicysta, Karol Cieszewski. W skład redakcji

wchodził także historyk, Lucjan Tatomir. Rola, jaka przypadła w udziale *Czytelni dla Młodzieży* w ruchu literackim początku lat 60-tych, była nieco inna niż rola *Dziennika Literackiego*. Nie była *Czytelnia* pismem literackim, ale ogólno-kulturalnym i społecznym, przeznaczonym dla młodzieży i w ogromnej większości pisanym przez nią. Warto dodać, że było to pierwsze w naszej historii ogólnopolskie pismo młodych.

Czytelnia nie zamieszczała na swych łamach polemik literackich, artykułów programowych z tej dziedziny ani (z nielicznymi wyjątkami) bieżącej krytyki literackiej. Jednak na sprawy literatury poważnie oddziałała, i to w sposób dwojaki. Po pierwsze zagadnienia historii, polityki, kultury, które stale poruszała, wiązały się w wielu aspektach ze sprawami literatury. Po wtóre *Czytelnia dla Młodzieży* zamieszczała teksty literackie. Otóż jeśli idzie o dobór tekstów, polityka prowadzona przez redakcję w tej dziedzinie włączała się w walkę o określone gusty czytelnicze, proponowała konkretny model literatury, stała się ważnym elementem przemiany, jaka się w literaturze polskiej dokonała u progu lat 60-tych.

Czytelnia nie od razu zajęła pozycję wykrystalizowaną ideowo, zaangażowaną po stronie „stronnictwa ruchu". Wręcz przeciwnie, żywot swój rozpoczęła dość tradycjonalnie i eklektycznie. Program zawarty w pierwszym numerze był bardzo ogólnikowy. Numer ten (oraz następny) przynosił życzenia od Kraszewskiego i Pola (który nadesłał nawet fragment nie drukowanego poematu *Stryjanka)*, artykuły: Antoniego Małeckiego o filologii, Hipolita Witowskiego *O znaczeniu nauk przyrodniczych,* Józefa Supińskiego *Uwagi nad pierwszym numerem „Czytelni"*. Pierwsze numery pisma zapełniali, poza redaktorami, prawie wyłącznie pisarze starszego pokolenia o znanych nazwiskach, bez specjalnego doboru, jeśli chodzi o stanowiska i orientacje. Wobec sporu *Dziennika Literackiego* z *Kółkiem Rodzinnym* — *Czytelnia* zachowała stanowisko neutralne.

Sytuacja zaczęła się zmieniać od połowy r. 1860, gdy łamy pisma coraz częściej stawały się areną wystąpień młodzieży literackiej, gdy począł się wytwarzać określony typ nie tylko odbiorcy, ale i współpracownika. Pisarze starszego pokolenia przestają współpracować z *Czytelnią* (wyjątek stanowi Kornel Ujejski, który w 1861 r. zamieszcza tu sporo wierszy), a wokół pisma skupia się zwarta grupa młodych twórców o określonych poglądach politycznych.

Są to: Karol Cieszewski, Lucjan Tatomir, Bernard Kalicki, Walery Łoziński i Mieczysław Romanowski ze Lwowa; Alfred Szczepański, Michał Bałucki, Józef Szujski i Jan Kanty Turski z Krakowa; cały szereg bezimiennych korespondentów z różnych części Polski i z zagranicy, jak „korespondent znad Odry" z Wrocławia czy Tworzymir z Poznania; wreszcie nie rozszyfrowani autorzy, ukrywający się pod kryptonimami Ludwik D. czy Wiktor D.

*

Zgodnie z koncesją, jaką uzyskał Cieszewski na wydawanie pisma, nie mogła *Czytelnia dla Młodzieży* drukować artykułów czysto politycznych. Dlatego chcąc sprawy te poruszać trzeba było wykorzystywać artykuły historyczne, społeczne, szkice felietonowe, korespondencję itp. Sprawa nie była zresztą trudna. Często wystarczyło samo poruszenie odpowiedniego tematu historycz-

nego. Czasem służyła do tego celu ocena wydarzenia przeszłości, wtrącona do niej dygresja aktualizująca czy wniosek wyciągnięty z faktów o charakterze społecznym.*

Publicystyki tego typu przynosił dużo każdy numer *Czytelni*. Wśród niej na pierwsze miejsce wysuwają się artykuły głównego teoretyka pisma, Alfreda Szczepańskiego — przywódcy krakowskich „młodych" (odpowiednika warszawskich „czerwonych"). Tego typowego działacza politycznego pasjonowała przede wszystkim jedna rzecz: przygotowanie narodu do przyszłej rewolucji. Celowi temu służą pośrednio takie artykuły, jak *O młodzieży litewskiej po 1815 r.* (1860, nr 27 — sprawa tradycji) czy *O stroju narodowym* (1861, nr 7). Bezpośrednio sprawom tym poświęcone są artykuły: *Siła narodu* (1861, nr 28, 29 — dla zamaskowania przed cenzurą zaopatrzony w podtytuł *Wyjątek z dzieła Thiersa*), *O praktyczności* (1861, nr 12) i *Porozbiorowy szlak* (1861, nr 18—25).

Artykuły te kształtowały ogólną atmosferę; wpływały i na literaturę, urabiając jej zainteresowania tematyczne, jej uczulenie moralne. W jednym z nielicznych artykułów, które poświęciła *Czytelnia* literaturze pięknej (Tatomir: *Z dziejów literatury XIX w.*), znajdujemy parę ciekawych uogólnień. Jest to swego rodzaju synteza poglądów na literaturę oraz upodobań artystycznych pokolenia lat 60-tych. Artykuł przynosi przegląd wydarzeń literackich ostatniego półwiecza oraz szereg wniosków z nich wypływających, także wniosków odnoszących się do współczesności. Wymienić trzeba m.in. poglądy na powieść w ogóle oraz na pisarstwo lat 50-tych, w osobie jego najbardziej charakterystycznego przedstawiciela — Józefa Korzeniowskiego.

Powieść ceni Tatomir bardzo wysoko, przede wszystkim za to, że obejmuje znacznie większe obszary rzeczywistości niż tradycyjne gatunki literackie, a więc za jej pojemność oraz za demokratyzm:

> Z wyżyn niedoścignionych przez oko Zoila, kędy ją unosi zapał i natchnienie wieszcze, zstępuje ona (poezja współczesna — *J. M.*) na pola i łąki, wgląda do wiejskich chat i dworów i siedzib na ugorach i śledzi tu życie codzienne, bogate w rozmaitość wydarzeń i charakterów: odkrywa najtajniejsze poruszenia serca, wydobywa na jaw skromne cnoty domowe i stawia pod pręgierzem opinii publicznej tajone wady nie pytając o to, czy one się kryją pod saitą, czy pod sierakiem. Ale aby być zupełnie swobodną i nieskrępowaną żadną formą, rzuca z siebie szatę rymu i rytmu i staje się poezją w prozie — staje się powieścią.

Nie całe jednak „powieściarstwo" współczesne ceni Tatomir w jednakowym stopniu. I tu dostrzega objawy ujemne, które zwalcza, przed którymi przestrzega. Do takich należy twórczość Józefa Korzeniowskiego i jej atmosfera moralna:

> Korzeniowski — pisze — okryje wszystko gazą jakąś, że ani cienie, ani światło nie uderzą za mocno i tylko tyle z nich przeziera, ile potrzeba, żeby ułożyć miłą oku grę kolorów, nie rażącą nigdzie silnym kontrastem. Zawsze szatą ideału przykryje niemiłą prawdę, bo wie on, że „prawda w oczy kole". Toteż koniec końców

* Wśród ważniejszych artykułów tego typu wymienić należy: Ludwika D. *Z dziejów Polski* (1861, nr 14—15), Bałuckiego *O koleżeństwie* (1860, nr 25) i *Nasze grzechy* (1861, nr 26) oraz Starkla *Imię i narodowość* (1861, nr 16—17).

w świecie, który tworzy Korzeniowski, pomijając małe niedogodnostki, zawsze jest dobrze, przyjemnie i „nieźli są ludzie".

Jest to dążność optymistyczna, która w każdym innym narodzie może być dobrą, tylko nie w naszym. Nie należy jednać nas z teraźniejszością i przytłumiać w nas to niezadowolenie, które stan obecny słusznie w nas rozbudza — wyobrażając nam świat otaczający i stosunki nasze tegoczesne w tęczowych barwach. Korzeniowski umie użyć wszelkich tajemnic sztuki, umie zastosować wszelkie zasady estetyki, aby stworzyć powiastkę lub powieść, którą mile się czyta, która czasem mimowolny uśmiech wywoła, a czasem łzę wyciśnie; ale Korzeniowski nie umie uderzyć w te struny, których dźwięki poruszą nie tylko miękkie serca kobiet, ale które nawet i z najtwardszych wydobędą iskrę zapału. Korzeniowski może bawić ludzi, ale nie podnosić ich, nie wieść ich naprzód do postępu i otrzęsienia się z wad, brudów, występków i nałogów.

Korzeniowskiemu przeciwstawia Tatomir Kraszewskiego, którego „każda powieść świadczy, że autor z tem niemiłem *status quo* pogodzić się nie może, że się w nim nie rozlubował jak Korzeniowski, lecz rad by go zdeptać, zohydzić w oczach wszystkich, wykazując nielitościwie jego wady, błędy i podłości".

*

W jednym z „ostrzeżeń" c.k. policji, jakie otrzymał Cieszewski, czytamy:

Czytelnia dla Młodzieży objawia ciągle kierunek zdrożny, gdyż zniechęca młodzież w sposób zgubny do istniejącego porządku politycznego przez fałszywe drażnienie uczuć narodowych i zagrzewa do usiłowań, które są nieprzyjazne integralności monarchii i niezgodne z utrzymaniem spokoju i porządku publicznego.

Przyczyną tego i następnych ostrzeżeń były zarówno artykuły publicystyczne, jak i utwory literackie, wśród których dominowały wiersze i opowiadania patriotyczne, o silnej tendencji narodowo-wyzwoleńczej. Do takich należały *Sztandary polskie na Kremlu* Romanowskiego, *Ku pamięci J. Lelewela* Szczepańskiego czy *Na procesji* Bałuckiego, a także szereg utworów ukazujących się bezimiennie, jak np. szkic (reportaż — jakbyśmy dziś powiedzieli) *W Warszawie*, zamieszczony jako jedna z *Akwarell*, a przynoszący opis demonstracji w rocznicę bitwy grochowskiej i masakry dokonanej na ludności przez wojsko. Pomysłowość redakcji w omijaniu cenzury była niekiedy imponująca. I tak jeden z najśmielszych, otwarcie atakujący zaborców i dyszący zemstą wiersz wydrukowany został pt. *Marsz purytanów* — jako rzekomy przekład z angielskiego.

Najciekawszym jednak utworem zamieszczonym w *Czytelni dla Młodzieży*, utworem, który wywołał najsilniejszy oddźwięk opinii publicznej, było opowiadanie nie związane bezpośrednio z tematyką narodową (choć bardzo typowe dla literatury lat 60-tych): *Przechrzta* Bałuckiego. Nowela ta, jedna z najlepszych w całym dorobku autora *Grubych ryb*, porusza zagadnienia bardziej ogólne: teorii i praktyki ruchów ideowych, idei miłości bliźniego oraz idei zemsty i nienawiści; porusza wielką problematykę moralną.

Nowela osnuta jest na tle odległych wydarzeń historycznych. Akcja jej rozgrywa się w Hiszpanii lat 90-tych XV wieku, Hiszpanii Świętej Inkwizycji.

Tak się na ogół dzieje, że w okresach wielkich przewartościowań postaw moralnych i politycznych, wielkich ruchów ideowych, często sięga się po kostium historyczny. W odległych latach szuka się uzasadnień współczesności, rozwiązania aktualnych problemów. Do paraleli historycznej szczególnie podatnym gruntem okazały się w ciągu ostatniego stulecia dzieje Świętej Inkwizycji. Bałucki bodaj pierwszy w naszej literaturze sięgnął po ten motyw. W utworze ukazuje autor starcie czterech postaw: Wielkiego Inkwizytora Tomasza z Torquemady, chrześcijanina Francesco, przywiązanego do swej wiary i rozumiejącego ją w sposób ewangeliczny, poszukiwacza prawdy — przechrzty Michaelo — oraz Żydów.

Akcja rozgrywa się w Grenadzie, w chwili przejścia jej z rąk Maurów do Hiszpanów. Michaelo, który poznał chrystianizm z ust swego przyjaciela, Francesco, wówczas, kiedy nie był on jeszcze religią panującą, urzeczony przykazaniem miłości bliźniego, przyjmuje nową wiarę i jednocześnie zapoznaje się z praktyką chrystianizmu jako religii panującej. Ofiarami jej padają nie tylko jego dawni współwyznawcy — Żydzi, którzy setkami wędrują na stosy, ale i on sam w momencie, kiedy niebacznie ujawnia swe rozterki wewnętrzne. Wyklęty przez Żydów, odepchnięty przez chrześcijan, wędruje samotnie za wygnanymi z Hiszpanii Żydami, z którymi łączą go więzy krwi. Wrócić do społeczności żydowskiej nie może, nie tylko zresztą z powodu ciążącej na nim klątwy:

Nie, Myrrho! — powie do swej narzeczonej — ja już nie mogę wrócić do dawnej wiary, jak nie może człowiek, co wyrósł na męża, wrócić w kolebkę, w której igrał dziecięciem. Ale wierz mi, Myrrho, że wiara waszych prześladowców nie jest moją wiarą.

Nowela porusza wiele zagadnień. Sprawa pierwsza to przeciwstawienie chrystianizmu ewangelicznego jego katolicko-totalistycznej interpretacji. Problem niesłychanie istotny dla ludzi wierzących, a takimi byli niemal bez wyjątku ludzie pokolenia powstania styczniowego, ważny dla samego Bałuckiego — pisarza, który przez szereg lat wraca doń tworząc cały zastęp borykających się z tymi rozterkami nierzeczywistych księży, którzy, wyznając poglądy całkiem deistyczne, w rzeczywistości nie mogliby przejść nawet przez niższe seminarium duchowne.

Problem drugi to sprawa fanatyzmu, a raczej sprawa dwóch fanatyzmów, ich starcia, w którego wyniku zabrakło miejsca dla humanistycznego, nie podporządkowanego dogmatom piękna duchowego takich jednostek, jak Michaelo, Myrrha czy Francesco.

Problem następny to sprawa terroru i jego skutków. Bałucki pokazuje, jak terror wzmaga nienawiść i opór, jak w istocie czyni bezskutecznymi zabiegi tych, co go stosują. W jego sens każe na chwilę (tuż przed śmiercią) zwątpić nawet Wielkiemu Inkwizytorowi, Tomaszowi z Torquemady.

Los i cierpienia Żydów — prześladowanego narodu bez państwa, tak bardzo przypominające dolę Polaków, to także jeden z czytelnych podtekstów noweli. Autor stawia zagadnienia nie odpowiadając na nie. Wstrzemięźliwość ta,

nieco zaskakująca w epoce, która lubowała się w stawianiu kropki nad i, zbliża utwór raczej do czasów nowszych. Jedyną wyraźną tendencją utworu jest duch tolerancji, protest przeciw terrorowi i gwałceniu swobody jednostki.

Przechrzta wywołał liczne sprzeciwy. M.in. atakował go jeden z korespondentów *Dziennika Literackiego*. Broniąc tez utworu *Czytelnia* cierpliwie wyjaśniała oponentom, że w jego intencjach nie leżą „dążności antyreligijne" (co mu zarzucano), że ponadto „powiastce (...) nie zbywa ani na wybitnej tendencji, ani na myśli narodowej".

*

Cechą charakterystyczną *Czytelni* była odwaga i bezkompromisowość w stawianiu problemów, bez względu na głosy trwożliwej opinii, bez względu na ostrzeżenia policji i kary sądowe. Tym zyskiwało sobie pismo ogromne uznanie wśród młodzieży i elementów radykalnych w ogóle, tym też przysparzało niemało kłopotów cenzurze, która wtrącać się musiała do każdego niemal numeru pisma. Redaktor skarży się w jednym z *Urywków:*

Często robiono nam zarzut: „Zaczynacie coś drukować, nie dokończycie, znowu coś nowego zaczynacie..." itd. Wytłumaczymy się z tego. Koncesja nam nadana przy rozpoczęciu pisma jest bardzo ograniczoną: zakazane jest umieszczanie wszelkich wiadomości o wypadkach dziennych i wszystkie artykuły treści politycznej. Że zaś granica między artykułem treści politycznej a niepolitycznej jest tak subtelna, że redakcja mimo całego natężenia dopatrzeć się jej nie może, nie ma prawie numeru, gdzieby nie trzeba coś opuścić a przynajmniej zmienić.

Nie tylko na ingerencji cenzora i „ostrzeżeniach" policji polegała walka władzy austriackiej z *Czytelnią*. Ingerował także sąd, który za dwa artykuły w nr 4 z r. 1861 (zatrzymane zresztą przez cenzora), „które z swej treści poszlakowane są o zbrodnię głównej zdrady", zarządził śledztwo przeciw redaktorowi odpowiedzialnemu. Wreszcie w grudniu 1861 r. nastąpił finał: pismo zostało zamknięte, redaktor Karol Cieszewski aresztowany.

Zasługi *Czytelni dla Młodzieży* były bardzo poważne. Po pierwsze ogarnęła wszystkie, poza zaborem rosyjskim, skupiska polskie. Miała czytelników i korespondentów w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Berlinie, Paryżu, Brukseli, na prowincji galicyjskiej i wielkopolskiej. Stała się trybuną wypowiedzi dla wszystkich pionierów odrodzenia narodowego, i to w chwili, gdy *Dziennik Literacki* po bataliach 1860 r. częściowo przycichł — w r. 1861. *Czytelnia* rzucone przez *Dziennik* problemy podjęła, podsunęła do przedyskutowania młodzieży, którą skupiła wokół siebie. Sprecyzowała jej poglądy, określiła stosunek do przeszłości i teraźniejszości. Wytworzyła wśród młodych poczucie własnej odrębności, inności od poprzedniego pokolenia. Dlatego mógł Bałucki z dumą pisać w imieniu młodzieży, odcinając się od pokolenia lat 50-tych:

Młode pokolenie dobyło świętości narodowe i myśli narodowe z pyłu mogił i serc i wyjęło idee postępowe z siebie, i niesie przed sobą jako sztandar, jak godło życia. Może niejasna im jeszcze droga, po której iść mają, może zbyt wiele gorączkowych podskoków w tym ich pochodzie, ale od tego potępienia dalecy choćby dlatego, że

sami z siebie wykrzesali myśl narodową i myśl jedności, koleżeństwa, bez której każde usiłowanie upadnie bezsilnie, a wykrzesali tę myśl wśród zakazu i przestróg starszych.

Omówione wyżej wydarzenia literackie miały znaczenie przekraczające granice Lwowa i Galicji. Były to wówczas jedyne w skali ogólnopolskiej polemiki literackie, gdyż poza Lwowem nie udało się stworzyć — głównie ze względu na cenzurę — żadnego żywszego ośrodka literackiego. Warszawa była centrum wielkiego ruchu politycznego, nie zdobyła się jednak na czasopismo, które stałoby się organem „czerwonych", które by wypowiedziało ich pogląd na literaturę i jej rolę. Zabiegi, jakie w tym kierunku podejmowali Apollo Korzeniowski czy Ludwik Brzozowski, spełzły na niczym wobec oporu władz. Lwów pozostał głównym ośrodkiem odnowy literackiej lat 60-tych.

Przemiany, jakie w literaturze przyniosły lata 60-te, szły w trzech głównie kierunkach. Po pierwsze w kierunku pogłębienia weryzmu poprzez odrzucenie dopuszczalnych w okresie poprzednim odstępstw od zasad prawdopodobieństwa. Po drugie odwoływały się do romantyzmu, do jego maksymalizmu w zakresie doboru tematów i problemów. Prowadziło to do podejmowania ważnych dla narodu tematów, do przywrócenia godności wielkiej problematyce moralno-filozoficznej. Po trzecie wreszcie szły w stronę upolitycznienia literatury, wprzęgnięcia jej w służbę idei.

Lata sześćdziesiąte przynoszą też ostateczne ukształtowanie się i utrwalenie poetyki tendencyjnej (początkami swymi sięgającej w głąb romantyzmu) w tej formie, jaka panować będzie w literaturze przez najbliższe dwa dziesięciolecia. Pozytywiści nie wniosą do tej poetyki większych innowacji, poza częściową zmianą tematyki i bohatera pozytywnego. Zmiana ta dokona się zresztą nie jako rezultat osławionej walki „młodych ze starymi", ale niezależnie od niej. Istotniejsze zmiany w literaturze nastąpią dopiero około r. 1880, gdy poetyka tendencyjna zacznie być wypierana przez naturalizm.

Janusz Maciejewski

Kazimierz Wyka

TRZY LEGENDY TZW. WITKACEGO

I

Dramaturg, prozaik, malarz, właściciel firmy portretowej, filozof, teoretyk sztuki, krytyk, polemista, pamflecista, cygan artystyczny — jeśli wedle reguł Polskiego Słownika Biograficznego oznaczyć dokładnie postać Stanisława Ignacego Witkiewicza (24.II.1885—18.IX.1939), tak to wypada. A przecież pozostaje jeszcze Witkacy. Pozostaje małostkowe zdrobnienie, do wymiaru towarzyskiego skandalu mające sprowadzić ów fenomen i tym sposobem go unieszkodliwić. Prawdziwie po polsku.

Uwagi niniejsze wywołuje lektura Księgi Pamiątkowej poświęconej Witkiewiczowi*. Lepszych czy gorszych, mądrych czy godnych gombrowiczowskiego profesora Pimki** zawartych w niej ocen i wspomnień nie traktuję jako materiału do recenzji, ale jako materiał do refleksji na temat przedmiotu głównego Księgi. Tzw. Witkacy.

Przypomnienie wielorakiego adresu biograficznego wystarczy, by podkreślić fakt, jaki w przypadku Witkiewicza jest szczególnie doniosły. Nazwę go — l e g e n d ą o s o b o w o ś c i. Od razu dodaję, że Witkiewicza nie znałem osobiście, pamiętam go tylko z odczytów jako prelegenta. Od legendy tej rozpoczynam więc, nie ażeby dorzucić jedno ogniwo więcej do jej łańcucha.

Legenda osobowości. Istnieją twórcy działający przede wszystkim w jej aurze i poprzez tę aurę. Legenda taka to jeszcze nie oznaka stopnia pisarskiego. Oznaka natomiast swoistego sposobu oddziaływania, a także uczestnictwa owego oddziaływania w samym dziele pisarskim. Oczywista bowiem legenda osobowości rodzi się na szerokim froncie kontaktów ze współczesnymi, nie na odludziu.

Legenda osobowości otaczająca Witkiewicza zdaje się być na pozór podobna do tej, która promieniowała wokół Przybyszewskiego. Zdaje się należeć do gatunku tych legend, które w postaci *poètes et peintres maudits* wniknęły w modernę europejską, jak legenda Baudelaire'a, Verlaine'a, Rimbauda, van Gogha, Toulouse-Lautreca, Gauguina. W wypadkach takich problem sprowadza się do

* *Stanisław Ignacy Witkiewicz. Człowiek i twórca.* Księga Pamiątkowa pod redakcją Tadeusza Kotarbińskiego i Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego. Warszawa 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 406 + 2 nl. Z portretem S. I. Witkiewicza.

** zh: *Profesor Pimko o Witkacy, Twórczość,* 1958, nr 6.

tego, co się stanie, kiedy legenda osobowości wyparuje. Cechy bowiem osobiste podniesione do stanu ekscentrycznego, nie cechy-wzorzec, cechy-uroczysty schemat (np. Mickiewicz!), najsilniej przez otoczenie odczuwane, są na podobieństwo bukietu kwiatów. To znaczy uderzają swoim niepowtarzalnym układem i wonią, lecz rychlej niż inne zjawiska bytu więdną. Lub przechodzą w bukiet zasuszony, we wspomnienie przyjaciół, w sztuczną legendę kultywowaną, w muzealną pelerynę, jakiej nikt już na siebie nie włoży. Tak się stało w okrutny sposób z Przybyszewskim. Skoro przywiędły alkoholiczne i perwersyjne kwiaty, pozostały tylko błagalne listy z prośbami o doraźne pożyczki. A jak z Witkiewiczem?

Jeszcze nie pora odpowiadać. W jego legendzie kilka cech uderza. Niesłychana żywotność biologiczna. Podobna żywotność intelektu. Nie mniejsza zaciekła żywotność obcowania z ludźmi. Udział całej osobowości w wyznawanym systemie filozoficznym. Udział całego toku filozoficznego myślenia — słowo „system" nie wydaje mi się właściwe — w procesie tworzenia pisarskiego i malarskiego. Słowem, jako zespół powiązań wzajemnych, dorzucony do zespołu uzdolnień, do adresu biograficznego zdolnego obsłużyć kilka jednostek, uderza to, co filozofowie i intelektualiści minionego stulecia nazywali renesansowym bogactwem. Pogłosy tego spotykają się w księdze poświęconej Witkiewiczowi.

Jednocześnie, skoro do tej skłębionej i potarganej postaci przyłożyć ów termin, skoro powiedzieć: renesansowa natura nie zmieściła się w marnym polskim dwudziestoleciu, szkoda, że mu się nie żyło u boku wielkich majstrów cinquecenta — czuje się od razu wierutny nonsens tej przymiarki. Suma uzdolnień i suma powiązań zmierzała w tamtej epoce do harmonii. U niego, im więcej ich przybywało, tym groźniejsza narastała dysharmonia, tym bardziej integralny stawał się katastrofizm jako wniosek.

Można oczywiście odwrócić kota ogonem i powiedzieć w ten sposób: „Rzekoma »renesansowość« twórczości Witkiewicza tym się różni od prawdziwej, czym głód od przesytu. Wszechstronność i wielokierunkowość twórców Odrodzenia wynikała z ich głodu realności po średniowiecznym poście umysłowym i ascezie fizycznej — zaś rzekoma wszechstronność i wielokierunkowość typu Stanisława Ignacego Witkiewicza płynie z przesytu intelektualnego i nadużycia fizycznego: jest związana nierozdzielnie z pojęciem zmierzchu, nie świtu, zamierania kulturalnego, a nie odrodzenia, słowem — z dekadentyzmem" (str. 148).

Przede wszystkim, co to znaczy r z e k o m a wszechstronność i r z e k o m a wielokierunkowość? Był filozofem, dramaturgiem, teoretykiem sztuki etc. etc., był na ogół, wedle fachowych prawideł i wymagań tych dyscyplin, czy też zapanowało powszechne urojenie i wmówienie na ten temat?! A on był tylko r z e k o m o facetem zdolnym obsłużyć kilka Istnień Poszczególnych. Lecz i nie to najważniejsze: problem właśnie na tym polega, dlaczego w XX stuleciu podobnie sprawdzona wszechstronność, podobnie prawdziwa legenda indywidualności stawała się dla jej nosiciela brzemieniem, a nie harmonią, nie pochwałą rzeczywistości zdolnej tyloma możliwościami obdarować jednostkę.

Prawem eseisty jest prawo domysłów bez dowodu. Zresztą dowody są w pismach Witkiewicza. Był on doskonale świadom, że w miarę komplikowania się

rzeczywistości i historii następuje nieuchronnie coraz większa i nie dająca się powstrzymać specjalizacja działań, uzdolnień, nauk, sposobów panowania człowieka nad bytem obiektywnym. Im więcej przybywa dyscyplin naukowych, tym mniej wiedzą one o sobie. Ten proces dezintegracji poznania, jego podziału na komórki specjalistyczne, przerażał Witkiewicza. Był intelektem dostatecznie mocnym, by sprawdzać, co się dzieje u sąsiadów, w komórkach nie odwiedzanych zazwyczaj przez artystów. Język jego dramatów i powieści mówi dobitnie, że nie są to popisy erudycyjne, kiedy szyfrem rozmaitych nauk i ich terminologią Witkiewicz usiłuje oznaczyć wymykające się jego pióru dno zjawisk, ale że próbował on integrować sprawy nieuchronnie rozdzielone w naszej kulturze.

Próbował wszakże integrować w sposób z jego punktu widzenia jedynie możliwy: poprzez własną osobowość. Poprzez własne, poszczególne doświadczenie. Jeżeli zadanie takie w XX wieku pojąć serio, a był przecież osobnikiem najbardziej serio, moralnie wyczulonym, jest to zadanie niemożliwe, jest to zadanie obłędne, katastroficzne. Renesansyzm zbudowany według prawideł legendy indywidualności był możliwy tylko przy względnie prostym stanie wiedzy i sztuki, opartym na naturalnej gospodarce człowieka, na kuli ziemskiej dopiero odkrywanej, jak za Leonarda czy Michała Anioła. Ale i wówczas osobowości najmocniej nim napiętnowane doprowadzał do tragicznego i bolesnego napięcia sił. „Co gore, oto jedyna ma strawa i z tego żyję, z czego inny kona" (Michał Anioł).

Podobna próba indywidualnego zapanowania nad możliwościami poznania i sztuki, ale przy skomplikowanym do szaleństwa stanie wiedzy i sztuki, wsparta na teorii względności i kwantach — rozbicia jądra atomowego Witkiewicz nie doczekał — to wzniosły obłęd. To odyseja pod prąd wszystkich rzek świata, do ich źródeł poszczególnych. Oczywista, pod warunkiem traktowania próby serio, jak było u niego, bo próba taka posiada również swoje drugie i małostkowe oblicze: dyletantyzmu, kibicowania światu. To kibicowanie przy Witkiewiczu nie wchodzi w rachubę.

Rozwiązanie leży bowiem gdzie indziej, nie w osobowości indywidualnej, chociaż właściwej postaci tego rozwiązania jeszcze nie znamy. Proces dezintegracji poznania daje się powstrzymać tylko poprzez określone działania praktyczne na skalę nie znaną dotąd człowiekowi, a nie przez próbę podsumowania w jednym mózgu i jednej indywidualności. Bardziej jest sprawą organizacji aniżeli ontologii.

Dla Witkiewicza podsumowanie mogło istnieć tylko w ramach ontologii i indywidualności. Przedsięwzięcie obłędne, budowa wieży Babel z jedną cegłą w ręku. Stąd w jego postaci uderza nagromadzenie sił, które w sumie swojej targały się, niweczyły i rozprzęgały. Upragniona suma była nieosiągalna. Chyba dlatego rys głębokiego tragizmu przewija się przez portrety Witkiewicza, przez Nicość jako gwarancję słuszności jego łańcuchów ontologicznych, przez potoki skojarzeń jego powieściowych postaci, ponieważ wnikając fachowo i zachłannie w tak liczne dziedziny wiedzy ludzkiej i sztuki wszędzie docierał do katastroficznej ścianki. Z jednej strony głosił uparcie, że nastaje koniec świata, ponieważ kończy się indywidualność, z drugiej pragnął wszystko pożreć przez własną indywidualność. To była jego ścianka katastroficzna.

W kraju i w literaturze, w której nigdy nic nie zostaje dopowiedziane do

końca, gdzie wszystko zawisa w pajęczynie ścielącej narodowe kąty, podobna postać tak jest rzadka, że nie potrafi utrzymać siebie w wielkim rygorze. Wielkie obłędy stają się obiektywne, kiedy noszą w sobie ów rygor. Niewiele jest miejsc bardziej renesansowych na globie, aniżeli we Florencji plac i pałac Pittich, i właśnie tam, z widokiem na fasadę, która żadnego końca świata nie przyjmie do wiadomości, póki będzie istnieć — Dostojewski napisał *Idiotę*. Witkiewicz kruszył się, pękał, prześwieca on dyletantyzmem, broni się kpiną.

Legenda osobowości w swoich konsekwencjach, w swoich uogólnieniach prowadziła zarówno do zaciekłego indywidualizmu, narzuconego na cały byt, indywidualizmu będącego osnową jego filozofii, jak też wiodła do jego eschatologii historycznej. Tadeusz Kotarbiński prosto ukazuje te konsekwencje:

Istnieją indywidua świadome swej odrębności od innych, w oryginalny sposób twórcze, obce więzi organizacyjnej... A że nadchodziły — o czym przeświadczony był Witkiewicz — czasy konfliktów zespołowych, czasy złe dla solistów kultury, przeto urosła w jego psychice do miary przerastającej wszystko troska o monadę i wyolbrzymiał protest przeciw jej upośledzeniu w obrazie świata (str. 20).

Wydaje się, że ten zaciekły indywidualizm miał dwa skrzydła. Obydwa w jakiś sposób były polskie, można dla nich znaleźć w naszej tradycji genetyczne odpowiedniki. W postępowaniu Witkiewicza z ludźmi uderza jakaś samowładna i samowolna dążność, by miarą ich oceny był stosunek innych do jego indywidualności. Dopuszczał, trzymał w dystansie, odpychał, między durniów odrzucał, obiektywnie patrząc nie wiadomo dlaczego. Jak królewiątko staropolskie, jak sarmacki „indywidualista", któremu kształt cudzego buta wystarczył, by nienawidzić. To, co wyprawiał znajomym i nieznajomym, wygląda jak staropolski kulig pod batutą nowoczesnego cygana artystycznego.

Pod tym względem był on istotnym tyranem i było to nie lada sztuką przez dłuższy czas utrzymywać z nim stosunki i nie dostać się na listę byłych znajomych. To zerwanie odbywało się zwykle według pewnego ustalonego rytuału. Ofiara otrzymywała od Witkacego zazwyczaj list z krótkim wyjaśnieniem motywów zerwania oraz wiersz zatytułowany *Do przyjaciół gówniarzy*. W liście było zazwyczaj ustalone, czy zerwanie jest kompletne, czy też częściowe (to znaczy zachowane zostają pewne formy, jak kłanianie się na ulicy, witanie w towarzystwie etc.) — (R. Jasiński, str. 312).

Podobnie każdy szlachcic wcześniej czy później z wszystkimi sąsiadami był w procesie.

Pierwsze skrzydło tego butnego indywidualizmu zdaje się więc pochodzić z okrzyków, jakie w *Dumie o hetmanie* wznosi Żeromski:

— Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska! Przed tobą drżę, ty niełacna, krnąbrna, sama sobie nieznana i nikomu niewiadoma... Och, polskiego wyuzdania duchu...

Lecz to skrzydło tylko w postępowaniu Witkiewicza-osobnika. Pośród jego wcieleń jako artysty i myśliciela jest inaczej. Następuje sublimacja tego

pierworodnego, obchodzącego się bez wszelkich legitymacji indywidualizmu. Ba, ale taką zawrotną sublimację również napotykamy w polskiej tradycji myślowej. Romantycy nazywali zjawiskiem lucyferycznym tak wykrystalizowany, sobie służący za najwyższą wartość i wystarczającą gwarancję indywidualizm. Warchoł Samuel Zborowski i w tradycji sobiepańskiej, i w tradycji lucyferycznej służył za przykład. Kiedy czytać, z jak dumnym i nieustępliwym uporem Witkiewicz cały byt pojmuje jako sumę indywidualności wzajemnie nieprzekładalnych i w procesie myślenia nie dających się zredukować do niczego innego, jak do indywidualności właśnie — jest w tym nowoczesna sublimacja filozoficzna postawy, która w lucyferycznym języku Słowackiego będzie brzmiała w *Samuelu Zborowskim:*

Niech się duchy rodzą
I samej prawdy przedwiecznej dochodzą,
Niechaj czytają sami w kształtów księdze.
Na świecie będąc, wężami popędzę
Tę smętną ducha leniwą naturę,
Która opiera się idącym w górę
I wieczny opór... z dawnej formy stawi...
Na świecie... mój trup... pod strażą żurawi
I krzyżów... w stepach gdzieś teraz leżący,
Wstanie... i pójdzie, żałosny lub drwiący,
Po wszystkich błotach z braterstwem się szargać,
Za wszystkie serca nie bolące targać,
Próbować, które mi do tonu jękną,
I stroić wyżej i wyżej... aż pękną,
Jeśli gliniane...

W Księdze Witkiewiczowskiej nie ma wspomnień człowieka, który byłby zdolny dać najgłębszą i bezlitosną w moralnym roztrząśnieniu sprawy analizę jego postaci. Myślę o Karolu Ludwiku Konińskim. Jakkolwiek nie na miarę powszechności uzdolnień Witkiewicza, spośród tego kręgu osób, które księga grupuje i odtwarza, była to na pewno osobowość Witkiewiczowi bliska w integralnej pasji moralnej, w drążeniu prawdy poprzez jej wszystkie dna, aż do nicości, która się pod nimi czai. Koniński, zmarły w roku 1943 w bliskiej Krzeszowicom Rudawie i tam pochowany, w latach, kiedy go znałem, nawracał często do tematu Witkiewicza. Namawiałem go, ażeby spisał to, co przekazuje mojej pamięci. Nie uczynił tego, ludzie u grobu stojący zawsze jeszcze mają czas, nadzieja rozpościera przed nimi kalendarz pozbawiony pośpiechu. I w tym, co piszę, są po prostu refleksy tamtych opowieści i tamtych rozmów, których po latach kilkunastu nie jestem w możności oddzielić od własnego myślenia dzisiejszego.

Koniński, zapamiętałem to dokładnie, zapytany, jakby podsumował tę przelewającą się od wewnętrznych mocy i tak poszarpaną jednocześnie indywidualność, powiadał tak:

— To był książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku", kawałami ze swoją bandą albańską osłaniał to, że z Królewca sprowadzają mu Kanta i że on go czyta, zamiast śpiewać godzinki.

Autor jednego z najcenniejszych studiów omawianej Księgi, z precyzją odtwarzający filozofię Witkiewicza i siatkę jej uderzających luk, doc. Jan Leszczyński, tak konkluduje:

Takich powieści, jakie pisał Witkiewicz, nie ma — o ile wiem — w całej literaturze świata. Pisał je bowiem filozof w z a s a d n i c z y m rozumieniu tego słowa, a to jest wypadek całkiem wyjątkowy (str. 118).

W tym względzie wszyscy uczestniczący w wydawnictwie filozofowie są ze sobą zgodni. Tadeusz Kotarbiński:

Stanisław Ignacy Witkiewicz sterczał niemal odosobniony jako typowiec filozoficzny właśnie, borykający się *more philosophico* z dławiącą mgłą naczelnego problemu, który sam nazywał problemem Ontologii Ogólnej: ująć rdzennie znamiona rzeczywistego istnienia jako takiego, a nie popaść w kaleką jednostronność, wadę wspólną wszystkich danych dziejowo systemów (str. 11).

Roman Ingarden:

Był on więcej filozofem niż wielu z tych, którzy z góry nań spoglądali, traktując go w najlepszym razie jako filozofującego literata, a nie uczonego. Był filozofem przede wszystkim dlatego, że miał własne zagadnienia, którymi żył, które go osobiście interesowały i na serio do głębi poruszały, a nie były tylko nabyte z literatury ani też nie były czymś, co po prostu należy do uprawianego zawodu (str. 174).

Przeczytajcie również szkic Stefana Szumana.

I oto druga z legend Witkacego — l e g e n d a f i l o z o f i c z n o ś c i. Nie nazywam jej legendą filozofa, ponieważ ci są na ogół dzisiaj fachowcami i dłubaczami, na żadne legendy nie ma tutaj miejsca. A jednocześnie cytuje się w tej książce z pełną aprobatą taki sąd. J. E. Płomieńskiego o jego postaciach powieściowych (odnieść go można również do osób w dramatach Witkiewicza):

Są one sobowtórami umysłowości autora, trabantami jego ekwilibrystycznego sportu filozofowania, bezkrwistą kopią autorskiego monologu, który trwając od pierwszej do ostatniej stronicy książki uniemożliwił ich usamodzielnienie jako niezawisłych indywidualności (str. 138).

Całkowite nieporozumienie! Rację mają filozofowie! W naszych czasach, na tych złożach rutyny powieściowej, które się nagromadziły od XVIII-go stulecia, indywidualizować postaci potrafi każdy szkolarz romansowy. I wcale to nie znaczy, ażeby wiele nowego przydał do obrazu rzeczywistości. I właśnie jakieś całkowite ujednolicenie i upodobnienie owych postaci, właśnie jakiś s k o k w w y ł ą c z n o ś ć — posuwają sprawę naprzód. Poprzez legendę filozoficzności Witkiewicz dokonał tego skoku.

Wiadomo, że Witkiewicz nie uważał powieści za dzieło sztuki, nie widział w niej możliwości dopełnienia Czystej Formy, argumentów powtarzać nie bę-

dziemy. Mimo to jego dramat i jego powieść jadą torem zgodnym z szukaniem Ontologii Ogólnej w każdym szczególe bytu i historii. Powieści nie uważał za dzieło sztuki ze względu na jej i m m a n e n t n y e k l e k t y z m jako zasadę wyboru i kompozycji. W jego sarmacko-groteskowym stylu worek wszechrzeczy to synonim tego immanentnego eklektyzmu.

Lecz czy powieść jest eklektyczna tylko z własnej winy? Tu rozpoczynam swoje rozumowanie. W równym stopniu jest ona tego wyłącznym winowajcą, co np. aparat fotograficzny winien jest temu zjawisku, że pod warunkiem odpowiedniego ustawienia blendy wszystko się na taśmie odbije. Zarazem wszystkie zdobycze i reformy tego gatunku, odkąd osiągnął on w XIX stuleciu swój kanon pobalzakowski, ku temu zmierzają, by zmniejszyć i zwęzić taśmę. By nie wszystko, co przypadkowo obecne, mogło się na niej odbić. By uczynić ją wyłączną, na pewne zjawiska wyczuloną, na inne głuchą. By wykluczyć określone klawisze, pozostałe uczynić wszechwładnymi. Wszystkie zdobycze i reformy, od Dostojewskiego po Joyce'a, dzisiaj — klasyków wyłączności.

Wynalazek Witkiewicza jest w tej mierze równie wyłączny i równie prosty. Bo eklektyczną, wielokierunkową, wielowarstwową jest nie tylko rzeczywistość obiektywnie nas otaczająca, ta, która nachalnie wdziera się przez powieściową soczewkę. Podobnie wygląda tok naszego przeżywania wewnętrznego, wspominania, doznawania, myślenia, to wszystko, co stanowi nadrealistycznie automatyczny i niepowstrzymany wodospad, którym rzeczywistość przepływa przez progi i tamy naszej świadomości.

Sieć powieściowej analizy, zarzucona i zanurzona w to przepływanie, podobnie jak sieć rybaka na urodzajnym i głębokim morzu, wydobywa wszelkich stworów po trochu. Nawet selekcjonując i odrzucając, jeszcze ich wszystkich po trochu pozostawia. Zaś sprawę posuwa naprzód tylko — s k o k w j a k ą ś w y ł ą c z n o ś ć. Tylko z takich skoków w wyłączność powstaje w sztuce takie jej wspólne dobro, które nie jest muzealną tradycją, ale apelem, by samemu zdobyć się na własną wyłączność. Te wynalazki są ekskluzywne i niemożliwe do powtórzenia. Witkiewiczowska wyłączność również.

Na tym ona polega, że w mózgach i reakcjach jego postaci jak gdyby zgłuszone zostały wszystkie inne klawisze, a wzmocnione aż do wyłączności — ontologiczne. Jak gdyby wycięte w tych mózgach zostały inne ośrodki recepcji świata, a pozostawiony tylko ten ośrodek, niesłychanie rzadki — uogólnienia filozoficznego. Ośrodek dokonujący przekładu każdego przeżycia własnego i każdego zagadnienia ogólnego na rejestr filozoficzny, przenoszący je w tę właśnie tonację. Tą zdolnością obdarzone są wszystkie bez wyjątku postacie Witkiewicza. Przy każdej sprawie i o każdej porze manifestuje się ona w jego pisarstwie. Przekład jest jednocześnie wielokierunkowy, sprzęga eklektyczny, rozpierzchły wodospad świadomości w sposób niespotykany.

Bodaj jeden tekst. Cóż banalniejszego, jak gwieździsta noc i pobudzenie metafizyczne na widok niezmierzonego firmamentu. To również należy do immanentnego eklektyzmu i nawet każdy jołop posypał sobie kiedyś w życiu głowę popiołem podobnych gwiazd. A u Witkiewicza?

Nad trzema wapiennymi wieżami Troistego Szczytu unosił się jak olbrzymi latawiec Orion, ciągnąc na swym ogonie rozszalałego Syriusza. Czerwona Beteugueza

i srebrzystobiały Rigel trzymały straż po obu bokach Laski Jakuba, a przestrzeń pruła na ostrzu bledsza od nich Bellatrix. Między Plejadami i Aldebaranem dwie gwiazdy-planety świeciły spokojnym, nierozedrganym światłem: pomarańczowy Mars i ołowianosinawy Saturn. Ciemny zrąb grani, ciągnącej się od Troistego Szczytu ku północnej baszcie Suchego Zadku, odcinał się wyraźnie niby grzbiet przedpotopowego jaszczura na tle świetlnego pyłu Mlecznej Drogi, zapadającej prostopadle za horyzont. Genezyp patrząc na gwiazdy doznawał zawrotu głowy. Góra i dół przestały istnieć — wisiał w straszliwej przepaści, amorficznej, bezjakościowej. Uświadomił sobie na chwilę aktualną nieskończoność przestrzeni: wszystko to istniało i trwało w tej właśnie sekundzie, którą przeżywał. Wieczność wydawała mu się niczym wobec potworności, istniejącej w nieskończonostce czasu całej nieskończonej przestrzeni istniejących w niej światów. Jak tu pojąć rzecz? Coś niewyobrażalnego, co narzuca się z absolutną ontologiczną koniecznością. Ta sama tajemnica ukazała mu znowu swą twarz zamaskowaną, ale inaczej. Ogrom świata i on, metafizycznie samotny — (trzeba by tworzyć z kimś jedność) — bez możności porozumiewania się — (bo czymże są pojęcia wobec straszności bezpośrednio danego?!) — mimo wszystko w poczuciu samotności tej była jakaś bolesna rozkosz. I w tej samej chwili uczuł się małym w nieskończonej plątaninie wszechświata — nie małym w stosunku do obszarów nocnego nieba, tylko małym w swoich najgłębszych uczuciach: do matki i księżnej (*Nienasycenie*, t. I; str. 79—80).

Oto przekład wielokierunkowy: wszystkich przeżyć Genezypa na język ontologiczny i równocześnie pojednanie na jakiejś wyłącznej płaszczyźnie miłości z astroidalną metafizyką. U Witkiewicza coraz to inne pary, nie tylko ta właśnie, zostają tak jednane. Krytycy powiadają (małostkowe ich zwycięstwo), że ludzkie twory Witkiewicza są wobec tego jedynie rozmnożonym wariantem i sobowtórem samego ich autora. Nic podobnego! A tak, na boku: zarzut, że postaci określonego twórcy są jego rozmnożonym sobowtórem, jest zarzutem czysto protokolarnym, a nie merytorycznym. Czy z takiego postępowania cokolwiek wyniknęło, czy nie wyniknęło, zależy od pierwowzoru — zarówno jednym wielkim sobowtórem są postaci Dostojewskiego, jak Żeromskiego, Prousta, jak Przybyszewskiego. Wiadomo, gdzie nic nie wyniknęło. Pierwowzór Witkiewicza nie zdaje się być po stronie tych pisarzy, gdzie niewiele wynika.

Więc — nic podobnego! Indywidualizacji u Witkiewicza nie brakuje, zwłaszcza w powieściach. Tyle że tym, co osobników łączy w nich, nie jest eklektyczna miazga psychiczna, właściwa naszemu gatunkowi ludzkiemu. Przy pierwszym poznaniu Gałczyńskiego z pełną powagą zaczął on zwierzać taką kpinę: — Miałem straszną noc. Bez przerwy śnił mi się kardynał w majonezie. Czyli w naszej świadomości.

Zespół kreacji psychologicznych Witkiewicza łączy jakaś sekrecja niesłychanie rzadkiego gruczołu filozoficznego. Od natury mają go tylko nieliczni. Jeszcze mniej liczni tę sekrecję łączą z uzdolnieniem artystycznym. Na niektórych kartach swoich powieści miewał to Stanisław Brzozowski. Wielu stronic *Próchna* i *Oziminy* Berenta też lekceważyć nie wolno. Wyłączną sekrecją psychologiczną żywi się *Pałuba*. Lecz dopiero Witkiewicz był z tych najrzadszych, u których gruzoł filozoficzny przerzucił się na tkankę artystyczną w jej całej rozciągłości. Na tym polegał jego skok w wyłączność.

Taki zaś przekład konstrukcji powieściowej na określoną wyłączność i odrzucenie w jej imię eklektycznej miazgi faktów i przeżywania, wciąż prozę wyzwala od rutyny. Biorę przykład, o którym Witkiewicz na pewno nie słyszał. Kafka. Bardziej *Zamek* aniżeli *Proces* jest tutaj znamienny na skutek maniakalnej dobitności owego przekładu.

W *Zamku* tkanina filozoficzna nie wydobywa się nigdy w sposób bezpośredni poprzez usta i myśli postaci, a jednak wszystko u Kafki jest na witkiewiczowski sposób wyłączne i ontologiczne. W jakiej mierze? Mamy przed sobą mikrokosmos niesłychanie codzienny, nieledwie cesarsko-królewski i austriacko-habsburski, z wycinków i ogłoszeń ówczesnych gazet złożony. Pisarz równocześnie z maniakalną konsekwencją przestrzega i wcale nie sili się uzasadnić tego, co w tym mikroświecie jest dziwaczne i nieuzasadnione. Klamm jest absolutnie niedostępny geometrze K., ale na Klamma wystarczy krzyknąć przez drzwi, że Frieda oddała się temu przybłędzie, i sprawa cała załatwia się prosto i od razu. Oprócz wyglądu, cnót i charakteru, pomocnicy geometry mają wszystkie właściwości aniołów-stróżów, to znaczy zdolność wszechobecności bez uzasadnienia, i sprawa równie prosto się załatwia. Papier urzędowy, czy potrzebny jest geometra dla wsi, czy też nie, krąży pomiędzy wydziałami niczym okresowo pojawiająca się kometa, i kiedy nareszcie kometa znów wzeszła, znów wszystko samo i ewidentnie się załatwia.

Ten wszakże nowy mikroświat przedstawia się jak rozbita i daremnie sklejona butelka. Pisarz ustawicznie chodzi właśnie po rysie, właśnie po szramie dzielącej sklejone przez niego stłuczki. Wskazuje na rzekomą całość, a równocześnie, jak pająk wepchnięty w tę butelkę, każdym dotknięciem łapki opisuje szramę. Ta nieprzekraczalna rysa dzieli utopioną w wiejskich śniegach, rozłożoną na małoznaczne budowle, jakąś Wagnerowską Walhallę, Z A M E K, od służebnego ludku u jej stóp, od hrabskich gospód, oberży i zaprzęgów, od jakiegoś Hodonina, Opawy, Trenczyna. Pyszny, sarmacki, sobiepański indywidualizm, czy było mu na imię Karol Radziwiłł, czy przetworzony przez romantyka Samuel Zborowski, był czymś skończenie doprowadzonym do kresu w kulturze polskiej i na mocy dziwnych powiązań tam się ulokował Witkiewicz. Biurokratyzm doskonały, sam dla siebie, bezbłędne i ponad rzeczywistością krążenie papierka urzędowego w c-k. monarchii było doprowadzone do Ontologicznej Perfekcji, więc tam się ulokował Kafka ze swoim przekładem filozoficznym. Jego skok w wyłączność zdaje się być skokiem w świat całkowicie pozbawiony sensu i składu, ale sklejony pozorami rzeczy codziennych.

Epoka nasza posiada nowe zwierzęta służebne, wspanialsze od tych, które wyroiły się z arki Noego. Wszelkie zwierzęta dawniejsze, aż do skonstruowanych przez człowieka sztucznych zwierząt, czyli maszyn, miały pomnożyć ręce człowieka, wyręczać go w działaniu. Te najnowsze mają za niego myśleć. Gdyby Witkiewicz doczekał mózgu elektronowego i cybernetyki, byłoby to na pewno dla niego ostateczne potwierdzenie katastrofy ludzkiej indywidualności. Katastrofy — bo jej zbędności. Istnienie Poszczególne Cybernetyczne. Ba! Jakby w świetle swych założeń Witkiewicz rozwiązywał powstanie takich zwierząt wyręczających?!

W pewnym stopniu już to uczynił. Jego osobnicy w dramatach i powieściach tak postępują, jakby cała ludzkość, we wszystkich swoich egzemplarzach, zo-

stała zaopatrzona w elektronowe móżdżki filozoficzne. Każdy bełkot życia zdolne przełożyć tylko na mowę ontologiczną. To straszne! Pozostańmy eklektyczni, pozostańmy różni, pozostańmy nie do końca konsekwentni. To straszne, bo reguła takiego przekładu pachnie końcem wszelkich jakości. Takie wyuzdanie ontologiczne było przecież, uparcie do tego nawracam, szkieletem jego filozoficznej legendy. Było, jako sprzęgło pomiędzy sztuką a myślą, skokiem w wyłączność absolutnie wyjątkowym w tym kraju.

III

W zbiorze Zofii Nałkowskiej *Widzenie bliskie i dalekie*, w odpowiedzi na ankietę *Pisarze polscy a Rosja sowiecka* — rok 1933 — znajduje się następujący ustęp:

Świat ludzki, przygnębiony względnością poznania, sam siebie nastraszył i ujarzmił niewiadomym. Formy życia zbiorowego i jego psychologia wszędzie jeszcze odpowiadają tym postawom filozoficznym, które wynikły z Berkeleyowskiego solipsyzmu, powątpiewania Hume'a, krytycyzmu Kanta i Schopenhauera oraz ponad ten krytycyzm wyrastającej metafizyki, zarówno nakazu moralnego, jak woli. Człowiek został obstąpiony zewsząd przez fikcję, którą sam stworzył i która — z niego biorąc początek — narasta już poza nim wedle praw swej odrębnej autonomii. Ujęta w szereg systemów fideistycznych, ogarnia kosmos organizując niewiadome i zaludniając je fantomami obiektywnego idealizmu. W tych rozległych proporcjach upokorzony małością swoją człowiek urządza swój byt zbiorowy wedle nadprzyrodzonych przykazań, za jedyne ich sprawdziany mając swe czucia irracjonalne, instynkty i intuicje, wierzy w mistykę narodów i ras i niewzruszoną prawdę tradycji.

W międzysłowiu tego mądrego i okrutnego tekstu Nałkowskiej zdaje się mieścić trzecia z legend Witkiewicza. Jego l e g e n d a k a t a s t r o f i z m u. Witkiewicz należał jeszcze do pokolenia, w którym na klęskę całkowitą ideałów i wmówień, na katastrofę wszystkich żywionych przekonań, odpowiadano gestem samobójczym. Czynili to oficerowie kampanii wrześniowej, kiedy pod młócką niemieckich bomb rozpadały się ich wszystkie wierzenia i cała historia dla nich wstecz się rozpadała, aż po dzień wymarszu kadrówki, wmówiony im jako zapowiedź nowej ery. Nawet w czerwcu 1940, kiedy ginęła Francja, odpowiadano samobójstwami. Dzisiaj nie popełnia się z podobnych przyczyn samobójstw, co najwyżej popełnia je jeszcze tylko smarkata, zawiedziona miłość. Jakie są związki pomiędzy zbyt gwałtownie rozbujaną huśtawką historii, etapów, doraźnych celów, wypędzania z panteonów, zbyt gwałtownie, ażeby wywołaną tym ruchem zmianę krajobrazu traktować jako koniec własnego świata, może by Witkiewicz odpowiedział. Ja się nie podejmuję.

Witkiewicz w dalekiej wsi wołyńskiej odebrał sobie życie 18 września 1939. Nazajutrz po wkroczeniu wojsk radzieckich na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej międzywojennej. Ciągle na wschód, dalej na wschód, do owej niteczki rozciągniętej po trakcie ryskim, pamiętamy te noce i wędrówkę wśród milczącej, głuchej wsi ukraińskiej, z nietajoną radością przyjmującej rozpad owej Rzeczypospolitej. Oprócz policjanta, podatku i służby w garnizonie na teryto-

rium rdzennie polskim nic tej wsi nie łączyło z Polską burżuazyjną. Można odtworzyć poprzez własne wspomnienie to morze obcości i nienawiści, które wraz z katastrofą wojenną uderzyło w wyczuloną naturę moralną Witkiewicza. Nie przeczuwał zapewne rozmiarów tego morza. W jego pismach Polska międzywojenna istnieje tylko na linii Warszawa—Zakopane, tu i tam firma portretowa S. I. Witkiewicza, oraz skłębione nad tą linią chmury pełne ontologii. Lecz taki powód do samobójstwa może by wystarczył przewrażliwionemu staroście, nie jemu.

W legendzie jego katastrofizmu trzeba od innej strony szukać. Nasuwa się inny domysł, z pozoru wystarczający. Witkiewicz służył w armii carskiej, w elitarnym pułku gwardyjskim i zapewne trochę od strony osobnika ozdobionego takimi szlifami przebył i przeżył Rewolucję Październikową. Wynikający stąd katastroficzny uraz kładzie się na jego całym dorobku. Wspominają o nim, jako o składniku osobistego obcowania z twórcą *Nienasycenia*, jego przyjaciele.

Nasuwa się przeto domysł najprostszy: kiedy zobaczył, że spełniają się dosłownie jego przewidzenia, że „niweliści" wkraczają do wielkiej gry jako przyszła jej siła decydująca, że etyka pożera znowu kawał metafizyki indywidualizmu — skończył ze sobą. Podobnie jak Atanazy Bazakbal w *Pożegnaniu jesieni*. Tyle że Atanazego wykończyła straż graniczna, a Witkiewicz musiał ją wyręczyć sam, ponieważ 18.IX.1939 nie istniały już żadne straże graniczne. Czy pamiętacie strażnice międzywojennego WOP-u? Kresowa czkawka po Sienkiewiczu, po misji, po przedmurzu, po iluż jeszcze narodowych schematach!

Nie sądzę, by mogło chodzić tylko o takie spełnienie dosłowne i potwierdzenie samobójcze. Znów odwołuję się do bezdowodowych praw eseisty. Cytowałem Nałkowską w sprawie urojonego, fikcyjnego wyglądu wszelkich gwarancji, wszelkich motywacji idealistycznych. W metafizyce, w teorii poznania, w historiozofii, wszędzie. Witkiewicz wszystko to wiedział doskonale.

To, że życie nasze duchowe wyrasta z czegoś, w czym właściwie nie znajduje żadnego oparcia ani wytłumaczenia, że pojawienie się jego wydaje się zupełnie bezsensownym przypadkiem, że mogło się równie dobrze zdarzyć, iż rodzajem panującym na świecie byłby rodzaj termitów albo karaluchów, że grozi nam w każdej chwili zapadnięcie w czeluście czysto zwierzęcego życia, że w ogóle wszystko z powrotem w niwecz może się obrócić i że nie będzie można sobie nawet z tego zdać sprawy — to było owo podstawowe doświadczenie, które budziło w Witkiewiczu zasadniczy lęk i przerażenie i nie pozwoliło mu odzyskać spokoju — pisze tak kompetentny świadek, jak Roman Ingarden. — Był w tym wszystkim, w zasadniczej swej postawie, egzystencjalistą na wiele lat przed ukazaniem się tego kierunku we Francji, a prawdopodobnie współcześnie z wystąpieniem Heideggera. Lecz Heideggera, o ile mi wiadomo, nigdy nie czytał (str. 175).

Stąd pisma Witkiewicza przesyca całkowita niepewność egzystencjalistyczna, przemazanie wszelkich równań, dotąd stosowanych dla wyrażenia świata w jego niewyczerpanej i wciąż odradzającej się tajemnicy. Integralna katastrofa już w nich nastąpiła, pisarz nie oczekiwał jej dopiero od historii, by gdzieś pod Łunińcem otrzymać właściwy sygnał.

Legendę katastrofizmu i historiozoficzną eschatologię Witkiewicza należy bowiem czytać we właściwy sposób. To znaczy w sposób bardzo prymitywny będzie się ją czytać, jeśli dostrzeże się w niej głównie brutalny, fizjologiczny, wynaturzony zespół proroctw św. Brygidy. Oto przepowiadał zamach majowy Piłsudskiego, oto jakieś rządy prawicowo-chłopskie, oto, oto, w tym sposobie. Witkiewicz bronił się przed taką prostacką dosłownością i nie trudno odgadnąć dlaczego oraz — że miał w tym słuszność. W jego katastroficznej legendzie należy widzieć pewną p a r a b o l ę c a ł o ś c i o w ą. Co mam na myśli?

Konieczne jest pozorne odbiegnięcie od tematu. Historia daje się ujmować z trojakiego punktu widzenia. Pozwala na trojaką w niej obecność. Daje się poznawać z punktu widzenia polityka, klasy społecznej, narodu, poprzez swoje działania prowokującego jej przebieg. Wtedy jest ona widowiskiem pozbawionym elementów katastrofy, nawet jeżeli się przegrywa na razie. Trzeba po prostu zacząć od nowa, od nabytych doświadczeń, dalej interweniować i wdzierać się w przyszłość, żeby stała się posłuszna woli polityka, klasy, narodu.

Przy takiej obecności w historii nie tylko chodzi o to, że mamy stanowisko czynne, aktywne. Tworząc, ingerując, przemieniając, podmiot historyczny zaangażowany w te czynności posiada również s w o i s t y p l a n, swoiste wyobrażenie tego, co ma nastąpić. Nie tylko ów podmiot historii działa, ale posiada on również jakieś poznanie procesu historycznego, jakąś jego propozycję rzutowaną na przyszłość. Na ogół jest to propozycja z konieczności uproszczona, jednokierunkowa, ponieważ obsługuje działanie, a nie opis. Do niej głównie dają się odnieść refleksje, jakie czytam w mądrej książce Witolda Kuli *Rozważania o historii:*

Ludzka wiedza o prawidłowościach życia społecznego, a tym samym ludzkie przewidywania skutków działań są zawsze niedoskonałe. Nawet gdy poprawnie oparte są one na doświadczeniach przeszłości — nie mogą nigdy uwzględnić wszystkich pojawiających się elementów nowych. Są zawsze co najmniej krok wstecz za zmieniającą się rzeczywistością. Horyzont ludzki jest z reguły węższy niż zakres powiązań i oddziaływań społecznych. W toku dziejów rozszerza się i jeden, i drugi — horyzont jednak z reguły wolniej niż zakres współzależności (str. 79—89).

To pierwszy punkt widzenia. Od strony historii, już odbytej i oglądanej *post factum,* ujawnia ona swoje sensy i prawidłowości nawet bez czynnego zaangażowania. Ale to szersze poznanie jest dosyć daremne i dosyć bezpłodne. Przypomina wzorowe partie szachów, rozgrywane przez wielkich mistrzów, później publikowane, od których samej jedynie lektury mistrzem takim nikt nie zostanie. Bywa też całkiem śmieszne. Nic zabawniejszego aniżeli obłożeni dokumentami i źródłami historycy, którzy po setce lat w swoich gabinetach wygrywają bezbłędnie przegrane przez wodzów bitwy, bo przecież wystarczyło jeden czy drugi rozkaz wydać odmiennie. Wystarczyło — w zgiełku bitewnym, przy nieświadomości najbliższych wydarzeń i oddziałów. Bo prawidła i zależności już się ustawiły spokojnie i zwarcie, jak książki na własnych półkach.

Jest wreszcie i trzecie spojrzenie poznawcze ku historii — jeszcze nie odby-

tej, dopiero mającej nastąpić. Poprzez próbę wyobrażenia sobie jej konkretnych wydarzeń, ich możliwego następstwa i powiązań. Nie posługuje się nim polityk jako narzędziem, ponieważ wydarzenia te po prostu wywołuje. Nie miewa takich pretensji historyk, bo przyszłość nie ma jeszcze żadnej dokumentacji. Lecz artysta? Lecz filozof? Lecz moralista? Przynajmniej niektórzy spośród nich.

Jest to spojrzenie poprzez wyobraźnię moralną i filozoficzną, nakierowaną ku pragmatyce historycznej. Nakierowaną ku temu, jak w realizacji konkretnej i nigdy nie pozwalającej się z góry ustalić będą właściwie wyglądały te wszystkie prawidłowości, zasady, zapowiedzi. Fakt, że faszyzm musiał przegrać w drugiej wojnie światowej, był konieczną implikacją, wynikającą stąd, że ludzkość w swoim pochodzie zasadniczo nie cofa się wstecz. Cofa miejscami, całymi epokami, burzy całe cywilizacje, żyjemy dzisiaj pod tym ciśnieniem, ale nie cofa się w ogólnej zasadzie. Ale że implikacja taka dopiero podówczas się spełni, że w pragmatyce historycznej zostanie ona wykonana nie pierwej, aż czołgi Hitlera będą szturmowały Kaukaz, a czołgi japońskie przedpola Indii — takie wizje dla wyobraźni, która się nastraja wyłącznie na wymiar przyszłych wydarzeń, pozostawiają pełne pole dla przerażenia, eschatologii, katastrofizmu.

Przyszłość wielokierunkowa, wichrowata zawalała mu widok na obecną chwilę, która zmalała, jakby widziana przez odwrotny koniec lunety, znikała prawie pod ukrytym sensem grozy zawartej w potencjalnie pożeranych, już nadchodzących wypadkach (*Nienasycenie*, t. I; str. 74).

Podobną wyobraźnią i podobnym spojrzeniem Witkiewicz był obdarzony w stopniu zgoła niebywałym, niesamowitym. Oczom własnym wierzyć się nie chce, kartkując *Zwrotnicę*, że już tam, w roku 1923, drukowana była *Mątwa, czyli hyrkaniczny światopogląd!* W tym sensie mówię — p a r a b o l a c a ł o ś c i o w a. Apokalipsa z dowolną wymianą uzasadniających ją podkładek historycznych!

Witkiewicz odszedł, kiedy po przerwie dwudziestolecia, a był w pełni świadom, że to tylko przerwa na wypalenie papierosa, to trzecie spojrzenie zaczęło się znowu realizować. Przy jedności moralno-filozoficznej jego natury, gdy i osobowość, i filozofia wyznawana dyktowały mu, że jego parabola całościowa zacznie się rozgrywać, nie było rzeczą ważną, a było zbyt nużącą, zbyt potworną, poznawać i przeżywać jej szczegóły. Dowiadywać się, czy Wielka Końcówka będzie wyglądała dokładnie jak w jego wizjach. Instrumentacja nie jest czynnością równą kompozycji. Ze stanowiska jego dramatu i prozy była to bowiem tylko instrumentacja do kompozycji już przewidzianej, już w wielu wariantach rzuconej na papier. Gramy ją nadal.

Zresztą — zresztą nie wyobrażamy sobie Witkiewicza jako współredaktora konspiracyjnej gazetki. Jako pisarza antyszambrującego u wydawców, ażeby jego teksty wyszły cało z recenzji wewnętrznych. Odchodził wcześniej. Bo w ramach jego integralnego katastrofizmu, wieszczącego zagładę uczuć metafizycznych i indywidualności, były to spełnienia, w których nie można go sobie wyobrazić.

Legenda osobowości. Legenda filozoficzności. Legenda katastrofizmu. Te trzy legendy Witkiewiczowskie nie stanowią kół rozbieżnych. Stanowią system koncentryczny. Obracał się on wokół jednego centrum, bogatego w uzdolnienia i sprzeczności Istnienia Poszczególnego imieniem Stanisław Ignacy Witkiewicz. Obracał się i tę postać zmiażdżył. Bo w tym systemie nie było ucieczki w inne koło. Przed indywidualizmem nie było ucieczki w historię. Przed historią — w filozofię.

Każda z tych legend była prawdziwa, każda urzeczywistniała się aż do kresu ostatecznego. Legenda osobowości w postaci zwanej Witkacy. Legenda filozoficzności w systemie podpowiadającym indywidualność każdej cząsteczce bytu. Legenda katastrofizmu w jego dwojakim potwierdzeniu, i przez dzieło, i przez śmierć.

Zaś powiedzenie użytkowe „legenda" tego dotyczy, że do legend nie spotykanych w naszej kulturze i myśli należy właśnie tak przygniatająca konsekwencja: „Jakoś to będzie. Fatalizm głupoty", jak powiedział Fredro. Tę z jego zapisek starucha słyszymy stale z ust Witkiewicza. Dlatego trzy jego legendy składają się na prawdę o pisarzu, który nie był doskonały, nikogo nie nauczy pięknej sztuki pisania, nikomu nie pokaże drogi do człowieka, jeżeli eschatologia się nie spełni — ale ominąć się nie daje, jak kamienna lawina, która zsunęła się ze zbocza i nie roztopi jej żadna przyszła wiosna.

Kazimierz Wyka

POETA JAWOROWEJ BAŚNI

J ó z e f S t a c h o w s k i: *Poezje*. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Ryszard Matuszewski. Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 185.

Józef Stachowski był poetą tragicznego pokolenia. Dwie daty, w których zawiera się jego życie, jakże są wymowne. 1913—1944. Przedednie rozpoczęcia pierwszej wojny światowej — przededrie ukończenia drugiej wojny. Wojna u kolebki i wojna u grobu. A między nimi życie, za krótkie, aby rozwinąć wszystkie możliwości talentu, i dość długie, aby odczuć ciężar i ból tak powszechny, jak i osobisty.

Przed wojną przypadek pozwolił mi poznać Stachowskiego. Przez okres kilku miesięcy zastępował nauczycielkę-polonistkę w liceum, do którego uczęszczałam. Nic w Stachowskim, nauczycielu języka polskiego, nie potwierdzało moich naiwnych wyobrażeń o postaci prawdziwego poety. Był prosty, skromny i daleki zresztą od olśniewającej elokwencji naszej nieobecnej w tym czasie polonistki. Jego serdeczna prostota jednała mu sympatię. Potwierdza to w pełni przyjaciel poety, wydawca i autor przedmowy do *Poezyj* Stachowskiego, Ryszard Matuszewski.

Drugim spotkaniem ze Stachowskim były jego wiersze, które przypadkowo doszły do moich rąk w czasie okupacji, bezimiennie, przepisane na maszynie, mimo że, jak się potem dowiedziałam. wyszły już w tomie *Jaworowa baśń* na kilka miesięcy przed rozpoczęciem wojny.

Stężały sad. To wiśniom tak się chciało
kamienną dłonią na martwe dachy paść,
to duszne sny pod chwiejną gwiazd powałą
otarły z twarzy odrętwień skrytych garść.

To bury dom i ja, kłusownik zdarzeń,
ukryty w mroku bez broni i bez sił,
trafiłem w noc...

Melodia tych wierszy tak się wraziła w pamięć, że gdy odnalazłam je w tomie, były mi już tak znajome i bliskie, jakbym nigdy nie przestała z nimi obcować.

I otóż tragedia poety. Tomik jego, pierwszy i jedyny, wyszedł tuż przed wojną. Nie doczekał się krytyki ani oficjalnego przyjęcia. Nowy tom, pisany w czasie okupacji i układany z myślą o końcu wojny, nigdy się nie ukazał. Skazała go na milczenie śmierć poety w grudniu 44 roku. Wiersze jego nie były przypominane, nazwisko uległo zapomnieniu. Jeden z młodych poetów kręgu Czechowicza — to wszystko. Teraz dopiero, zbyt późno, czytelnicy poezji otrzymują dorobek poetycki Stachowskiego.

Składa się on z wymienionych dwóch tomików: *Jaworowa baśń* i *Ku ziemi*, oraz z gaści innych wierszy, które odnalazł i włączył do zbioru Ryszard Matuszewski.

Przynależność Stachowskiego do „szkoły" Czechowicza nie była przypadkowa. Nie był on tylko naśladowcą wersyfikacji Czechowiczowskiej. Cały surowiec poetycki pojęć, wyobrażeń, atawistycznych niemal treści wewnętrznych Stachowskiego — syna wsi — zbliżał go do Czechowicza. Podobnie jak Stanisława Piętaka, łączyła

Stachowskiego z Czechowiczem więź przynależności do pewnego typu temperamentu, wyobraźni, wrażliwości, charakterystycznej dla ludzi wsi, którzy wyszli ze swojego środowiska, ale pozostali specjalnie i o wiele silniej niż inni uczuleni na „kraj lat dziecinnych".

Przysłowiowa „krzepa" chłopska, zawadiactwo i inne tego rodzaju cechy, przypisywane chłopom, nie stały się tymi wartościami i cechami, które by synowie wsi wnieśli do literatury. Przeciwnie, poezję ich — a można by tu jeszcze dodać innych, jak Ożoga, Czernika, Frasika — cechuje marzycielstwo, przyciszony liryzm, pastelowe barwy obrazowania. Bynajmniej nie zamierzam uogólniać tego zjawiska i przypisywać mu jakiegoś charakteru klasowego. W każdym razie nie tylko wybitna indywidualność i talent Czechowicza wpłynęły na taki, a nie inny ton niektórych poetów.

Cechą najbardziej własną i najsilniej zaznaczoną poezji Stachowskiego jest skłonność do fantastyki poetyckiej, mającej wiele wspólnego z baśniowością. Autor *Jaworowej baśni* tkwi głęboko w korzeniach wyobraźni, która stworzyła bogatą baśń ludową.

Poezja tzw. awangardy przyjęła metaforę za podstawowy czynnik poetycki. Metaforyka była dla wielu poetów tej szkoły osobliwym szyfrem, który zresztą stworzył przekonanie o niezrozumiałości i nieczytelności nowoczesnej poezji.

W wierszach dobrych poetów wszystkie warstwy znaczeń dają się ogarnąć. Wystarczy jednak już zewnętrzna i dosłowna warstwa dla satysfakcji obcowania z poezją. Poeci pomniejsi i naśladowcy, którzy przejmują tylko manierę, z uporem zmuszali czytelników do gryzienia twardych orzechów metafor, w których ziarnie obiecywali dopiero smak poezji.

Wiersze Stachowskiego, zwłaszcza juvenilia, którym pewna manieryczność nie jest obca, dadzą się odczytywać dosłownie. Ich cała szata metaforyczna pochodzi ze sfery baśni i bez doszukiwania się głębszych sensów — odnajdujemy w niej jak w baśni wiele uroku poetyckiego.

Noc jest cichym pokojem zwierzeń
muszlą pełną gwiazd
na polany wychodziły daniele
o rogach wspaniałych jak maszt
i nie wolno było karłom złym
siadać na pachnących modrzewiach
bo Twardowski w oczach miał dym
i włosy zjeżył jak grzebień...

Podobne wiersze przypominają mi poetyckie baśnie młodego Harasymowicza, wokół którego powstało ostatnio tyle hałasu. Harasymowicz jest bardzo ciekawym i miłym poetą, ale u nas często tubalne ogłaszanie poetyckich nowości polega na niedokładnej znajomości najbliższej tradycji, a nawet współczesności. Do maniery, lecz jakże dziś zabawnej i odświeżającej, należy w juveniliach Stachowskiego dobieranie słów o podobnych rdzeniach, igraszki aliteracji, to wszystko, co w sferze tzw. formy poetyckiej jest elementem zabawy i sztuki, czyli sztuczności językowych układów.

Chrzęsła w życie śmigła, oślizła kosa,
świat jest żółty jak złocień.

Lub jeszcze wyraźniej w wierszu *Wiatr*, który cały syczy, szeleści i pluska zgłoskami: pł, bł.

Wiatr — woda
szklana szyba chrzęści
płaskie płaty są jak blask
który błyska na pół dojrzałymi jabłkami
w pędzie w dół
tłuką pięści
opodal
las jak paw trzepoczący skrzydłami

Lub w wierszu *Orka* — konie

pod prąd prą

Pysznej tej zabawy uczyli się ówcześni młodzi chyba głównie od futurystów rosyjskich, których wpływ na poezję polską dwudziestolecia jest ciągle problemem nie przebadanym i tak interesującym.

Jaworowa baśń jest baśnią o wsi. I — jak to w baśni — pół-senny, pół-rzeczywisty obraz miesza na prawach chagallowskiej mechaniki wyobraźni — konie, mleko, księżyce, topielców o ustach oblepionych wodorostami, maliny, oczy krów i gwiazdy.

Tylko podczas gdy wiersze młodzieńcze, tak jak wyżej przytoczone, operują poszarpanym, poćwiartowanym na krótkie oddechy zdaniem, wiersze *Ja-*

worowej baśni toczą się pełnymi, szerokimi frazami. Instrumentacja wiersza jest niemal klasyczna, z charakterystycznymi inwokacjami i przerzutniami, tylko słownictwo, obrazowanie, metafora są nowe, awangardowe.

Poezjo, to z kogucich piór
trzeba ci było czapkę wsunąć
i wieczność straszyć, w chłodny nurt
paść nurkiem, spłynąć śmieszną łuną:

tak czas zatrwożyć.

Melodyjność jest siłą tych wierszy, podobnie jak poezji Czechowicza. Dzięki tym rytmom, dobytym z najgłębszych tradycji polskiego wiersza, świetnie wygimnastykowanym i giętkim — nowa wyobraźnia narzuca się czytelnikowi, wydaje się konieczna i od razu zyskuje powagę i patos, które tak trudno wydobyć ze strzępów zdania. Dzięki melodyce zdania wiersz Stachowskiego staje się dobitny i bardziej — jak mówi Matuszewski — męski, a baśniowe, lekkie motywy tężeją w trwalsze obrazy.

Gniade sosny o dzikich grzywach
— konie nocy. Drży ciemny pisk.
To jastrzębie cietrzewia biją,
mruży rzęsy pod pierzem krwi.

Jak w przerębli. Jest coraz ciaśniej
lodem zmroku zwęża się las,
lisi kołnierz — księżyc brunatny
oliwkami dziś niebo pasł.

Baśniowe, wiejsko-ojczyźniane motywy kontynuuje tom wojenny *Ku ziemi*, z tym, iż rzeczywistość rozdziera stopniowo tkankę baśni i poprzez balladowość kieruje poetę ku tonom epickim. Typowy dla epiki czas przeszły stwarza poetycki dystans od spraw przeżywanych aktualnie, gdy poeta już oddala, już obiektywizuje.

Nadchodził czas potworów, jaki nie zdarzał
się w snach,
miasta i wsie płonęły, noce się rwały od
krzyków...

Także w tematyce wiejskiej obserwujemy zwrot do realizmu, nastawienie raczej na sprawy społeczne niż na same uroki krajobrazów i realia życia wiejskiego.

Cały okres wojenny Stachowskiego jest powolnym odchodzeniem od mistrza młodości — Czechowicza — ku innego typu poetyce, pozostającej pod auspicjami Miłosza. Już charakterystyczne jest porzucenie 9-zgłoskowca dla epickiego 13-zgłoskowca. Niestety, wraz z tą zmianą wyjaławia się wyobraźnia poety. Epicki nurt 13-zgłoskowca znosi ciekawe obrazy i metafory, rozlewa się fala retoryki, której Stachowski jeszcze nie umie opanować. Pojawia się patos dużych słów. Pseudoklasyczna szata wersyfikacyjna jest ubiorem zbyt obszernym dla myśli poetyckiej, zapożyczonej z historiozofii romantyzmu.

Tak malejemy z wiekiem. Nieskończoność
śniegu
odbiera nam odwagę, że tylko jesteśmy
niby drobne owady w wielkim pudle z watą
i nieraz gdy ściskamy wiernej dłoni przegub,
a mróz ubiera szyby w puch lodowej pleśni,
nawet wierzyć nie śmiemy.

Wyobraźnia czytelnika usypia wraz z wyobraźnią poety. Te próby Stachowskiego byłyby pouczającym przykładem jałowości pewnych nurtów, rezygnujących z poszukiwań formalnych i ze świeżości wyobraźni — na rzecz tzw. tradycji poetyckiej i sztucznej powagi retoryki. To, co widzieliśmy u Stachowskiego jako próbę z okresu, w którym osamotniony i wyobcowany poeta nie miał możności sprawdzania swego trudu poetyckiego — mieliśmy możność stwierdzić w szerszych wymiarach ostatnich lat na przykładzie wysiłków skierowania literatury ku ciasno pojętemu realizmowi i tradycjonalizmowi. Nie zapominajmy, że Stachowski był z chwilą rozpoczęcia się wojny młodym poetą. W kulturalnej pustyni okupacji każdy twórca skazany był na samotne poszukiwania i błądzenia. Było to o wiele trudniejsze dla poety młodego niż dla poetów już ukształtowanych.

Być może zresztą, że „epicki" okres był tylko przejściowym eksperymentem, że świtało już poecie dojście do własnej nuty, pełnej siły i prostoty.

Zamyślony na liściu chrząszcz,
ziemia głucha jak kamień
i komarów złotawy gąszcz
i ludzka pamięć...

Czasem turkot chłopskiego wozu
mignie jak cień,
grób wystroi w płomień i fosfór
gasnący dzień.

Zamyślony na liściu chrząszcz,
wiatrów majowych granie
i komarów złotawy gąszcz
i twarde spanie.

Taką i tylko taką przyszłość wywróżył sobie ostatnim wierszem tomiku wojennego tragicznie zmarły poeta.

Anna Kamieńska

W OBRONIE WŁASNEJ SZTUKI

Stanisław Dygat: *Różowy kajecik*. Rysunki Henryka Tomaszewskiego. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 186.

Dygat jest bodaj jedynym polskim pisarzem, który lubi i potrafi bawić się życiem. Pisarstwo Dygata jest zawsze organizowaniem takiej zabawy. Nawet koszmar staje się u niego powodem wcale uciesznej rozrywki. Uśmiać się można u Dygata ze wszystkiego, a już najbardziej z prawdy wydobytej spod piramidy kłamstwa. Człowiek jest omotany kłamstwem i nie jest to wcale zło największe, skoro niejednokrotnie łatwiej z nim egzystować. „Żyją jednak tak — pisze Dygat nie tylko w sensie dosłownym w *Salonie warszawskim 1944* — że dostosowują wszystko do tego fałszywego obrazu i usiłują zachowywać się zgodnie z jego rysami i nawet słyszeć by nie chcieli o tym, że nie są tacy, jak sobie wyobrażają" (str. 70).

Ponieważ kłamstwo jest w jakimś sensie przydatne, a nawet konieczne, demaskatorstwo sztuki nie musi mieć wiele wspólnego z rozrywaniem szat. Sztuka zresztą w równym stopniu zajmuje się stwarzaniem kłamstwa, jak poszukiwaniem prawdy. Oczywiście Dygat głowę dałby za to, że jego sztuka służy przede wszystkim odkrywaniu prawdy. Nie brak mu poczucia własnej prawdy, przeciwstawionej cudzemu kłamstwu. *Różowy kajecik* jest niezbyt zamaskowaną polemiką z cudzymi kłamstwami w sztuce. Dostało się w nim po trosze wszystkim konkurentom Dygata. W imię własnej prawdy atakuje Dygat celnie i wielokierunkowo. Z wyrozumiałością sobie właściwą, ale i bez zbytecznych ceregieli. Zaczyna — rzecz jasna — od wyłożenia własnego programu.

Tytułowe opowiadanko, pisane jeszcze przed wojną (1938), jest takim właśnie wykładem. *Różowy kajecik* to Dygatowski *Johny Niedźwiedź*. Z tym, że u Dygata mamy program pozytywny. Steinbeckowi zaś chodzi o to, żeby określić, czego sztuce mówić nie wolno. Dla Dygata nie ma to żadnego znaczenia. Nie grozi mu przekroczenie tej granicy, kiedy człowiek przestaje być człowiekiem. A tego lęka się Steinbeck, który jest humanistą tylko na skutek świadomego wyboru. Doprowadza on swoich bohaterów zawsze do samej granicy odczłowieczenia, której nie przekracza tylko dlatego, że wie, co za nią się kryje. Dygat nie dostrzega przepaści i nie potrzebuje stawiać przed swą sztuką znaków ostrzegawczych. Człowiek u niego staje się coraz bardziej malutki, nigdy nie przemienia się w bestię. Gdyby zresztą ludzką bożą krówkę zamienić w bestię, cóż by to była za bestia. Dygat nie ma się czego obawiać. Cyniczne refleksje Maniusia, zapisane w różowym kajeciku, nie przerażą nikogo tak, jak przeraża wszystkich małpiarstwo Johny Niedźwiedzia! Maniuś nie zostanie potępiony. Przeciwnie, zasłuży sobie na cechę wyróżniającą, będzie „Maniusiem o cynicznych refleksjach".

Na czym polega cynizm refleksji Maniusia? Maniuś zapisuje w różowym kajeciku tylko to, o czym myśli i marzy cała jego rodzinka. Cała rodzinka wie, że ciocia Sabina jest tępą i nudną idiotką, i wszyscy marzą o tym, żeby ją szlag trafił. Wszyscy wiedzą ponadto, że są to jedynie tak zwane pobożne myśli i marzenia i że ciocię cierpieć trzeba tak długo, jak długi żywot Bozia cioci wyznaczy. Tym bardziej więc życzą jej tego, co się stać nie może. Maniuś odtwarza prawdę myśli, wyciąga wnioski z marzeń i życzeń, wiedząc z góry, że nic z tego dla życia rodziny nie wyniknie. Jego prawda jest zarazem nieprawdą. Prawda pragnień jest nieprawdą spełnień. Spełnień na niby, jak podróż

Henryka Szalaja do Włoch. Spełnień niemożliwych, jak zbrodnia na cioci. Maniuś wie, że zbrodnia jest niemożliwa i dlatego maluje ją z przymrużeniem oka.

„Złapali, co kto miał pod ręką. Talerze, talerzyki, tłuczki do orzechów, nożyki do owoców. Rzucili się na fotel. Przez chwilę kotłowało się wszystko. Jęki, krzyki. Ciosy. Kiedy odstąpili, na miejscu — gdzie siedziała ciotka — leżała kupka gruzu jej ciała.

— Dobra — rzekł Emil, wziął gruz ciała ciotki, wrzucił do kominka i zaczął dąć mieszkiem. Gruz uniósł się w powietrze i wyleciał kominem" (str. 13).

Maniuś wie sam najlepiej, co jest w jego sztuce prawdą, a co nieprawdą. Wiedza taka jest konieczna i w życiu, i w sztuce. Gdy się tego nie wie w życiu, dostaje się po gębie, jak stary pedagog Brzozek (opowiadanie *Księżyc*), albo grzęźnie się w idiotyzmie, tak jak Florek z opowiadania *Kot*. Florek tak zaplątał się między prawdą i nieprawdą, że stracił świadomość własnej tożsamości. „Ja jestem urzędnik poczt i telegrafów. Tak nie można... Tylko... czy to na pewno ja jestem urzędnik poczt i telegrafów?... Czy to nie mój kot?... Czy ja jestem moim kotem? Czy mój kot jest mną? On siedzi w kawiarni, a ja pod stołem, więc niemożliwe, żebym ja był urzędnikiem, a on kotem. On jest urzędnikiem, a ja kotem... Tak... Tak, już wiem na pewno... Mrr... miau... miau..." (str. 27). W sztuce brak takiej wiedzy jest nie mniej zabójczy. Dygat z tego punktu widzenia podważa wartość niejednego zjawiska w sztuce.

Wystarczy ludzkie marzenie pozytywne naiwnie potraktować zbyt serio, żeby, jak pisarz N. z *Salonu warszawskiego 1944*, stać się patetycznym błaznem, „prorokiem obrotowym, potrząsaczem sumień do wynajęcia". Pierwowzór pisarza N. jest nader łatwy do wykrycia, ale nie o jednostkowe zjawisko chodzi w tym wypadku Dygatowi. Fideistyczne i bogoojczyźniane tendencje w literaturze zostały tu zaatakowane i ośmieszone. Piewca ofiarnictwa i poświęcenia dla Sprawy znajduje poklask sytych i tchórzliwych sobków i idiotów. Ci sami ludzie potępią pisarza W., który im rzuci prawdę w oczy. Nasuwa się pytanie, dlaczego pisarz W. ma mniej szczęścia niż Maniuś. W. zbyt serio traktuje swoje oburzenie i jeszcze bardziej serio wyciąga z niego wnioski. Prawda sztuki nie może być całkowicie prawdą życia. W przeciwnym razie gruz ciała cioci musiałby rzeczywiście wylecieć kominem, a tego rudy Maniuś nie może nikomu życzyć, bowiem mogłoby się zdarzyć, że jego spotkałoby to samo. Dygat nie chce naśladować losu pisarza W. i przyznaje się do tego od dawna z całą otwartością. Dygat woli nie traktować zbyt serio ani szuki, ani życia, wie bowiem, że jest to w obydwu wypadkach w najwyższym stopniu niebezpieczne, jeśli tylko chciałoby się być logicznym w wyciąganiu wniosków, które z tego mogłyby wyniknąć. Nielogiczności nie znosi zaś nade wszystko. Dlatego ma tyle pretensji do egzystencjalistów, chociaż nie jestem pewien, czy tym razem sam nie przesadza w powadze.

W polemice z egzystencjalizmem posługuje się Dygat sławnym argumentem Gombrowiczowskim o mówieniu na temat nicości i zajadaniu rogalików z masłem. W teorii filozoficznej sprawa nie jest przecież tak prosta. Bezsensowi przeciwstawiają egzystencjaliści poszukiwanie sensu, absurdalnej egzystencji zaś potencjalną essencję. W sztuce zaś nie chodzi tylko o logikę. Świadomość bezsensu obejmuje rozległe dziedziny przeżyć ludzkich, które sztuka może notować, ale prawda przeżyć wewnętrznych nie musi być prawdą realnych czynów i Dygat wie o tym sam najlepiej. Nikt nie żąda od czytelników Sofoklesa, żeby naśladowali w codziennym życiu Antygonę i Edypa, tak jak nikt nie żąda od czytelników Goethego, żeby postępowali jak Werterzy. Egzystencjaliści w odmienny sposób niż Sofokles wzbudzają w człowieku uczucia trwogi i litości, ale też chodzi im przede wszystkim o swoisty typ przeżyć estetycznych, których nie ma powodu człowieka pozbawiać. Dygata nie stać — zdaje się — na taki dystans wobec przeżyć ludzkich w życiu i w sztuce, jakie ma w stosunku do życia i sztuki w swojej ocenie filozoficznej. *Kapitan Kirasjerów* zdradza wiele znamion naiwności w tym względzie.

O wiele bardziej celny jest Dygat w polemice z rodzinnymi naiwnościami. Dostało się w *Różowym kajeciku* Putramentowi i Hłasce, Adolfowi Rudnickiemu i Przybosiowi, socrealistom i najznakomitszym satyrykom. Przybosiowa koncepcja „sztuki, tej mistycznej siostry techniki i nauki" zaciążyła nad całą polską poezją awangardową. Naiwne złudzenia futurystów przejęła jak nigdzie

w Europie polska awangarda poetycka. Dygat proponuje awangardowy scenariusz filmowy pod tytułem *Korcelli je zupę kartoflaną*, w którym wszystko dzieje się w odwrotnej kolejności. Jest w tym tylko formalny dowcip („Ot, życie przyłapane od tyłu. Szczyt awangardowej nowoczesności"). Dygat przypomina żartobliwą kwestię, czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa. Gdyby kwestia ta nie była obca naszemu znakomitemu poecie, być może zaprzątałby sobie od czasu do czasu głowę bezsilnością człowieka wobec kataru i mniej by go obchodziła możliwość unoszenia się na własnych nogach nad iglicą Pałacu Kultury.

Rudnickiego zaczepia Dygat mniej złośliwie, choć nie mniej trafnie. Pisarz wyczulony na sprawy ostateczne i jak najbardziej niezwykłe nie ma zbyt wiele serca dla powszedniości życia. Bohater *Koncertu skrzypcowego* tak długo szaleje z miłości do wspaniałej włoskiej dziewczyny, dopóki się nie dowie, że jest to po prostu „znajoma jego siostry". Bez znaczenia jest fakt, że jest to „jedna z bardziej utalentowanych włoskich malarek", że „wszyscy ją uwielbiają za dowcip, inteligencję, wdzięk i urodę". Uczyć by się Sandauerowi od Dygata przenikliwości krytycznej!

Sam Dygat jest wrażliwy wyłącznie na zwyczajność spraw ludzkich. Absurdy codziennego życia obchodzą go więcej niż wszystkie metafizyczne nonsensy człowieczego losu. Jego uniwersalna koncepcja doli człowieczej to koncepcja doli urzędniczej człowieka w *Podróży*. Obrony zwyczajności w sztuce podjął się Dygat w opowiadaniach *Pan Trąbka opowiada swoje sny* i *Zorza polarna*. Dopóki sny pana Trąbki są najbardziej zwyczajne, sukcesy towarzyskie opowiadacza snów są ogromne. Oto jeden z nich. „Proszę bardzo: wczoraj na przykład śniło mi się, że wchodzę do rzeźnika i mówię: — Niech mi pan zważy ćwierć kilo kaszanki. — Rzeźnik zważył, wręcza mi paczkę i powiada: — Płaci pan trzy złote.

— No, no, panie Trąbka, no, no, pan to ma sny!" — odpowiada słuchacz (str. 171). Według Dygata marzeniem współczesnego człowieka jest najnormalniejsza zwyczajność, która jest zarazem czymś najbardziej niezwykłym. Ta przewrotna koncepcja jest jeszcze jednym przejawem Dygatowego kpiarstwa, któremu tak wspaniale służy jego sztuka.

Henryk Bereza

FANTAZJA I ŚWIAT WIDZIALNY

Stefan Flukowski: *Pada deszcz*. Wydanie I powojenne, rozszerzone. Warszawa 1958. „Czytelnik", „Biblioteka Dwudziestolecia"; str. 286.

„Wokoło znajduje się świat widzialny, a nieznany. Trzeba go zobaczyć, sprawdzić, określić, jaki jest: piękny czy brzydki, jeden — wieloraki, zły — dobry." W tych dwu zdaniach streszcza się niemal całkowicie zawartość myślowa całego prawie tomu Flukowskiego. Jego opowiadania dzieją się między nakazującym „trzeba" a końcowym znakiem zapytania. Działanie bohaterów rozpoczyna się od usiłowań poznania, kończy — subiektywną legendą, osnutą wokół tego, co podlegać miało dociekliwości ludzkiego umysłu. W tym względzie podobni są oni do Leśmianowskiego topielca, który chciał spenetrować pełnię zieleni. Próby postaci autora *Łąki* kończą się katastrofą, unicestwieniem. Ludzie wypełniający karty prozy Flukowskiego nie są skazani na tak okrutny los. Dążenie poznawcze nie kończy się śmiercią, jego finałem jest — legenda, autor *Pada deszcz* „przeczuciem szuka zakrytego świata" (Słowacki: *Godzina myśli*). Zaniechanie leśmianowskiej drastyczności w przedstawieniu losów człowieka poszukującego nie jest tylko kwestią fabuły. Właśnie bowiem w dążeniu do legendy wyraża się swoistość nowelistyki Flukowskiego. Jest to bowiem proza mitotwórcza, chyba świadomie mitotwórcza. W konstruowaniu legend tkwi problem, który w niej nieustannie odżywa. Mit nie jest tu bowiem interpretacją świata, niczego w zasadzie nie orzeka o nim. Stanowi

raczej namiastkę wyjaśnienia, jest bardziej wynikiem kapitulacji niż przyznania człowiekowi zdolności kształtowania adekwatnej wizji rzeczywistości. Mit u Flukowskiego, to wynik niepoznawalności świata. Między nim a podmiotem powstaje warstwa zbudowana z materiałów nieprzewodzących.

Autor *Dębem rosnę* nieustannie poszukuje bohatera, który tworzyłby swoją własną legendę. Jego postaci jakby przetapiają materię świata realnego w fantastyczne kruszce. Nie w sensie dosłownym, Flukowski nie jest — by tak powiedzieć — pisarzem metamorfozy: w cyklu tym synowie nie zmieniają się w karaluchy. Fantastyczność jest tu raczej funkcją subiektywnego spojrzenia. Bardziej czynnością bohatera niż swoistą konstrukcją świata przedstawionego. Flukowskiego fascynuje jakby zderzenie jednostki z rzeczywistością zewnętrzną. Istnieje ona w jego opowiadaniach o tyle tylko, o ile jest aktualnie widziana. Sposób jej egzystencji uzależniony jest od metody patrzenia. W doskonałym *Zapachu księżyca* poetyczny satelita ziemi dla każdego z czterech narratorów jest czym innym. Dla buchaltera ma on wygląd cyfry, w oczach myśliwego wydłuża się w wilczą mordę. Opowiadanie to — sedno jego stanowi porównanie różnych widzeń — demonstruje chyba najwyraziściej filozofię pisarza, która staje się jednocześnie zasadą kompozycji. W strukturze nowel wyraża się ona najpełniej. Ich akcja przebiega jakby między człowiekiem a księżycem. Narratorzy i bohaterowie nie konstruują bowiem świata, który różniłby się wyglądem od rzeczywistego i rządził własną, inną, przyczynowością. Fantastyka Flukowskiego — najogólniej rzecz biorąc — jest odmienna od tej, do której przyzwyczaiły nas dzieła Kafki czy Schulza. Powstaje bowiem nie z przetworzenia świata przez jednostkę, ale właśnie m i ę d z y podmiotem a rzeczywistością zewnętrzną.

Nie wyklucza to oczywiście tego, że pewne wątki kształtowane są realistycznie. Tła nowel Flukowskiego nie powstydziliby się najprawowierniejsi spadkobiercy Orzeszkowej czy Prusa. Często jest nim po prostu miejsce pracy, np. kopalnie żwiru. Określa ono sytuację, jest to właśnie ów „świat widzialny". Konsekwencją jest dbałość o realia, nieraz dokładnie opisywane. Opisy Flukowskiego zresztą obejmują nie tyle rzeczy, ile zdarzenia. Pisarz niezwykle sugestywnie odtwarza czynności, jakby — poprzez opis — analizuje je, wydziela poszczególne ich stadia. Taki charakter ma opis chrapania na pierwszych kartach *Listów do matki*, przypominający nieco prozę Prousta, czy opis zamykanych drzwi: „Kiedy opuszczali izdebkę, drzwi skrzypiały, chybotały się, piszczały, wreszcie zamknęły się z trzaskiem". Opisy w całym prawie zbiorze są sensualistyczne. Flukowski jest niezwykle uczulony nie tylko na wyglądy, ale także zapachy i dźwięki. To wszystko, co mieści się w ramach „świata widzialnego," konstruowane jest z ogromną dokładnością. Dokładność ta to nie tylko dań spłacona empirii — już w niej tkwi zalążek udziwnienia. Stoi ona w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do tego, co się poza dostrzegalnymi szczegółami kryje. Są tu one jedyną realnością. Opis jeszcze bardziej uwydatnia ich swoistą, niepowtarzalną odrębność. Świadczy jednak o pierwszym odniesieniu prozy Flukowskiego — realizmie. Związek z nim pociąga następstwa kompozycyjne. Pisarz respektuje realistycznie ujętą sytuację jako czynnik kształtujący formę językową. Np. cztery krótkie fabuły w *Zapachu księżyca* uwarunkowane są przez sytuację, w jakiej znajdują się bohaterowie-narratorzy. Są one określone przez związek wszystkich czterech opowiadających — odpoczynek po pracy we wspólnym pokoju (nawiasem mówiąc wyzyskuje tu Flukowski twórczo bardzo stary chwyt nowelistyczny, znany chyba od czasu *Dekamerona* — nowość ujęcia polega na tym, że realistycznie zarysowana sytuacja staje się punktem wyjścia dla opowieści groteskowych, wyłamujących się z przyjętej konwencji — spaja je poza tym nie tyle owa sytuacja nadrzędna, ile przede wszystkim zawartość myślowa). Motywacja realistyczna nie ogranicza się do tego rodzaju przypadków. Może jeszcze wyraziściej jej funkcja uwydatnia się wtedy, gdy działa w opozycji do bohaterów. Flukowski konsekwentnie przestrzega, by język odpowiadał przyjętej konstrukcji bohatera, by stał się jej wykładnikiem. Zwłaszcza w *Listach do matki*, atmosferą przypominających trochę *Wielkiego Meaulnesa* Fourniera, przeprowadził mistrzowsko to zamierzenie. Narrator-bohater tej opowieści,

bezimienny osiemnastoletni chłopak, mówi tak, że w języku odciska się jego naiwność i niedoświadczenie — charakter narratora zaważył głębiej na stylu, przede wszystkim zdeterminował składnię. W prawie całej dość długiej noweli występują niemal wyłącznie zdania o strukturze parataktycznej. *

Ten typ motywacji w nowelach Flukowskiego jest szczególnie istotny z tego względu, że są one właściwie ukrytymi monologami. W każdej z nich egzystuje w istocie tylko jeden bohater, który sobą wypełnia cały świat powieściowy, podlegający jednej tylko jego subiektywnej interpretacji. Monologiem są *de facto Listy do matki* (forma listu jest tu umowna w stopniu dużo większym niż w klasycznych powieściach „korespondencyjnych", np. w *Werterze* lub *Biednych ludziach* Dostojewskiego), monologiem jest w istocie poświęcony Norwidowi *Ocean*. W formie monologu wyraża się najpełniej owo własne, jedyne widzenie świata, nieustanny problem prozy Flukowskiego. Stąd monolog ma często uzasadnienia inne niż językowo-kompozycyjne. Krystalizuje się czasem w pośredniej lub bezpośredniej obecności drugiego aktora. W *Listach* będzie nim oddalona matka, ale także ludzie należący do bezpośredniego otoczenia bohatera, np. przemytnicy, z którymi rozmowa stanowi najbardziej ważki intelektualnie fragment opowiadania. Rozmowa to jednak tylko z pozoru — w rzeczywistości rozmyślanie bohatera, monolog dramatyzowany (tak jak monologiem dramatyzowanym jest niezapomniany dialog z diabłem w *Szkicach z podróży* Marii Dąbrowskiej). Przez dramatyzację Flukowski uzyskuje wiele — nie tylko w zakresie stylistyki. Dzięki niej odbiera subiektywnym ideom bohaterów znamiona abstrakcyjności, czyni je wartościami społecznymi, międzyludzkimi. Mimo to nie gubi istoty monologu, którym jest „prywatność" — stanowiąca tutaj umotywowanie fantazji, wyrażającej intymny świat bohaterów.

Bo, powróćmy do punktu wyjścia, postaci Flukowskiego poprzez fantazję na temat siebie i otoczenia tworzą swój „mit osobisty" (by się posłużyć tytułem wiersza Białoszewskiego) i przeciwstawiają go rzeczywistości zewnętrznej. Komponują legendy, w które wcielają własne strachy i własne obsesje (kształt bardziej epicki uzyskały one w opowiadaniu *Zabić lisa*, określonym w podtytule jako studium powieściowe). Poprzez nie chcą się wyzwolić od otoczenia, od „gęby", którą ono im przyprawia. Wyzwalanie bohatera *Listów do matki* spod wpływów brata Adama, to jakby zapowiedź pisarstwa Gombrowicza. Flukowski jednak nie twierdzi, że ucieczki nie ma — schronieniem przed „gębą" jest fantazja, przekształcanie rzeczywistości w legendę. Fantazjotwórstwo nie jest więc zabiegiem w wąskim sensie formalnym. Stanowi także problem, podlega intelektualizacji. To może decyduje o oryginalności i doskonałości nowel Flukowskiego. *Pada deszcz* jest bowiem książką nadal rewelacyjną, mimo że minęło bez mała trzydzieści lat od czasu jej pierwszego wydania.

Michał Głowiński

* Przez składnię tego typu osiągnął Flukowski bardzo interesujący efekt: rytmiczność prozy, całkowicie inną od przyjętych w tym zakresie konwencji, usankcjonowanych autorytetem pisarskim Żeromskiego. Rytmika współistnieje tu przede wszystkim z językiem potocznym i wyraża się w zdaniach krótkich (u Żeromskiego przeważnie w okresach). Nie towarzyszy jej poetycko-archaizująca stylizacja słownictwa.

SZANSA DWORSKIEGO PISARZA

Juliusz Kaden-Bandrowski: *Generał Barcz*. Posłowie Jana Zbigniewa Słojewskiego. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 486.

Instytucja nadwornego pisarza jest tak stara, jak sami władcy i literatura. Ponieważ sława nadwornego pisarza niezwykła trwać dłużej niż opiewana władza, twórcy tej kategorii, choćby najbardziej utalentowani, wykazują dostateczną przezorność wtedy, gdy liczą

tylko na doraźne efekty swej pracy. Gdy korzystają, ile się da, z pańskiej wdzięczności. Wystarcza im to najczęściej wtedy, gdy instynktownie czują, że nic innego osiągnąć nie są w stanie. W przeciwnym razie wolą raczej Czarnolas niż wawelskie blaski.

Kadena-Bandrowskiego pogrzebano u nas wraz z piłsudczyzną. Z pełnym przekonaniem, że nic innego nie jest mu pisane. Wybrał przecież blaski Belwederu. Jeśli wybrzydzano się nawet ostentacyjnie na jego styl pisarski, to chodziło tu raczej o dodatkowe argumenty, nie zaś o główne powody. Kaden-Bandrowski był odkrywcą stylu wielu naszych pisarzy, których nie wyklinano albo wyklinano z całkiem innych przyczyn. Dziś widać, że Kaden spłatał figla nie tylko Piłsudskiemu, ale i nam. Pogrzebaliśmy go z przyzwyczajenia, dla samej tradycji grzebania bardów wraz z wodzami. A tymczasem okazuje się, że Kaden wykorzystał najtrudniejszą dla artysty szansę — szansę dworskiego pisarza. W jaki sposób?

Najstarszy i jedynie w sztuce popłatny. Poprzez prawdziwe moralne samookreślenie się człowieka. Wartość tego samookreślenia zależy wyłącznie od jego prawdziwości, nie zaś od pozytywów. Gdy się jest błaznem, trzeba się uznać za błazna, i jest to jedyna prawda sztuki. Gdy zbrodniarz uzna się za bohatera, sztuka dopiero wtedy jest niemoralna, jeśli w ogóle jest sztuką. Wystarczy o tym wiedzieć, żeby w każdej sytuacji pretendować do laurów sztuki. Nawet w sytuacji pisarza dworskiego, który podejmuje się z urzędu kłamać ohydniej niż w życiu — kłamać w sztuce, która ma sens tylko wtedy, gdy stwarza człowiekowi możliwość mówienia prawdy. Jakże często jest to możliwość jedyna!

Kaden mimo wszystko jej nie zaprzepaścił. Został pisarzem dworskim i opowiedział potem, co to znaczy i na czym polega. I niczego nie skłamał. I jaką okrutną samowiedzą się popisał. W *Generale Barczu* skłonny byłbym ten akt samookreślenia się pisarza dworskiego cenić wyżej niż drastyczną prawdę o jego mocodawcach. A jest to prawda rzeczywiście drastyczna. Do dziś jeszcze pokutują mniemania, że Kaden-Bandrowski obszedł się bardzo delikatnie z samym Piłsudskim (patrz posłowie do wznowionego wydania *Generała Barcza*). Czy rzeczywiście?

Sprawę należy wyjaśnić, ponieważ od tego w dużej mierze zależy prawdziwość aktu samookreślenia się pisarza i waga tej rozgrywki, jaką podjął ze swym władcą, nie wypowiedziawszy mu swego posłuszeństwa. Rzadki to przypadek w losach pisarzy dworskich.

Barcz jest główną postacią powieści. Kaden przypisuje mu pełną świadomość, że wszyscy pretendenci do władzy w „odzyskanym śmietniku" to kanalie i idioci. I rzeczywiście w toku organizowanej przez Barcza walki o władzę dowody ich łajdactwa wychodzą raz po raz na jaw. Lewicowy Dąbrowa bardziej się troszczy o swoją egzystencję niż o swoje ideały. Prawicowy Krywult w ogóle nic nie ceni poza swoim brzuchem. Barcz dowodzi także, że kanaliami są wszyscy jego podwładni.

Historia prokuratora Jabłońskiego będzie tu najbardziej znamienna. Barcz nie wysila się wobec niego na jakiekolwiek pozory. „Grubo to dziś za mało — huknął Barcz — być porządnym człowiekiem... Jeżeli pan Państwo chcesz budować, to się pan świństwem uczciwie dzielić musisz z przełożonymi i jesteś pan porządnym człowiekiem wtedy dopiero, gdy na siebie bierzesz ich ciężar..." (str. 228). Maleńki szantażyk wystarczy, żeby prokurator ugiął się przed tak odkrywczą w ustach Barcza definicją sprawiedliwości. „Zgodzi się pan, przypuszczam, że sprawiedliwość — to obrona środowiska przed szkodliwą jednostką. Na linii interesów środowiska, społeczeństwa — Barcz stał oko w oko z Jabłońskim — leżało w zimie uwolnienie od odpowiedzialności winnych... Dziś zaś, bo jako dla oficera ja jestem dla pana sprawdzianem tych czasokresów, leży na linii interesów środowiska obciążenie odpowiedzialnością niewinnego nawet..." (str. 405).

Postać rządowego pisarza, Rasińskiego, pełni zbyt podrzędne funkcje w systemie władzy, żeby Barcz zbyt wiele miejsca poświęcał mu w swej świadomości. Barcz uważa go raczej za głupca niż kanalię. Gdy jednak zajdzie potrzeba wyboru drugiej z tych alternatyw, Barcz z satysfakcją i bez trudu znajdzie na nią dowody. Skrzywdzony i grożący zemstą literacką skryba za dodatkową gwiazdkę oficerską i lepszą synekurę wyrzeknie się swojej groźby i obieca milczenie. Jest to moim zdaniem kluczowa sytuacja w powieści. Splatają się w niej dwa najważniejsze wątki utworu: eksponowany wątek zwycięstwa wodza i skromnie usuwany w cień, choć z pewnością nie mniej ważny, wątek

dramatu rządowego pisarza. Kaden z całą rewerencją odda zwycięstwo wodzowi: Barcz będzie mógł się pochwalić przed kochanką, że miał absolutną rację, wszyscy bowiem okażą się kanaliami. W tym zwycięstwie jednak wódz poniósł potrójną klęskę: po pierwsze poszukiwacz „odpowiedzialnej kanalii" został wystrychnięty na dudka, gdyż stał się mimo obietnicy, błazeńskim bohaterem *Generała Barcza*, po drugie nie zdobył się na taką świadomość wobec siebie, jak wobec innych, po trzecie dowiódł tego, co dla pokonanego nie było tajemnicą.

Kim jest wódz w powieści rządowego pisarza? Figurantem, błaznem i kanalią od samego początku. Zastanawiano się najczęściej nad postacią Barcza i zdarzeniami w powieści od strony ich historycznej zgodności faktograficznej (w jakim stopniu na przykład Barcz jest Piłsudskim, w jakim Sosnkowskim?), mniej myślano o moralnym formacie bohatera, a to przecież jest w utworze powieściowym o wiele ważniejsze.

Barcza wymyślono wodzem, ponieważ było to potrzebne do ratowania „odzyskanego śmietnika". „Żołnierz powiada: Szkoda mego ścierwa!!... Co tu?... O patriotyzmie? Szkoda mego ścierwa!!... O granicach?... Szkoda mego ścierwa!!... O Bogu? Szkoda mego ścierwa!!..." (str. 34). Główny przeciwnik Barcza, „demokratyzujący" Dąbrowa, sam wymyśli szalbierstwo, z którego nie on sam skorzysta. „Wzmożenie popularności wodza, moi panowie. Na tle tradycji... Do czasu rozumne unieszkodliwienie wszystkich zamachowców legionowych. Wtedy — jako lepiwo, przysięga..." (str. 35).

Barcz ma więcej szczęścia niż rozumu w wykorzystywaniu tego szalbierstwa. W kulminacyjnym momencie walki o władzę uratują go różowe majtki rządowej dziwki. Brak jakichkolwiek skrupułów moralnych to jego jedyny atut. Nawet tragiczną śmierć żony potrafi wykorzystać w politycznych rozgrywkach. Jest większym draniem niż Dąbrowa i Krywult i to sprzyja jego ambicjom. A przy tym ma co do siebie złudzenia.

Między bardem a wodzem toczy się walka nie tyle o moralność, co o świadomość i samowiedzę. W tej walce zwycięstwo wodza jest bluffem największym. Rozeznawszy się trafnie w draństwie innych, wódz nie zdobędzie się na szczerość wobec samego siebie. Komedianctwo, którym usiłuje się bronić przed dezaprobatą moralną matki, stosuje także wobec siebie samego. Barcz wierzy w swoje własne argumenty przeciw samooskarżeniu. „Okazywało się kolejno, że żaden z zarzutów nie trzyma się o własnej sile... Każdy wyrzut, każda krzywda padała do morza krzywd strasznych, lecz rozumnych, które musiało się popełniać, bo za tym, znów gdzieś wyżej, stawały jeszcze ważniejsze sprawy, dla których znów to wszystko, co dotąd..." (str. 457). W błazeństwie osiągnie szczyt, gdy poczuje się tragiczny w swojej wielkości. „Wie pan? Ja jestem teraz tak godny, do tego stopnia już godny, że zostałem zupełnie sam... Same zaszczyty... Same zaszczyty, zwycięstwa, zaszczyty... Nieprawdopodobna rzecz..." (str. 464 — 465). I pomyśleć, że w tym samoubóstwieniu wodza nie dostrzegano wisielczego szyderstwa pisarza, który sam zdobył się na rzetelne samookreślenie moralne.

W postaci Rasińskiego zawarł Kaden więcej elementów samooskarżenia niż samoobrony. Tropiciele historycznej faktografii, dopatrzywszy się niewątpliwej identyczności afery Rasińskiego z aferą polityczną samego Kadena, widzą w powieści samoobronę pisarza. Kaden nie potrzebował się bronić przed posądzeniem o kradzież pieniędzy państwowych, ponieważ jego niewinność została sądownie stwierdzona. Trzeba wszakże w powieści Kadena dostrzec coś więcej niż zwietrzały reportaż historyczny. Rasiński jest zaangażowanym politycznie pisarzem, nie urzędnikiem. Pisarza nie chciał Kaden oszczędzać.

Kłamstwo w pisarstwie uprawia Rasiński z pełną samowiedzą. „Trzeba robić świętą nieprawdę, która, mamy nadzieję, posłuży jako niezawodny kluczyk do zasobów ludzkiego mięsa... — rzekomym cynizmem pragnął pokryć burzliwą fanfarę szczęścia, która rozpierała w tej chwili całe jego jestestwo. — Tak — powtarzał gładząc pikowane wzgórki atłasu — to, co będzie powiedziane, musi być większą prawdą od tego, co się dziać będzie..." (str. 129). Pisarz podejmuje się z lekkim sercem „organizacji sławy, systematyzacji legendy". „Było teraz Rasińskiemu wszystko jedno, którędy ów świat idzie, na którą stronę się przechyla, czy nowe zbrodnie płodzi, czy dobrodziejstwa wylęga?..." (str. 139). Nieczęsto pisarze dworscy zdobywają się na taką odwagę mówienia prawdy o sobie. Zwykle udają pobożnych wiernych, głoszących słowo boże. Rasiński ma

przynajmniej wisielczą satysfakcję, że sam stwarza fałszywych bogów. I piekli się, że się tego nie docenia. „Rasiński uganiał po całym sztabie. — Kiedy portek nie było — huczał w poczekalniach — toście mnie brali... A teraz, kiedy portki są... Kiedyśmy nie wiedzieli, kto jesteśmy, tom ja miał mówić..." (str. 395). Nie ma w tym nawet cienia hipokryzji, zakłamania i zawodowej obłudy, a więc tego wszystkiego, czym pisarze dworscy potwierdzają swoją małość. Tą swoją szczerością okupił Kaden swoją nienajchlubniejszą pozycję piłsudczykowskiego barda. *Generał Barcz* jest najodważniejszą i powiedziałbym najbardziej odkrywczą książką Kadena. Pod każdym względem: moralnym, poznawczym, nawet artystycznym.

Kaden pierwszy (1923), przed Żeromskim, Nałkowską i późniejszymi pisarzami lewicy demokratycznej, odkrył śmietnik w odzyskanej ojczyźnie. Obnażył mechanizm władzy politycznej w nowopowstałym państwie, rozbił mit narodowej szczęśliwości. W *Czarnych skrzydłach* (1928 — 1929) i *Mateuszu Bigdzie* (1933) rozszerzył motywację swoich ocen, wyrażonych z całą brutalnością już w *Generale Barczu*.

Miano za złe Kadenowi, że w uprawianym przez siebie rodzaju powieści politycznej redukował człowieka do roli marionetki w szopce politycznej. Gorliwy wielbiciel Kadena, Tadeusz Breza, bronił nawet estetycznych racji jego prozy, odwołując się do poetyki Arystofanesa (patrz esej *Mitologia u Kadena Bandrowskiego — Ateneum*, 1938, nr 1). A tymczasem ta Kadenowska redukcja człowieka była zjawiskiem prekursorskim w nowej prozie. Wnikliwy znawca nowoczesnych mechanizmów politycznych, dostrzegł na płaszczyźnie politycznej tę moralną degradację człowieka, którą na naszym gruncie Witkiewicz i Schulz ukazali później w rozległej perspektywie społecznej i filozoficznej. Kadenowska koncepcja człowieka politycznego została podniesiona w Schulzowskich wizjach „świata manekinów" do rangi uniwersalnej koncepcji człowieka współczesnego, zredukowanego w swoim życiu wewnętrznym i zewnętrznym.

Nie mniejszą rewelacją była powieść Kadena pod względem stylistycznym. Osławiona stylistyka Kadenowska budziła i budzi do dziś najwięcej zastrzeżeń. Warto jednak przyjrzeć się temu zagadnieniu uważniej. Kaden niemal pierwszy i z większym powodzeniem niż później Witkiewicz zerwał ze stylistyką młodopolską. W sposób nieuczony program jego formułuje Rasiński w *Generale Barczu*. „Bo widzisz — odpowiedział żonie bez związku — trzeba, aby się w naszej literaturze skończyła raz ta polska liryczna laksa... Ten rzewny bełkot przez łzy... I dotykanie przez bibułkę, i gadanie przez watę... Masz coś do powiedzenia, człowieku — kładź od razu wszystkie flaki, wszystkie kiszki..." (str. 10).

W efekcie wynikły z tego nie tylko Kadenowskie brutalizmy, lecz także prawdziwa odnowa języka prozy. Wszechwładny poetyzowany opis, koturnowy dialog młodopolski zastąpił Kaden żywym językiem współczesnym, czasami iście sołdacką metaforą, autentycznym dialogiem mówionym. Żywy język potoczny zapanował wszechwładnie w prozie Kadena. I nie najważniejsze jest to, że był to język legionowej gwardii. Kaden pokazał, jak można wykorzystać żywy język w prozie. Z tego odkrycia skorzystał nie tyle Breza — tak się powszechnie sądzi, porównując funkcje tzw. mowy pozornie zależnej obydwu pisarzy — co Gombrowicz, mistrz w artystycznej eksploatacji bełkotu języka potocznego, co wszyscy pisarze, do najmłodszych włącznie, którzy posługują się w prozie językiem podsłuchanym w określonych środowiskach. Z prostackiego powiedzenia Dąbrowy („— Że teraz sejm... Tłuści starzy za biednych głupich gadać zaczną...") Żeromski zrobiłby cały liryczno-tragiczny traktacik historiozoficzny, inni pisarze natomiast włożyliby w usta Dąbrowie wymyślony wywód światopoglądowy. Kaden stroni od komentarza, kreacyjności stylistycznej, lirycznej i pseudonaukowej „laksy". Przyjmuje założenie, że autentyczny język jego bohaterów wyraża ich w sposób najdoskonalszy. Jest w swojej stylistyce odkrywczy, konsekwentny i po męsku odważny. Jeśli dziś razi nas tu i ówdzie manifestowana prostackość Kadena, denerwują strzępy zdań, zalążki myśli, a może najbardziej niezliczone wielokropki, to jest to jedynie rezultat tej przesady, która zwykła towarzyszyć wszelkim nowym odkryciom. Ta przesada nie może zaszkodzić zwycięstwu, które odniósł w sztuce nad sobą i swoim światem.

Henryk Bereza

EPITAFIUM EUROPIE

Mirosław Żuławski: *Ostatnia Europa. Trzy miniatury*. Warszawa 1958. Wydanie II. „Czytelnik"; str. 87.

To na dźwięk słowa „kultura", a nie „Europa", Hanns Johst, hitlerowski führer od spraw literatury, wyciągał z kabury pistolet. Myślę jednak, że podobny odruch wywołało w nim i to drugie słowo, gdy oznaczać miało nie po prostu część świata, stanowiącą teren bezpośredniej ekspansji „narodu bez przestrzeni" — lecz określoną formację kulturową, a więc, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, i pewną ideę, znajdującą się u podłoża owej formacji. W tym znaczeniu „Europa" — to przeważnie synonim nazwy nowego typu uniwersalizmu, który szerzył się w świadomości Europejczyków od czasu Erazma z Rotterdamu — do, powiedzmy, Tomasza Manna. Był to uniwersalizm dziwnie chromy, zupełnie bezradny wobec przeróżnych współczesnych sobie procesów historycznych, które nieustannie pogrążały Europę w nonsens bratobójczych wojen, wbrew nielicznej zawsze garstce świadomych Europejczyków. Wyrósł on, na podłożu antyku i chrześcijaństwa (słusznie pisał w swym eseju o europeizmie Paweł Hertz, wskazując na greckie poczucie piękna, prawo rzymskie i etykę chrześcijańską) — z renesansowego humanizmu umocnił się w epoce Oświecenia, w XIX wieku osiągnął swój szczyt, by następnie zacząć umierać od chorób, które zawsze go trapiły, a nie od ciosu, zadanego z zewnątrz. Żaden z dotychczasowych uniwersalizmów nie był tak rozdzierany sprzecznościami od wnętrza, żadna z dotychczasowych wielkich europejskich formacji kulturowych nie niosła w sobie tyle tak ostrych i tak w pełni uświadomionych konfliktów. Już humanizm i reformacja, tworząc nowe elementy więzi europejskiej na miejsce średniowiecznego Rzymskiego Kościoła Powszechnego — przyniosły z sobą językowe rozbicie tak dotąd jednolitej intelektualnej twórczości Europy. Schyłek wieku XVIII i początek XIX rozbudził nacjonalizmy. Wiek XIX zrodził ideologie, które istotnych czynników kulturowych i historycznych doszukiwały się nie w stosunkach więzi — lecz w konfliktach. Całe wielkie prądy w kulturze europejskiej, przede wszystkim romantyzm, który zresztą tak wzbogacił ów europeizm o istotne składniki — niosły zarazem w sobie pierwiastki rozkładu. (Ciekawe, że cała filozofia Hegla, tak wpływowa i modna w połowie XIX w. i tak brzemienna w konsekwencje, które ujawniły się w XIX w. — jest właściwie wyrazem tej uwikłanej w sprzeczności i konflikty sytuacji kulturowej, a jej problematyka — to właściwie dziwaczna transpozycja problemów tej rzeczywistej sytuacji.) Wreszcie totalizm XX wieku zadał śmiertelne ciosy europeistycznemu uniwersalizmowi, który zresztą mógłby też być nazwany „uniwersalizmem burżuazyjnym". W każdym razie znamienne jest, że granice chronologiczne powstawania i sukcesów kolejnych uniwersalizmów europejskich, dość ściśle pokrywają się z periodyzacją historii przez materializm historyczny: uniwesalizm antyczny mógłby w tej terminologii nosić nazwę „materializmu epoki niewolnictwa", a średniowieczny uniwersalizm katolicki — „uniwersalizmu feudalnego".

Temu właśnie europeistycznemu uniwersalizmowi napisał Mirosław Żuławski epitafium w *Ostatniej Europie*, tomiku wydanym po raz pierwszy przed dziesięciu laty. Sądząc, co prawda, po słowach, charakteryzujących w miniaturze pt. *Ostatnia Europa* Eliasza Litwaka („Eliasz Litwak wieścił bliskość czasu, w którym szowinizm europejski będzie karany zesłaniem. [...] Przepływał przez Paryż w prądzie uniwersalizmu") — sam autor pisał epitafium raczej Europie, kulturze europejskiej — niż trzeciemu z wielkich europejskich uniwersalizmów; nie doceniał sam zapewne uniwersalnej roli tej kultury. W pewnym stopniu miał rację: Eliasz Litwak występuje tu jako rzecznik Arabów, Hindusów, Murzynów i innych kolorowych, egzotycznych ludów, a kolonializm przekreślał praktyczne, historyczne prawdopodobieństwo uczynienia z europeizmu wartości ogólnoludzkiej, naprawdę uniwersalnej, jaką był on w istocie, zmniejszał szansę przyszłej syntezy z pozaeuropejskimi tendencjami uniwersalistycznymi; z tego punktu wi-

dzenia oglądany — mógł być rzeczywiście nazwany „europejskim szowinizmem", ale to tylko jeden z punktów widzenia — i tylko część prawdy.

Stefan Lichański, recenzując kiedyś w *Tygodniku Powszechnym* I wydanie *Ostatniej Europy* — nazwał Mirosława Żuławskiego „polskim Morandem". Cóż za nieporozumienie! Elegancja stylu i specyficzna atmosfera europejskiego kosmopolityzmu — to wszystko, co mogłoby ich ewentualnie łączyć, z tym zresztą ograniczeniem, że ambicje Żuławskiego, dążącego do analitycznego przedstawienia zasadniczych elementów syntezy europejskiej — zostawiają daleko w tyle zręczną tylko, i chyba nic więcej, prozę Moranda. Jeśli kogo można by tu przypomnieć z racją jako patrona *Ostatniej Europy* — byłby to raczej Giraudoux, autor uroczej i mądrej *Belli*. To styl tego jednego z najwybitniejszych reprezentantów intelektualistycznej sztuki europejskiej naszego wieku był zapewne natchnieniem Żuławskiego, jego punktem wyjścia. (*Nb.* to w przedmowie do polskiego przekładu *Belli* pisała Kuncewiczowa o „ciepłym prądzie uniwersalizmu, obmywającym brzegi Europy" (cyt. z pamięci). Nie można jednak pisać: „polski Giraudoux" (chociażby z wyżej zastrzeżonym ograniczeniem się do prozy). Taka formuła zakłada po prostu wtórność, narzuca sąd, że mamy do czynienia z polską kalką francuskiego oryginału. Giraudoux jest tu, jak się zdaje, rzeczywiście punktem wyjścia, ale chyba tylko tyle: z pewnych jego założeń artystycznych zostały wyciągnięte w *Ostatniej Europie* ostateczne skrajne konsekwencje w sposób twórczy i oryginalny. Książka ta realizuje pewne możliwości, potencjalnie co prawda zawarte w *Belli*, ale przez samego ich twórcę nie dostrzeżone lub może nie docenione. Historia literatury uczy, że to naprawdę niemało.

Giraudoux posłużył się *w Belli* szekspirowskim (i jak wszystkie motywy Szekspira — przedszekspirowskim, pożyczonym) motywem *Romea i Julii:* dwoje kochanków dzieli waśń ich rodów. Dla Giraudoux, rasowego intelektualisty, tzw. „człowiek", jego psychologia, osobowość, indywidualność — stanowiły jednak drugorzędny przedmiot zainteresowań artystycznych, chociaż umiał tu być mistrzem, na co dowodów dostarcza choćby taż sama *Bella*. Interesowały go bardziej idee, postawy intelektualne i kulturowe, struktura procesów kulturowych. Posługując się nieco metaforycznie terminem z dziedziny filozofii — można by powiedzieć, że zajmowała go fenomenologia kultury. Dlatego istotnym elementem jego powieści są obok dziejów Romea i Julii — dzieje Montecchich i Capulettich — (tu Dubardeau i Rebendartów), którzy mieli posłużyć pisarzowi do przedstawienia mechanizmu walki o duszę Francji, o jej kulturę i o jej historyczny los, walki między dwoma niejednorodnymi czynnikami, znajdującymi się w ostrym konflikcie, a stanowiącymi jakby dwa janusowe oblicza kulturalnego wierzchołka Francji początku XX wieku. Mniejsze znaczenie ma tu fakt, że *Bella* należy do „powieści z kluczem", że rodzina Dubardeau — to klan Poincaré, a Rebendart — to Berthelot; istotniejsze, że dwa rody, konkretni ich członkowie, otrzymują obok swej indywidualnej funkcji fabularnej — funkcję drugą, kto wie, czy nie ważniejszą: reprezentowania pewnych tendencji historycznych. Są więc w co najmniej równym stopniu żywymi ludźmi — co intelektualnymi abstrakcjami. Giraudoux na tym poprzestał. Skrzyżował powieść psychologiczną ze schematem intelektualnym. Wskazał na to, że schemat taki, czysta abstrakcja, czynnik artystyczny, nie mający dobrej prasy, szczególnie w dwudziestoleciu międzywojennym — może znakomicie podwyższać rangę utworu. Teoretyczną możliwością pozostawało rozłączyć znowu te dwa czynniki, nie po to jednak, by wracać do powieści psychologicznej.

Rodziny Elżbiety i Szczepana w *Opowieści szyderczej* — to już tylko schemat. Można by nawet powiedzieć: schematyzm. Wszelka ambitna, odkrywcza twórczość intelektualna wyraża się schematycznie. Schematem są formuły matematyczne odkryć Newtona i równania Einsteina. Schematyczne muszą być wszelkie próby wyjścia poza opisy indywiduów — a i te, jeśli selekcją elementów opisu rządzi coś więcej niż mechaniczny przypadek, też są schematyczne. Trudno się dziwić, że i w sztuce szuka się schematów i abstrakcji.

Nowatorstwo M. Żuławskiego wyraża się przede wszystkim w konsekwentnym stosowaniu schematu. Fabuła jego trzech miniatur (*nb. Przystanek Męki Pańskiej* wydaje mi się znacznie słabszy od *Opo-*

wieści szyderczej i *Ostatniej Europy*) — to schematyczny wykres przeróżnych czynników kulturowych i tendencji historycznych Europy ostatnich stuleci. Ludzie są tu tylko nosicielami określonych wartości pozaindywidualnych. Charakteryzuje się ich nieraz skrótowo, telegraficznie, wywołując obraz całości przez zastępcze przytoczenie jednego elementu z całego skomplikowanego typu kulturowego. Chwyt *pars pro toto* — należy tu do najbardziej zasadniczych. Synowie generała René de Loges — to tylko posiadacze dwóch par białych rękawiczek, „które włożyli w godzinę ataku, zgodnie z tradycją Saint-Cyr". Zakłada to *nb.* konieczność pełnego porozumienia między autorem i czytelnikiem, nic tu nie mogą pomóc przypisy.

Metoda ta o cienką ściankę tylko graniczy z umownością, pozwalającą np. niektórym inscenizatorom drobnym szczegółem charakteryzować pozostawione już wyobraźni widza środowisko określonych realiów. Stwarza też ona ciekawe, choć niebezpieczne możliwości posługiwania się stereotypem potocznych wyobrażeń. Francuz więc kocha wino i Montaigne'a, Anglik jest powściągliwy i sportowo-dżentelmeński etc. Nie znaczy to, by autor chciał nam te właśnie treści naprawdę sugerować: są to tylko stereotypowe znaki wywoławcze. Zakłada się, że autor i czytelnik dobrze wiedzą, jak skomplikowane i niebanalne treści kryją się faktycznie za nimi. Tym większe wrażenie robi każdy odskok od stereotypu, zajrzenie za jego kulisy, groteskowe spiętrzenie nieprawdopodobieństw. Żuławski jest nadzwyczaj zręcznym wirtuozem tych technik.

Stereotyp zaś znów o cienką tylko ściankę graniczy z baśnią, z mitem. Jeśli wiemy już, że jakaś cnota czy wada stereotypowo przypisywana jest jakiemuś narodowi czy grupie ideologicznej, wyznaniowej, zawodowej — wystarczy zatrzymać się nad nią trochę dłużej, by zaczęła rosnąć w baśń. Autor chętnie to robi, szczególnie gdy charakteryzuje cechy pozytywne przedstawicieli Europy: trochę dlatego, że sam, zdaje się, kocha tę część świata i jej bogactwa, trochę dlatego, że z perspektywy epitafium — rzeczywistość wydaje się zawsze piękniejsza niż była za życia, a *de mortuis nihil nisi bene*, przede wszystkim zaś dlatego — że ma do tego pełne artystyczne prawo, a nawet obowiązek: założył przecież, że zbeletryzowana forma kryje schemat pewnego ideału kulturowego. W jakiej mierze wcielił się on w pełni w życie — to inna sprawa; istniał jednak co najmniej w wyobrażeniach i dążeniach milionów ludzi.

Cechy baśni ma przede wszystkim miniatura ostatnia, która dała tytuł tomowi. By zrozumieć, na czym to polega — wystarczy wrócić na chwilę do paru stroniczek, poświęconych Gastonowi Perrier. To kwintesencja wkładu Francji do kultury Europy. Czyta Montaigne'a, uprawia winorośl i robi z niej wino. I Montaigne jest tu symbolem, a raczej sygnałem wywoławczym — i wino. „Wino Gastona Perrier szumiało wielką pieśń w głowach i sercach nielicznych, dając Francji i światu raz po raz nowe arcydzieło. Ono wzbogaciło ludzkość co roku o tęgą powieść, wspaniałą sztukę, świetny film. Jemu zawdzięczano subtelne wiersze, genialne płótna i śliczną piosenkę. W nędznych izdebkach paryskich mansard, na brudnych obrusach bistros w Quartier-Latin odkorkowywano dla dziewcząt butelki wina, których Gaston Perrier odmówił papieżowi i królowi Anglii. [...] Często przechodzący mimo żebrak płukał gardło z kurzu dróg najszlachetniejszym winem Francji..." Ci wzgardzeni przez Gastona Perrier papieże i królowie, ten żebrak — to właśnie baśń.

Czy rzeczywiście została jednak już tylko baśń-epitafium?

Jeśli chodzi o stanowisko samego autora w tej sprawie — to chyba tak. Już tylko baśń. Co prawda Mateusz Glonik rzuca Elżbietę w objęcia Szczepana. Spodziewa się, że z ich miłości narodzi się dziecko. Czy to należy czytać jako metaforę? Może tak, może nie. W każdym razie jej sens jest ciemny i niewyraźny. Może znaczy to tyle, że autor wierzy w szansę biologicznego już choćby tylko przetrwania Europejczyków (w geograficznym tego słowa znaczeniu)? Wiemy, że to też byłoby niemało. A może to nadzieja, że wspólnota bioantropologiczna Europy uratuje jej kruchą i problematyczną jedność duchową? Nie wiadomo.

Ciekawsza jest pointa *Ostatniej Europy*. Eliasz Litwak czeka w 1943 r. na lizbońskiej plaży nadejścia umówionych tu ostatnich Europejczyków. Wiemy, że nie przyjdą, bo zginą wszyscy od kul, bomb i torped. Czy jednak to czekanie Litwaka ma oznaczać nadzieję na nowy uniwersalizm, potężniejszy i szczęśliw-

szy od poprzednich, który zrealizuje wreszcie maksymalny program?

Znowu nie wiem, co mógł tu autor mieć na myśli — jeśli jednak przyjmiemy, że właśnie to: perspektywę nowego uniwersalizmu po śmierci Europy — wydaje mi się, że się pomylił. Przede wszystkim małe sprostowanie historyczne: Eliasz Litwak, sam zresztą wbrew swym manierom, Europejczyk — w 1943 roku już nie żył. Zginął 8—7 lat wcześniej niż to się przydarzyło jego pięciu znajomym z Paryża. Śmierci jego towarzyszyły szczególnie ponure i tragiczne okoliczności. A jeśli przeżył, jak chce Żuławski — to w takim razie niewiele już sobą reprezentował. Nadzieje zaś na reprezentowany przez niego uniwersalizm dostawały raz po raz w łeb od czasu paryskich spotkań bohaterów powieści, aż w rezultacie niewiele z nich, prawdę mówiąc, zostało.

Utopie jednak żyją — i żyć muszą. Niedobrze, gdy wiara w nie odbiera bystrość widzenia i słyszenia oraz niezależność krytycznego sądu. Jeśli się jednak, chcąc nie chcąc, diabli wiedzą dokąd idzie — dobrze jest wiedzieć przynajmniej, dokąd zajść by się chciało. Dlatego sądzę, że nowa fala uniwersalizmu może jeszcze raz zalać Europę — i zapewne nie tylko Europę. Europeizm odegrałby w takim razie jeszcze raz pewną rolę, może nie tak wielką, jak antyk i chrześcijaństwo w europeizmie, ale w każdym razie analogiczną.

Epitafium Żuławskiego, jedna z najambitniejszych i najciekawszych intelektualnie i artystycznie książek w naszej powojennej (licząc od 1939 r.: miniatury te powstały w latach wojny) literaturze — każe się zastanowić nad tymi, kto wie czy nienajistotniejszymi, problemami naszej europejskiej kultury. Na tym polega przede wszystkim jej rola.

Jan Józef Lipski

CHARAKTERY DZIWACZNE

Jan Stoberski: *Zwierzenia durnia*. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 201.

Niektóre gatunki literackie należące do klasycystycznego spadku wykazują cechy zadziwiające i niepokojące: odznaczając się dużą atrakcyjnością i pełnią artystycznej żywotności, podziwu godną plastycznością, która pozwala im przystosować się do przeróżnych epok i konwencji z pełnym sukcesem — nagle, w ręku jakiegoś pisarza przekornego, a może odznaczającego się brakiem szacunku dla wielkiej tradycji gatunku, zmieniają się nie do poznania. Tracą wtedy swą cyzelowaną wiekami solidarnej pracy pokoleń literackich elegancję, swój klasyczny, arystokratyczny polor; nabierają cech wulgarnych i straganowych, choć nie mogą już mieć cech tego pełnego uroku prymitywu, który oczarował niejednego znawcę jarmarcznej literatury i odpustowej plastyki. Schodzą, można by to tak określić, nie w lud, a w jakąś pretensjonalną półinteligencję, nie posiadającą kultury, cechującej elitę, ale już zmanierowaną naśladowaniem jej łatwiej rzucających się w oczy obyczajów. Jest to swoista teratologia teorii literatury, teren otwarty dla badań nauki o potworkach, o nieoczekiwanych wyskokach natury, w których atawizmy dziedziczności, cechy degeneratywne oraz indywidualne, nie wiadomo czym uwarunkowane oryginalności mieszają się w amalgamaty, będące równie poza możliwością sumarycznej, szufladkującej oceny — jak dzieła geniuszu i najbardziej odkrywczej inwencji.

Wybór takich hybrydycznych form literackich bywa przeważnie rezultatem jakiegoś braku, wynikiem niezharmonizowania i ułomności talentu, który — rządzony wciąż jeszcze nieznanymi prawami psychologii twórczości, a w takich wypadkach przeważnie jej psychopatologii — kieruje pisarza na jakiś boczny tor teoretycznych raczej możliwości, odrzucanych na ogół przez świadomych twórców, gdyż prowadzą do nazbyt już pokracznych krzyżówek. Są to zapomniane śmietniska każdej bogatszej literatury, jej panoptica, muzea pełne różnych Soterów Rozmiarów Rozbickich.

Ale wiemy, że formy degeneratywne mają w sobie zarazem coś przyciągającego dla kolekcjonerów curiosów, zbieraczy dziwactw i osobliwości. To zresztą niejednokrotnie jest też dziedziną swoistej patologii gustów i upodobań: umysły obsesyjne i maniacko skoncentrowane dokoła groteskowego ośrodka zainteresowań, talenty nad podziw operatywne, zaabsorbowane przez prymitywne problemy i same się temu prymitywizmowi poddające, często mistrzowie mistyfikacji, stylizatorstwa na prymityw. W rezultacie jest to dziedzina grząska i dwuznaczna, jak wszystko na tym śmietnisku form: autor stawiający sobie za zadanie jak najdalej posuniętą mimikrę wobec stworzonego przez siebie środowiska fikcyjnych postaci, zawsze też jakoś okaleczałych i niewyraźnych — przeważnie też nie prezentuje się tu jasno i wyraźnie. Jest on jakby cząstką tego panopticum. To jego ambicja. Zadanie szczególnie niewdzięczne, gdy jest poza tym nieznany, gdy jest debiutantem. Kto odważy się dojrzeć w jego dziele perwersję, gdy jest ona może tylko prymitywnością? Kto odważy się nazwać jego zamiar ryzykownym eksploratorstwem, gdy może okazać się przy trzeciej książce, że to tylko bierne śmieciarstwo? O ileż lepszą sytuację mają ci startujący pisarze, którzy od razu rzucają się w nurt nowatorstwa, choćby już kilkudziesięcioletniego, którzy za to ryzyko zapłacić mogą w najgorszym razie opinią kabotyna. To w literaturze dużo, nieporównanie lepiej, niż okazać się po prostu handlarzem zeszłowiecznej tandety. To grozi tym, którym się nie uda. A ci, którzy w wyścigu przejdą? Ba, wiadomo, że na śmietniku form klasycznych mogą wyrosnąć nie byle jakiej klasy pisarze, ale chyba nie ci, których przyszłe podręczniki oznaczą rangą geniuszy. A więc i ryzyko nierówne — i pierwsza wygrana mniej atrakcyjna.

Prozę Stoberskiego widzę właśnie jako przynależną do wyżej scharakteryzowanego śmietniska form klasycznych. Tylko że nie mam wątpliwości co do tego, iż mamy tu do czynienia z ryzykownym i niewdzięcznym wyborem. Przemawia za tym konsekwencja tego dwustustronicowego tomiku: od tytułu *Zwierzenia durnia*, sugerującego, że autor jak aktor na scenie zechce tu grać przestudiowaną, zadaną sobie rolę, poprzez konsekwencję formalną wszystkich po kolei opowiadań, aż po sferę jednoczącej całość koncepcji nadrzędnej, jaką jest wydobywanie z opowiadań jakiegoś zasłoniętego kotarą prymitywizmu sensu generalnego, w swych naczelnych ambicjach poznawczego, traktującego o intelektualnej, kazuistycznej strukturze mechanizmu kształtowania się podstawowych procesów przystosowywania się jednostki do otoczenia.

Jesteśmy o sto mil od *Charakterów* Nałkowskiej. Tam prostota a zarazem wyrafinowanie, arcydzieło — tu barok zagmatwanej dialektyki w skojarzeniu z prymitywnością struktury intelektualnej i emocjonalnej. Mimo to jednak postawiłbym te dwa tytuły w pewnym sensie obok siebie i to nie tylko dlatego, że książki te tkwią, każda w inny sposób, w tradycji tego samego gatunku. Mianowicie, mimo wyraźnego i bardzo znacznego dystansu artystycznego między tymi utworami — co stwarza nawet poważną trudność psychologiczną w wypadku wymieniania ich obok siebie, bez względu na sens porównania — *Zwierzenia durnia* otwierają jakby perspektywę na możliwości nie mniejszej miary osiągnięć artystycznych, dostępnych przy użyciu metody tu wymyślonej. To już byłoby niemało.

Bohaterowie „charakterów" Stoberskiego — to galeria dziwaków o prymitywnym umyśle i aktywności intelektualnej zawężonej do bardzo małego wycinka rzeczywistości. Są to typy kliniczne. Można dzięki temu obserwować na nich mechanizmy psychologiczne i intelektualne procesu przystosowywania się, jego kazuistyki — jak w probówce. Opis ma tu z reguły strukturę raportu z obserwacji, dokonywanych systematycznie w różnych okolicznościach. W studium o psychice — nie, źle, za szeroko, nie o psychice, a o psychicznym mechanizmie przystosowywania się — człowieka z wadą wymowy *(Człowiek z ołowianym językiem)* — autor zaczyna od słów: „W rozmaity sposób radził sobie Zbyszek w kłopotach, w jakie wtrącała go często jego wada wymowy". Następuje wyliczenie sposobów: „Często...", „Czasem...", „Niekiedy...". Tak mu było łatwiej, a tak trudniej. Uogólnienia klasyfikujące przeplatają się z egzemplifikacją. Ciągnie się to stronami. Czytelnik czuje się tym wreszcie znudzony — ale jest w tym coś z nastroju i techniki *Parady natrętów* Noël-Noëla: daleko *Zwierzeniom durnia* do mistrzowskiej inwencji tego świetnego filmu, ale jak

tam pedantyzm wyliczenia nasuwał myśl, że natrętem jest również sam Noël-Noël ze swymi kłopotami, tak tu rozciągnięta niepomiernie, nieselektywna relacja utożsamia jakby narratora z rzeczywistością, będącą przedmiotem narracji. Szukamy tu i tam tych samych mechanizmów i tego samego sensu.

Opowieści okupacyjne to bardziej opowiadanie fabularne, a *Poczciwiec, Grafoman, Człowiek z ołowianym językiem* itd. bliższe są klasycznej konwencji charakteru, mimo to — tom odznacza się daleko idącą jednolitością gatunkową. Dotyczy to również jego warstwy stylistycznej. Właściwą „charakterom" częstotliwość orzeczeń, prezentatywny tryb jednostkowych zdań orzekających, nieustanne trzymanie się pogranicza obiektywnej relacji i mowy pozornie zależnej — to wszystko i liczne inne cechy nadają książce dużą jednolitość.

Procesy psychiczne przystosowywania się, ich najelementarniejsze sytuacje — przedstawione są w *Zwierzeniach durnia* przede wszystkim w płaszczyźnie intelektualnej. Jest to też karykaturalne studium prymitywnej kazuistyki i dialektyki (w antycznym, a nie w schizofrenicznym tego słowa znaczeniu) motywacji. Tu Stoberski znajduje się na pograniczu mistrzostwa. Dystynkcje, które czynią jego bohaterowie, ich analizy i hipotezy psychologiczne — osiągają najwyższy urok, jaki tego rodzaju ustępy mieć mogą w przyjętej tu konwencji artystycznej: coś z pogranicza zachwytu nad absolutnym prymitywem — i podziwu dla wspaniałej precyzji wyrafinowanych komplikacji intelektualnych (gdyż, jak wiadomo, wartości te dają się przedstawić przy pomocy modelu koła, gdzie skrajności graniczą z sobą bezpośrednio).

Pamiętajmy przy tym, że na owym śmietnisku form klasycznych — dwuznaczne jest wszystko, nie tylko wartości intelektualne i artystyczne. Tyczy to również sfery moralnej. Bohaterów Stoberskiego cechuje jakiś przedziwny franciszkanizm. Poza nielicznymi wyjątkami (gdzie np., jak w *Człowieku z ołowianym językiem*, aktywność bohatera skierowana jest głównie na walkę z samym sobą) — głównym motywem ich postępków jest jakaś dziwna dobroć, bardzo pokrętna i niemądra, ale autentyczna i głęboka. To stwarza specyficzną atmosferę moralną tych opowiadań, aurę jakiejś bezinteresowności, filantropii psychicznej. Ale wartości te w skojarzeniu z dwuznacznością intelektualną bohaterów — same stają się dwuznaczne. Znowu pojawia się, na drugim planie, coś nieforemnego, denerwującego, niekształtnego.

Zygmunt Lichniak, z którym kiedyś w studenckich czasach wypiliśmy pewne — mierne zresztą — *quantum* alkoholu, miał o ile pamiętam, zawsze do mnie pretensję zasadniczą: nigdy nie mógł się dowiedzieć z moich wystąpień na seminariach śp. prof. Borowego, co uważam za dobre, a co za nieudane. „Ocena! Ocena!" — wołał. Może miał rację, choć niepokoi mnie zawsze, że pryncypialiści — a los ten podzielił chyba i Zygmunt — dochodzą czasami do przedziwnych konsekwencji. Przypadek Stoberskiego potwierdza, że więcej daje (przynajmniej niekiedy) opis niż ocena. Jaką rangę ma ten tomik opowiadań? Ba! Bardzo to niejasne. W każdym razie daje jednak sporo do myślenia.

Recenzję *Zwierzeń durnia* powinien pisać Karol Irzykowski. Jego wciągała taka gra w szachy, jaką tu proponuje Stoberski. Był wtedy odważny w ocenach. Jeśli jakiś problem, znaleziony w czyjejś powieści (a często wymyślony po prostu przez niego samego), wciągał go — wtedy Irzykowski hojnie szafował entuzjazmem. Stąd hierarchia ocen indywidualnych w jego pracach krytyczno-literackich jest przedziwna. Ale w gruncie rzeczy to Irzykowski jest chyba prawodawcą dla mojego pokolenia ludzi zajmujących się krytyką literacką, a on, nie przejmując się tym, czy oceniona przez niego książka przetrwa, czy nie przetrwa próby czasu, nie bawiąc się w profetę i lekceważąc nawet walory *sensu stricto* estetyczne (jak przystoi krytykowi postulującemu — wiedział, że tylko w sferze intelektu można czegoś z sensem się domagać) — dawał plus utworom choćby z jednym i choćby z pozornym tylko problemem intelektualnym. W konfrontacji z książką Stoberskiego zaryzykowałby, myślę, białą gałkę.

Jan Józef Lipski

TURECKIE PLANY KRÓLA WŁADYSŁAWA

Michał Rusinek: *Królestwo pychy*. Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 566.

W trzecim (i ostatnim) tomie wielkiego cyklu powieściowego o Krzysztofie Arciszewskim powraca Michał Rusinek, wraz ze swoim bohaterem, z dalekich brazylijskich podróży — do kraju. Ta trzecia część nazywa się *Królestwo pychy*, ponieważ pycha możnowładców jest zagadnieniem wypełniającym i zatruwającym życie polityczne ówczesnego Regnum Polonorum. Sam bohater, Krzysztof Arciszewski, usuwa się tutaj na dalszy plan. Niezmiernie ciekawa ta postać potomka ariańskiej rodziny o zapalczywym temperamencie, a potem utalentowanego wodza w służbie kompanii holenderskiej na drugim kontynencie, posłużyła Rusinkowi do rozświetlenia dwóch spraw pasjonujących: walki o różnowierstwo oraz polskich wędrówek po dalekich krajach, w których tak wiele zabłysło niezwykłych zdolności i ambicji. Tęsknota za ojczyzną i rozczarowania doznane wskutek holenderskiej niewdzięczności kazały Arciszewskiemu wracać; powrót ten umożliwił Władysław IV, który uchylił ciążący na Arciszewskim, z lat jeszcze młodzieńczych, wyrok banicji. „Christophore Polacco" (jak go nazywano w Brazylii) wraca jednak do kraju — nie na odpoczynek. Otrzymuje od króla misję zorganizowania polskiej artylerii i pod dość niezwykłym w dziejach naszych tytułem „pana armatnego" występować będzie w *Królestwie pychy*. Zajęty swymi pracami fachowymi, zapalony do trudnego a ciekawego zadania, stanie się cichym i wiernym, może aż nadto cierpliwym i pozbawionym skaz (dla kontrastu z burzliwą swą młodością?) popleczníkiem wielkich planów króla Władysława.

Bo też król Władysław jest, jak myślę, jednym z dwóch głównych bohaterów tej ambitnej i ciekawie pomyślanej powieści. Drugim wielkim protagonistą, drugim aktorem rozgrywającego się dramatu nie wahałbym się nazwać kanclerza Jerzego Ossolińskiego. Te dwie postaci najmocniej zapadają nam w pamięć po przeczytaniu *Królestwa pychy*, ich słowa i gesty wywierają na nas najsilniejsze wrażenie. I chyba nic nie można zrozumieć z sensu i znaczenia tej powieści, jeśli się sobie nie uświadomi faktu, że jest to w istocie rzeczy — tragedia niezrealizowanych planów Władysława IV, zrazu mądrze popieranych, a następnie nagle pokrzyżowanych przez najwybitniejszego w owej epoce polskiego męża stanu i ministra, Jerzego Ossolińskiego.

Plany Władysławowskie można potraktować jako jeden z fragmentów rozgrywającej się wtedy w Europie walki o centralizację władzy królewskiej. Trudno w nich nie dostrzec pewnej analogii do procesu, który pomyślnie przeprowadzili we Francji: Richelieu, Mazarin, Ludwik XIV. Tylko że w Polsce chodziło równocześnie o coś jeszcze innego: o uaktywnienie naszej polityki zagranicznej. Rzeczpospolita miała wtedy ogromne znaczenie w świecie; samo jej imię budziło uznanie i szacunek, nawet trwogę. Działał prestiż rozległego państwa, oręża wielokrotnie wsławionego zwycięstwami, wysokiej kultury, unii dokonanej w wiekach poprzednich bez walk i podbojów, a także atrakcyjnej organizacji politycznej, do której tęsknili na przykład bojarzy moskiewscy, ludy bałkańskie, jęczący w habsburskiej niewoli naród czeski itd. Cudzoziemcy nie zawsze się wtedy orientowali w wewnętrznych stosunkach polskich. Król był dla nich synonimem siły narodowej, choć w rzeczywistości — możność jego działania była bardzo ograniczona. Jednym z najciekawszych epizodów *Królestwa pychy* jest opis przyjęcia posłów sułtańskich, którzy z niezwykłym respektem i pokorą odnoszą się do polskiego monarchy. Rzecz ciekawa, że w Paryżu, w tym samym czasie, przedstawiciel turecki lekceważąco i ironicznie zachował się wobec Ludwika XIV, drwiąc sobie z jego olśniewającego przepychu. (Co stało się nawet jedną z pobudek napisania *Mieszczanina szlachcicem.*)

Lecz za czasów Władysława IV ustrój Polski zaczynał objawiać dla uważnego obserwatora — niepokojące pęknięcia. Ludzie stojący u steru zdawali sobie sprawę, że ta potężna maszyna — jest mechanizmem ciężkim. Polityka zagraniczna stawała się tu wyraźnym sprawdzianem; w gmatwaninie interesów i intryg potrzebne było szybkie i zręcz-

ne kierownictwo. Jak wykazały prace naszych historyków (ostatnio: Kazimierza Piwarskiego), renesans polskiej polityki zagranicznej nastąpił — przelotnie! — za czasów Sobieskiego, gdyż zwycięzca spod Wiednia, człowiek głęboko wykształcony i niezmiernie przenikliwy, umiał się posługiwać obcymi państwami i „odwracając sojusze" osiągać wytknięte sobie cele. Gorący frankofil, zakochany zarówno w Marysieńce, jak i w kulturze francuskiej, potrafił Jan III dokonać nagłego zwrotu, posłużyć się Habsburgami przeciw Burbonom, wygrywać dla swych celów oba bloki, które zabiegały o jego przyjaźń. Inaczej ułożyła się sytuacja króla Władysława. Warto wskazać na rozdziały *Królestwa pychy*, w których chytrzy wysłannicy Wenecji usiłują wciągnąć króla i kanclerza w swe plany dotyczące krucjaty antytureckiej; kompromitują oni w ten sposób Władysława IV, który — mimo wysiłków kanclerza Ossolińskiego — nie uzyskuje od nich w zamian nawet pożyczki umożliwiającej zorganizowanie tak bardzo królowi potrzebnej, własnej, niezależnej od uchwał sejmowych, armii. Tak więc — w przeciwieństwie do Sobieskiego — Władysław IV dał się użyć jako narzędzie do celu sojusznika, któremu przecież tak bardzo na nim zależało!

Wspomniałem, że drugim wielkim partnerem ukazanego przez Rusinka dramatu — jest kanclerz Ossoliński. Powieściopisarz znakomicie go scharakteryzował; trudno będzie, po zamknięciu książki, zapomnieć spojrzenia stalowych oczu, zaciętych ust, nieubłaganie uporczywej postawy. Ossoliński jest sojusznikiem króla — do pewnego momentu. Jako minister króla, ostatni chyba kanclerz, który się w jakiś sposób czuł wykonawcą nie tylko woli Sejmu i Senatu, ale i Korony, dążył Ossoliński do powiększenia ilości wojska, aktywizacji polskiej polityki wobec Turków i Tatarów, wzmocnienia autorytetu państwa. Nie lubiany przez magnatów i nie lubiący ich, skrycie im zazdroszczący i gardzący nimi zarazem, był Ossoliński mimo wszystko — solidarny z magnaterią. Realniejszy od króla polityk, wiedział dobrze, czego chce, ale cierpiał na zasadnicze i nieuleczalne rozdarcie dążeń wewnętrznych. Tak go ukazuje powieściopisarz w szeregu wymownych scen, których momentem szczytowym jest odmowa przyłożenia pieczęci kanclerskich na listach przypowiednich, pozwalających oficerom rekrutować żołnierzy. Narracyjnie znakomicie przygotowany, logicznie i psychologicznie uzasadniony, epizod ten odgrywa w książce rolę punktu zwrotnego. Decyzją swą (która wynika zarówno z przywiązania do instytucji państwowych, jak i ze zrozumienia swej własnej pozycji politycznej oraz słabości partnera) przekreśla Ossoliński plany królewskie.

Zdaje się, że w kanclerzu nie było materiału na ministra, który by chciał i mógł wprowadzać w Polsce rodzaj takiego „systemu wezyrskiego" (tj. rządów absolutnych w imieniu króla, choć bez króla), jaki we Francji według ówczesnej nomenklatury zbudowali Richelieu czy Mazarin, a potem w Niemczech — Bismarck. Król był też zbyt słaby, by móc swe plany zrealizować bez pomocy kanclerza. Trzy czwarte akcji *Królestwa pychy* to łańcuch klęsk i porażek Władysławowskich. Król przegrywa na wymownie opisanych sesjach sejmowych; przegrywa nawet w walce z małżonką, która mu odmawia finansowej pomocy. Autorytet króla staje się coraz bardziej ułudny; jego plany tureckie (przy współudziale Kozaków) przechodzą w sferę utopii. Dla uważnego czytelnika trylogii powieściowej Michała Rusinka owo zagadnienie rozkładu królewskiego autorytetu — staje się uderzające. Pamiętamy z powieści *Wiosna admirała* ciekawą scenę egzekucji Piekarskiego, ukazującą potężnie jeszcze działające momenty emocjonalnego przywiązania społeczeństwa do instytucji monarszej; w *Królestwie pychy* najbardziej zuchwałe słowa wobec króla zdobywają już powszechny aplauz. A przecież Władysław był dużo wybitniejszą i ciekawszą postacią od swego małostkowego ojca. Zdaje się, że płacił on rachunki nie tylko za siebie, ale i za poprzedników. Muszę powiedzieć, że głębokie wrażenie sprawia na mnie w powieści Rusinka opis śmierci królewskiej, podczas której euforyczne złudzenie ratunku i wyzdrowienia wiąże się z gorączkowymi wizjami tragicznie przegranego marzyciela.

Zgodnie z historią ukazuje nam autor, jak z niedojrzałych planów królewskich wynikają skutki — odwrotne zamierzeniom. Siły zorganizowanej Kozaczyzny przerywają tamy. Ostatnie rozdziały powieści są jakby polemiką z *Ogniem i mieczem*. Zgodnie z prof. Górką (i z ostrą krytyką tez Sienkiewi-

cza, jaką niegdyś przeprowadził — Bolesław Prus), autor *Królestwa pychy* ukazuje w ciemnym świetle nie tylko wodzów spod Korsunia, Pilawiec i Żółtych Wód, ale i Jeremiego Wiśniowieckiego. Bliskiego sercu Sienkiewicza dowódcę demaskuje Rusinek szczególnie w rozdziałach, opisujących oblężenie Lwowa. Trudno powiedzieć, czy obraz ten nie jest zbyt już czarny. Uznając magnaterię za siłę najbardziej anarchiczną i egoistyczną ówczesnej Polski, za źródło inercji ogromnego państwa — pozostaje Rusinek wierny swym założeniom. Jednym z najbardziej przejmujących epizodów książki jest scena zabójstwa, jakiego wojewoda Tarnowski dopuszcza się po pijanemu na swym przyjacielu, plebanie. Trudno jednak powiedzieć, by w owym rozdzielaniu świateł i cieni pisarz postępował dowolnie; wyobraźnia wspiera się tutaj na sumiennym przestudiowaniu wielu dokumentów, a szczególnie *Pamiętników* Albrychta Stanisława Radziwiłła i innych relacji. Można by tylko snuć rozważania, czy dekoncentryczne, destrukcyjne i odśrodkowe siły „królewiąt" były istotnie główną przyczyną nieudania się wielkiego planu Władysława IV, który chciał zdynamizować siły Rzeczypospolitej.

Tak mi się, w znacznym skrócie, zarysowuje problematyka ambitnej i śmiałej epopei, jaką dał czytelnikowi Michał Rusinek. Jestem przekonany, że sprawy te jak najgoręcej zainteresują czytelników. Niestety, w recenzjach, które się dotychczas ukazały (z wyjątkiem głosu Ruszczyca w *Orce*), zastosowano wobec przedsięwzięcia dużego formatu, jakim jest *Królestwo pychy* — naiwne i pedantyczne schemaciki krytyczne, zdradzające brak zmysłu i zamiłowań historycznych oraz niewrażliwość na istotne zagadnienia książki.

Wojciech Natanson

O DZIWNIE PRZEŁAMANYM ŻYCIU

Halina Świetlicka: *Leontyna Halpertowa*. Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 116.

Nazwisko Leontyny Halpertowej, z domu Żuczkowskiej, jest dziś niemal zupełnie zapomniane. Zeszła ona ze sceny w roku 1851, mając lat niespełna 48, na długie lata przed swą śmiercią. Jak wspomina w swej książce *Świat aktorski moich czasów* najlepszy znawca naszego dawnego teatru, Adam Grzymała-Siedlecki, jeszcze „na zakończenie roku 1890, z datą 6 grudnia, prenumeratorom swoim *Tygodnik Ilustrowany* sprawił niespodziankę w postaci wydatnie zwiększonego numeru, poświęconego dziejom i ówczesnemu stanowi teatrów warszawskich. Wśród setek fotografii i ilustracji na honorowym miejscu znalazła się też i plansza, na której w układzie malarskim Adama Badowskiego zebrano i laurami usiano portrety ośmiorga artystów, stanowiących chlubę i dumę teatrów dramatycznych w Polsce. By hołd przeszłości oddać, zamieszczono wśród nich i Halpertową, słynną w Teatrze Narodowym następczynię Truskolaskiej i Ledóchowskiej, jeszcze wówczas żyjącą (liczyła sobie 87 lat w 1890 roku), a oprócz niej wszystkich tych, których smarkaczami i smarkatkami nazwać mogła". W roku 1895 pisał Aleksander Niewiarowski w *Kurierze Warszawskim:* „Ledóchowska i Halpertowa — to dwie najświetniejsze w dziejach sceny naszej gwiazdy, po których zejściu nastała ciemność i próżnia bardzo długa... a do których na koniec, po wielu latach, zbliżyła się poniekąd jedna tylko żyjąca dotąd artystka — Helena Modrzejewska".

„Poniekąd", „jedna tylko"... O Modrzejewskiej wie dziś każde dziecko, Antoninę Hoffman, jej rywalkę, wspominamy z zainteresowaniem — natomiast niewiele wiemy o ich protoplastce, Leontynie Żuczkowskiej-Halpertowej. Jakże to ciekawa postać, ciekawa nie tylko dla człowieka pasjonującego się dziejami teatru polskiego! Niewiele wiemy o jej rodzicach, dzieciństwie, młodości. „Wszystko, co się w życiu artystki zdarzyło przed ukazaniem się jej na deskach sceny warszawskiej, pozostaje nieznane lub co najmniej w naj-

wyższym stopniu niejasne" — pisze autorka wydanej w PIW-ie monografii o Leontynie Halpertowej, Halina Świetlicka. Po pierwszych osiągnięciach na scenie warszawskiego Teatru Narodowego w latach 1821—1822 wycofała się Żuczkowska na kilka lat z Warszawy i prawdopodobnie przeniosła na prowincję. „Znowu biała plama widnieje w życiorysie aktorki" — notuje Świetlicka. „Wyraźny ślad jej działalności ginie na okres przeszło dwuletni. Prasa milczy." Po powrocie stała się Żuczkowska na scenie warszawskiej relizatorką ról tragicznych: Fedrą, Szimeną w *Cydzie*, Desdemoną, Joanną w *Dziewicy Orleańskiej* Schillera, Hermioną w *Andromace* Racine'a. „Młoda i w całym znaczeniu tego wyrazu piękna i urocza, obdarzona najwdzięczniejszym organem, wyniosłej postaci i składnej, twarz rysów regularnych i cudnie odbijających ze sceny, oczy duże, niebieskie, jaśniejące ogniem młodości; wszystkim obdarzyła ją natura, co stworzyć może wielką artystkę" — wspominał w 1874 roku Kazimierz Władysław Wóycicki. — Pomimo tych jednakże zalet i przymiotów, długo stała w cieniu, na uboczu, odsuwana znaczeniem i powagą Ledóchowskiej, która się jej lękała, i to słusznie, jako groźnej współzawodniczki." Podobno znaczenie przełomowe miało w karierze Żuczkowskiej — rola Hermiony w *Andromace*. „Nie taję tego — pisał recenzent *Gazety Warszawskiej* w roku 1825 — że gra panny Żuczkowskiej tak mocne i niespodziewane uczyniła na mnie wrażenie, że bardziej niżeli kiedy indziej nieoceniony talent nieśmiertelnego Rasyna zdał mi się wielki i nadzwyczajny. W czytaniu tego autora dziwi się umysł nad doskonałością jego utworów, zachwycony jest prawie nie do uwierzenia wielkością dzieł geniusza, lecz przechodzi wszelkie wyobrażenie dobre wystawienie jego sztuk... Tak jest, póki czucie władać sercem i wzruszać nas będzie, póki zdolni będziemy oceniać władze namiętnej miłości, póty role podobne, jak Fedra, Hermiona, Roxana, role, w których Rasyn wszystkie stopnie i katastrofy miłości odmalował, będą nas wzruszać, zachwycać, przerażać."

Tu — mała dygresja. Z okazji wydanego właśnie przez PIW tomu polskich przekładów Racine'a ukazała się w *Trybunie Literackiej* recenzja, której autor, Z. K-i, zaczynał od stwierdzenia, iż, o ile sobie przypomina, nikt w Polsce przed Boyem nie zabierał się do tłumaczenia wielkiego francuskiego tragediopisarza. Choć twierdzenie zostało sformułowane dość ostrożnie, autor recenzji wyciągnął z niego pewne ogólne wnioski... dotyczące zainteresowania Polaków przede wszystkim tragedią romantyczną (a nie neoklasyczną). Podejrzewam, że Z. K-i postawił tę hipotezę, jakby chcąc wybadać stopień nieznajomości rzeczy u współrecenzentów. Wolno przypuszczać, że Z. K-i doskonale zna historię polskiej sceny i polskich gustów literackich, że wiedział o wielkiej ilości przekładów, jakich się u nas doczekał Racine na długo przed Boyem, że pamiętał także o kulcie Racine'a w polskim teatrze i wśród krytyków miarodajnych u nas przed powstaniem listopadowym. Kpiarz-erudyta, chciał może swą przekorną zaczepką wywołać polemikę. I oto wydana w PIW-ie książeczka o znakomitej a zapomnianej aktorce polskiej staje się okazją do przypomnienia bitwy o Racine'a, która już przed 130 laty rozegrała się w Warszawie. Halina Świetlicka stwierdza nawet, że Leontyna Żuczkowska zreformowała sposób interpretowania Racine'a w polskim teatrze, że zerwała z deklamatorstwem i w odtwarzaniu owego dramatu miłości szukała przede wszystkim p r o s t o t y i p r a w d y. Trzeba jednak przyznać, że wszystko to nie zapewniło Racine'owi kasowego sukcesu (co w jakiś sposób potwierdzałoby zdanie o polskich skłonnościach do dramatu romantycznego, a raczej przedromantycznej „dramy"). „Nie pomagało nawet urozmaicanie przedstawień *Andromaki* czy *Fedry* występami baletowymi." Cóż dopiero mówić o subtelnej finezji interpretacji aktorskiej! Już jednak wtedy obok Racine'a, interesowało Żuczkowską nowe i świeże zjawisko: teatr Fredry. W roku 1828 gra Zofię w *Przyjaciółce*, nieco wcześniej Elwirę w *Mężu i żonie*. „Nigdy Fredro — pisał Wóycicki — lepszego urzeczywistnienia swego ideału nie miał..." Zaskakujące jest jednak twierdzenie Haliny Świetlickiej, że komedie Fredry nie miały wtedy powodzenia wśród publiczności warszawskiej. Znam szereg świadectw stwierdzających fakty przeciwne, od listów Słowackiego do Śniadeckiej aż do znanego stwierdzenia Mickiewicza z roku 1829: „Fredro, autor ulubiony wśród widzów warszawskich...". Leontyna Żuczkowska, młoda i urocza aktorka, tak ciekawie walcząca

o nową interpretację tragizmu rasynowskiego i o Fredrę — była kobietą o charakterystycznych zainteresowaniach intelektualnych. Już wtedy grano w jej przekładzie niektóre komedie Scribe'a. W roku 1830 wystąpiła tylko w przedstawieniach istniejącego wówczas w Warszawie teatru francuskiego, kierowanego przez aktora i lekarza, Desetange. Nie liche musiało być opanowanie francuszczyzny przez polską aktorkę, skoro umiała z Francuzami po francusku grać we francuskim zespole!

Wkrótce potem wyjeżdża panna Leontyna na występy do Lwowa i do Krakowa. W Warszawie odczuwają żywo jej nieobecność. „Musimy się więc zrzec widywania znacznej liczby tragedii i komedii wyższych" — pisał jeden z recenzentów. Gdy 5.VIII.1832 r. Żuczkowska ukazała się po powrocie w warszawskim Teatrze Narodowym, „publiczność potrójnie wznawianymi oklaskami powitała pannę Żuczkowską...". „Nowe życie ożywiało scenę; tak zasłużeni i znani z talentów artyści, jako i ci, którzy do niedawnego czasu w nowoobranych rolach występowali, jedną byli przejęci chęcią: uświetnienia grą staranną uroczystości powrotu pięknej i utalentowanej koleżanki swojej." Podnoszono też, że „panna Żuczkowska oprócz wielkich zdolności odznacza się jeszcze wzorową gorliwością w drobnostkach nawet".

Leontyna Halpertowa niemało przyczyniła się do wprowadzenia na scenę wielu utworów Józefa Korzeniowskiego (sławna była jej rola w *Pannie mężatce*). W roku 1845 podjęła pracę pedagogiczną; reżyser Jasiński odstąpił jej „klasę żeńską" (istniał wtedy taki podział) w Szkole Dramatycznej przy teatrach warszawskich. Otóż z powodu tej właśnie pracy i występów kilku uczenic Halpertowej niesłychanie ostro zaatakował wielką aktorkę — wpływowy wtenczas krytyk warszawski, Antoni Lesznowski. „Szkoła ograniczyła się na papugowym sposobie nauczania, to jest wydzieliwszy rolę, wskazywała, gdzie głos podnosić, gdzie śmiać się, gdzie ręką poruszyć, ile kroków zrobić na scenie, i niewolniczo raz udzielonej instrukcji trzymać się polecała. I cóż skutkiem tego widzieliśmy? Oto lalecki naśladujące zręcznie, kopiujące z przywodzącą nas do rozpaczy akuratnością głos, gest, ruch, śmiech. Na próżno wyglądaliśmy jakiegokolwiek znaku własnego życia, jakiegokolwiek objawu myśli i ducha samoistnego." Halpertowa odpowiedziała ostro i z goryczą: „Mogłażem się spodziewać, przy końcu mego zawodu, kiedy resztę życia i zdrowia zamiast odpoczynkowi poświęcam pracy, ażeby zapewnić jakąkolwiek przyszłość scenie warszawskiej; mogłażem się spodziewać, że znajdzie się człowiek tak nieprzyjazny naszej scenie, jej wzrostowi, że poczyta mi za winę moją gorliwość i piórem nieudolnym bez godności, bez znajomości rzeczy i krytycyzmu, bez zdania sprawy, piórem zaprawionym osobistą nienawiścią ku mnie, której powodów zrozumieć nie mogę i nie chcę, szarpać będzie zamiary, gorliwość, prace i tyloletnie zasługi kobiety?" Odtąd lat kilka trwać będzie wojna między znanym krytykiem a wielką aktorką; podobny antagonizm przeciwstawi 30 lat później Władysława Bogusławskiego i Bolesława Leszczyńskiego.

Być może, iż rozgoryczenie wywołane tymi atakami przyczyniło się do porzucenia przez Halpertową pracy pedagogicznej, a następnie i działalności aktorskiej. W grudniu 1850 r. składa ona podanie o zwolnienie. W roku 1851 daje serię przedstawień pożegnalnych. Niektórzy przypuszczali, że lekkie drżenie głowy artystki było jedną z przyczyn przedwczesnego tego pożegnania. W każdym razie Halpertowa zaledwie połowę swego życia spędziła na scenie, która jej tak wielki zapewniła triumf — nasuwa tu się niemal jakaś analogia do dobrowolnego wycofania się Fredry po roku 1835 z bezpośredniego kontaktu z życiem polskiej sceny.

Monografia Haliny Świetlickiej, pisana rzeczowo, dobrym językiem (co się nie zawsze zdarza teatrologom), inteligentnie i interesująco, przynosi wiele faktów nieznanych lub mało znanych, a pobudzających do rozmyślań. Po przeczytaniu tej pracy możemy sobie stworzyć pewne pojęcie o tym ciekawym i dziwnym życiu, nagle przełamanym w okresie powszechnego, głębokiego i zasłużonego uznania. „Mój mistrz i nauczyciel, Jan Królikowski — wspominał Józef Kotarbiński — wywodził swą umiejętność od Halpertowej jako reformatorki dykcji, opartej na prawdzie i naturalności w przeciwieństwie do patosu dawnej szkoły pseudoklasycznej."

Wojciech Natanson

FRYDERYK JOLIOT-CURIE

Dnia 13 sierpnia roku bieżącego o godzinie 17 minut 45 zmarł w Paryżu Fryderyk Joliot-Curie, wielki uczony francuski, mąż Ireny Curie, zięć naszej rodaczki, Marii Skłodowskiej. Ze śmiercią tą zamyka się kilkudziesięcioletnia działalność naukowa rodziny Curie. Córka Joliota, Helena, i jej mąż, wnuk wielkiego Pawła Langevin, w swej działalności naukowej obrali sobie inne dziedziny niż promieniotwórczość i atomistyka.

Rodzina Curie stała u kolebki nowej ery, ery atomowej. Oni i ich praca stali się początkiem najniezwyklejszej przygody ludzkości, która będzie miała zasadniczy wpływ na dalsze losy rodu człowieczego.

Pracom naukowym wielkiego uczonego, „atomisty francuskiego Nr 1", jak go z amerykańska nazywa prasa paryska, jego pracom, zdobyczom, nagrodom i dokonaniom oddadzą hołd uczeni całego świata. Dziennikarze i pisarze poświęcili mu już niejedną wzmiankę, zapewne posypią się jeszcze dalsze artykuły i książki. Nie chcemy ich naśladować, nie mamy zresztą po temu żadnych kompetencji.

Nas za to, humanistów, musi zainteresować postać Fryderyka Joliot-Curie jako człowieka. W tłumie uczonych, twórców czy działaczy, jaki ciśnie się na estrady i ekrany obu półkul, niewielu jest ludzi, którzy wymiarem swoim, swoją pełnią mogli się porównać ze zmarłym. Jedyny może Albert Schweiter, muzykolog i filozof, lekarz z Lambarene, w swej wszechstronnej działalności i nieskazitelnej szlachetności może być porównany z Joliotem.

Pełnia człowieczeństwa Fryderyka Joliot polegała na rzeczy bardzo prostej, a jakże rzadko trafiającej się wśród wielkich tego świata: na wzięciu pełnej odpowiedzialności za swoje człowieczeństwo.

Jakże łatwo było temu laureatowi Nobla z roku 1935, pierwszemu kierownikowi badań atomowych Francji, zamknąć się w zaciszu swoich laboratoriów i gabinetów. I tam także spełniałby swą rolę wielkiego odkrywcy, człowieka, który ziemię pchnął na nowe tory. Lecz trzeba przyznać, że obraz takiego uczonego, który, zamknięty na cztery spusty, nie bierze udziału w sprawach tego świata, może wzbudzić podziw, nie budzi sympatii.

A ktokolwiek zetknął się osobiście z czarującym humorem, wytrawną kulturą, zadziwiającą rozmową Fryderyka Joliot-Curie, nie mógł oprzeć się gwałtownej sympatii do tego człowieka. Był nadzwyczajny w każdym geście, w każdym uśmiechu.

Wydaje się, że tajemnicą tego człowieka, która pomogła mu osiągnąć wysoki autorytet moralny i ogromne wpływy na ruchy społeczne dążące do pokoju i socjalizmu, była niezwykła równowaga wewnętrzna. Joliot-Curie wiedział, czego chce i dokąd dąży. Oddanie sprawom nauki było równoznaczne z obroną nauki przed ahumanitarnym wypaczeniem jej celów i znaczenia. Uznanie praw człowieka równoznaczne było z obroną tych praw zawsze i wszędzie, czy to w ruchu oporu przeciw faszyzmowi, czy na katedrze uniwersyteckiej, czy wreszcie w roli przewodniczącego Światowej Rady Pokoju. Słusznie napisano w *Nowej Kulturze:* „W Jego życiu nie było wahań, natomiast było całkowite oddanie się wielkiej sprawie służenia ludzkości".

Służbę tę Joliot-Curie sprawował z niezachwianą wiarą i w sposób, jaki uważał za najsłuszniejszy.

W naszych czasach meskinerii i fanatyzmu, obskurantyzmu i oportunizmu, w czasach, kiedy godność ludzka tak często jest poniewierana w imię zasad i bez zasad — takie całkowite, bezkompromisowe i szlachetne postacie, jak postać Fryderyka Joliot-Curie, odradzają wiarę w wartość człowieka i mądrość człowieka. Są drogowskazami ludzkości, płonącymi harmonijnym płomieniem miłości i wiedzy.

Jarosław Iwaszkiewicz

CENA KLASYCYZMU
(Z POWODU ŚMIERCI ROGER MARTIN DU GARDA)

Roger Martin du Garda ze współczesnej literatury francuskiej wyodrębnia jego klasycyzm. Jeszcze za życia był klasykiem tej literatury. Klasykiem w znaczeniu bezwzględnym, absolutnym, a nie w tym grzecznościowym, w jakim niemal każdy pisarz, który się doczeka dzieł zebranych, jest nim w swojej literaturze. Roger Martin du Gard jest klasykiem w tym sensie, w jakim klasykiem jest Tomasz Mann. I nikt inny w XX wieku.

Klasycyzm nie jest godnością, rangą czy czymś podobnym. Po prostu kategorią. Krytyka i eseistyka literacka w tym dzisiejszym, tak odległym od możliwości klasycznych wieku nadużywa terminu *klasyczny*. Kto już dla nich nie jest klasykiem? Jednego pisarza awansuje prostota stylu, innego prostota, a więc nieskomplikowanie myśli. Klasykiem jest już Gide, klasykiem jest Giraudoux, klasykiem jest oczywiście Valéry. Kto jeszcze? Historia literatury jest jeszcze bardziej liberalna. Wystarczy obrosnąć komentarzem, tą czcią zrozumialstwa, a już jest się klasykiem. Albo jeszcze prościej, wystarczy w pewnej epoce żyć i tworzyć, a pozycja klasyka murowana. A tymczasem klasycyzm w swoim żywym, a więc jedynie sensownym znaczeniu jest kategorią dużo trudniej uchwytną i młodszą. Nie aż z siedemnastowiecznej prostoty *Księżnej de Clèves* się wywodzi. Klasycyzm przyszedł na świat z *Wojną i pokojem* dopiero.

Skrupulatność kazałaby może, kazałaby na pewno szukać genealogii klasycyzmu wcześniej. Skrupulatność by ją znalazła. Ona zawsze znajdzie, od tego jest. Znaleziska skrupulatności mają oczywiście znaczenie, ale nie takie, jakie ona im przypisuje. Dowodzą tylko jej samej, tzn. skrupulatności, ale niewiele więcej. Przed Tołstojem był Goethe oczywiście. Klasycyzm Goethego jest olbrzymią szkołą i rozległym muzeum filozoficznych konceptów, estetycznych norm i moralnych postaw, będących wynikiem uspokojenia, zawieszenia walki ze światem, tego zwycięstwa nad sobą, które jest niezbędne klasycyzmowi. Jeśli jednak idziemy po klasycyzm do Tołstoja, to dlatego, że Tołstojowskie koncepty, normy i postawy w swojej nadrzędności, w swoim uspokojeniu nie są jeszcze absolutne, nie są jeszcze oderwane od walki i sporu, z których wynikły. I co najważniejsze, te walki i spory są wciąż żywe, aktualne, toczone jeszcze. Tołstoj jest pierwszym pisarzem nowożytnym, który dokonał podboju całego świata. Przed nim podbijano poszczególne strony, odnoszono zwycięstwa nad poszczególnymi kompleksami. Podboje Stendhala, Balzaka czy Flauberta, mimo rozmachu ich dzieła, mają charakter cząstkowy, drobiazgowy, a więc drobnostkowy w porównaniu z podbojem Tołstoja. On pierwszy ogarnął cały świat z wyżyny olbrzymiego zrozumienia. Pierwszy i w sposób nieprześcigniony.

Jakżeby wyglądała literatura świata bez tych dwóch Rosjan — Tołstoja i Dostojewskiego? Ich cień padł daleko na zachód (europejski) i wschód (amerykański). Oni nie tylko stworzyli olbrzymię dzieła, ale wytyczyli szlaki, stworzyli nowe strony ducha, nowe dziedziny literatury. Z przeciwstawienia Tołstoj — Dostojewski wywodzi się dopiero genealogia obu skrzydeł — jasnego i czarnego — współczesnej (z okładem) literatury światowej.

Czarne skrzydło otwiera drogę do piekieł. Po Dostojewskim iluż Orfeuszów schodziło w czeluście metafizyki. Do dzisiejszego dnia eksploracja piekieł zapisuje najżarliwsze karty literatury. Fascynacja odkryć, objawień rozpaczy zasłania wszystko inne i literatura bywa utożsamiana w ogóle ze zstąpieniem do piekieł. Od Dostojewskiego, tego Rimbauda i Lautréamonta jednocześnie, czymże jest literatura, jeśli nie zaangażowaniem w metafizykę? Już samo to zaangażowanie daje jej rangę.

Jakże wspaniałą szansę mają mistyfikacje i mistyfikatorzy. Roi się od fałszywych proroków i fałszywych objawień. Powstają nawet szkoły rozpaczy. Ekipy zawodowych piekłołazów spuszczają się w człowiecze czeluście, by uprawiać glebę pod- i przedświadomości. I stała się rzecz niebywała: literatura czarna, wyklęta — jest dzisiaj tak samo uczciwym zawodem, jak ta od krzepienia serca i zabawiania gości. Ale czyż za to można winić autentyczne piekła i autentycznych Orfeuszów? Jak ich olbrzymi antenat, Dostojewski, oni — Kafka, Joyce, Faulkner — schodzą do piekieł, bo tam widzą spełnienie swojego losu, bo tam w podziemiach człowieczeństwa zmagają się z tym najbardziej bezwzględnym ze światów, z sobą. I już samym wyborem terenu eksploracji wyklęli się ze świata i zamknęli sobie drogę do żywych, do klasycyzmu. Nikt z nich klasykiem nie będzie. Ani Dostojewski, ani Kafka, ani Joyce, ani Faulkner.

Jasne skrzydło literatury? Czy takie istnieje? Jak Dostojewski — czarne, tak Tołstoj rozpalił jasne słońce literatury. Po Dostojewskim została fascynacja, po Tołstoju olśnienie. Cała Europa stanęła nad otwartym piekłem psychopatologii Dostojewskiego, cała Europa zaraziła się absurdalnością istnienia. Z olśnienia Tołstojem powstało trwające do dziś, tak ogromne, że niemożliwe do nasycenia, pragnienie zgody ze światem, uciszenia ludzkiego niepokoju. Zstępujący do piekieł Orfeusze swoją udręką, rozpaczą, ofiarnością, z jaką znoszą cierpienie, budzą potrzebę rozpaczy i cierpień, a więc potrzebę rzeczy możliwych. Pragnienie związane z Tołstojem jest natomiast niemożliwe do zaspokojenia. Klasycyzm jest ideałem absolutnym, dlatego tak olbrzymim. Wokół klasyków nie tworzą się mody, nie powstają szkoły. Od klasyków niczego nauczyć się nie można. „Szkoła klasyków" nie istnieje, jest czystym wymysłem Jana Kotta. Klasyk to najrzadsze, niemożliwe do przewidzenia i nie podległe naśladownictwu zjawisko literatury. Klasykiem jest się albo się nie jest, zrządzeniem losu. A czymże jest los klasyka?

Już w samym poszukiwaniu źródła, tajemnicy klasycyzmu natrafiamy na przeszkody nie do pokonania. Jasność, proporcjonalność człowieka i świata, ułożenie człowieczeństwa w wymiarach świata, harmonia, uspokojenie... — to wiemy, ale niewiele więcej. Już w samej niemożliwości określenia klasycyzmu zawiera się jego specyfika. Jasność oślepia. Nie tylko nie wymaga, ale nie znosi interpretacji, komentarza, uzupełnienia filozoficznego. Nawet ciemności klasyka są jasne i nie wymagają, nie cierpią rozświetlania. Do czego doprowadzi komentarz rozwidniający Naphtę? Do prześwietlenia sprzeczności? A przecież Naphta ma być sprzecznością i niczym więcej. Wystarczy porównać literaturę, która obrosła zstępowanie do piekieł Dostojewskiego, Kafki, Faulknera, z literaturą powstałą wokół Tołstoja czy Manna. Jakżeż anemiczna jest ta druga i jakżeż w gruncie rzeczy w ogóle zbyteczna. Bo klasyk jest tak dopowiedziany do końca przez samego siebie, że każdy komentarz już dzieło jego przekracza i w tym najlepszym przypadku — kiedy ani nie streszcza, ani nie wypacza — obrysowuje tylko granice stworzonego przez to dzieło świata. Bo jedno tylko jest pewne w klasycyzmie: posiada granice. Tylko piekła są bezgraniczne. Dzieło Kafki czy Joyce'a jest nie do wyczerpania w swoich konsekwencjach, sięga poza materialne i formalne granice literatury, staje się impulsem myślenia, działania, odbija się na wszystkich szczeblach i piętrach epoki. A klasycyzm jest właśnie ograniczeniem, zatrzymaniem się w określonej porze, w określonym miejscu, w określonej myśli. Klasycyzmy są rozmaite. Mann i Roger Martin du Gard, *Czarodziejska góra* i *Rodzina Thibault*, niemal dosłownie ta sama epoka, ta sama chwila dziejów, a jakżeż inna! Ale klasycyzmy jedno mają wspólne: zawsze zatrzymują się przed przepaścią.

Roger Martin du Gard powiedział w *Rodzinie Thibault* więcej niż którykolwiek ze współczesnych mu pisarzy francuskich. W nim rzeczywistość Francji i rzeczywistość Europy widziane z Francji na przełomie wieku mają

obiektywnego świadka. Ten obiektywizm wymaga podkreślenia. Jest on bowiem metodą i techniką pisarską Martin du Garda, jego drogą do klasycyzmu.

Roger Martin du Gard od samych początków swojej twórczości jest w opozycji wobec całej ówczesnej młodej Francji. Ta opozycyjność go uformowała. Wbrew swemu pokoleniu był tołstojowcem, wbrew swemu pokoleniu siebie nie egzaltować, nie wyrażać chce, ale dławić, hamować. To przecież była epoka dyktatury *Les nourritures terrestres*. Pierwsza osoba liryczna była bohaterem młodej literatury. Nie Tołstoj, ale właśnie Dostojewski był bożyszczem pokolenia, które nie mając własnych piekieł przedpiekle *Zbrodni i kary* adaptuje na scenerię immoralizmu. Roger Martin du Gard już pierwszymi swoimi próbami odgradza się od piekieł i metafizyki, odgradza się także od siebie i wytycza kierunek swojej metody i techniki literackiej: maksymalna bezosobowość. Świadczyć.

Jan Barois (trzecia po *Devenir* — 1908, i opowiadaniu *L'une de nous* — 1909, publikacja), powieść (1913), która wprowadziła Martin du Garda do literatury i — co może w ówczesnej sytuacji literackiej Francji było jeszcze ważniejsze — do koterii *La Nouvelle Revue Française*, jest skrajnym, formalnie i ideowo, przykładem tej postawy. Roger Martin du Gard w trosce o obiektywizm napisał swoją powieść w formie sztuki teatralnej. Sobie, autorowi, pozwolił na bardzo niewiele, jedynie na opis scenograficzny. Wszystko mówią same osoby powieści. Ten skrajny rygor formalny wynikał z nieufności do siebie. W *Rodzinie Thibault* Roger Martin du Gard będzie już pewien swojej lojalności wobec świata i innych ludzi i pozwoli sobie na tradycyjną formę powieści opisowej. Ale ta asceza *Jana Barois* będzie przeświecała jak stalowa konstrukcja przez całe dzieło pisarskie Martin du Garda, będzie *memento* jego klasycyzmu.

Jan Barois ukazuje już także granice przyszłego klasycyzmu *Rodziny Thibault*, owe granice, które Martin du Gard ustawia jak bariery w poprzek nieskończoności zwątpienia i nieskończoności nadziei.

Bo właśnie tutaj, w tej swojej pierwszej dojrzałej powieści, Roger Martin du Gard odcina sobie i niebo, i piekło jednocześnie. Chociaż dramat Jana Barois tkwi korzeniami w wieku minionym, jego konsekwencje są dzisiejsze, nie minął ich czas teraźniejszy.

Jan Barois traci wiarę w Boga, religijne egzaltacje dzieciństwa ustępują dziewiętnastowiecznym egzaltacjom scientyzmu. Wykształcenie biologiczne uwrażliwia go na prawdę natury i ona w konflikcie zwycięża. Jan Barois staje się walczącym ateuszem, organizuje zjazdy, wydaje miesięcznik *Le Semeur* skupiający intelektualną elitę radykalizmu. Sprawa Dreyfusa staje się ogniskiem, frontem walki o przyszłość bez obciążeń i bez Boga. Przychodzi starość. W obliczu zbliżającej się śmierci budzi się lęk przed nieznanym i Barois powraca do przeszłości, znowu wierzy. Słabość ciała zdecydowała o sile ducha. Koło się zamknęło. Kto zwycięży? Duch czy ciało? Duch poddał się ciału.

Roger Martin du Gard po raz pierwszy w *Janie Barois* ustawił granice swojego świata. Piekło? Nie istnieje, tak samo, jak nie istnieje niebo. Argumenty biologii, fizyki i logiki są bezwzględne i dostatecznie przekonywające. Tych argumentów Jan Barois na łożu śmierci nie obalił. Jan Barois wraca do wiary z pobudek humanistycznych, z lojalności wobec jedynej kategorii człowieczeństwa niewątpliwej — ciała. By mu oszczędzić niepotrzebnego cierpienia, wyrzeka się nawet tego, czym był. Jest patetyczny. Kiedy na jego śmierć patrzymy poprzez śmierci Oskara i Antoniego Thibaultów, rozumiemy dopiero to wyrzeczenie, najtrudniejsze: ciału poddać ducha.

Te granice ustawione w *Janie Barois* trwają niewzruszenie w świecie Thibaultów. Są jeszcze pogrubione, posmarowane jaskrawą, czerwoną farbą przez historię.

Lato 1914 to konflikt *Jana Barois* zwielokrotniony, podniesiony do kategorii społeczeństw, narodów, całej Europy. Jacques Thibault to Barois, który wiedząc, co go czeka, nie chciał dożyć starości, nie chciał poddać się ciału: spalił się w ogniu ideologii. Ofiara zbyteczna jak każda ofiara z życia ludzkiego. Czym, jak nie drwiną, jest strzał żandarma dobijającego Jacquesa na drogach odwrotu przed ofensywą niemiecką? Roger Martin du Gard nie poskąpił ani jednego cienia, ani jednego tonu, ani jednej aluzji do klęski świata. Bo klęska jest przeznaczeniem świata, jak śmierć jest przeznaczeniem człowieka. I nie ma nic więcej. Żyje się odtąd-dotąd. Nie ma ducha, zbawienia, nie

ma ideologii wyzwalającej. Doświadczenie genewskie Jacques'a Thibaulta mówi nam o zamurowaniu perspektyw dzisiejszych już w 1914 roku. Postać Meynestrela rzuca cień nihilizmu, który sięga aż do nas. Czyż może być większy pesymizm, głębsze zwątpienie? Bezwyjściowość historyczna Thibaultów nie przytłacza jednak, nie topi świata w beznadziejności. Klasycyzm to znakomity ratunek. Granice klasycyzmu to znakomite szańce obronne. Cóż znaczy bezwyjściowość, jeśli ograniczona, jeśli nie sięga nieskończoności? Ona nie jest piekłem. Nie ma nieba, ale nie ma i piekła. Harmonia klasycyzmu.

Dzieło Roger Martin du Garda jest cudownie konsekwentne. Świat się mieści bez reszty w swoich granicach fizycznych, a człowiek w swoich granicach cielesnych. Szczęście i cierpienie, miłość i rozpacz rodzą i wyczerpują się w tych granicach, nie trwają nigdy dłużej, niż to jest możliwe, nie radują i nie nękają nieskończenie. Wszystko ma swój koniec, swój kres, cóż za ulga!

Miłości. Jenny i Jacques, Rachel i Antoine. Ani jedna, ani druga nie przeobraża się w paroksyzm, szaleństwo, niemożliwość serca, ani jedna, ani druga nie obrasta metafizyką. Miłość Jacques'a byłaby może zdolna do tego. W burzliwym lipcu 1914 roku, w przeddzień mobilizacji i zabójstwa Jaurèsa zdaje się, że nie jest możliwością, by się dopełniła normalnie, zwyczajnie, zdaje się, że będzie musiała przeobrazić się w wieczne niezaspokojenie, tęsknotę, w to wszystko, co się nie mieści w świecie fizycznym. Ale granice Roger Martin du Garda są bezwzględne: musi się spełnić. Odjazd Jasques'a ratuje naturalne wymiary tej miłości, która się przeobraża w macierzyństwo Jenny. I tyle. Miłość Antoniego do Racheli to najpełniejsza, bez jakichkolwiek przerostów sensualistycznych i spirytualistycznych, miłość literatury francuskiej. Już rodzi się ze świadomością swojej śmierci. I ta immanentna nietrwałość, kruchość, ograniczoność przyspiesza i potęguje doznanie szczęścia.

Rozpacze i cierpienia mają źródło fizyczne i zawsze fizyczny kres. Choroba i śmierć Ojca. Czy istnieje bardziej dojmująca karta literatury francuskiej? Roger Martin du Gard cierpieniu fizycznemu dał wymiary tak olbrzymie, jakich nie potrafiła mu dać metafizyka. Doprowadził je do takiej granicy, gdzie śmierć jest już tylko wybawieniem.

Roger Martin du Gard oczyszcza wizję świata i perspektywy człowieka z reliktów mitycznych i z przyzwyczajeń wyobraźni. Jest w tym konsekwentny aż do ascezy, a dzieło jego jest ascetycznie jednolite. Cóż dziwnego, że w swojej epoce jest pisarzem całkowicie osamotnionym. Jego rówieśnicy lub prawie rówieśnicy, Gide, Schlumberger, Valéry, byli wdziękiem i modą epoki, firmowali gusty, zakładali szkoły, byli arbitrami i autorytetami. Roger Martin du Gard miał tylko jedną autentyczną przyjaźń — Jacques'a Copeau. Ta przyjaźń związała go w latach dwudziestych z teatrem (pozostawił trzy sztuki teatralne). Był więc samotnikiem. Cóż dziwnego, że nie rozumieli go Gide i Valéry? Mieli własne, stylistyczne koncepcje klasycyzmu, więc klasycyzm Roger Martin du Garda do nich nie sięgał. Ale autora *Rodziny Thibaultów* nie rozumiało także pokolenie następne. Nowe pokolenie literatury francuskiej, pokolenie literatury zaangażowanej, Malraux czy Camus nie mają z Roger Martin du Gardem wiele wspólnego. Jego odtąd-dotąd, jego sceptycyzm ideologiczny jednają mu czytelników, ale nie wyznawców i nie naśladowców. Roger Martin du Gard pozostał więc samotnikiem. Pod każdym względem. Nie założył ani szkoły, ani kaplicy, komunikuje bezpośrednio ze światem. Jak Tomasz Mann.

Nie ma szkoły klasyków. Klasyk nie ma antenatów, genealogii, wzorów. Rodzi się i umiera samotnie. Za każdym razem klasycyzm polega na czymś innym. Dlaczegoż nie miałby polegać na tym po prostu, co daje mu skalę ludzką, na samym ograniczeniu? Ograniczenie jest prawdą, którą głosi dzieło Roger Martin du Garda. Tym jest bowiem determinizm świata i losu ludzkiego w *Thibaultach*.

Roger Martin du Gard wyrzekł się parspektyw nieskończoności, ogrodził świat barierami nieprzekraczalnymi, człowiekowi zabronił sięgać dalej niż śmierć. Gdy dalej nie ma nic, śmierć jest wyzwoleniem, największą wolnością. Z westchnieniem ulgi przyjmujemy śmierć Ojca, w pełni godzimy się na decyzję Antoniego. Buntujemy się jedynie przeciwko śmierci Jacques'a. Jest bezsensowna, bo chce być czymś więcej, niż być może, chce przeżyć się, co jest nienaturalne, co jest niemożliwe. Roger Martin du Gard tę nienaturalność potępił. Człowiek ma swoje grani-

ce i musi się w nich zmieścić. A więc klasycyzm — i to byłaby nauka Roger Martin du Garda — polega na ograniczeniu. Jest to cena wysoka. Nie wygórowana jednak. Odcina od nieba, ale zabezpiecza przed piekłem. A piekło jest najstraszniejsze.

Zbigniew Bieńkowski

NOTATNIK MAURIACA

Wyszła we Francji wielka książka. Dziwna książka. Książka, która będzie pewnie nieczytelna za lat dziesięć, dwadzieścia. Książka, która, mimo że nieczytelna, pozostanie największym osiągnięciem w półwiecznym dorobku sławnego pisarza, członka Akademii Francuskiej, laureata nagrody Nobla, autora kilkunastu powieści, wielu dramatów, licznych szkiców, esejów, żywotów świętych i tomów poezji. Myślę o książce François Mauriaca *Bloc-Notes*. Jest to jego raptularz na przestrzeni ostatnich sześciu lat, zbiór notatek, szkiców, zapisków, drukowanych najpierw (krótko) z miesiąca na miesiąc w *La Table Ronde*, później, począwszy od 1953 roku, już z tygodnia na tydzień w *L'Express*.

W Polsce nie ma raczej zwyczaju (Gombrowicz właśnie dlatego wyjątkiem, że nie w Polsce), aby pisarz drukował swój dziennik za życia. Czasem udostępni jakiemuś pismu mniejszy czy większy fragment, ale na ogół złośliwości swoje, żale i cenne, nie wypowiedziane gdzie indziej maksymy chowa skrzętnie dla potomności. A ponieważ potomność w Polsce bywa na ogół mało ciekawa, często zdarza się, że o tych pisanych z myślą o niej dziennikach zapomina. We Francji inaczej. Tam życie prywatne wziętych pisarzy jest do tego stopnia zinstytucjonalizowane, że jeszcze za życia korespondencja, dzienniki, raptularze, wszystko to idzie do druku, zanim atrament na nich obeschnie. W tej chwili chyba z dziesięciu pisarzy żyjących ogłasza, z roku na rok i woluminen po woluminie, swoje raptularze. Mauriac nie jest więc tu jakimś wyjątkiem. I rzeczywiście książkę jego czyta się zrazu jak taki normalny dziennik pisarza. Trochę wrażeń z lektury, trochę rozważań o nieśmiertelności duszy, jakaś zanotowana impresja muzyczna, wspomnienie z lat młodości, szpila wsadzona koledze po piórze, znów jakieś nabożne rozważania i złośliwa relacja ze śniadania u pani Z. Ale bardzo szybko ton się zmienia, dochodzą do głosu sprawy dla przyszłości Francji zasadnicze, sprawy polityki, sprawy moralności. (Ciekawe, u nich to też kojarzą.) Jest rok 1953. Rozpada się powoli francuskie imperium kolonialne i nie można powiedzieć, żeby robiło to *en beauté*. Indochiny, Maroko, Tunis, Alger. Sprawa Afryki Północnej staje na porządku dziennym. Sprawa, piszę, i z dużej litery, bo jest to afera, wobec której sławna ongiś Sprawa Dreyfusa wydaje się drobnym jakimś nieporozumieniem towarzyskim. Przebieg jej — do dziś nie zakończony — znamy niestety aż nadto dobrze z prasy codziennej. Ale chyba nie zawsze się orientujemy, do jakiego stopnia jest to dla Francji — gorzej niż klęską polityczną — klęską moralną. Bo oto w świadomości Francuzów rozwiał się z dnia na dzień piękny, pieczołowicie kultywowany i wygodny — jak wszystkie mity — mit o Francji — ojczyźnie wolności. Okazała się ta niewinna Francja wcale nie gorszą od innych ciemiężycielką wolności, tyle że głupszą. W wielkiej batalii politycznej, która rozgorzała wokół Sprawy Afryki Północnej, batalii, której łuna ciągle jeszcze stoi nad Francją, wykruszyły się wielkie autorytety polityczne i moralne tego kraju. Żadne, najwspanialsze nawet dysertacje Camusa o moralności nie zmażą nigdy jego milczenia w ciągu tych długich pięciu lat, a Malraux, choćby nawet został i papieżem, a nie tylko ministrem, na zawsze już będzie niegodny książek, które napisał. Zresztą może i nie na zawsze, historia literatury, jak historia *tout court*, jest przecież i musi być amoralna. Ale w oczach swoich współczesnych.

Spośród wielkich pisarzy dzisiejszej Francji jedynie Sartre i Mauriac zdobyli się na twardą, niewdzięczną odwa-

gę mówienia codziennie prawdy swoim ziomkom. Że Sartre, to w końcu zrozumiałe. Wielki, wolny mózg lewicy, pisarz i filozof uważający się za marksistę i nie należący do żadnej partii politycznej, nie mógł milczeć, inaczej zadałby kłam samemu sobie. Ale Mauriac? Stary, znużony już życiem pisarz, *grand bourgeois* z pochodzenia, wierzący głęboko katolik, człowiek syt chwały i zaszczytów, jak mówią „wyżyny" — co go skłoniło do podjęcia tak nieostrożnej — bo przecież z góry skazanej na niepowodzenie — walki przeciwko własnej klasie, własnej partii (chadecji), własnym swoim czytelnikom?

Wiara, wiara tak głęboka, naiwna i ufna, jak wiara pierwszych chrześcijan. Wiara, która, w sensie dosłownym, góry porusza. Nie ta, która żeruje na obskurantyzmie mas, ale ta, która za najwyższy imperatyw moralny uważa Prawdę i Sprawiedliwość. Taka wiara może się tylko zrodzić wśród powszechnej obojętności, ostracyzmu, wyśmiewania i prześladowań. Tylko taka jest coś warta. Pamiętam, pewien znajomy ksiądz powiedział mi kiedyś, jeszcze w czterdziestym ósmym roku: „Modlę się codziennie o prześladowanie kościoła katolickiego w Polsce". Nie wymodlił, niestety, ale ja go rozumiem. Bo Mauriac pisze w pewnym miejscu dosłownie, że Combes, ten jezuita *défroqué*, najzagorzalszy wróg kościoła, sprawca wygnania z Francji wszystkich zakonów i definitywnego rozdziału kościoła od państwa, że Combes był błogosławieństwem kościoła francuskiego.

Człowiek tak wierzący, jak Mauriac, niezależnie od swego pochodzenia społecznego, niezależnie od interesów swojej klasy, musi być człowiekiem szczerze postępowym, człowiekiem lewicy, tak jak był nim w swoim czasie Mounier.

Bloc-Notes jest kroniką toczonej przez niego walki. Stąd wynikają blaski i nędze tej książki. Nędze, niestety — to ta jej nieczytelność za lat dwadzieścia, kiedy otchłań niepamięci pochłonie zgraję różnych Molletów, Gaillardów, Pflimlinów, Teitgenów, Bidaultów, tych wszystkich grabarzy. Ta książka tak jest związana z tragiczną swą epoką, że niesposób będzie kiedyś czytać jej w innym kontekście, bez klucza. Ale jakie to nieważne w porównaniu do jej blasków. W niej ten wybitny, ale przecież nie genialny, pisarz, autor niezbyt odkrywczych powieści i marnawych sztuk, wyrósł nagle ponad miarę, został jakby poszerzony o perspektywę historii, stał się wyrazicielem i obrońcą najszczytniejszych wartości republikańskiej Francji, w najgłębszej symbiozie tego, co w chrześcijaństwie jest (czy raczej było) drożdżami postępu, a w republikanizmie walką o sprawiedliwość społeczną i wolność.

Nie należałoby z tego wszystkiego sądzić, że książka Mauriaca jest lekturą przyjemną dla komunisty. Dostaje się i nam w niej, oj, dostaje. Słusznie i niesłusznie. Słusznie, gdy Mauriac doszukuje się innych, poza zdradą SFIO, przyczyn tragicznej sytuacji francuskiej klasy robotniczej, obezwładnionej w tej walce o przyszłość Francji, o swoją przyszłość. Niesłusznie, gdy nie chce dostrzec, że, wbrew wszystkiemu i wszystkim, to my, komuniści jesteśmy i będziemy kontynuatorami tej walki, że te sprawy, które kazały sędziwemu pisarzowi porzucić swą spokojną starość i zejść na arenę, żyją dziś najgłębiej właśnie w nas, że my doprowadzimy do zwycięstwa batalię, którą on — na razie — przegrał. Ale trudno żądać od starego, zdruzgotanego swą klęską pisarza, stojącego nad ruiną tego wszystkiego, co było jego światem, aby umiał bezbłędnie dojrzeć w nadchodzącym, niezrozumiałym dlań świecie, co jest ziarnem, a co plewą, co obrodzi, a co zgnije. W końcu.

Nie o to jednak przecież chodzi i nie zmienia to faktu, że *Bloc-Notes* Mauriaca jest wielką książką. Cóż z tego, skoro za lat parenaście nikt już tego nie będzie w stanie przeczytać? — zapyta ktoś. Może i zapyta, ale nie w Polsce. My tutaj dobrze wiemy, że są chwile w życiu narodu, gdy pisarz, właśnie dlatego, że jest pisarzem, po to właśnie, aby spełnić swą pisarską powinność, musi przestać cyzelować słowa, tworzyć postaci, układać fabuły i wiązać intrygi, musi odejść od literatury. Bo pisarz to coś więcej właśnie niż literat.

Bloc-Notes Mauriaca na zawsze zostanie, nie w historii literatury może, ale w historii, w życiu tych, którzy historię tworzą — ludzi.

Jerzy Lisowski

CONRADOWSKI NUMER „KWARTALNIKA NEOFILOLOGICZNEGO"

Kwartalnik Neofilologiczny, bardzo ekskluzywny (540 egzemplarzy nakładu) organ Komitetu Neofilologicznego PAN, upamiętnił setną rocznicę urodzin Conrada i związane z nią uroczystości wydaniem podwójnego numeru, w dwóch trzecich poświęconego autorowi *Nostroma*.

Zawarte w zeszycie (1958, 1 — 2) teksty podzielić można na trzy grupy: pięć artykułów w języku angielskim, dotyczących poszczególnych zagadnień conradystycznych (Richard Curle — *My Impressions of the Conrad Centenary Celebrations;* Muriel C. Bradbrook — *Conrad and the Tragic Imagination;* Jocelyn Baines — *Joseph Conrad, Raw Material into Art;* Ivo Vidan — *Some Aspects of Structure in the Works of Conrad;* Witold Chwalewik — *Conrad and the Literary Tradition*), dwa obszerniejsze szkice syntetyczne (Stanisław Helsztyński — *Joseph Conrad, człowiek i twórca;* Wit Tarnawski — *O artystycznej osobowości i formie Conrada*) i wreszcie trzy noty sprawozdawcze (I. Vidan — *Conrad in Yugoslavia;* R. Jabłkowska — *Z angielskich i amerykańskich studiów nad Conradem* i *Polska conradystyka za granicą*).

Krótkie *Wrażenia z uroczystości conradowskich* przyjaciela ostatnich lat Conrada, Richarda Curle'a, czytałem, jako jeden z organizatorów imprezy, z uczuciem przyjemnego zażenowania. Stary pan — *nota bene* fenomenalny dystrakt — zapomniał o niemiłych przygodach, jakie zgotowała mu administracja prześwietnego „Bristolu", i obdarzył nas ogromnym stosem serdecznych komplementów. Sympatia dla Polski i Polaków, zrozumienie dla związku Conrada z naszym krajem przebijają zresztą we wszystkich trzech pracach pisarzy angielskich. Szkic wybitnego historyka literatury, pani Bradbrook, *Conrad i tragiczna wyobraźnia*, znają nasi czytelnicy z przekładu ogłoszonego w *Przeglądzie Kulturalnym*. Jeśli się pamięta choćby część oszałamiających nonsensów na temat „słowiańskiej duszy" i nieeuropejskiego „egzotyzmu", w jakie obfitowała krytyka angielska już za życia powieściopisarza, z przyjemnością czyta się słowa przedstawiciela młodej conradystyki brytyjskiej, znakomitego biografa, Jocelyna Bainesa: „Wydaje mi się naturalne, że ten wielki powieściopisarz europejski urodził się właśnie Polakiem, bo w nowszej historii żaden naród nie walczył o ideały europejskie bardziej niż Polska".

Baines przedstawił w swoim sprawozdawczym artykule — opartym częściowo na dawniejszych studiach Amerykanina Johna D. Gordana — pogląd na rolę i znaczenie w twórczości Conrada czterech źródeł inspiracyjnych i materiałowych. Są to: wspomnienia własnych przeżyć, opowieści innych osób, lektura książek i wreszcie doświadczenia i predyspozycje psychologiczne. Oczywiście motywy z owych źródeł płynące mieszały się w poszczególnych utworach. Typ wspomnieniowy dominuje na przykład w *Młodości* i *Smudze cienia*, *W oczach Zachodu* oparte jest na faktach zasłyszanych, *Nostromo* głównie na lekturach. Najciekawsze i najbardziej oryginalne są końcowe uwagi Bainesa na temat Conradowskiej obsesji samotności (tak uderzającej zwłaszcza w *Szaleństwie Almayera* i *Lordzie Jimie*), związanej niewątpliwie z osobistymi doświadczeniami autora.

Młodego anglistę jugosłowiańskiego, Ivo Vidana, znają czytelnicy *Twórczości* ze szkicu o *Zwycięstwie*, ogłoszonego w numerze lipcowym. *Kwartalnik* zamieścił autoreferat Vidana, streszczający wyniki badań nad strukturą utworów Conrada. Ponowne streszczanie wywodów autora, bardzo skondensowanych i bogatych w ciekawe spostrzeżenia, byłoby już karykaturą. Powiedzmy więc tylko, że Vidan zajmuje się głównie problemem „punktu widzenia" w utworach Conrada, a więc sprawami podstawionego narratora i przestawień czasowych. Nie ogranicza się do suchych analiz, ale proponuje i uzasadnia własne oceny — wypowiada między innymi szereg słusznych uwag krytycznych na temat *W oczach Zachodu*. Jego instruktywny i precyzyjny artykuł powinien stać się obowiązkową lekturą wszystkich rzetelnych conradystów.

Witold Chwalewik zajął się zagadnieniem nigdy dotychczas systematycznie nie opracowanym: literackimi tradycja-

mi, z jakich Conrad korzystał. „Przeważającą w krytyce modą jest raczej uważać Conrada za wspaniałą indywidualność, więcej zawdzięczającą morzu niż literaturze." Chwalewik słusznie przeciwstawia się tej błędnej tendencji i wyróżnia cztery wielkie prądy literackie, z których dorobku Conrad czerpał: realizm osiemnastowieczny typu fieldingowskiego, poezja wczesnego romantyzmu — głównie polska oczywiście, naturalizm francuski i estetyzm *fin-de-siècle*'u. Brzmi to dosyć ogólnikowo, jeśli nie banalnie (skoro wyliczono w porządku chronologicznym kolejno panujące w literaturze europejskiej prądy), ale Chwalewik zastrzegł się, że jego uwagi są zaledwie krótkim i wstępnym naszkicowaniem problemu, a dokonawszy ważnej czynności ustawienia kwestii dorzucił sporo ciekawych spostrzeżeń szczegółowych, nacechowanych zarówno dużą erudycją, jak i wnikliwością. Kontynuując jego postępowanie można będzie stopniowo zacieśniać krąg porównawczy, analizując wpływy tych tradycji, które na Conrada oddziałały chyba najsilniej: romantyzmu polskiego, Flauberta — i współczesnego już Jamesa.

Syntetyczne szkice prof. Helsztyńskiego i Wita Tarnawskiego (zasłużonego prezesa Klubu Miłośników Conrada w Anglii) prowokują do dyskusji. Znaczenie ich jest zresztą nierówne, bo o ile artykuł Tarnawskiego jest głównie owocem własnych przemyśleń, to prof. Helsztyński dał raczej streszczenie wiadomości o Conradzie dostępnych w dotychczasowych pracach. Pomijając liczne dowolności i nieścisłości, rozsiane po jego rozprawie (np. na str. 58 twierdzi Helsztyński, że Galsworthy „doznał wiele pomocy od Conrada, mającego markę literacką zdobytą dziesięć lat wcześniej niż on"; otóż było odwrotnie — to Galsworthy, który nb. sukces literacki, a raczej teatralny, odniósł na kilka lat przed zdobyciem rozgłosu przez Conrada, przez wiele lat pomagał autorowi *Lorda Jima*, nieraz ratując go w opresji pożyczkami), do sporu skłania zasadnicza teza interpretacyjna, wysunięta tutaj po raz pierwszy: mianowicie, że światopogląd Conrada ukształtowany był, za pośrednictwem wuja, Tadeusza Bobrowskiego, pod wpływem polskiego pozytywizmu.

Trudno mi wyjaśnić genezę tego osobliwego twierdzenia inaczej, jak działaniem ducha przekory. Mówiąc zaś serio — nie wiem, czy oparte jest ono bardziej na nieznajomości problematyki pozytywizmu i samej postaci Bobrowskiego, czy też na powierzchownym odczytaniu Conrada.

Prof. Helsztyński nazywa Bobrowskiego „demokratą, pozytywistą, stoikiem, człowiekiem na wskroś postępowym, nowoczesnym". Nie potrafię się dopatrzyć tych wszystkich cech w zasiedziałym ukraińskim szlachcicu, który swą „postępowość" wyrażał pamiętnikarskimi plotkami i pogardą dla powstania 1863 roku. Pierwszy też raz chyba termin „pozytywista" odniesiony został do obiektu położonego tak daleko na wschód od Warszawy. Każdy, komu znana jest jako tako historia polskiej literatury i myśli społecznej drugiej połowy XIX wieku, wie dobrze, że termin ten, jeżeli ma posiadać jakikolwiek sens poznawczy, może być stosowany tylko do lat 1868 — 1890 i tylko do tzw. Kongresówki. Na przykład popularne hasła „pracy u podstaw", oświaty ludowej itp. nabierają zupełnie innego znaczenia, jeśli zostają przeniesione na niepolską etnicznie Ukrainę. Pisze prof. Helsztyński, że „Bobrowski nawoływał do pracy organicznej i gromadzenia materiału ekonomicznego w ręku Polaków" — jeśli tak nawet było, na co dowodów zresztą pewnych nie mamy, to fakt ten nie ma nic wspólnego z warszawskim pozytywizmem, który nawoływał wprawdzie do podobnych starań, ale w celu obrony polskiego chłopa.

W ogłoszonych pośmiertnie pamiętnikach Bobrowskiego nie znajdziemy ani jednej wskazówki, aby czuł się on w jakiś sposób związany z ruchem „młodych" w Warszawie. Prawda, był — mimo używania od czasu do czasu patriotycznej frazeologii — typowym ugodowcem (chwali się na przykład zaufaniem, jakim obdarzały go władze rosyjskie podczas powstania — którego wybitnym przywódcą był rodzony brat). Ale chyba nie o lojalizm tutaj chodzi. (Dorzućmy zresztą dla sprawiedliwości, że, z drugiej strony, Bobrowski nie podzielał panslawistycznych złudzeń takiego Spasowicza.) Czytamy u prof. Helsztyńskiego: „Z pozytywizmu polskiego, którego Bobrowski był zwolennikiem, przeniósł Conrad do literatury pojęcie człowieka jako indywidualności, zobowiązanej moralnie do zachowania więzi z tradycją rodziny i społeczeństwa, w którym odgrywać winien rolę ofiarnego członka, zużywającego swój talent i siły

w nieustannej pracy, która jest jedynym szlachectwem człowieka". Jeżeli nawet zgodzimy się na tę szalenie upraszczającą formułę, nasunie się przecież pytanie: gdzież tutaj są owe specyficznie „pozytywistyczne" cechy? Jednostka związana obowiązkiem społecznym — to formuła typowo romantyczna. Czytamy, że Bobrowski „W siostrzeńcu swoim starał się zaszczepić zasadę pracowitości, wytrwałości, oszczędności i poszanowania pieniądza". Podobne zasady głosiła powszechnie literatura tzw. romantyzmu krajowego. Jakoż Bobrowski nie był postacią z wczesnych powieści Orzeszkowej czy publicystyki Świętochowskiego: jest żywcem wyjęty z *Kollokacji* czy *Spekulanta* Józefa Korzeniowskiego. I tutaj tkwią oczywiste i naturalne parantele jego poglądów.

Wyznacznikami ideologii pozytywistycznej były: solidaryzm społeczny, kult zbiorowości, przeciwstawiony romantycznemu kultowi jednostki, ewolucjonizm w poglądach na rozwój społeczeństw, ugodowość w stosunku do zaborców. W dziele Conrada nie znajdziemy odbicia żadnego z tych elementów. Co więcej, Conrad nienawidził mieszczaństwa w stopniu nie mniejszym niż jego mistrz, Flaubert — a pozytywizm był ideologią *par excellence* mieszczańską. Dodajmy też, że ani w listach Conrada, ani we wspomnieniach o nim nie znajdziemy ani jednego śladu, by zetknął się on bezpośrednio z pismami polskich pozytywistów (Prusa czytał dopiero w Zakopanem w roku 1914). Ogólniki wuja — gdybyśmy je nawet zaklasyfikowali jako w pewnym stopniu „pozytywistyczne" — nie mogły go przecież natchnąć swoistymi poglądami warszawskich działaczy.

Szkic Wita Tarnawskiego składa się z dwunastu cząstek, omawiających wybrane problemy Conradowskiego artyzmu. Wiele tu trafnych spostrzeżeń (na przykład o eksperymentalno-psychologicznej metodzie Conrada, w podrozdziałku *Szkoła prymitywu*), ale nie brak i naiwności (*Rytm prozy Conrada, Chłód Conradowski*), nie pozbawionych zresztą uroku, bo wynikłych ze szczerego uwielbienia dla dzieła znakomitego pisarza. Tarnawski porusza także, stosunkowo najobszerniej, sprawę genezy Conradowskiej formy „opowieści w ramach powieści", połączonej z przestawieniami czasowymi. Tarnawski przeciwstawia się powszechnemu w dotychczasowej literaturze krytycznej upatrywaniu tu wpływów Henry Jamesa, a pośrednio Laurence Sterne'a. Pisze on: „Sądzę, że można wskazać co najmniej na trzy czynniki w życiu samego Conrada, które do tego stopnia musiały wpłynąć na rozwinięcie się jego swoistej techniki, iż szukanie pierwowzorów literackich staje się zbyteczne". Te trzy czynniki to, zdaniem Tarnawskiego, gawędziarskie skłonności i talent opowiadacza, tradycja staropolskiej gawędy, ucieleśniona w *Trzy po trzy* Fredry, oraz, co najważniejsze, wpływ zawodu marynarza, a później wpływ stałego przebywania na wsi i wynikły z tego szczególny stosunek do czasu („Czas stał się dla niego czymś zewnętrznym, w czym się nie tkwi — terenem do swobodnej przechadzki"). Rozważania Tarnawskiego są w tym punkcie zupełnie nieprzekonujące. Pomijając już fakt, że *Trzy po trzy* powstało właśnie pod oczywistym wpływem Sterne'a i że pod tymże wpływem rozwijała się polska gawęda literacka (o której możliwym oddziałaniu na Conrada wspomina autor), dwa pozostałe momenty mogły Conradowi co najwyżej ułatwiać przyjęcie formy wstawionej w powieść opowieści i swobodne operowanie czasem. Wpływ Jamesa jest tutaj zupełnie wyraźny, choć nie może być mowy o jakimś naśladownictwie.

Obaj pisarze wyciągali, powiedzieć można, ostateczne wnioski z flaubertowskiego typu realizmu, postulującego całkowite ukrycie się autora za dziełem. Obaj wybrali to samo rozwiązanie: stawiali między sobą a utworem postać narratora. James, starszy od Conrada wiekiem o lat czternaście a twórczością aż o dwadzieścia jeden, był jednak bezspornie pierwszy, torował drogę, ukazywał wielkie możliwości nowej metody. Gdy czytamy Conrada, rzadko tylko — na przykład w *Losie* — odnosimy wrażenie sztuczności owej skomplikowanej struktury językowo-czasowej. Niejednokrotnie zaś, jak w *Lordzie Jimie* czy *Nostromie*, widzimy wyraźnie, jak dalece oryginalny jest Conrad w posługiwaniu się tą strukturą, jak swoistymi treściami ją wypełnia, jak specjalne jej przydziela funkcje.

A więc niepokój, że pisząc o wpływie Jamesa i Sterne'a na wybranie przez Conrada takich właśnie, a nie innych form powieściowych, deprecjonujemy dzieło naszego rodaka, jest zupełnie niepotrzebny. Przypomnijmy też, że Conrad otwarcie wielbił Jamesa i uważał go za swego mistrza: nie przypadkiem

na czele *Szkiców o życiu i literaturze* umieścił entuzjastyczny artykuł o wielkim, a niestety nieznanym u nas powieściopisarzu.

Artykuły sprawozdawcze Róży Jabłkowskiej omawiają wyczerpująco najnowsze zachodnio-europejskie i „zachodnio-polskie" prace o Conradzie. Trudno mi się zgodzić z wieloma sądami autorki, która na przykład, moim zdaniem, nie docenia świetnej książki Douglasa Hewitta *Conrad: A Reassessment*. Byłoby jednak mało sensowne toczyć spory na temat niedostępnych polskiemu czytelnikowi opracowań, zatrzymam się więc tylko nad paroma szczegółami innego typu.

Niezrozumiałe jest dla mnie zdanie: „Wszyscy będziemy żałować, że Gérard Jean-Aubry, niezadowolony ze swej książki *Joseph Conrad, Life and Letters* z 1927 r., ponieważ zawierała zbyt szczupły i niedokładny materiał biograficzny, pokusił się o napisanie »definitywnej biografii«." Przede wszystkim określenie „definitywna biografia" pochodzi od wydawcy angielskiego przekładu książki Jean-Aubry'ego — sam autor we wstępie wspomina o lukach w opracowaniu. Można zresztą mieć o pracy Jean-Aubry'ego zdanie negatywne (które skłonny jestem podzielać), ale jest chyba nietaktem żałować, że autor pierwszej biografii Conrada kontynuował swoje studia jeszcze przez lat kilkanaście! Nie jest też prawdziwe twierdzenie, że „Jean-Aubry i Curle sprawują opiekę nad rękopiśmienną spuścizną pisarza". Francuski badacz i tłumacz zmarł już dziesięć lat temu, a rękopiśmienna puścizna Conrada znajduje się pod podwójną opieką: właścicieli konkretnych rękopisów (przeważnie kolekcjonerów amerykańskich) i właścicieli praw autorskich, firmy Dent & Dutton.

Dona Rita, tajemnicza bohaterka marsylskiego romansu Conrada Korzeniowskiego, została już zidentyfikowana. Panna Jerry Allen, autorka powieści biograficznej o Conradzie (niezbyt zresztą świetnej; akcja ogranicza się właściwie do francuskiego okresu życia pisarza) pt. *The Thunder and the Sunshine (Grom i promień słońca)*, ustaliła, że była nią „baronowa" Paula de Samogyi, z pochodzenia chłopka węgierska, kochanka pretendenta Don Carlosa.

Autorka sprawozdania niepotrzebnie się dziwi, iż „Hewittowi udało się udowodnić, że Conrad jest większym pesymistą i fatalistą niż Dostojewski". Nie trudno przeprowadzić taki dowód, bo Dostojewski, jako pisarz wierzący i otwarcie religijny, pesymistą być nie mógł.

Na pytanie, dlaczego synowie Conrada nie chcą przyjąć udowodnionej przez Jocelyna Bainesa (i przez niżej podpisanego) wersji, że Korzeniowski w roku 1878 w Marsylii nie pojedynkował się, a usiłował popełnić samobójstwo, mogę odpowiedzieć na podstawie rozmów z Borysem i Johnem Conradami. Powód jest ten sam, dla którego już w tymże roku 1878 wuj Bobrowski rozpuszczał wśród znajomych wieści o pojedynku (prawdę wyznał tylko w obszernym liście do Stefana Buszczyńskiego i przypominał w liście do siostrzeńca): samobójstwo uchodziło i uchodzi za czyn hańbiący.

I niestety tak już jest, że w imię „dobrego tonu" i spokojnego samopoczucia nie tylko rodzina, ale i niektórzy badacze życia Conrada woleliby widzieć w nim posągowe ucieleśnienie głoszonych przezeń ideałów — a nie prawdziwego, żywego Conrada, który sam siebie surowo oceniał. Człowieka o wybuchowym i nierównym usposobieniu, przerzucającego się z nastroju w nastrój i od pomysłu do pomysłu, często chwiejnego i niezdecydowanego, uczulonego ogromnie na zewnętrzne impulsy, szukającego we własnej twórczości rekompensaty za niepowodzenia własnego życia i wady charakteru.

*

Omawiany numer *Kwartalnika Neofilologicznego* zawiera, oprócz materiałów Conradowskich, garść innych sprawozdań, not i recenzyj, spośród których na plan pierwszy wybija się bardzo ciekawe omówienie przez prof. Margaret Schlauch książki Joshua Whatmougha *Poetic, Scientific and Other Forms of Discourse (Poetycka, naukowa i inne formy wypowiedzi)*. Niepokojący jest przy tym fakt, że w całym numerze — który nie jest pod tym względem wyjątkowy — znajduje się jedna tylko, raczej marginalna pozycja (recenzja ze znanego podręcznika poprawnej wymowy niemieckiej „Siebsa"), poświęcona filologii germańskiej. A przecież naszymi najbliższymi sąsiadami są nie Francuzi czy Włosi, ale Niemcy i Szwedzi. Jeszcze jeden sygnał rozpaczliwego stanu polskiej germanistyki.

Zdzisław Najder

Niemcy zachodnie nie mogą się skarżyć na brak czasopism literackich, ale też trudno im pochwalić się nadmiarem czytelników prasy literackiej. Kiedym niedawno zagadnął w Monachium jednego z poważnych pisarzy o miesięcznik *Merkur* (wychodzący od dwunastu lat w Stuttgarcie), mój rozmówca zrobił zdziwioną minę — nigdy o takim piśmie nie słyszał. Nakłady miesięczników są w kraju liczącym 50 milionów mieszkańców nikłe i wynoszą co najwyżej cztery tysiące egzemplarzy. Czasopisma te żyją zazwyczaj na łaskawym chlebie wielkich firm wydawniczych, które dla honoru domu chcą i mogą sobie pozwolić na stratę kilku tysięcy marek miesięcznie.

W NRF, w przeciwieństwie do Polski, główną rolę w życiu literackim grają miesięczniki. Z tygodników godnym wzmianki jest jedynie hamburska *Die Zeit*, której łamy zapełniają przeważnie artykuły o treści politycznej i społecznej, a z dwutygodników — monachijska *Die Kultur*, wydawana przez duże wydawnictwo Kurta Descha. To ostatnie pismo jest domeną tak zwanej „Grupy 47", luźnego zrzeszenia demokratycznych pisarzy, którzy zwalczają politykę zbrojeń Adenauera i występują przeciwko faszyzacji Niemiec. Pisarze ci są przeciwnikami wszelkiej władzy totalistycznej i na ogół sympatyzują z niemiecką partią socjaldemokratyczną, choć nieraz wyrażają się z przekąsem o jej konformizmie. W Polsce spośród autorów „Grupy 47" znamy Koeppena i Böll'a, należy tu również Alfred Andersch, który zdobył sobie rozgłos powieścią *Sansibar*, dalej Hans Werner Richter i Stefan Anders. Przyjazne stosunki utrzymują z grupą Erich Kästner oraz duża ilość reżyserów, aktorów, kompozytorów i malarzy. W czasie kampanii przeciwko uchwale Bundestagu o wyposażeniu armii zachodnio-niemieckiej w broń atomową „Grupa 47" zebrała sto kilkadziesiąt podpisów najwybitniejszych intelektualistów niemieckich, którzy zaprotestowali przeciwko decyzji zachodnio-niemieckiego parlamentu.

Do najciekawszych periodyków literackich — po zgonie *Texte und Zeichen*, których wydawcy sprzykrzył się kosztowny mecenat — należy dwumiesięcznik *Akzente*, wydawany przez wydawnictwo Carl Hanser Verlag we Frankfurcie nad Menem. Jest to pismo „czysto" literackie, które drukuje tylko wiersze, prozę, słuchowiska i rozprawy krytyczne. Działu bieżących recenzji redakcja nie prowadzi. Czasopismo dba o wysoki poziom, udziela sporo miejsca poezji, która w Niemczech tuła się bezdomnie i z trudem znajduje miłosierny dach nad głową (z wyjątkiem utworów zmarłych i żyjących klasyków), oraz prowadzi ciekawy dział krytyczno-literacki. Tutaj ukazują się świetne eseje z dziedziny teorii prozy i poezji. *Akzente* drukują w kilku ostatnich numerach szkice o strukturze nowoczesnej powieści pod zbiorowym tytułem *Bohater powieści i forma narracji*. W tym dziale zabierali ostatnio głos Francuzi: Alain Robbe-Grillet i Nathalie Sarraute, Amerykanin Gregory Corso i Niemcy: Benno von Wiese, Elisabeth Langgasser i Hans S. Reiss. Prace te poruszają zagadnienia stylu i struktury powieści eksperymentalnej, nowych form epickich, stosunku pisarza do społeczeństwa, symboliki nowoczesnej powieści itp.

Z kolei należy się wzmianka miesięcznikowi *Merkur*, finansowanemu przez Deutsche Verlagsanstalt w Stuttgarcie. Pismo to ma inny profil redakcyjny niż *Akzente*. Oprócz zagadnień ściśle literackich interesuje się sprawami filozofii, socjologii, architektury, sztuki, fizyki, obyczajowości itp. Podobnie jak *Akzente*, dba o współpracę autorów zagranicznych i zajmuje się kwestiami współczesności, pozostawiając badanie klasyki i przeszłości kulturalnej pismom o charakterze „akademickim". Oprócz działu zasadniczego prowadzi *Kronikę* oraz dział recenzji książkowych. Każdy numer zamykają marginalia zawierające glosy do aktualnych wydarzeń literackich i kulturalnych.

W ostatnich trzech numerach *Merkur* zwraca uwagę praca P. Demetza, który omawia teorię literatury Lukácsa, polemizując z jego społecznymi i filozoficznymi założeniami, i kilka artykułów kontynuujących trwającą od dłuższego czasu dyskusję o Nietzschem. Polemika ta, symptomatyczna dla nastrojów niemieckiej inteligencji, wywołuje widmo starych sporów i rozpala namiętności młodego pokolenia. Zapoczątkował ją

badacz Nietzschego, Karl Schlechta, który udowodnił (w broszurze pt. *Der Fall Nietzsche*), że teksty z pośmiertnej teki autora *Zaratustry* zostały w wielu miejscach sfałszowane i zniekształcone. Autorką falsyfikatów była siostra Nietzschego (sam Nietzsche nazywał ją „lamą", zaś Schlechta określił przydomkiem „bezwstydna oszustka"), która preparowała aforyzmy, listy i szkice brata *ad usum* ideologii hitlerowskiej. Schlechta zaatakował zarazem zasadnicze tezy Nietzschego, twierdząc, że ich polityczna i moralna treść jest dla współczesnych Niemiec, o ile mają być krajem postępu, nie do przyjęcia. W ostatnim numerze von Steinen i Löwith polemizują ze Schlechtą, usiłując ocalić Nietzschego dla potomności. Spór ma zatem charakter nie tylko filologiczny, ale i polityczny.

Merkur publikuje od czasu do czasu i prace polskich autorów. W najnowszym numerze pomieścił np. artykuł Kołakowskiego.

O ile *Akzente* i *Merkur* uchodzą za pisma liberalne, o tyle *Die Neue Rundschau* zaliczana jest do czasopism konserwatywnych. Jest to kwartalnik wydawany od roku 1890 przez największą obok Rowohlta (Hamburg) firmę wydawniczą — S. Fischer Verlag we Frankfurcie nad Menem. Pismo to nie drukuje recenzji książkowych ani aktualiów i słynie z „kobył". Każdy numer, liczący około jedenastu arkuszy formatu *in octavo*, składa się co najwyżej z kilkunastu pozycji, wśród których nie brak rozpraw o charakterze germanistycznym i historyczno-literackim. Redakcja zabiega o materiał obcy, drukując wiele przekładów klasyków i autorów współczesnych. W ostatnim na przykład numerze połowę miejsca zajmują pisarze obcy (Giraudoux, Jesienin, Gertruda Stein, Celan, Nerval, Camus, Calvino). *Die Neue Rundschau* posiada najbogatszy bodajże przegląd nowości wydawniczych, niemieckich i zagranicznych.

Antytezą tego akademickiego i „ociężałego" kwartalnika jest miesięcznik *Neue Deutsche Hefte*, wydawany przez wydawnictwo C. Bertelsmann z Gütersloh (redakcja pisma znajduje się w Berlinie). Czasopismo to, redagowane bardzo żywo, składa się z dwóch części. W pierwszej znajdujemy artykuły krytyczno-literackie, fragmenty prozy, wiersze, szkice z zakresu teorii literatury itp., druga część nosi tytuł *Kritische Blätter* i zawiera recenzje (w każdym numerze około dwudziestu) najważniejszych nowości literackich, które ukazują się w Niemczech zachodnich. Są to przeważnie krótkie i zwięzłe artykuły, pisane przez krytyków o znanych nazwiskach. Całość zamyka dział *Forum*, zawierający z reguły kilka niewielkich szkiców lub przeglądów bibliograficznych niemieckich i obcych czasopism literackich.

Wspomniałem tutaj o kilku czasopismach literackich, o innych będzie mowa w przyszłości. Należy przy tej okazji zwrócić uwagę na charakterystyczną cechę zachodnio-niemieckiego czasopiśmiennictwa literackiego. NRF nie posiada w tej chwili „centralnego" pisma literackiego, które nadawałoby ton ruchowi literackiemu. Przed wojną tę rolę spełniała *Die Literarische Welt*, wydawana w Berlinie i redagowana przez Willy Haasa (dzisiaj przebywa on w Hamburgu i współpracuje z działem kulturalnym dziennika *Die Welt*), któremu udało się uzyskać współpracę najlepszych piór w Niemczech (obu Mannów, Hauptmanna, Arnolda i Stefana Zweigów, Hessego, Feuchtwangera, Franka, Hofmannsthala i in.). Niemcy zachodnie nie posiadają dziś stolicy (Bonn nie może pretendować do tej roli) ani dominującego centrum kulturalnego. Czasopisma wychodzące w większych i mniejszych miastach rywalizują ze sobą o pierwszeństwo w życiu literackim, ale żadnemu z nich nie udało się tego osiągnąć.

Roman Karst

„ETUDES COPERNICIENNES"

Staraniem i nakładem Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu (Centre Polonais de Recherches Scientifiques de Paris), jako 13—16 numer *Biuletynu* tej Stacji, ukazał się po francusku obszerny, pięknie wydany tom *Studiów Kopernikańskich* *. Redaktorem tej imponującej pracy i głównym autorem składających się na nią studiów jest dyrektor Stacji paryskiej, jeden z najświetniejszych naszych romanistów, prof. Stanisław Wędkiewicz.

Ludzi przyzwyczajonych do schematycznego myślenia może zdziwić fakt, że wielkim astronomem zajmuje się humanista, profesor literatury romańskiej. Ale właśnie związek między badaniami humanistycznymi i przyrodniczymi od dawna zajmował Stanisława Wędkiewicza. W przedmowie do omawianych *Etudes Coperniciennes* wspomina prof. Wędkiewicz, że już od początku swych studiów interesował się współzależnościami między sprawami literatury i wiedzy ścisłej. Bo już pierwsza naukowa praca badawcza Wędkiewicza to zamieszczona w krakowskim *Przeglądzie Polskim* w roku 1911 analiza *Elementów sceptycyzmu i mistycyzmu w twórczości Pascala*. Wkrótce potem ścisła „interferencja" tych spraw uderzyła Wędkiewicza, gdy pracując we włoskich bibliotekach uniwersyteckich nad *Boską Komedią* Dantego zastanawiał się nad zawartą w tym arcydziele — syntezą ogółu wiadomości średniowiecza.

W roku 1921 został Wędkiewicz powołany na katedrę filologii romańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Katedra ta należała do Wydziału Filozoficznego, grupującego zarówno humanistów, jak przyrodników. Wędkiewicz należał do obrońców tak pojętej organizacji studiów — przeciw zwolennikom rozdzielania dyscyplin i praktycznej, jak najdalej idącej specjalizacji. Jak wiadomo, zwyciężyła ta ostatnia zasada. Czy słusznie? Żywię wątpliwości co do owej separacji, która się w jakiś sposób przyczyniła do oderwania humanistów od wiedzy ścisłej.

W latach 1922—1939 redagował prof. Wędkiewicz jeden z najświetniejszych (i dla kultury polskiej najbardziej zasłużonych!) miesięczników, *Przegląd Współczesny*. Założeniem pracy redakcyjnej tego pisma było skupienie wokół *Przeglądu* — pisarzy interesujących się najrozmaitszymi dziedzinami myśli ludzkiej. „Od pierwszej chwili grupa kolegów okazała mi przyjazną pomoc — wspomina prof. Wędkiewicz — ale chciałbym przede wszystkim wspomnieć tu nazwisko Władysława Natansona (1864—1937), jednego z najwybitniejszych naszych fizyków; w częstych naszych rozmowach dyskutowaliśmy, wśród innych problemów, użyteczność stałej wymiany poglądów między humanistami a przedstawicielami wiedzy ścisłej. Gdy w roku 1934 Wędkiewicz przeniósł się na katedrę do Warszawy (dokąd też już wcześniej powędrował z Krakowa *Przegląd Współczesny*), zaprzyjaźnił się z innym wybitnym specjalistą fizyki teoretycznej, prof. Czesławem Białobrzeskim (1878—1939). „Nie mogę zapomnieć naszych rozmów w Warszawie czy później w czasie wspólnego pobytu w Paryżu, w lipcu 1937, z okazji Wystawy Światowej. W salach Palais de la Découverte, który właśnie otwarto, spędzaliśmy długie godziny, podczas których nieodżałowany mój kolega godził się wprowadzić źle przygotowanego ucznia — w arkana struktury Kosmosu."

Mikołaj Kopernik stanowi świetny przykład owego ciekawego, pasjonującego i niezmiernie pouczającego związku między humanistyką a wiedzą ścisłą. Zacytujmy tu prof. Aleksandra Birkenmajera, który w bardzo ciekawej rozprawie *Jak tworzył Kopernik* (Warszawa 1936) pisał o szerokich horyzontach genialnego astronoma, który był „uzdolniony nawet jako poeta i artysta-malarz, wszechstronnie wykształcony (przypominam studia prawnicze i lekarskie, wielkie oczytanie w klasykach, debiut literacki w postaci przekładu Teofilakta Simokatty z greki na łacinę itd.), interesujący się kartografią i techniką, zmuszony przez okoliczności do zajmowania się zagadnieniami ekono-

* Académie Polonaise des Sciences et des Lettres. Centre Polonais de Recherches Scientifiques de Paris. 1955—1957. *Bulletin*, nr 13—16. *Etudes Coperniciennes* I. Str. 315.

micznymi... wmieszany w wypadki polityczne swej najbliższej ojczyzny (memoriały przeciw Krzyżakom itd.), czynny nawet jako administrator dóbr kapitulnych i jako komendant fortecy..."

Z drugiej strony Kopernik od dawna stał się natchnieniem pisarzy; czasem i przedmiotem ich walki. Otóż tym rozlicznym zagadnieniom poświęcony jest tom *Etudes Copernicienes*, którego twórca przygotowywał już w roku 1934 specjalny numer *Przeglądu Współczesnego*, który miał uczcić rocznicę Kopernika w roku 1943! Całość *Etudes Copernicienes* przewidziana jest na dwa tomy. Drugi będzie omawiać rozwój myśli i idei kopernikańskich we Francji. Obecnie opublikowany tom pierwszy poświęcony został rozwojowi „kopernikanizmu" w Polsce oraz wśród polskich emigrantów we Francji, jak również badaniom współczesnych naszych specjalistów wiedzy o wielkim astronomie. Słowem, tom ten może nosić nazwę „Kopernik a Polska".

Nie podobna tu, oczywiście, omówić wszelkich pozycji, jakie przynosi ów pierwszy tom *Etudes Copernicienes*. Już w roku 1533 (a więc 10 lat przed śmiercią Kopernika) orientalista Johann Albrecht Widmanstadt przedstawił papieżowi Klemensowi VII w ogrodach Watykanu podstawy systemu kopernikańskiego; mniej więcej w tym samym czasie, wedle Brożka, Starowolskiego i Gassendiego, Marcin Luter wykpiwał system heliocentryczny, zajmując stanowisko wrogie myśli kopernikańskiej. Prof. Wędkiewicz w sposób pasjonujący ukazuje udział Polaków w owej walce, jaka się toczyła o odkrycia mistrza Mikołaja. Już w roku 1509 Wawrzyniec Korwin zawarł w swym *Carmen*, umieszczonym jako przedmowa do kopernikańskiego przekładu *Listów Teofilakta Simokatty*, czterowiersz chwalący odkrycia 36-letniego wtedy Kopernika, znane mu zapewne z rozmów (pierwszy szkic systemu heliocentrycznego mieścił się dopiero w traktacie kopernikańskim, zwanym *Commentariolus* a pochodzącym z roku 1514).

Po śmierci Kopernika (1543) i publikacji jego wielkiego, podstawowego dzieła, *De Revolutionibus Orbium Coelestium*, całe szeregi uczonych i pisarzy polskich wzięły udział w dyskusjach intelektualnych, dotyczących jego odkryć, był wśród nich na przykład nadworny lekarz Zygmunta Augusta i przyjaciel Jana Kochanowskiego, Sylwester Roguski. (Ciekawa to rzecz — co myślał o systemie heliocentrycznym twórca *Trenów* i *Odprawy*. Jednym z pierwszych biografów Kopernika był Jan Brożek (1585—1632), matematyk, studiujący słynny „problem Fermata", astronom, astrolog, fizyk, geograf, geodeta, lekarz, historyk, muzykolog i podróżnik. Brożek przedsięwziął rodzaj podróży naukowo-badawczej do wszystkich miast, w których niegdyś mieszkał Kopernik. Niestety, zaginęła większość dokumentów, które Brożek jeszcze oglądał, zachowały się natomiast noty z podróży, które skrzętny biograf sporządził a potem Szymon Starowolski w roku 1627 powtórzył w swym słowniku biograficznym *Scriptorum polonicorum Hekatontas seu Centum illustrium Poloniae scriptorum elogiae et vitae*.

Brożek jako profesor Uniwerstyteu Jagiellońskiego musiał udawać zwolennika systemu Ptolemeuszów; w rzeczywistości jednak wykładał już zasady kopernikańskie. Ostra walka toczyła się, jak wiadomo, w wielu krajach europejskich, przez kilka wieków. Linia wiodła tu przez Galileusza, Newtona, Gassendiego aż po Encyklopedystów. Rzecz ciekawa, że już Władysław IV prowadził korespondencję z Galileuszem (co w roku 1939 stwierdził w swej pracy *Z dziejów włosko-polskich stosunków kulturalnych* prof. Mieczysław Brahmer). Podobne zainteresowania okazywali Jan Kazimierz i Jan III Sobieski. Do najciekawszych kart pracy prof. Wędkiewicza należy opis polemik, jakie na tematy Kopernikańskie przez długie lata prowadził Jan Śniadecki.

Już wtedy rozpoczęła się bowiem debata, dotycząca narodowości wielkiego astronoma, jego polskości czy niemieckości. Gorący udział w niej wzięli polscy wychodźcy w okresie Wielkiej Emigracji, zarówno w Paryżu, jak w Londynie i we Włoszech. Przedtem jeszcze (3 maja 1831 r.) Kazimierz Brodziński w swej słynnej mowie *O narodowości Polaków* rzucił porównanie-metaforę, w myśl której naród polski dokonał w dziedzinie moralnej podobnego odkrycia, jak Kopernik w sprawach fizycznych: a mianowicie, iż nie ludzkość „obraca się" dokoła narodu, lecz naród dokoła ludzkości. Myśl tę powtórzył potem Mickiewicz w Collège de France w wykładzie z 22.XII.

1840. W roku 1936 w czasopiśmie *Organon* ukazała się praca prof. Aleksandra Birkenmajera, który tak reasumował argumenty za tezą o polskości Kopernika, a przeciw szowinistom niemieckim: 1) rodzina astronoma pochodziła z polskiego Śląska i osiedliła się w Krakowie; 2) sam Kopernik urodził się w Toruniu; 3) studiował na polskim uniwersytecie w Krakowie; 4) niemal całe swe życie spędził w Warmii, która należała do Rzeczypospolitej; 5) przede wszystkim dlatego, że Kopernik dał dowody patriotyzmu jako obywatel polski, walczący z Krzyżakami. Rodzony ojciec prof. Aleksandra Birkenmajera, Ludwik Antoni Birkenmajer, niemal całe swe życie poświęcił badaniom nad Kopernikiem, a także i obronie tezy o polskości autora teorii heliocentrycznej. Otóż Birkenmajer pochodził z rodziny niemieckiej, jego rodzony dziadek urodził się w Badenii, osiedlił się w Polsce i do niej przywiązał. Prof. Wędkiewicz przytacza ten wymowny przykład jako argument przeciw niemieckiej teorii: „*Stamm- und Blutverwandschaft*". Jak wiadomo, teoria ta nie miała nigdy zwolenników we Francji!

W okresie hitleryzmu niektórzy uczeni, pisarze i badacze niemieccy nie tylko podjęli szowinistyczne tezy o germańskości Kopernika, lecz nawet rozpisywali się o „braku jakiejkolwiek kultury intelektualnej w Polsce, w okresie Renesansu". Przykładem może być broszura Fritza Mettenleittera *Nicolaus Coppernicus — Roman eines grossen Deutschen*, Stuttgart 1941, czy numer specjalny pisma *Die Burg*, wydany w roku 1943, z artykułem dr. Erwina Hoffa, który usiłował udowadniać, że zdanie Melanchtona o Koperniku „*ille Sarmaticus astronomus*" nie miało nic wspólnego z określeniem narodowości.

Dnia 24 maja 1943 roku, w czterechsetną rocznicę zgonu Mikołaja Kopernika, o godzinie 5 rano trzech studentów tajnej polonistyki w Warszawie, współredaktorów pisma *Sztuka i Naród*, wybitnych poetów, udało się pod pomnik Kopernika, naprzeciw którego mieściła się komenda okupacyjnej policji. Byli to Wacław Bojarski (ur. 1922), Tadeusz Gaycy (również z 1922 roku), autor *Homera i Orchidei*, i Zdzisław Stroiński (ich rówieśnik). Złożyli pod pomnikiem wieniec z polskimi barwami i dokonali zdjęć pamiątkowych. Natychmiast z komendy policji wybiegł granatowy policjant, usiłując zatrzymać Bojarskiego. Gaycy strzelił do niego i zmusił go do ucieczki. Wtedy z gmachu policji wybiegło kilkunastu żandarmów niemieckich i rozpoczęto strzelaninę. Bojarski i Stroiński uciekli w ulicę Obożną, Gaycy w ulicę Kopernika. Na odłos strzałów z jakiegoś lokalu na Obożnej wyskoczyli inni Niemcy i również zaczęli strzelać. Bojarski, ciężko ranny w nerkę, został ujęty, Stroińskiemu udało się cofnąć w stronę ulicy Bartoszewicza. I tu jednak wybiegli Niemcy, którzy zatrzymali poetę w bramie jednego z domów. Jedynie Gaycemu udało się wydostać cało przez ulicę Kopernika.

Przy pierwszym badaniu, zaraz na komendzie policji, Bojarski, choć ciężko ranny, zachował całą przytomność umysłu i heroizm woli, oświadczył on, że Stroiński jest mu zupełnie nieznany i nie brał udziału w akcji. Mimo to Stroiński został przeniesiony na Szucha i zwolniony dopiero po 4 miesiącach. Bojarski zmarł na Pawiaku 5 czerwca 1943 r. Stroiński i Gaycy zginęli w powstaniu, na Starym Mieście, 17 sierpnia 1944 r.

Szczegóły akcji przed pomnikiem Kopernika ogłosiło czasopismo *Urania*, wydawane w Krakowie, w nr 3—4 (68—69) z września — października 1946 r. Prof. Wędkiewicz w swych *Etudes Coperniciennes* poświęcił jeden z rozdziałów badaniu sprawy pomników i obrazów Kopernika w Polsce, jako fragmentu zagadnień, dotyczących rozwoju myśli kopernikańskiej w naszym kraju.

Wojciech Natanson

CZY ISTNIEJE „TEMAT WIEJSKI"?

Epoka schematyzmu pozostawiła po sobie dwa, nie zasługujące zupełnie na litościwie pogardliwy los sierocy, zjawiska w prozie: powieść „produkcyjną" i „temat wiejski". Zjawiska to — wbrew pozorom — nie nowe i nie koniunkturalne, bo mające swój ideowo-artystyczny rodowód i znakomitych antenatów już w pozytywizmie, a złoty okres najbardziej obiecującego rozkwitu przeżywające w dwudziestoleciu, w czasach, gdy bestsellerami obok *Mego Żyrardowa* były *Pawie pióra, Kordian i cham, Ojczyzna, W Grzmiącej*, gdy robotnik i chłop byli najbardziej pasjonującymi bohaterami, a realia wiejskiej gospodarki często atrakcyjnością biły na głowę egzotyczne, zamorskie opisy i reportaże. Już wtedy, na długo przed okresem, kiedy traktory wyręczały skowronki w zapowiadaniu wiosny — „temat wiejski" był tematem co się zowie wielkim, ważnym i artystycznie płodnym, a poświęcone mu książki cieszyły się niefałszowaną popularnością.

Ale — co tu kryć prawdę pod korcem — schematyzm, partycypujący w nim pisarze i krytycy zamordowali ów temat, a skutki tego morderstwa trwają do dziś, mimo że — oficjalnie — „temat wiejski" żyje i czuje się dobrze, ba! ma nawet zarezerwowane dla siebie wydawnictwo, Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, pismo, tygodnik społeczno-literacki *Orka* — i sporą garść przypisanych do niego literatów, częściowo rodem z dwudziestolecia, częściowo wychowanych już przez lata powojenne, nawet — przez schematyzm. Co prawda „tematu wiejskiego" nie nazywa się już teraz po imieniu, ukrywa się go pod mianem autentyzmu, czasem przemilcza, czasem stroi w dawne, naturalistyczne piórka — jak popadnie, czyli jak któremu krytykowi, publicyście, pisarzowi przyjdzie do głowy.

Lecz — właściwie — cóż to jest ten „temat wiejski", cóż on naprawdę w literackiej praktyce oznacza czy — powinien oznaczać? Treść tego terminu jest różna, w zależności od literackiej koniunktury, i tak jak ona z pozoru bardzo prosta, w istocie bardzo skomplikowana. W dwudziestoleciu temat czy, jak naówczas mówiono, tematyka wiejska była tym samym, czym w pozytywizmie — po prostu tematyką wiejską, czyli opisem etnograficznym i społecznym wsi, psychologicznym — chłopa, malarskim — wiejskiego krajobrazu, a wszystko w różnych prozatorskich i poetyckich konkretyzacjach, tyle że związanych wspólnym głównym bohaterem — wsią. W pozytywizmie i Młodej Polsce, w epoce Orzeszkowej, Reymonta i Żeromskiego bohater ów miał kostium uszyty częściej na społecznikowską miarę, w dwudziestoleciu — także wedle innych, bardziej kolorowych artystycznie wzorów, ale i tutaj żadnych generalizujących prawd wysnuwać nie można, zważywszy na towarzyszenie *Dziurdziom* i *Słowu o Bandosie* prozy Sewera i poezji Rydla oraz występowanie w latach międzywojennych obok książek Mortona i niektórych — tych bardziej osobistych — Wiktora wspomnianych już dzieł Kruczkowskiego, Wasilewskiej, Kowalskiego. Tak samo i w pozytywizmie, i w dwudziestoleciu ścierały się dwa poglądy, a raczej dwa stosunki emocjonalne do wsi: jeden — gaworzący optymistycznie o bajecznie kolorowej urodzie naszej wsi spokojnej, wsi wesołej, drugi — buntujący się przeciw tej etykietce, traktujący polską wieś jako scenę nie ckliwej sielanki, lecz wielkich, społecznych i osobistych dramatów i tragedii.

W owe tragedie lat 1939 — 45 wplotły jeszcze kilka heroicznych wątków — przede wszystkim trudne i skomplikowane losy chłopskiej partyzantki, ale nie zmieniły w zasadniczy sposób artystycznego, a także ideowego stosunku do „tematu wiejskiego" związanych z nim pisarzy, a — co najważniejsze — nie przygotowały ich raczej na wielką odmianę, zasadniczą rewolucję, jaką 22 lipco 1944 roku zapoczątkował nie tylko w społecznym i gospodarczym, lecz także — bodaj przede wszystkim — w psychicznym, obyczajowym, kulturalnym modelu polskiej wsi. O tej wsi z lat reformy rolnej, z lat toczącej się właśnie głównie na wsi — nie waham się tego tak nazwać — wojny domowej, z lat najpierw eksperymentów, a potem wielkiej akcji kolektywizacyjnej, pisarze polscy nie mogli pisać dawnymi konceptami i środkami artystycznymi, musieli znaleźć nową metodę literacką, nowy sposób zaklinania tego rodzącego się — dosłownie — wśród „burzy i na-

poru" w wiejskich opłotkach świata i człowieka w słowo, w wizję poetycką, w fabułę opowiadania i powieści. I rzeczywiście ta metoda przyszła: był nią — na nieszczęście — schematyzm.

Schematyzm, czyli po aptekarsku aprioryczna recepta na literaturę, układana bez znajomości praw i zjawisk rządzących sztuką, ale za to górująca nad jej rozwichrzonym i chaotycznym niejednokrotnie życiem precyzyjną wymiernością ostatecznego celu — to była metoda, która właśnie w tych nowych narodzinach „tematu wiejskiego" mogła znaleźć zatrudnienie jako akuszerka — i znalazła je rzeczywiście. Okresy przełomowe w życiu i literaturze — a do takich należą niewątpliwie lata powojenne — mają to do siebie, że rozbrajają wielu artystów, burzą ich warsztat, pracownię twórczą, niszczą narzędzia, wprawiają w niebezpieczny stan wewnętrznej diaspory, rozprzężenia, dezorientacji i wywołują u nich na wskroś ludzkie pragnienie chwycenia się jakiejś przysłowiowej deski ratunku, uniwersalnego środka zaradczego, który by w rozbity świat poety, prozaika, dramaturga wprowadził na nowo tak przyjemne i potrzebne w gruncie rzeczy dla większości ludzi sztuki — ład, symetrię, porządek. Schematyzm miał się stać takim opatrznościowym aniołem stróżem właśnie przede wszystkim dla niektórych starszych pisarzy, zaangażowanych w „temacie wiejskim", a co gorsza — stał się wychowawcą młodego i najmłodszego pokolenia literatów zafascynowanych sprawami wsi.

Analiza straszliwego bilansu szkód, jakie poczynił schematyzm na odcinku literatury wiejskiej, byłaby powtarzaniem rzeczy znanych i po wielekroć piętnowanych — przypomnę je więc tylko pokrótce. Kułak jako wcielenie zła i biedniak jako symbol dobra, prostacko, topornie odrysowywane konflikty społeczne, pogarda dla skomplikowanej i bogatej przecież psychiki chłopskiej, powielanie wciąż takiego samego schematu walki klasowej, nie zmieniającego się, ba! nie mogącego się zmienić na warsztacie reportera — Zalewskiego, powieściopisarza — Machejka, dramaturga — Kruczkowskiego (nazwiska cytuję przykładowo) i tchnącego wskutek tego niewymowną nudą, często lekceważenie obyczajowych i etnograficznych realiów — wszystko to uczyniło w latach pięćdziesiątych z tematu wiejskiego, mimo reportaży Kuśmierka, mimo *Jaworowego domu* Macha, mimo jeszcze kilku innych ambitnych artystycznie pozycji, coś w rodzaju literackiego getta, do którego wstępowali nieliczni czytelnicy, a które za to zatruwało swoją atmosferą liczne, nawet najbardziej twórcze, organizmy pisarskie. A co najważniejsze i najbardziej ponure — od współczesnej literatury polskiej o tematyce wiejskiej odwrócił się plecami czytelnik chłopski, ten starszy i ten młody, wolał poznawać siebie i wieś oczyma Kraszewskiego, Orzeszkowej, Prusa. „Temat wiejski" zawisnął w czytelniczej, społecznej próżni...

Co się zmieniło w tej materii po Październiku, tej wielkiej cezurze w naszej literaturze powojennej? Powiedzmy sobie szczerze: niewiele, bardzo niewiele. Wśród bestsellerów ostatnich dwóch lat próżno by szukać powieści, opowiadań, a nawet wierszy o tematyce wiejskiej, nie ma ich — o ile wierzyć próbkom prezentowanym w czasopismach — i długo jeszcze nie będzie. Bo też wśród pisarzy starszego pokolenia ustąpienie schematyzmu zostało pokwitowane ni mniej ni więcej, tylko — nawrotem do dawnych, wysłużonych, choć dających często cenne efekty, metod twórczych, do literatury typu wspomnieniowego lub historycznego. Poza opowiadaniami Kuśmierka — nie ma nawet literackiego świadectwa dramatycznych przemian społecznych na wsi najświeższej daty, nie ma młodzieżowo-wiejskiej bodaj Kotowskiej lub Leji, nie ma, nie ma, nie ma.

Nie ma więc i młodych pisarzy, chętnych do zaatakowania „tematu wiejskiego". Rozmawiałem niedawno z takim młodym prozaikiem, autorem paru książek o wsi wydanych w latach schematyzmu, z których przecież jedna rokowała duże nadzieje, gdy idzie o nowatorstwo artystyczne przedstawionych w niej koncepcji. Spytałem go, kiedy zamierza opublikować nowy tom o wsi, dokumentujący odkrywcze spojrzenie na jej sprawy, konflikty i realia — ma przecież do tego wszelkie dane: znajomość środowiska, wprawę w jego analizie, interesująco zapowiadające się rzemiosło literackie. Skrzywił się: „Panie, ja mam »wiejskiego tematu« potąd — i przeciągnął palcem po podbródku. — To nie dla mnie. Niech się inni w to bawią, jeśli mają ochotę wymieniać jedne schematy na inne. Ja nie".

Uderzył mnie w tej wypowiedzi zwrot o wymianie schematów, która musi towarzyszyć wszelkiej literackiej

uprawie „tematu wiejskiego". To jest najbardziej niepokojące: przekonanie, że o wsi nie da się inaczej pisać, jak tylko wedle pewnych apriorycznych schematów, oddzielających apodyktycznie chłopskie dobro od zła — jeśli się nie chce popaść w drugą skrajność i powtarzać pacierzy za uznanymi, renomowanymi klasykami literackimi. Nowatorstwo, eksperyment artystyczny jest — w przekonaniu wielu — czymś nie do pomyślenia przy „temacie wiejskim", skazanym na ciągłe paradowanie w uświęconych tradycją kostiumach literackich. A przecież za jeden z nielicznych pewników wiedzy o literaturze trzeba uznać tezę, że nowe treści wprowadzane do poezji, prozy, dramatu muszą prędzej czy później pociągnąć za sobą nowe, specjalnie dla nich skonstruowane bądź przystosowane formy artystyczne.

Zapewne — i tak sądzą niektórzy — odrodzenie „tematu wiejskiego" mogłoby przyjść od strony najbardziej obiecującego, lecz najbardziej kapryśnego gatunku literackiego współczesności — od strony reportażu. Potwierdza ów pogląd wciąż wahająca się na granicy reportażu i opowiadania twórczość Józefa Kuśmierka — potwierdza i fakt, że reportaże o sprawach wsi wypełniają często najciekawsze strony magazynów i periodyków literackich. Tylko że w tych reportażach — zgodnie zresztą z ich literacko-publicystycznym profilem — najważniejszą rolę odgrywają fakty, nie zaś ich artystyczna obróbka, sprowadzająca się często wyłącznie do atrakcyjnego, naśladowanego z filmu, zestawiania zdarzeń i postaci i przeplatania ich rdzennie już dziennikarskim komentarzem. Reportaż — tak przynajmniej sądzę — może więc tylko dostarczyć materiału, stworzyć faktograficzną bazę dla odrodzenia „tematu wiejskiego", ale sam takiego odrodzenia sprowokować nie potrafi, bo jest na to — artystycznie rzecz biorąc — jeszcze za słaby.

Odrodzenie „tematu wiejskiego" może bowiem, w moim przekonaniu, spowodować jedno, bardzo zresztą trudne, wręcz nawet niemożliwe do natychmiastowego zdobycia i utrwalenia: potraktowanie przez pisarzy sprawy wsi w literaturze bardzo pryncypialnie i na serio, a nie jako okazji do snucia wspomnień (skądinąd bardzo interesujących i cennych!) z lat dziecięcych i młodzieńczych bądź do budowania apriorycznoschematycznych konstrukcji, stanowiących przedziwny zlepek arealistycznej utopii z apodyktycznym moralitetem. Porzućmy przekonanie, że pisanie o wsi wymaga jakiegoś specjalnego języka, nie stosowanego w żadnym innym rodzaju literatury i zbliżającego, w sądach niektórych pisarzy i krytyków, zwłaszcza prozę chłopską do piśmiennictwa dla dzieci i młodzieży, bardzo przydatnego społecznie i równouprawnionego (przynajmniej w teorii) artystycznie, ale — i n n e g o. Tymczasem owa ezoteryczna, pokrywająca się właściwie z literackim gettem, i n n o ś ć „tematu wiejskiego" jest fikcją i to fikcją szkodliwą, która sprowadza na manowce, bądź nawet odstrasza od spraw wsi wielu zdolnych i utalentowanych pisarzy. A oni przecież są najbardziej powołani do ideowej i artystycznej rehabilitacji szczególnie powieści i nowelistyki wiejskiej, do przywrócenia jej należnego, poczesnego miejsca w polskiej literaturze współczesnej.

Ale jak to zrobić? Ba, oto jest pytanie! I nie sądzę, by moje uwagi, natchnione brzydką intencją rozpętania burzy (choćby to nawet miała być burza w przysłowiowej szklance wody) wokół „tematu wiejskiego", winny zawierać dokładnie wypracowaną w najdrobniejszych szczegółach recepturę na przełom w literaturze o wsi — byłaby to bowiem praktyka bliźniaczo podobna do wyklinanych, i słusznie, magicznych obrzędów krytyki wojującego schematyzmu. Chciałbym natomiast, by na temat „tematu wiejskiego" i możliwości przywrócenia mu godziwego miejsca w literaturze współczesnej wypowiedzieli się ludzie najbardziej nim zainteresowani: pisarze, krytycy, działacze społeczni i kulturalni, nauczyciele, a przede wszystkim czytelnicy. Weźmy wszyscy pod obstrzał „temat wiejski", zasługuje on na to — i bardzo!

Zbigniew Pędziński

TADEUSZ MIKULSKI

Iwan Pawłow: „Fakty są powietrzem dla uczonego". Tomasz Mann: „Nie lękając się ściągnąć na siebie zarzutu pedanterii, skłaniamy się raczej ku poglądowi, że prawdziwie zajmująca jest rzecz gruntowna". Te dwa znamienne zdania cytował w przedmowie do zbioru swoich artykułów i rozpraw *Ze studiów nad Oświeceniem, zagadnienia i fakty* (Warszawa 1956) zmarły 26 sierpnia Tadeusz Mikulski, profesor historii literatury polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jakoż były to dewizy, którym Tadeusz Mikulski posłuszny był we wszystkich swoich pracach. Wydana w roku 1933 dysertacja doktorska (Mikulski złożył ją w roku poprzednim, mając lat ledwie dwadzieścia trzy) *Ród Zoilów — Rzecz z dziejów staropolskiej krytyki literackiej* imponuje, wręcz przygniata nagromadzonym materiałem z obszaru literatury polskiej do okresu Oświecenia. Książka utkana jest z samych faktów — a prawdziwie zajmująca, bo gruntowna aż do barokowego przepychu wyjaśnianych aluzji i filiacji.

W całej pełni wszakże ujawniło się stanowisko badawcze Mikulskiego w latach powojennych, kiedy poświęcił się przede wszystkim studiom nad Oświeceniem i nad wrocławskimi peregrynacjami literatów polskich. Nie były to lata szczęśliwe dla miłośników ścisłości faktograficznej. A jednak Tadeusz Mikulski, deklarując się wyraźnie jako marksistowski historyk literatury i współdziałając na terenie zjazdów polonistycznych, Instytutu Badań Literackich i Uniwersytetu Wrocławskiego w rozwijaniu nowego kierunku badań nad literaturą, ani na chwilę nie wyrzekł się swoich trudnych i niewdzięcznych zasad. Jego studia są wzorem sumienności i subtelnej precyzji, erudycji, która nie szuka popisu, a zawsze ujawnia się w potrzebnym momencie. Nie jest przypadkiem, że on to właśnie, w odległym od centrów kulturalnych i naukowych Wrocławiu, stworzył najsilniejszą, najlepiej przygotowaną pracownię polonistyczną. Kiedy przeglądamy sprawozdania Dyrekcji i Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN z ostatnich dwu lat, uderza nas fakt, że jedynym, stale chwalonym i stawianym za wzór działem Instytutu był kierowany przez Tadeusza Mikulskiego dział literatury Oświecenia. Taką pozycję musiał sobie Mikulski wywalczyć, niejednokrotnie spotykając się z ostrymi zarzutami przyczynkarstwa, faktografii (to była kilka lat temu ciężka obelga), unikania zasadniczej problematyki interpretacyjnej. Tym wyżej cenić musimy uparty trud uczonego.

Tadeusz Mikulski, uczeń Ignacego Chrzanowskiego i Stanisława Pigonia, miał jeszcze jeden dar ogromnie cenny, coraz rzadszy pośród naszych polonistów: talent pisarski. Jego *Spotkania wrocławskie*, owoc szperactwa i dłubaniny, są zbiorem czarujących obrazków, wypracowanych naukowo jak niemieckie dysertacje, a lekkich i wdzięcznych jak opowieści rasowego prozaika. Pod względem świetnej umiejętności łączenia najwyższej rzetelności badawczej z urokami stylu i dowcipu można Mikulskiego zestawiać z podziwianym przezeń Wacławem Borowym.

Tadeusz Mikulski był człowiekiem wartości niezwykłej, nieocenionej. Z walorami naukowca i pisarza łączył oso-

biste przymioty człowieka wielkiej skromności i uczciwości. Odszedł w pełni sił, pozostawiając po sobie lukę, której nikt nam nie zapełni.

zn

TOM VII „WSZYSTKICH PISM" CYPRIANA NORWIDA

Dotarł do nas tom dzieł Cypriana Norwida pt. *Pisma polityczne i filozoficzne*, który wypuściła polska Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie w listopadzie 1957 r. Tom zawiera utwory zebrane i ułożone przez Zenona Przesmyckiego (Miriama) i stanowi jedną z części nie dokończonego przez niego wydania *Wszystkich pism* Norwida. Z wydania tego, które składano w Warszawie specjalną czcionką Adama Półtawskiego i które miało się zamknąć w 9-ciu tomach, znane są: *Dramaty* (t. III i IV), *Proza epicka* (t. V) i *Listy* (t. VIII i IX), drukowane w 1937 r., oraz *Pisma o sztuce i literaturze* (t. VI) z 1938 r. Potem został jeszcze złożony tom VII, zatytułowany *Pisma filozoficzne, społeczne itd.* Nakład tego tomu, nie zbroszurowany z powodu braku przedmowy Miriama, spłonął po powstaniu warszawskim w Drukarni Salezjańskiej Szkoły Rzemiosł przy ulicy Lipowej 14.

Londyńskie *Pisma polityczne i filozoficzne* Norwida są właśnie wznowioną edycją spalonego tomu VII *Wszystkich pism*. Obecni wydawcy: Zbigniew Zaniewicki, przyjaciel Miriama, i Kazimierz Sowiński, zmienili jedynie tytuł z *Pism filozoficznych, społecznych...* na *Pisma polityczne i filozoficzne*, uzasadniając zmianę tym, że większość artykułów w zbiorze ma charakter polityczny, a tylko niechęć Przesmyckiego do słowa „polityka" była powodem, iż to określenie nie wystąpiło w pierwotnym tytule.

Artykuły Norwida wraz z całym aparatem krytycznym odtworzono z dochowanego szczęśliwym trafem egzemplarza odbitki korektorskiej, mianowicie: z odbitki do korekty drugiej, złamanej już w kolumny, z naniesionymi poprawkami Miriama (zob. *Uwagi wydawnicze* Sowińskiego). Zaniewicki, który zebrane utwory poprzedza wnikliwą gawędą-przedsłowiem na temat poglądów politycznych i filozoficznych Norwida, wspomina o jedynym ocalałym egzemplarzu warszawskiego wydania tomu VII. Pisze on, że egzemplarz ten znalazł się w piwnicy Przesmyckiego („a i to nie w całości"), że powinien znajdować się w Bibliotece Narodowej w Warszawie, przy czym dodaje, że unikat ten „zaginął pono w zbiorach" Biblioteki.

Tymczasem unikatowy egzemplarz VII tomu *Wszystkich pism* Norwida jest dostępny w Bibliotece Narodowej od 1946 r., tj. od czasu, gdy Stanisław Piotr Koczorowski, przyjaciel Miriama i miłośnik poezji Norwida, wydobył go z gruzów warszawskich i wraz z resztą spuścizny po Przesmyckim oddał na użytek publiczny. Tom VII, jako jedyny znany na prawach rękopisu, przechowuje się w dziale specjalnym pod sygnaturą 6626. Tom ten obejmuje 206 stron liczbowanych, które wypełniają utwory Norwida ze spisem rzeczy na końcu, oraz 1 kartę z notą wydawniczą. W ocalałym egzemplarzu jest luka (o czym wiedzieli wydawcy londyńscy) od strony 5 do 12, na którą przypadają trzy ostatnie wiersze pierwszego artykułu pt. *Głos niedawno do wychodźstwa polskiego przybyłego artysty* i cały drugi artykuł *Zarysy Rzymu*. Luka ta nie jest jednak tak wielka, byśmy nie mogli wysnuć pewnych wniosków po porównaniu wydania warszawskiego z reedycją londyńską.

Wydania różnią się sposobem notowania tytułów poszczególnych artykułów. Różnice te nie leżą w sformułowaniu słownym, ale w odmiennym stosowaniu nawiasów, zwłaszcza nawiasów kwadratowych, które wskazują na dodatki ze strony wydawcy.

Oto w wydaniu warszawskim: [*O modlitwie*. List do p. Konstancji Górskiej], w wydaniu londyńskim: [*O modlitwie*]. List do p. Konstancji Górskiej.

W wyd. warsz.: *Nota (z dziewięciu punktów)* [posłana w lutym r. 1863 gen. L. Mierosławskiemu], w wyd. lond.: *Nota z dziewięciu punktów* (posłana w lutym w r. 1863 L. Mierosławskiemu).

W wyd. warsz.: [*O konieczności organu umysłowego i poruszania się inteligencji* (nota do J. B. Zaleskiego)], w wyd. lond.: [*O konieczności organu umysłowego i poruszania się inteligencji*] (nota do J. B. Zaleskiego).

Przykładów na rozbieżność notowania tytułów podać by można znacznie więcej. Po sprawdzeniu zapisów w pierwodrukach (na ogólną liczbę 44 artykułów wcześniej ogłoszonych było 36) stwierdzamy, że dowolności zachodzą nie gdzie indziej, tylko w wydaniu ostatnim, londyńskim. Przeinaczeń tych nie da się wytłumaczyć błędami egzempla-

rza korektowego, stanowiącego podstawę druku z 1957 r., gdyż w spisie rzeczy tegoż wydania tytuły przytaczane są odmiennie niż na czele artykułów, raczej zgodnie z edycją warszawską, poprawnie.

A gdy idzie o opublikowane teksty? Porównując artykuł *O Idei Reprezentacji* z jego pierwodrukiem w *Ruchu Literackim* i z wydaniem w tomie VII warszawskim, znajdujemy dwa odchylenia i w obu wypadkach na niekorzyść edycji londyńskiej. Zamiast: „Opierając się zaś na prawdach, których królestwo, jakkolwiek nie jest z tego świata, jednakowoż ten świat ostatecznie sprzeciwiać się im nie jest mocen [...]" — mamy to samo z błędem w końcowym członie zdania, gdzie wydrukowano: „[...] ostatecznie sprzeciwiać się mu nie jest mocen" (str. 110). W niedalekim ustępie tej samej rozprawki znowu zamiast: „Reprezentacja w pierwszych Cywilizacji wiekach była symbolem, następnie Ideą: dziś zaś nie tylko symbolem i Ideą, ale Siłą staje się [...]" czytamy zniekształcony tekst: „Reprezentacja w pierwszych Cywilizacji wiekach była symbolem, następnie Ideą: dziś zaś nie tylko symbolem i Ideą, ale Siłą stanie się" (str. 110).

Już tych kilka zauważonych zniekształceń tekstu wystarcza do wzbudzenia nieufności w filologiczną poprawność utworów Norwida w nowoogłoszonym wydaniu. Po dokładnym sczytaniu ich z pierwodrukami i edycją warszawską zapewne niejedno niejasne wyrażenie, jak to ze strony 128: „źle uplasowaną rzeczą", które powinno brzmieć: „źle uplanowaną rzeczą", okazałoby się proste i zrozumiałe.

Po każdym artykule następuje krótka notatka o jego pierwodruku i autografie. I w tych informacjach znajdujemy sporo nieścisłości. Oto po wspomnianym już artykule *O Idei Reprezentacji* dowiadujemy się: „Pierwodruk *w Ruchu Literackim* (za listopad 1933 r. — 268 — 269) z autografu w zbiorach Raperswilskich (Nr obecny 99)", a powinno być, jak w wydaniu warszawskim, co następuje: „Pierwodruk w *Ruchu Literackim* (za listopad 1931 r., str. 268—270) — z autografu w zbiorach Raperswilskich (Nr obecny 997)".

Wytykając niedociągnięcia natury filologiczno-edytorskiej nie chcemy wcale powiedzieć, że wydanie *Pism politycznych i filozoficznych* Norwida jest nie na czasie albo, że jest to impreza wydawnicza, która nie interesuje czytelnika.

I owszem. Nawet w wywodach Norwidowych przeintelektualizowanych, do których zaliczamy artykuły w rodzaju *Zmartwychwstanie narodu, Rasa, naród, ludzkość i życie, O pojęciu koła* czy *Memoriał o prasie*, znajdują się zdania tak mocne, że zdolne są poruszyć wyobraźnię czytelnika i skierować jego myśli do zastanowienia się nad niejedną ważną sprawą. Czyż nie zwraca naszej uwagi, a zarazem i nie pobudza naszej woli Norwid, gdy pisze: „Bo nie od środków do życia życie, ale od życia środki doń i sposoby bezpośrednio zawisły. A tych nie brak nigdy, dopóki życia tylko nie brak" (str. 46 — 47).

Zresztą nie tylko „norwidologowie" i czytelnicy świadomi swoich wymagań od literatury, lecz również młodzież szkół średnich powinna mieć łatwy dostęp do autora, którego myśli i dziś są aktualne, który niezmiernie trzeźwo patrzył na rozlew krwi powstańczej *(Poznańskie 1846 — 1848)* i który tak głęboko pojmował zagadnienie pracy *(Do Spartakusa — o pracy)*.

Czy więc nie należałoby podjąć inicjatywy rodaków z Londynu i u nas wydać także tom VII *Wszystkich pism* Norwida, tylko zrobić to z większym pietyzmem dla słowa autora, dla autora, który, mimo uznanej nieprzeciętności i mimo 75-ciu lat, jakie minęły w tym roku od jego śmierci, czeka jeszcze na pełną recepcję. Tom nasz można by wzbogacić niedawno wyszperanym przez Franciszka Bielaka w *Kurierze Wileńskim* z 1862 r. Norwidowym nekrologiem poświęconym Walentemu Zakrzewskiemu, ogłoszonym na nowo *w Tygodniku Powszechnym* z 12 stycznia 1958 r. Tom ten znalazłby na pewno chętnych nabywców.

Jadwiga Rudnicka

NA MARGINESIE...

Lubelska *Kamena* wydała niedawno obszerny, ilustrowany przez Marię Hiszpańską numer jubileuszowy. Była to (i jest!) okazja do zastanowienia się nad trzema sprawami: 1) ciekawymi okolicznościami powstania tego żywotnego organu literackiego; 2) jego ćwierćwiekowymi dziejami; 3) perspektywami dalszego rozwoju.

*

„Z pałaców sterczących dumnie znijdź, piękna, do mojej chatki" — takie schillerowsko-mickiewiczowskie zaproszenie zwróciliśmy niegdyś do Kamen-Muz, najpierw Kazimierz Andrzej Jaworski ze swej chatki chełmskiej, nieco później piszący te słowa z ostrzeszowskiej sadyby. Pałace sterczące dumnie — to przede wszystkim *Skamander* i *Wiadomości Literackie*. Już wtedy nazwałem *Okolicę Poetów* skromną izbą komornicy, przypominając słowa Karola Huberta Rostworowskiego z *Niespodzianki:* „Bo ten, komu domem światy, nie widzi większej różnicy między domem komornicy a taką olbrzymią salą, gdzie się lamp tysiące palą".

Tak zaczyna swój piękny artykuł w jubileuszowym numerze *Kameny* założyciel *Okolicy Poetów* i szkoły autentystów, Stanisław Czernik. I zaraz dodaje: „A jeśli o chatkach i komorniczych izbach mowa, warto przypomnieć, że w tym czasie, a nawet nieco wcześniej, Kameny w wieśniaczych strojach zachodziły do pewnej stodółki wiejskiej, gdzie w porze letniej mieściła się redakcja miesięcznika *Wieś — Jej Pieśń*. Było to w Naprawie, tam gdzie »grypa szaleje«, a założyciel, Antoni Olcha, skupiał chłopskich poetów najrozmaitszego kalibru".

Oto więc mapa sytuacji literackiej z lat trzydziestych — wyrysowana jasno. Nie istniały już wtedy dumne pisma awangardowe, które w poprzednim dziesięcioleciu wstrząsały polskim życiem literackim, jak np. *Zwrotnica* czy *Linia*. Dyktatorską funkcję spełniały literacko-tradycjonalistyczne *Wiadomości Literackie, Pologne Littéraire* oraz (ukazujący się już raczej nieregularnie) *Skamander*. We Lwowie z uporem i wysiłkiem kontynuowały swą pracę *Sygnały*, w Krakowie powstawały i gasły *Tygodnik Artystów, Gazeta Artystów, Gazeta Literacka*, później nieco *Nasz Wyraz*. Pewna część pisarzy skupiała się dokoła dodatków literackich niektórych pism codziennych *(Kurier Poranny, Czas, Robotnik)* czy pism na wpół oficjalnych, lecz ze śmiałymi i szlachetnymi porywami *(Pion, Droga)*. W tych warunkach eksperyment podjęty przez zapaleńców z Chełma Lubelskiego, Ostrzeszowa i Naprawy był zdumiewający i godny jest zapamiętania.

Tym trudniejsze było porywanie się na wydawanie czasopism przede wszystkim poetyckich. Trudne okoliczności powstania *Kameny* przypomina w numerze jubileuszowym Wacław Mrozowski. Pierwszy numer zawierał wiersze pięciu poetów: Franciszki Arnsztajnowej, Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Antoniego Madeja. Później przewinęli się przez karty *Kameny* niemal wszyscy wybitniejsi poeci ówczesnego pokolenia: J. Przyboś, M. Jastrun, St. R. Dobrowolski, B. L. Michalski, J. Kurek, Cz. Janczarski, S. Piętak, G. Timofiejew, L. Rytard, A. Maliszewski. *Kamena* wydawała specjalne numery poświęcone poezji francuskiej (Zb. Bieńkowski, J. Rogoziński), czeskiej (w opracowaniu A. Madeja), słowackiej, rosyjskiej. Na łamach *Kameny* jej redaktor K. A. Jaworski zapoznał polskich czytelników z Jarosławem Nezvalem. Nie lękano się nagonek ze strony prawicowej.

Śmiałą było rzeczą wydawanie czasopisma w maleńkim Chełmie. Przecież nawet nie w Lublinie ukazywała się ówczesna *Kamena*, ale w powiatowym mieście 30-tysięcznym. Dwaj profesorowie Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski, podjęli ten eksperyment regionalny. „Przez sześć lat borykania się z trudnościami finansowymi, dokładając z własnej kieszeni do każdego numeru, »romantyczni filantropi« nie rezygnowali z ambitnych zamierzeń kontynuowania miesięcznika. A często bywały chwile niemal tragiczne" — pisze wymownie Wacław Mrozowski.

Francja dzisiejsza ma też swe maleńkie wydawnictwa regionalne, *„revues"* poetyckie, w 10-tysięcznych miasteczkach. Czasem giną one po kilku numerach, czasem stają się zalążkiem poczynań o dużym znaczeniu, jak np. słynny zrazu poetycko-awangardowy *Divan*, który się z czasem stał najpoważniejszym ośrodkiem badań stendhalowskich. Ale warunki powstawania tego rodzaju wydawnictw są we Francji łatwiejsze niż były u nas. Mimo to, ogółem biorąc, rezultaty są u nas donioślejsze, plony kulturalne — obfitsze. Można mówić o częściowym przynajmniej zrealizowaniu marzeń Żeromskiego, snutych w *Snobizmie i postępie* czy *Przepióreczce* na temat zapełnienia luk i „białych plam" naszego życia kulturalnego. Tak więc przypomnienie sobie warunków, w jakich narodziła się *Ka-*

mena (oraz *Okolica Poetów* i *Wieś — Jej Pieśń*) jest bardzo dla nas pouczające: wytrwałość, silna wola, wysiłek kilku jednostek (które tylko tą sprawą żyły), wyraźnie postawione zadania poetyckości i regionalizmu, program w szerokim znaczeniu tego słowa awangardowo-poetycki, nieliczenie się z trudnościami i nagonkami — to wszystko zapewniło sukces trzem śmiałym i na pozór szaleńczym eksperymentom.

*

Podczas wojny 1939—1945 Zenon Waśniewski ginie w obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, Kazimierz Andrzej Jaworski powędrował za druty Oranienburga i cudem tylko ocalał.

Pierwsze numery odrodzonej *Kameny* w roku 1945 powróciły do przedwojennego układu, formuły i programu. *Kamena* była znów miesięcznikiem poetyckim, regionalnym, a zarazem ogólnokrajowym, tyle że już lubelskim, zamieszczała wiersze i przekłady poetyckie, eseje i recenzje. Szkoda, że owe pierwsze lata powojenne, już nieco zatarte w naszej pamięci, nie znalazły dostatecznego odzwierciedlenia w numerze jubileuszowym. Wychodziło wtedy na Lubelszczyźnie drugie jeszcze pismo, ciekawie i z rozmachem redagowany *Zdrój* (J. N. Kłosowskiego). Później nastąpiła jakby „synteza", duże zasługi położyła przy rozbudowie pisma, obok red. K. A. Jaworskiego — Maria Bechczyc-Rudnicka. W najtrudniejszym okresie administrowania kulturą umiała *Kamena* bronić swej śmiałej i godnej postawy. Właśnie na jej łamach można było omawiać utwory poetów gdzie indziej przemilczanych, jak Tadeusz Różewicz. Zwolna jednak przemieniało pismo swój kształt: z miesięcznika stało się dwutygodnikiem, dawną formę zeszycików *„in octavo"* zastąpił format gazetowy (co nie wymaga interwencji introligatora, a więc bardzo przyspiesza „proces produkcji"). I chociaż to wszystko ma swoje ogromne zalety, żałuję chwilami dawnych, trudniejszych może do rozprowadzania, zeszycików.

*

W artykule *Jubileusz*, zamieszczonym w jubileuszowym numerze *Kameny*, Zbigniew Pędziński wytyka *Kamenie* zbyt mały udział — „nie z wyłącznej winy samej *Kameny*" — w ogólnopolskich dyskusjach i sporach kulturalnych. Muszę się przeciwstawić zawartym tutaj sugestiom. Owe „ogólnopolskie dyskusje i spory kulturalne" o wiele mniej budzą zainteresowania wśród czytelników niż rzeczowe omawianie spraw konkretnych. Hucznie wychwalane „dyskusje i spory" mają bowiem albo charakter czysto personalny, albo frazeologiczny i w złym sensie „polonistyczny". „Tym zbyt małym udziałem" tłumaczy Pędziński niedostrzeganie *Kameny* w przeglądach prasy wpływowych tygodników. Sądzę, że przyczyny bywają inne. Przeglądy prasy są w naszych literackich czasopismach (z wyjątkiem *Kierunków*, *Twórczości*, *Życia Literackiego* i *Orki*) najsłabszymi, najgorzej prowadzonymi i najmniej czytywanymi rubrykami. Przesiewa się tam wiecznie tę samą sieczkę lub piasek, piasek, piasek... Żaden istotny problem, żaden prawdziwy i rzetelny wysiłek nie zostaje tam omówiony czy choćby zarejestrowany. Dlatego byłoby jak najbardziej niesłuszne — uwzględnianie gustów i potrzeb „przeglądaczy prasy". *Kamena* powinna iść własną swą drogą i pełnić funkcje, które tak pięknie dotychczas realizowała. Jej zadania są, jak mi się wydaje, dwojakie i niezmiernie ważne: z jednej strony chodzi o to, by skupiać dokoła pisma możliwie największą ilość poetów oraz krytyków poezji; z drugiej — służyć potrzebom lubelskiego regionu. Regionu niezmiernie wartościowego i żyznego; regionu, w którym podobno najpiękniej (obok ziemi radomsko-kieleckiej) i najczyściej brzmi polska mowa; regionu, który wydał poetów tej miary, co Józef Czechowicz, który szczyci się bogatym zasobem najpiękniejszych tradycji.

Wojciech Natanson

NOWE ENCYKLOPEDIE NIEMIECKIE

Dwa największe wydawnictwa zachodnio-niemieckie: S. Fischer we Frankfurcie i Rowohlt w Hamburgu — wydają encyklopedie, które są bardzo ciekawym eksperymentem. Specyfika tych edycji polega na tym, że różnią się od konwencjonalnego typu dawnych leksykonów w swojej konstrukcji, a poza tym na ich masowym charakterze.

Tytuł pierwszej encyklopedii brzmi: *Das Fischer Lexikon. Enzyklopädie des Wissens*. Ogółem będzie ona liczyła 34 tomy, z których dotychczas ukazało się

osiem. Każdy tom, o objętości 350 — 400 stron, ukazuje się w nakładzie około stu tysięcy egzemplarzy i kosztuje 3,30 DM (normalna książka w płóciennej oprawie kosztuje przeciętnie od 10 do 15 marek). Format książek jest „kieszonkowy", papier dobry, okładka z lśniącego kartonu.

Układ encyklopedii jest metodyczny, każdy tom (niekiedy dwa) obejmuje oddzielną dziedzinę wiedzy. Dotychczas wyszły z druku: *Muzyka, Astronomia, Psychologia, Państwo i polityka, Gospodarka, Polityka zagraniczna* i dwa tomy poświęcone religiom.

Układ encyklopedii zilustrujemy na przykładzie tomu *Muzyka*. Książka zawiera tylko hasła rzeczowe, brak w niej biografii. Nazwisko Beethovena — jak nas poucza indeks — powtarza się na przykład kilkanaście razy. Znajdziemy je w hasłach: „aria", „chorał", „koncert", „kontrapunkt", „rytmika", „sonata", „symfonia" itd. Poszczególne artykuły mają układ systematyczny, niekiedy historyczny. Podstawą systematyki jest podział na muzyczne gatunki.

Encyklopedia Rowohlta różni się wielce od leksykonu Fischera. Jej układ jest płynny i często rozbija ramy encyklopedii. Rowohlt wydał dotychczas około 70 tomików, których większość to rozprawy naukowe, pisane bądź specjalnie dla tej edycji, bądź też publikowane dawniej, niezależnie od leksykonu. Takie tomy, jak *Rewolucja we współczesnej sztuce, Droga Azji do Europy, Amerykanie — studium z dziedziny psychologii narodów, Śmierć Sokratesa, Sztuka i mit*, niewiele wspólnego mają z tym, co nazywamy encyklopedią. Edycję Rowohlta można nazwać serią lub cyklem naukowych książek dotyczących najrozmaitszych zagadnień życia ludzkiego. Cykl ten można oczywiście kontynuować bez końca i trudno dziś przewidzieć, czy będzie on liczył sto tomów, czy czterysta. Na liście autorów encyklopedii spotykamy nazwiska wybitnych uczonych, filozofów, pisarzy i publicystów z całego świata.

Każdy tomik liczy co najmniej dwieście stron i kosztuje 1,90 DM, podwójny — 3 marki. Nakład: 100 000 egzemplarzy.

rk

W SPRAWIE „INTERLOKUCJI PAPIESKIEJ DO KRASZEWSKIEGO"

Do Redakcji *Twórczości!*

W 7 nr. miesięcznika *Twórczość* z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Antoniego Trepińskiego pt. *Interlokucja papieska do Kraszewskiego*. Nie z mojej winy trapi mnie kilka refleksji dyskusyjnych, które jako marginalia historyczne niewątpliwie zainteresują czytelników.

Autor poruszył w artykule sprawę dotąd przez biografów Kraszewskiego krytycznie nie zbadaną. Znaną literaturę przedmiotu wyczerpał autor w całej rozciągłości, o czym świadczą spiętrzone w tekście cytacje z pamiętników współczesnych. Nowych materiałów źródłowych autor nie odkrył. Kwerendy zawiodły. To się zdarza. Wtedy z braku realiów (dokumentów) otwieramy sobie szeroką furtkę do mitów — apodyktycznych uogólnień, pewni bezkrytycznej ich aprobaty ze strony czytelnika. Nie piszę tego jako polemicznej zaczepki. Oddajmy głos autorowi, który w zakończeniu artykułu tak pisze:

„Kraszewski kreślił w tym czasie syntetycznie swe wspomnienia z różnych podróży do Włoch w pamiętniku pt. *Noce bezsenne*. Nigdy jednak, w żadnym utworze przeznaczonym do druku ani w korespondencji nie napomknął konkretnie o przygodzie z roku 1858, poza niedomówieniami, jak w liście do Podwysockiego, przyjaciela z Podola: »Nie chcę ci tego opisywać — kiedyś ci to opowiem«." (Podkreśl. moje.)

Nigdy! Frapujący, nieoczekiwany, prowokujący wynik poszukiwań — notuje czytelnik. Mają Francuzi przysłowie... Nie, nie! Nie chcę śmiać się — ostatni! Idzie mi o prawdę historyczną. Twierdzenie autora, że Kraszewski „nigdy... ani w korespondencji nie napomknął" o audiencji u papieża Piusa IX, uważam za subrepcję — błąd w dowodzeniu. To niebezpieczny potrzask dla historyka, a cóż dopiero dla publicysty.

Odpowiadam: Kraszewski „napomknął", Kraszewski zrelacjonował „przygodę z roku 1858" w liście, a więc jednak w korespondencji (!), pisanym z Żytomierza pod datą 29 marca 1859 do przyjaciół w Wielkopolsce. To jednak coś więcej niż „niedomówienia".

Nie tylko książki i listy mają swoje fata.

Ponure lata okupacji niemieckiej zagnały mnie do Miłosławia, powiatu wrzesińskiego. *Barbarus teutonicus* nie oszczędził, jak w całej Polsce, biblioteki i archiwum korespondencji prywanej Kościelskich. Obozujący w pałacu żołnierze hitlerowscy zamienili jeden z pokoi w małe cmentarzysko biblioteki i archiwum. Otóż tam — w Miłosławiu, w 1943 r. wygrzebałem z gruzu i śmieci, zniszczonych obrazów, albumów, podartych na strzępy książek i listów — nieznany list Kraszewskiego, pisany na marginesie „interlokucji papieskiej". (Przyszłemu biografowi pisarza musimy pozostawić trud ustalenia, czy list z dnia 29 marca 1859 jest jedyną relacją Kraszewskiego o „przygodzie z roku 1858".)

Sporządzony przeze mnie w latach okupacji odpis listu Kraszewskiego przesłałem w 1957 r. redakcji *Nowej Kultury*. Redakcja, dziękując mi „za wiadomość o cennym dokumencie", pisze: „Odpis listu Kraszewskiego prze-

syłamy równocześnie do Instytutu Badań Literackich w Warszawie" (list *N.K.* z dnia 12.V.1957 r.).

Dlaczego odpis listu?

W czerwcu 1943, w obawie przed rewizjami domowymi, jakich władze niemieckie nie szczędziły Polakom, oryginał listu Kraszewskiego wręczyłem z prośbą o przechowanie mieszkance Miłosławia, p. Marii Idelzowej. Ufaliśmy zawsze jej wypróbowanej czujności. Opuszczając po wyzwoleniu Miłosław prosiłem o zwrot depozytu. W odpowiedzi usłyszałem już tylko słowa: „Bardzo przepraszam, list Kraszewskiego gdzieś mi się zapodział". Jestem przekonany, że list Kraszewskiego z dnia 29 marca 1859 — o c a l a ł. Ileż to starych druków z biblioteki Kościelskich jeszcze dziś przechowują mieszkańcy Miłosławia!

„Interlokucja papieska" — to szeroki margines biografii i twórczości Kraszewskiego. Pisali na nim swoje k o m e n t a r z e świadkowie i nie-świadkowie audiencji Kraszewskiego u papieża Piusa IX. Jego przyjaciele i przeciwnicy — koterie i sykofanci. Jednym i drugim zaufał autor artykułu. To jego — „przygoda".

Po Częstochowie... nie widzę przeszkód do opublikowania a u t e n t y c z n e g o listu Kraszewskiego na łamach Archiwum *Twórczości. Audiatur et altera pars!* — słyszę głos pisarza i — Człowieka. Po stu latach! Kiedyż nareszcie doczeka się Kraszewski swego Kallenbacha — Pigonia — Krzyżanowskiego?!

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania

Hieronim Pawlicki

A PROPOS KRYTYKI ELIOTA

Do Redakcji *Twórczości!*

W artykule pt. *Eliot jako krytyk* w czerwcowym numerze *Twórczości* p. Bronisław Wiśniowski wyraża opinie, które wymagają komentarza. Ogólnie biorąc, p. Wiśniowski stawia tezę, że Eliot zaleca konserwatyzm formalny w poezji, że ogranicza się do formalnej strony literatury i nie docenia roli treści i intelektu oraz że jest jednostronny i tendencyjny, a nawet złośliwy i niesprawiedliwy w ocenach np. Miltona i Byrona.

Sam p. Wiśniowski słusznie zauważa, że Eliot najwięcej miejsca poświęca poetom i problemom poetyckim, które są mu bliskie jako poecie. Nie powinien się więc dziwić, że w esejach z tej dziedziny Eliot zasadniczo porusza kwestie języka i formy: jak każdy rasowy poeta, miał on tematów pod dostatkiem, trudność polegała na wyszukaniu odpowiedniej formy wyrazu. Stąd jego analizy bliskich mu poetów od strony formalnej. Od Dantego, Szekspira i Donne'a uczył się techniki operowania słowem, ale nie szukał stosownych tematów do „wierszowania".

Eliot i Ezra Pound, twierdzi p. Wiśniowski, są przeciwni „wszelkim radykalnym zmianom form poetyckich". Równie dobrze można twierdzić, że obrazy Picassa z okresu kubizmu są żenująco naturalistyczne. Wiele bowiem można obu poetom zarzucić, ale w żadnym razie nie można ich posądzić o kurczowe trzymanie się tradycyjnych form ekspresji. Jeżeli można komuś przypisać odświeżenie i zrewolucjonizowanie poezji angielskiej XX w. pod względem i formy, i t r e ś c i, to właśnie Eliotowi do spółki z Poundem i Yeatsem, tak jak na początku XIX w. odświeżyli ją romantycy z Wordsworthem i Coleridge'em na czele. Pozycję swoją w literaturze angielskiej poezja Eliota zawdzięcza innowacjom i w formie, i w treści, które są bezpośrednim wyrazem naszej współczesnej *condition humaine*. Dla pełności obrazu należy dodać, że Eliot nigdy nie ulegał modnym hasłom modernizmu: w przedmowie z r. 1928 do wierszy wybranych Pounda stwierdza, że *„The poem which is absolutely original is absolutely bad"*. Jest gorącym wyznawcą tradycji i ciągłości w literaturze, o czym dostatecznie świadczy esej pt. *Tradition and the Individual Talent*, nie koliduje to jednak z twierdzeniem,

że jest poetą na wskroś współczesnym. Jeżeli zgodzimy się, że Eliot nadał nowy kierunek poezji angielskiej, trudno będzie poprzeć opinię, jakoby Eliot miał przypisywać „zbyt małe znaczenie intelektualnej i poznawczej treści dzieła poetyckiego". Jest to trochę dziwna ocena krytyka, który, zdaniem p. Wiśniowskiego, przyczynił się do powstania szkoły krytyki literackiej o „rygorystycznych założeniach artystycznych". W przytoczonym powyżej kluczowym eseju *Tradition and the Individual Talent* Eliot pisze: *„Poetry is not a turning loose of emotion, but an escape from emotion; it is not an expression of personality, but an escape from personality"*. Jak zresztą w całej twórczości Eliota, widać tu nieufność do romantycznych wywnętrzeń i pochwałę klasycznego i *ipso facto* intelektualnego stosunku do sztuki. O „świadomie nieuporządkowanym ładunku myślowym" w jego wierszach może mówić tylko ktoś, kto je nie bardzo zrozumiał. Czy zresztą w słowie „świadomie" nie kryje się wyznanie, że mamy do czynienia z poetą o upodobaniach intelektualnych?

W artykule swoim p. Wiśniowski kilkakrotnie posługuje się słowem „faszyzm". Wiadomo, że Eliot nie jest zapalonym entuzjastą demokracji, ale trudno posądzać go o poglądy zbliżone do faszyzmu. Co najwyżej można zauważyć, że darzy on szczególną sympatią średniowieczny chrześcijański system hierarchiczny i poglądy te nie wywodzą się, jak chce p. Wiśniowski, z rzekomego umiłowania tradycjonalizmu poetyckiego, lecz z samej wiary chrześcijańskiej, która, co ważniejsza, nie miała decydującego wpływu na formę jego wierszy ani na jego sądy literackie. Warto tu wspomnieć, że Eliot jest autorem wiersza *Marsz tryumfalny*, którego na pewno żaden *Uebermensch* nie chciałby wpisać do swego sztambucha. Warto też nadmienić, że Eliot przypisuje wielką wagę swym dramatom właśnie dlatego, że są one, jego zdaniem, najefektowniejszym sposobem przemawiania do szerokich mas publiczności. Nie oznacza to, że Eliot zajmuje się popularyzowaniem dla „ciemnych mas", jak to nieraz czynią pisarze o bardziej „liberalnych" lub też bardziej elitarnych i „faszystowskich" poglądach. Pisze je i dlatego, że jest głęboko wrażliwy na s p o ł e c z n e zadanie sztuki.

Jeszcze bardziej zaniepokojony jestem twierdzeniem p. Wiśniowskiego, że *Murden in the Cathedral* jest „obroną faszyzmu". Wydaje mi się, że autor artykułu po prostu nie zrozumiał treści tej sztuki, biorąc morderców Becketa za jej bohaterów. Jeden z nich bowiem tak usprawiedliwia mord: „...Są czasy, kiedy przemoc jest jedynym sposobem uzyskania sprawiedliwości społecznej", a drugi dowodzi z wyrafinowanym cynizmem, że był to wypadek samobójstwa w następstwie pomieszania zmysłów. Jeżeli zaś sam Becket ma być wcieleniem faszyzmu, określenie to traci wszelkie znaczenie, chyba że faszystą jest każdy, kto cierpi i ginie od zbrojnej ręki za swe przekonania.

P. Wiśniowski kilkakrotnie daje do zrozumienia, że krytyki Eliota są pełne uprzedzeń i że w stosunku do Miltona i Byrona stają się otwarcie złośliwe i krzywdzące. Zważywszy, że Eliot, jak zresztą każdy odkrywczy poeta, był zaangażowany w różne spory literackie, można jedynie podziwiać rozpiętość jego zainteresowań oraz umiar, trafność i sprawiedliwość jego literackich sądów. Nie ma wielkiego poety angielskiego, o którym Eliot nie ma czegoś ciekawego i konstruktywnego do powiedzenia. Pomijam tu poetów obcych, poetów średniej miary i poetów, których właśnie jego krytyka wskrzesiła z zapomnienia; pomijam też eseje poruszające ogólne zagadnienia literackie, zahaczające o filozofię, religię itp. Wszystkie te tematy p. Wiśniowski znajdzie w zbiorze pt. *Selected Essays* z r. 1932, który zdaje się uszedł jego uwagi.

Przechodząc do krytyki Miltona i Byrona należy stwierdzić, że są to dwa zupełnie różne zagadnienia. Przede wszystkim w *On Poetry and Poets* znajdują się dwa eseje o Miltonie. W pierwszym, z r. 1936, młody stosunkowo Eliot, tworzący własną poetykę, burzy ustalone hierarchie, tak jak je np. burzył swego czasu Mickiewicz, jak je burzyli skamandryci i awangardyści. Przeciw Miltonowi walczy jak równy z równym; uszczypliwych uwag osobistych w tym eseju trochę jest, ale nie one, jak myśli p. Wiśniowski, stanowią centrum ataku. W drugim eseju, napisanym j e d e n a ś c i e lat później, Eliota, mającego swój dorobek poetycki za sobą, stać na mniej cierpki, a nawet i ciepły ton: wyraża uznanie dla talentu Miltona, ale robi to jakby pod przymusem.

Natomiast esej o Byronie, który tak zgorszył p. Wiśniowskiego, napisany był

na zamówienie, jako kawałek rutynowej pracy krytycznej, i Eliot jako poeta, wydaje mi się, nie był w niej bezpośrednio zaangażowany. W przeciwieństwie bowiem do p. Wiśniowskiego Eliot nie uważa Byrona za równego Miltonowi, za twórcę o ustalonym autorytecie, z którego wpływem poetyckim on jako poeta torujący sobie własną drogę musiałby walczyć. Warto zaznaczyć, że w tym eseju (który ukazał się w okresie najbardziej wrogiego stosunku Eliota do Miltona) Eliot pisze: *„Their* (tzn. Miltona i Drydena) *failures... are of a higher kind than Byron's successes...“*. Co więcej, Eliot jest o wiele bardziej przychylny Byronowi, niżby wynikało z artykułu p. Wiśniowskiego. Przypisuje mu zdolność narracyjną (którą w jednym miejscu porównuje z takim mistrzem w tej dziedzinie, jak Chaucer) i dar satyryczny — więcej trudno od rzetelnego krytyka żądać. Argument ten chyba jednak nie zadowoli p. Wiśniowskiego, w którego mniemaniu Byron jest nie doceniany przez swych ziomków. Tu naturalnie tkwi sedno problemu, któremu należałoby kiedyś poświęcić trochę czasu: dlaczego wciąż trwa w Polsce przekonanie, że Byron jest jednym z największych poetów angielskich? Można zrozumieć, dlaczego ta barwna postać wywarła duże wrażenie na Słowackim, Mickiewiczu i Norwidzie, ale czemu przypisać trwanie tego kultu? Wydaje mi się, że dla każdego, kto jest dobrze obeznany z literaturą angielską w oryginale, jest to stosunek niczym nie usprawiedliwiony. Podobnie niezrozumiały jest dla Amerykanina kult Poe'go we Francji.

Adam Czerniawski

O PRZEKŁADZIE

Londyn, 31 lipca 1958

Do Redakcji *Twórczości!*

W zeszycie czerwcowym *Twórczości* znalazłem ciekawe uwagi Zdzisława Najdera pt. *Dumania nad przekładami*. Najder uważa zupełnie słusznie, że tytuł odgrywa „na ogół, a przynajmniej bardzo często, ważną rolę w całości utworu literackiego“. Z tego punktu widzenia analizuje on polskie tytuły, nadawane książkom tłumaczonym z języków obcych.

Sprawa tych tytułów stanowiła nie lada kłopot w naszej literaturze przekładowej nie od dzisiaj.

Skłonny jestem wdać się w polemikę z Najderem, jeżeli chodzi o przekład powieści Hemingwaya *For Whom the Bell Tolls*. Tłumaczyłem wyjątek z tej powieści w czasie wojny na łamach londyńskich *Wiadomości Polskich* (scena walki na wzgórzu), przełożyłem również w r. 1930 *A Farewell To Arms (Pożegnanie z bronią)* Hemingwaya dla „Roju“. Tłumacząc *Bój na wzgórzu* przez 15 laty, zastanawiałem się, jakby oddać tytuł powieści: *For Whom The Bell Tolls*. Doszedłem do wniosku, że jedyna wersja, która odpowiada rytmiką i skanzją, to *Dla kogo dzwoni dzwon* czy *Dla kogo bije dzwon*. Wersja *Komu bije dzwon*, wybrana przez Bronisława Zielińskiego, jest, moim zdaniem, niewłaściwa ze względu na rytm, który występuje tak dobitnie w zdaniu angielskim *„for whom the bell tolls“* i w całej prozie Johna Donne. *Komu bije dzwon* uderza jako coś niedostatecznego, niepełnego. Nie jest to właściwe oddanie ducha i rytmu prozy Donne'a.

The End of the Affair Grahama Greene'a ma bodaj jeden tylko odpowiednik polski, wybrany słusznie przez Jana Józefa Szczepańskiego: *Koniec romansu*. Najder może ma słuszność, że *The End of the Affair* to „coś »szerszego« niż *Koniec romansu*“, ale każda inna wersja polska byłaby nieodpowiednia (*Koniec sprawy* czy coś w tym guście).

Najder wraca do przekładu Erskine'a Caldwella, wydanego w r. 1956 (*God's Little Acre*), krytykując użycie polskiego odpowiednika *Poletko Pana Boga*. Nie wiem, jak można by inaczej przełożyć ten tytuł, który, jak słusznie pisze Najder, jest celowo „dwuznaczny“ — z tym tylko, że zamiast *Poletko Pana Boga* narzucałby mi się tytuł

Boża rola. Zwrotu tego używa się przecież w języku polskim (a nie tylko, jak wywodzi Najder, zwrotu „księża obora"). Mam wrażenie, że tytuł *Boża rola* byłby lepszy niż *Poletko Pana Boga* (określenie „boża rola" znajdujemy nie tylko w języku angielskim, ale i w językach skandynawskich: przekona nas o tym spacer po każdym wiejskim cmentarzu w Szwecji).

Problem tłumaczenia tytułów powieści obcych jest na pewno ważny: w jakiej mierze tłumacz ma prawo zmieniać czy przerabiać tytuł na odpowiednik polski? Swojego czasu tłumaczyłem powieść Kellermanna *Die Stadt Anatol;* wydawało mi się, że celowe i uprawnione jest oddanie tego tytułu przez *Wielkie miasto Anatol*, albowiem w takim ujęciu znajduje się ironiczny posmak, o który autorowi chodziło w omawianiu dziejów małego miasta, które zrobiło karierę przez ropę naftową.

Czy mogę skorzystać z tej okazji i jako stary tłumacz, który przekładał od r. 1929 powieści angielskie, amerykańskie, niemieckie i skandynawskie, wyrazić swoje uznanie i podziw dla pracy nowego pokolenia tłumaczy polskich z języka angielskiego? Przekłady Bronisława Zielińskiego i Jana Józefa Szczepańskiego, o których mówi Najder, są doskonałe i oparte na opanowaniu arkanów języka. Wydaje mi się, że poziom przekładów z języków obcych jest obecnie w Polsce wyższy aniżeli przed wojną. Miło to stwierdzić tłumaczowi, który przed 30-tu laty zaczynał karierę i popełnił na pewno wiele błędów w swojej pracy.

Zbigniew Grabowski

CZY LITERATURA BRYTYJSKA?

Wiązowna, dnia 8.VIII.58

Szanowny Panie Redaktorze!

Żywiąc zawsze pełny szacunek dla cudzych poglądów i opinii nie chciałbym, według techniki p. Najdera (*Twórczość*, Nr 7/58), oskarżać o anglomanię nawet najbardziej zaślepionego wiebiciela każdej reakcyjnej książki angielskiej. Tym bardziej nie oskarżałbym urodzonego w Polsce pisarza, który ustosunkuje się niechętnie do mniej postępowego piśmiennictwa polskiego, o polofobię. Będę jednak wdzięczny za możność zwrócenia uwagi na to, że nie ma zwyczaju — nie było jeszcze takiego precedensu — nazywania pracy, obejmującej dzieła irlandzkich i szkockich twórców, piszących po angielsku, „literaturą brytyjską". Nie sądzę, aby p. Najder zaprotestował przeciw włączeniu np. Walter Scotta do pracy o literaturze angielskiej dziewiętnastego wieku. A przyjąwszy to założenie, nazywam najlepszymi pisarzami tych, których osobiście za najlepszych uważam, choć urodzili się w Dublinie, w górach Szkocji czy na wybrzeżu Walii i choć ja sam urodziłem się w Anglii...

Obecnie p. Najder z pewnością już przeczytał w lipcowym numerze *Twentieth Century* artykuł Burnsa Singera, młodego stosunkowo krytyka i poety angielskiego. Próbując wybrać „dziesięciu żyjących poetów, których uważałbym za najlepszych" (Singer omawia tylko poetów, piszących po angielsku, włączając Amerykanina Ezrę Pounda), Burns Singer stwierdza, że „Hugh MacDiarmid musi znaleźć się na pierwszym miejscu, a reszta daleko poza nim... jest dziesięciokrotnie wyżej od innych poetów". Stephen Spender, C. D. Lewis, Louis Mac Neice i Dylan Thomas (który, nawiasem mówiąc, jest Walijczykiem) nie znaleźli się wcale na tej liście, nawet nie rozważano ich kandydatury. A nawet p. Najder nie może zarzucić Burnsowi Singerowi marksizmu ani anglofobii.

Uprzejmie prosząc o zamieszczenie tych kilku słów wyjaśnienia na łamach Waszego poczytnego pisma

pozostaję z poważaniem

George Bidwell

PROTESTUJEMY

Płudy, 3 września 1958

Szanowna Redakcjo!

Zwracam się do redakcji *Twórczości* jako do pisma stojącego na straży polskich wartości kulturalnych z prośbą o uderzenie w wielki dzwon z powodu likwidacji Poznańskiej Placówki Sekcji Folkloru Państwowego Instytutu Sztuki oraz analogicznych placówek na Śląsku i na Warmii i Mazurach. Poznańska Placówka, założona przez zasłużone małżeństwo Sobieskich, stworzyła centralę zapisu polskich pieśni ludowych, jednego z najbogatszych i najbardziej urozmaiconych skarbów folklorystycznych w Europie. Zapis kilkuset tysięcy pieśni ludowych, dalsze opracowanie ich i utrwalenie — praca jedynego w swoim rodzaju zespołu muzykologów — utkwiła więc w próżni i robota, znakomita robota naszych naukowców muzycznych, tym samym została zlikwidowana jednym pociągnięciem pióra. Podobno na zlikwidowaniu Placówki Poznańskiej oszczędzono 6 000 zł miesięcznie!

Jestem daleki od spraw muzykologii, ale wiadomość ta, przyniesiona przez prasę, oburzyła mnie do głębi. Proszę, zainicjujcie obronę ludowej pieśni polskiej przed rodzimym barbarzyństwem.

Adam Kozłowski

SPROSTOWANIE

Warszawa, 5.VIII.58

Do Redakcji miesięcznika
Twórczość

W imię koniecznej ścisłości wszelkich podawanych w naszej prasie przyczynków historycznych pragnę sprostować co następuje:

Wspomniana w artykule Stanisława Helsztyńskiego *Przyjazd Przybyszewskiego do Krakowa* (*Twórczość*, zesz. 2/58) dr fil. Zofia Daszyńska-Golińska nie była „siostrą Ignacego", lecz jego bratową.

Z domu Poznańska, była ona wtedy wdową po zmarłym w r. 1890 Feliksie, starszym bracie Ignacego (Golińska — to nazwisko drugiego jej męża).

W niedawno reedykowanych *Pamiętnikach* Ignacego Daszyńskiego („Książka i Wiedza", 1957, t. II, str. 346), w Indeksie nazwisk, znaleźć można potwierdzenie mych informacji.

Anna Kwiatkowska

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Fredro Aleksander — *PISMA WSZYSTKIE.* Wydanie krytyczne. Opracował Stanisław Pigoń. Wstępem poprzedził Kazimierz Wyka. Tom dziesiąty. *KOMEDIE.* Seria druga. IV. *Jestem zabójcą. Z Przemyśla do Przeszowy. Ostatnia wola. Brytan-Bryś.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 458, 4 nl.

Zeleński Tadeusz (Boy) — *PISMA.* Seria druga: tom VIII—XIV. Tom XII. *Stendhal i Balzac.* Tom opracował Jan Kott. Objaśnienia Piotra Kuncewicza. Okładkę projektował Marek Rudnicki, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 662, 2 nl.

— *PISMA.* Seria druga: tom VIII—XIV. Tom XIII. *Obiad literacki. Proust i jego świat.* Tom opracował Jan Kott. Objaśnienia Jana Prokopa. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 449, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Balzac Honoriusz — *KOMEDIA LUDZKA.* VII. Studia obyczajowe. Sceny z życia prowincji. *Urszula Mirouët. Eugenia Grandet.* Przełożyli: Julian Rogoziński, Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 445, 3 nl.

Baudelaire Charles — *Kwiaty zła.* Wybór. Opracował i wstępem opatrzył Mieczysław Jastrun. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 144, 4 nl.

Dickens Karol — *Mała Dorrit.* Księga pierwsza. *Ubóstwo.* Księga druga. *Bogactwo.* Tłumaczyła Wacława Komarnicka. Przedmowa: Irena Dobrzycka. Ilustracje: Phiz. Obwoluta, tłoczenia i karta tytułowa: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; cz. 1 str. 570, 2 nl; cz. 2 str. 497, 3 nl.

Hoffmann E. T. A. — *DZIEŁA WYBRANE. Kota Mruczysława poglądy na życie oraz Fragmenty biografii kapelmistrza Jana Kreislera przypadkiem na strzępach makulatury zachowane.* Tłumaczyła Edyta Sicińska. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich, Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 493, 3 nl.

Szekspir William — *Antoniusz i Kleopatra.* Tragedia w pięciu aktach. Przełożył Roman Brandstaetter. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 227, 1 nl.

— *Dwaj panowie z Werony.* Przełożył Zygmunt Kubiak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 146, 2 nl.

Poezja

Garcia Lorca Federico — *Poezje wybrane.* Wybór opracował i przełożył Jerzy Ficowski. Wstępem opatrzył Stanisław Zembrzuski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 142, 4 nl.

Popowska Jadwiga — *Wiersze.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 59, 1 nl.

Antologie

Antologia romantycznej poezji krajowej (1831—1863). Opracowały Maria Grabowska i Maria Janion. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. (Biblioteka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 263, 1 nl.

Proza

Aldington Richard — *Śmierć bohatera.* Przełożył Karol Bunsch. Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 359, 1 nl.

Capote Truman — *Inne głosy inne ściany.* Tłumaczył Bronisław Zieliński. Obwolutę i karty tytułowe projektował

Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 223, 1 nl.

Colette — *Klaudyna w szkole.* Tłumaczyła Krystyna Dolatowska. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 273, 3 nl.

— *Klaudyna w Paryżu.* Tłumaczyła Krystyna Dolatowska. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 214, 2 nl.

Fallada Hans — *Czyż nie ma powrotu.* Przełożyła z niemieckiego Zofia Petersowa. Obwolutę i stronę tytułową projektował Tadeusz Bogdański. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1958, wydanie I; str. 681, 3 nl.

Kaden - Bandrowski Juliusz — *Generał Barcz.* Powieść. Okładkę projektował Janusz Benedyktowicz .Posłowie napisał Jan Zbigniew Słojewski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 486, 2 nl.

Kossak Zofia — *Bursztyny.* Ilustracje i obwoluta: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 264, 4 nl.

Kozłowska Irena Jadwiga — *Czarne niebo.* Obwolutę projektowała Danuta Konwicka. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 133, 3 nl.

Lanoux Armand — *Major Watrin.* Tłumaczył Tadeusz Evert. Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 352, 4 nl.

Morgan Al — *Wielki człowiek.* Przełożyła Cecylia Wojewoda. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. (Klub Interesującej Książki). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 333, 3 nl.

Parmelin Heléne — *Czarno na białym.* Tłumaczyła Jadwiga Dmochowska. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 642, 2 nl.

Remarque Erich Maria — *Czarny obelisk.* Tłumaczył Adam Kaska. Kartę tytułową i obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 501, 3 nl.

Rudnicki Adolf — *Niekochana.* Ilustrowała Barbara Baranowska. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 91, 1 nl.

Sowińska Stanisława — *Kwiaty łódzkie.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 462, 2 nl.

Tretiakow Sergiusz — *Tien Szy-hua.* Wywiad biograficzny. Przełożył Tadeusz Zabłudowski. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 498, 2 nl.

Wells H. G. — *Historia pana Polly.* Tłumaczyła Róża Czekańska-Heymanowa. Okładka i karta tytułowa: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 270, 2 nl.

Zechenter Witold — *Avaxara.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 174, 2 nl.

Zweig Arnold — *WIELKA WOJNA BIAŁYCH LUDZI. V. Umilkły działa.* Tłumaczyła Wanda Kragen. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 369, 3 nl.

Listy, pamiętniki, wspomnienia

Carco Francis — *Przyjaciel malarzy.* Przełożyła Julia Rylska. Obwolutę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 252, 6 nl.

Satyra

Brudziński Wiesław — *Miniatury.* Ilustrował Jerzy Srokowski. Okładkę projektował Jerzy Srokowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 134, 2 nl.

Mikes George — *Cudze chwalicie...* Ilustracje Nicolasa Bentleya. Przełożył Szymon Laks. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, Wydanie I; str. 227, 1 nl.

SZTUKA

Muzyka

Jarociński Stefan — *Orfeusz na rozdrożu.* Sylwetki muzyków XX wieku. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 258, 2 nl.

Teatr

Allévy - Viala Marie - Antoinette — *Inscenizacja romantyczna we Francji.* Przełożył Wojciech Natanson. Przedmowa Zbigniewa Raszewskiego. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 211, 3 nl, L (ilustracje).

Górski Ryszard — *Bolesław Leszczyński.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 99, 1 nl, 8 knl (ilustracje).

Świetlicka Halina — *Leontyna Halpertowa.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 115, 1 nl, 8 knl (ilustracje).

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Grin Aleksander (Gryniewski) — *Szkarłatne żagle.* Przełożyła Irena Piotrowska. *Złoty łańcuch.* Przełożył Roman

Auderski. Ilustracje i okładka Janusza Grabiańskiego. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 267, 5 nl.

Krajewska Helena — *Paki-pataki.* Ilustrowali: Helena i Juliusz Krajewscy. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 72, 4 nl.

Polaček Karel — *Było nas pięciu.* Tłumaczył Z. Hierowski. Rysował M. Pokora. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 260, 4 nl.

Scena młodzieżowa Nr 4. Okładkę i karty tytułowe projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 339, 5 nl.

Stevenson Robert Louis — *Porwany za młodu.* Przełożył Jan Meysztowicz. Ilustrował i okładkę projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Iskry", 1958, wydanie III; str. 268, 4 nl.

RÓŻNE

Jeżewska Zofia — *Ze Sfinksem w cztery oczy.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Fotografie Henryka Romanowskiego. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 196, 4 nl.

Łoza Stanisław — *Szkice warszawskie.* Zebrał, opracował i wstępem opatrzył Ludwik B. Grzeniewski. Indeksy zestawiła Irena Orlewiczowa. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 319, 1 nl.

Szenic Stanisław — *Pitaval warszawski.* Tom II. (1795—1914). Część 1 i 2. Okładkę i obwolutę projektował Andrzej Radziejowski. Zdjęcia wykonał Stanisław Turski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; cz. 1 str. 305, 3 nl; cz. 2 str. 261, 3 nl.

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Guillaume Apollinaire — Przekłady · Tadeusz Kotarbiński i Stanisław Ignacy Witkiewicz — O filozofii · Marian Promiński — Wilk · Julian Przyboś — Próba przybliżenia · Aleksander Rymkiewicz — Wiersze · Jacek Trznadel — O Leśmianie teoretyku · Wojciech Żukrowski — Okruchy weselnego tortu